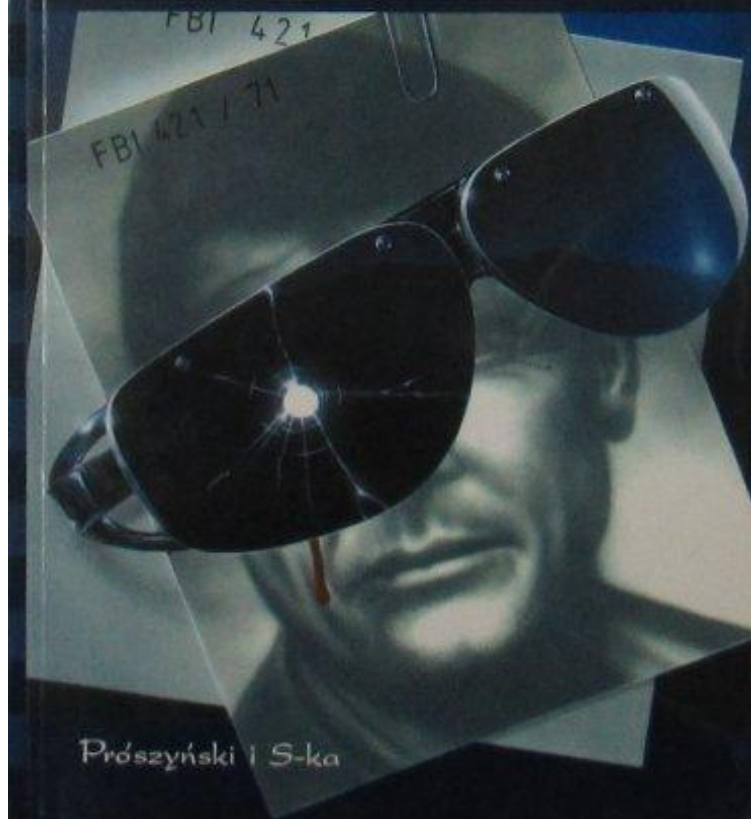


CAMPBELL

ARMSTRONG

ELIMINATOR



Prószyński i S-ka

CAMPBELL
ARMSTRONG

ELIMINATOR

Przełożyła
Bogumiła Nawrot

Prószyński i S-ka
WARSZAWA 1999

Tytuł oryginału:
SILENCER

Copyright © Campbell Armstrong 1997

Projekt okładki:
Zombie Sputnik Corporation

Ilustracja na okładce:
Jacek Kopalski

Redakcja:
Jacek Ring

Redakcja techniczna:
Elżbieta Babińska

Łamanie komputerowe:
Wojciech Paszkowski

Korekta:
Danuta Sabała

ISBN 83-7255-381-5

Skorpion

Wydawca:
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:
Opolskie Zakłady Graficzne S.A.
45-850 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

*Ta powieść przeszła przez ręce następujących osób:
Marianne Velmans, Alison Tulett, Ledy DeForge i
mojej żony Rebeki. Jestem głęboko wdzięczny za ich
radę i pomoc.*

Na skrzyżowaniu gdzieś w samym środku głuszy w światłach reflektorów pojawia się znak „stop” i Reuben Galindez myśli sobie: Dobra, najwyższa pora wiać, dosyć tej zabawy, otwiera drzwiczki i wysiada.

- Co jest, do cholery? - mówi siedzący za kierownicą brodac.
- Zmieniłem zdanie - oświadcza Galindez.
- Co takiego?
- Przemyślałem wszystko. Nie uśmiecha mi się układanie towaru na półkach w jakimś supermarkecie w Scranton czy podobne drętwoty. Nie dla mnie taki szajs.

Facet na tylnym siedzeniu, ten z siwożółtymi bakami, nachyla się do przodu i mówi:

- Pozwól, że ci coś przypomnę, Reuben. Podpisałeś cyrograf. To nie zabawa, z której można się wycofać i odejść w siną dal.

- Zobaczymy - rzuca Galindez, trzaska drzwiczkami i rusza wąskim poboczem. Zamierza złapać okazję, zatrzymać pierwszy wóz, jaki się pojawi na tej opustoszałej drodze. Jasne, że może upłynąć trochę czasu, nim mu się coś trafi, ale za nic nie wsiądzie z powrotem do tej furgonetki z przyciemnionymi szybami. Nie będzie ustawił towarów na półkach ani instalował telewizji kablowej w Queens, ani nic z tych rzeczy. Cztery tygodnie przesiedział zamknięty w

bezpiecznym miejscu w Phoenix i mało nie zwariował. Nocami leżał z zamkniętymi oczami i widział przez zaciśnięte powieki tapetę w kwiatki. Łapał karaluchy do butelek po piwie i obserwował, jak zdychają. Oglądał telewizję, przerzucając kanały, aż ogarniało go otępienie. Cztery długie tygodnie czekania na „załatwienie formalności” wystarczy. Spędzić resztę życia, podlegając ograniczeniom? To nie dla niego, wielkie dzięki.

- Reuben!

Galindez się ogląda. Brodacz wysiadł z furgonetki.

- Reuben, zawarłeś umowę. Nie możesz tak zwyczajnie odejść.

- Co mi zrobicie? - krzyczy Galindez. - Pozwicie do sądu?

Śmieje się, cha, cha, cha, odwraca i rusza przed siebie, zanurza się w cieniu drzew rosnących po obu stronach drogi. To jakiś wygwizdów, myśli, ale nie wytrzymałby w tej furgonetce ani sekundy dłużej, musiał wysiąść. Jego cierpliwość się wyczerpała, zaczął słyszeć jakieś głosy, to na pewno przez te nerwy.

- Reuben! Wracaj tu, ty spasiony wieprzu!

Galindez znów się rozgląda wkoło.

- Dobra, dobra.

- Robisz wielki błąd, Reuben.

Galindez nie zwraca na niego uwagi. To wolny kraj. Człowiek ma prawo zmienić decyzję. Zgoda, podpisał jakieś papiery, i co z tego? Nabazgrał swoje nazwisko na paru dokumentach, ale gwizdże na to.

Jest pięćdziesiąt metrów od furgonetki, a brodacz wciąż woła za nim.

- Ej! Reuben! Nie wygłupiaj się!

Nie zatrzymuj się, myśli Galindez. Idź przed siebie. Wcześniej czy później znudzi się im odjadą, potem pojawi się jakiś samochód i wróciłaś do cywilizacji. Do szczęśliwych dni.

- Reuben!

Galindez słyszy słaby wietrzyk szumiący w gałęziach drzew. Nie rozgląda się. Do jasnej cholery! Ma w dupie ich, ich dokumenty i obiecanki, żyje się raz.

Na odgłos strzału staje jak wryty. Pojedyncza kula odłupała kawałek asfaltu kilka kroków obok niego. Nagle noc wypełniły ptaki, w panicznym lęku sfruwające z drzew, jakieś przerażone, czworonożne, kudłate stworzenie przebiegło z przodu. Galindez odwraca głowę, druga kula świsnęła na prawo od niego, zupełnie jakby ktoś przekuł ciemności i powietrze zaczęło uchodzić. Serce mu wali jak młotem. To jakiś żart, myśli. Ale obleciał go strach, ponieważ zgodnie z prawem wolno mu odejść, jeśli ma ochotę, i olać umowę, która i tak jest tylko świstkiem papieru. A ci faceci nie powinni do niego strzelać.

- Wracaj, Reuben! - krzyczy brodac.

Galindez się nie rusza. Wracać, myśli. No dobra. Ale właściwie do czego?

Kolejny strzał rozdziera ciszę, tym razem Galindez mruży oczy przed błyskiem światła i myśli: Trafili mnie. Chyba śnię. Nie, to nie sen, to nie rojenia obłąkanego umysłu, bo czuje ból w ramieniu i struzkę gorącej krwi. Chryste! Postrzelili mnie. Coś nie tak. Świat się wywrócił do góry nogami, a ja jestem ranny.

- Reuben, następna kulka trafi cię prosto w czachę!

Zabiją mnie, myśli Galindez, i nagle doznaje olśnienia. Zamordują cię tylko dlatego, że nie chcesz być członkiem ich pieprzonego klubu. Wyświadczyłeś im przysługę, zrobiłeś, co do ciebie należało, teraz chcesz odejść - ale oni nie zamierzają cię puścić. Zamknęli cię, zaryglowali drzwi i już.

Do diabła z nimi! Do diabła ze Scranton, Queens i tym wszystkim!

Chmura zasnęła księżyc. Reuben rzuca się przed siebie, biegnąc, wpada na pnie i zwisające gałęzie, krew płynie mu po rękę, ale nie

ma czasu myśleć o pierwszej pomocy. Trzeba uciekać, a jeśli jest ranny, no to co.

Ma nadwagę, sflaczałe ciało mu się trzęsie, płuca nie są przyzwyczajone do czystego, wiejskiego powietrza. Jest mieszcuchem i nałogowym palaczem, ale to teraz nieważne, ponieważ jedyne, co się liczy w tej chwili, to uciec jak najdalej. Cichy głosik w głowie uparczywie powtarza: Lewa, prawa, naprzód. Biegnij pomiędzy drzewami i nie zatrzymuj się.

Gałęzie smagają go po twarzy, a sterczące konary wyrastają pod nogami, jeszcze kilka spłoszonych ptaków wylania się nie wiadomo skąd, trzepocząc wielkimi, czarnymi skrzydłami. Ale lewa, prawa, naprzód.

Coś tu nie gra - myśli

W głowie mu pulsuje od wysiłku. Musi się na chwilę zatrzymać. Chwyając łączywie powietrze, spocony, opiera się o pień drzewa, spuszcza głowę. Jego świszczący oddech przypomina odgłos wydawany przez pęknięty akordeon. Musi biec. Musi biec dalej.

- Hej, Galindez!

Głos rozległ się jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów za nim. Bardzo blisko.

A potem dociera do niego krzyk tego drugiego.

- To czysta głupota, dupku!

Trzydzieści metrów. Trudno oceniać odległość w tych lasach, szczególnie jeśli całe życie spędziło się w mieście. „Proszę pójść trzy przecznice w prawo, dwie przecznice w lewo”. Tutaj jest inaczej, nie widać nawet gwiazd ani księżyca na niebie.

Galindez odrywa się od drzewa. Lewa, prawa. Biegnie. Ręka mu drętwieje. Na dobrą sprawę może kręcić się w kółko, przedzierać przez paprocie i poszycie lasu, zmierzając donikąd. I ten dziwny, metaliczny smak w ustach. To strach. W gardle mu zaschło, ma wrażenie, jakby osiadły w nim żelazne opiłki.

W następnej chwili błysk latarki rozświetla gąszcz drzew. Reuben

się kuli, ale jego koszula z żółtego jedwabiu przypomina w tym lesie znak ostrzegawczy. Słyszy strzał - odbija się echem, bum-bum-bum. Pada i na czworakach czołga się przez paprocie i gałązki zaścielające ziemię.

Dobiega go inny odgłos. Wody. Wartko płynącej wody. A więc w pobliżu jest rzeka. Jeśli uda mi się do niej dotrzeć, jestem uratowany. Skocz do wody i zniknę im z oczu, myśli.

Snop światła omiata gałęzie wokół niego. Słyszy ciężkie stąpanie, trzask łamanych gałązek.

Galindez czołga się w kierunku, skąd dochodzi szum wody. Coś ostrego rozdziera mu koszulę i rani ciało.

Światło latarki jest dziesięć metrów od niego. Stara się zmniejszyć, kuli się, powstrzymuje szloch i próbuje sobie wmówić, że jest chartem gościa, który chce jak najszybciej dotrzeć do wody. Próbuje również uspokoić się przyjemniejszymi myślami: jak gra na automatach w kasynie w rezerwacie Gila, jak posuwa jakąś pulchną, brązową jak czekoladka Indianeczkę w przyczepie, w której unosi się woń kadzidełek i skrętów.

Kogo chce oszukać? To sprawa życia i śmierci. Tu się toczy gra o najwyższą stawkę.

Znów strzał. Grzmi między drzewami, jego huk przypomina wybuch bomby atomowej. Kątem oka Galindez dostrzega czerwony błysk. Woda. Dotrzeć do tej cholerniej wody. Zanurkować, wstrzymać oddech i dać się unieść nurtowi daleko od tych uzbrojonych maniaków, którzy go ścigają.

Nagle - psiakrew! - skończył się las.

Pojawia się płaski, kamienisty brzeg, obiecujący spienioną wodę, kłębiącą się w mroku.

Jest tylko jeden problem. Widać go teraz jak na dłoni, a żółta koszula świeci niczym raca sygnałowa. Biegnie po gładkich kamieniach, sapiąc, potykając się. Dostać się do wody, do tej cholerniej wody.

Dociera nad brzeg rzeki i zanurza się w chłodny nurt, ale woda ma zaledwie pół metra głębokości, przykrywa go tylko do połowy, Chryste, na jego twarz pada światło latarki, niczym złe oko, jest oślepiiony, w całym ciele czuje ostre ukłucia paniki.

- Wpatrzyłem coś, co się zaczyna na literę „R” - mówi jeden z facetów śpiewnym głosem.

Galindez cofa się nerwowo kilka kroków, dno opada gwałtownie o jakiś metr. Już ma rzucić się w fale, kiedy znów rozlega się strzał, jego odgłos przypomina grzmot.

I Reuben - któremu się roi, że widzi, jak obraca się bęben jedno-rękiego bandyty i w magicznym okienku ukazują się same wisienki - wydaje okrzyk, pada i zaczyna płynąć, nurt rzeki porywa jego ciało, na białej wodzie widać skręconą spiralnie smugę krwi.

Amanda od świtu bez powodzenia łowiła ryby, starając się nie zapominać o tym, co jej mówił Rhees na temat cierpliwości. Naucz się czekać, powiedział. Pamiętaj, nic i nikt cię nie pogania.

Rhees leżał na brzegu z zamkniętymi oczami, od czasu do czasu unosił leniwie rękę, by odpędzić muchę. Mężczyzna wyluzowany. Mężczyzna cierpliwy. Amanda utkwiała wzrok w małym czerwonym plastikowym spławiku, który drżał na powierzchni wody. Powoli zaczynała dochodzić do wniosku, że albo w tej rzece nie ma ryb, albo są one małymi spryciarkami, które wiedzą, co to sztuka przetrwania.

Spojrzała na bezchmurne, błękitne niebo. Upał stawał się coraz większy, w miarę jak słońce sunęło wyżej i wyżej nad drzewami. Kamienisty brzeg po drugiej stronie rzeki już błyszczał oślepiająco w jego promieniach. Trąciła Rheesa. Otworzył oczy.

- Może wszystkie się stąd wyniosły - powiedziała.
- Amando, tu się nie liczy ich łapanie - odparł Rhees.
- Tylko mi nie mów, że chodzi o czekanie.
- Czekanie też jest ważne. Ale w grę wchodzi też inne czynniki: jak poskromić wybujałą wyobraźnię, jak się nauczyć obcować sam na sam z własnymi myślami.

- A więc to jest cała filozofia wędkowania - zauważyła. - Założę się, że nazywa się to wędkologia albo jakoś podobnie.

Rhees uśmiechnął się.

- To ma więcej wspólnego ze zmaganiem się z samym sobą niż z rybami.

- Liczysz sobie za godzinę? - spytała.

- Patrz na spławik.

- Nie spuszczam z niego oka. Wszystkie moje myśli skupione są na tym cholernym spławiku. Dziś w nocy na pewno będę o nim śniła.

- Potraktuj to jako część składową procesu zdrowienia, jeśli tak ci będzie łatwiej.

Proces zdrowienia. Życie z dala od wszelkich stresów. Pozbawione presji, powiedział Rhees. Amanda znów zaczęła się wpatrywać w spławik i pomarszczoną powierzchnię wody. Zazdrościła Rheesowi umiejętności osiągania błogiego stanu obojętności. Potrafił w każdej chwili się wyłączyć.

Zapaliła papierosa. Wstrętny nałóg, z którym pragnęła zerwać, ale nie wszystko naraz. Na ten proces składa się wiele etapów, a jednym z nich jest pobyt tutaj, w leśnej głuszy, daleko od ludzi. Siedzenie na tym kamienistym brzegu rzeki, wpatrywanie się w spławik, niezaprzętanie sobie głowy niczym, szukanie - jakby powiedział Rhees - strefy wewnętrznego spokoju, miejsca, gdzie można wyleczyć wszystkie, nawet najdrobniejsze rany na duszy.

Poczuła na karku dotyk jego dłoni. Ciemne włosy o lekko miedzianym połysku zaczesła do tyłu i spięła czarną kłamrą. Ale nigdy nie mogła sobie poradzić z niesfornymi kosmykami, zawsze miała kłopoty z zapanowaniem nad nimi. Wiedziała, że Rheesa wzruszał ten nieład na jej głowie. Kochał jej wady. Życie z nim było takie proste i nieskomplikowane. Byli z sobą od sześciu lat i już ledwo pamiętała dawnych przyjaciół, nie licząc tego, że dziwnym zbiegiem okoliczności przynajmniej trzech z nich miało na imię Robert i

wszyscy prosili, by zwracać się do nich Bob. Po prostu Bob.

W pamięci Amandy zatarły się nawet rysy ich twarzy, pozostała jedynie mdląca woń dezodorantów i olejków do ciała. Zabawne, jej dawne życie miłosne sprowadzone do mieszanki zapachów z flakoników i sprayów, żadnych wspomnień o którymkolwiek z kochanków przenoszących ją tam, gdzie na niebie zderzają się komety, a ziemia drży pod stopami. Żadnego nieustraszonego Boba, bohatera kosmosu.

Leżała, kończąc papierosa, i patrzyła w niebo. Rhees pocałował ją w policzek i położył delikatnie rękę na jej piersi. Poczowała na twarzy gorące tchnienie słońca. Upał rozleniwiał. Pomyślała, jak łatwo byłoby zapaść w lekki sen, dać się ukołysać szemraniu wody. Jest tu zaledwie od czterech tygodni, a już się zaczęła przyzwyczajać do luksusu drzemki o najdziwniejszych porach dnia.

Rhees znowu dotknął jej piersi.

- John, ktoś się może pojawić - powiedziała.

- Tutaj? Wątpię. - Wsunął dłoń pod jej bawełnianą koszulę.

Zwróciła twarz w jego stronę. Pocałunek, usta Rheesa, jego oddech, splecenie ciał w miłosnym uścisku. Wyobrażała sobie, że może nadejść dzień, kiedy bliska zażyłość przytępi uczucie, wszystko spowszednieje i straci urok nowości, ale na nic takiego się nie zanosilo między nią a Rheesem.

- Słyszysz? - spytała. Odwróciła się i spojrzała na rosnące w głębi drzewa. Z lasu dobiegał warkot samochodu.

- Słyszę - powiedział Rhees. - To prawdopodobnie paczka starych kumpli, którzy wybrali się gdzieś dżipem, Skrzynka piwa, kase-ta z największymi przebojami Gartha Brooksa i można się bawić.

- Jeżeli tak, wracamy do domku - oświadczyła.

- Dokończyć to, co właśnie zaczęliśmy?

Uśmiechnęła się.

- Myślałam, że jesteś mistrzem w poskramianiu wybujałej wyobraźni.

- Do pewnego stopnia - rzekł.

- John, ale z ciebie czasem oszust. Wstała, otrzepała piasek z krótkich spodni, potem jeszcze raz spojrzała w stronę lasu. Dostrzegła między drzewami samochód. Bronco wzbijał tumany rdzawego pyłu, posuwając się z trudem wąziutką drogą. Wyłonił się z lasu, obsypany połamanymi gałązkami i sosnowym igliwem, i zatrzymał się na brzegu, jakieś pięć metrów od Amandy i Rheesa.

To nie była banda starych kumpli. Z samochodu wysiadł potężnie zbudowany mężczyzna, dobrotliwy grubas w pomiętej marynarce z płótna w kratkę. Miał okulary i utykał. Dobrze go znała, ale nie spodziewała się go tu ujrzeć.

- Willie? - spytała Amanda, nie kryjąc zaskoczenia.

- Wiem, wiem. Ostatnia osoba pod słońcem, którą spodziewałaś się zobaczyć. - Uśmiechnął się, wynurzając się z cienia.

- Źle się wyraziłeś, poruczniku - zauważył szorstko Rhees. - Ostatnia osoba pod słońcem, którą chcielibyśmy ujrzeć.

Willie Drumm spojrział na Rheesa, skinął mu głową, a potem ujął w obie dłonie rękę Amandy i uścisnął. Miał ogromne, pulchne ręce, przy których jej wydawały się jeszcze mniejsze niż w rzeczywistości.

- Dobrze wyglądasz - powiedział.

- To dzięki temu zwyczajnemu życiu, Willie.

- Widocznie ci służy. Coś tu bierze? Pstrągi? Sumy?

- Nie zauważyłam - odparła. - Muszą się dobrze kryć.

Willie Drumm spojrział na rzekę. Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia. Amanda wiedziała, co myśli Rhees. Drumm należał do przeszłości i nie był mile widziany, ponieważ przeszłość nie miała tu wstępu. Już nie stanowił części jej życia. Tamte czasy przeszły, minęły. Rhees uważał Drumma za niebezpiecznego natręta, gliniarza z wydziału zabójstw z ponurej miejskiej rzeźni. Za kogoś, kto dźwigał ten światek na swych barkach jak torbę z brudną bielizną, z którą się

nigdy nie rozstawał.

- Rany, niełatwo tutaj trafić - odezwał się Drumm.

- Właśnie o to chodzi - powiedział Rhees.

- No tak. Pewnie. Ale w końcu odszukałem domek, zobaczyłem przed nim wasz samochód i pomyślałem sobie, że musicie być gdzieś w pobliżu. - Drumm nerwowo obracał w dłoniach okulary. Był wyraźnie zakłopotany.

- Ostatecznie jesteś detektywem - zauważył Rhees. - Dla ciebie to małe piwo.

Ta cierpka nutka w głosie Johna. Amanda poczuła się tak, jakby pojawienie się Drumma rzuciło cień na jej spokojną egzystencję.

- Nie jechałeś chyba taki kawał drogi, by nam złożyć wizytę towarzyską, prawda, Willie? - zapytała.

Drumm spojrział na Rheesa, nim się odezwał.

- Skłamałbym, gdybym to powiedział.

- Amanda zrezygnowała, Willie – zauważył Rhees. - Zrezygnowała. Już się tym nie zajmuje. Skończyła z tym.

- Wiem, John. Pomyślałem tylko, że może ją zainteresuje to, co mam do powiedzenia.

- Może źle sobie pomyślałeś - oświadczył Rhees i opiekuńczo otoczył Amandę ramieniem.

Pomyślała, że chce ją trzymać z dala od świata. Szczególnie od tego, do którego należał Willie Drumm, od tej równi pochyłej ku rozpacz. Nie chce, żeby znowu znalazła się nad skrajem przepaści.

- Willie przejechał taki kawał drogi - odezwała się. - Wyszlibyśmy na ludzi niewychowanych, John.

- Jestem najdalszy od okazywania złych manier - powiedział Rhees. Gapił się na Drumma, który ocierał chusteczką wielkie czoło.

- Słuchaj, John, nie chciałem sprawiać kłopotów - zaczął się tłumaczyć Drumm. - Okropnie mi głupio.

- Już dobrze - powiedziała Amanda.

- Jeśli Amanda tak mówi, nie ma sprawy. - Rhees odsunął się od niej. Zgarbił się, ręce wsunął do kieszeni dżinsów, wzrok wbił w ziemię.

- O co chodzi, Willie? - spytała.

- To ma związek z naszym starym znajomym, Sanchezem - zaczął cicho Drumm.

- Z Sanchezem? - Ogarnął ją dziwny mrok, jakby cień, który się pojawił kilka chwil temu, wydłużył się. Zaburzenie funkcjonowania zmysłów. Wzdrygnęła się. Sanchez. Przypomniała sobie zimną, wywołującą klaustrofobię salę sądową, usłyszała szum oziębionego powietrza, płynącego z przewodu wentylacyjnego w ścianie, ostre stuk-stuk młotka sędziego i ciche klekotanie maszyny protokółantki, odgłosy, które były niepotrzebne, ale i tak wypełniały jej głowę.

Wyciągnęła papierosa i zapaliła go, świadoma dezaprobaty Rheesa, który głośno podzwaniał monetami w kieszeniach.

- Nie chciałem, żebyś to zobaczyła w wieczornych wiadomościach, zanim osobiście cię o tym poinformuję - powiedział Drumm.

- O czym?

- Coś wypłynęło. Dosłownie. -Wyrażaj się jaśniej, Willie.

- Chodzi o rybę - powiedział. - O grubą rybę.

Do kostnicy we Flagstaff było czterdzieści kilometrów. Willie Drumm wolno wyjechał pomiędzy sosen.

- John był nieźle nabuzowany - powiedział.

- Boi się o mnie. Szybko mu minie złość - stwierdziła, ale trudno byłoby się doszukać przekonania w tonie jej głosu.

Rhees pomaszzerował do domku, nie omieszkawszy najpierw zgłosić swoich zastrzeżeń. „Nie angażuj się w to. To już nie twoja sprawa, do jasnej cholery”. Wyobraziła go sobie, jak krąży tam i z powrotem po małych pokoikach, starając się opanować. Zdumiewało ją u Rheesa to, że nie potrafił się długo złościć. Nawet jeśli coś go wyprowadziło z równowagi, szybko odzyskiwał dobry humor.

- Nadal czuję się jak facet, który pojawił się za późno na przyjęciu, by oznajmić wszystkim, że w zupie był arsenik - powiedział Drumm.

- Wspomniałeś o jakiejś rybie - przypomniała mu.

Drumm zwolnił, widząc znak „ustęp pierwszeństwa przejazdu”.

- Owszem. Trupa znaleziono na brzegu płytkiego dopływu Little Colorado. Bez dokumentów. Z kulą w sercu. Okoliczności śmierci powinna wyjaśnić policja z rezerwatu Nawaho, ale sierżant Charlie House nie lubi, kiedy na jego terenie pojawiają się trupy nie-Indian, wysyła więc ciało do Flagstaff, a odciski palców do Phoenix.

Po ich sprawdzeniu zidentyfikowaliśmy zwłoki. I dlatego teraz tutaj jestem: by rzucić na nie okiem i porozmawiać z koronerem. Ale kiedy zacząłem się nad tym wszystkim zastanawiać, coś mi tu nie pasuje. A ty widzisz w tym jakiś sens, Amando?

Sięgnęła do kieszeni koszuli po papierosy i zapalki.

- Reuben Galindez powinien się znajdować daleko stąd. Miał być bezpieczny. Taka była umowa.

- No właśnie. W takim razie co robi w rzece w północnej Arizonie? I kto go zastrzelił?

Zapaliła papierosa, kwitując pytanie wzruszeniem ramion. Ranek stał się zamazany, oniryczny. W jednej chwili człowiek łowi ryby, dzień jest piękny i obiecujący, w następnej jedzie do kostnicy, by obejrzeć martwego faceta; oś rzeczywistości się przechyliła i człowiek się zastanawia, czy przypadkiem nie doznaje halucynacji. Kto zastrzelił Galindeza?

- Nic mi nie przychodzi do głowy - powiedziała. Nie była pewna, czy w ogóle ma ochotę się nad tym zastanawiać. To już nie jej sprawa - dlaczego więc zgodziła się towarzyszyć Drummowi do kostnicy? Przez ciekawość? Niedowierzenie, że Galindeza znaleziono tam, gdzie go nie powinno być? A może się łudziła, że identyfikacja na podstawie odcisków palców była błędna i okaże się, że ujrzą w kostnicy zwłoki kogoś zupełnie innego?

Drumm przez dwa, trzy kilometry jechał w milczeniu, z kącika ust sterczała mu wykałaczka.

- Jedyne wytłumaczenie, jakie mi przychodzi do głowy, to, że za tym wszystkim stoi Sanchez. Galindez złożył zeznania obciążające i Sanchez trafił do celi śmierci. Wściekł się, udało mu się przesłać gryps i ktoś sprzątnął Galindeza. Zemsta jest słodka, jak pisał poeta.

- Tak. Ale spróbuj to udowodnić - powiedziała.

Jechali teraz przez centrum Flagstaff. Przy głównej ulicy stały motele oferujące łóżka wodne i telewizję kablową, a pomiędzy nimi

liczne bary szybkiej obsługi. Plastikowe chorągiewki wisiały nieruchomo na zalanych słońcem placach przed komisami samochodowymi. Drumm opuścił szybę i dym z papierosa Amandy wyleciał na zewnątrz.

Zaparkował wóz i odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Naprawdę nie musisz wchodzić do środka.

- Willie, widziałam już trupy.

- Jak chcesz, Amando. - Drumm wysiadł z samochodu. Zawsze szarmancki, obszedł wóz i otworzył Amandzie drzwi.

*

Pokój był chłodny, pozbawiony okien, oświetlony lampami fluorescencyjnymi. Zastali tam Charliego House'a, potężnego Indianina z plemienia Nawaho, o miedzianej twarzy i w nieskazitelnym beżowym uniformie. Obecny był również zastępca koronera, szczupły mężczyzna w wykrochmalonym seledynowym kitlu. Na jego identyfikatorze widniał napis: T. Lavery.

To Lavery otworzył chłodnię i powiedział:

- Podejdźcie, proszę; Obejrzyjcie sobie Moby Dicka. - Miał nieprzyjemny śmiech. Niewątpliwie wzniosł wokół siebie mur obojętności na śmierć.

Amanda chwilę się wahała, nim spojrzała na wzdęte zwłoki na metalowym blacie. W okolicy serca dostrzegła dziurę o poszarpanych brzegach, obmytą przez wody rzeki. Przypominała szerokie, wykrzywione usta. Lewe oko nabiegło krwią, prawego w ogóle nie było. Oczodół wypełniały rzeczne osady. Twarz i szyja były pogryzione i poszarpane przez padlinożerców - szczury, ścierwniki, trudno powiedzieć. Włosy mężczyzny, oblepione szlamem, przywodziły na myśl te, które się znajduje w pozapychanych rurach kanalizacyjnych. Na środkowym palcu pulchnej, pomarszczonej od wody ręki połykiwał sygnet z rubinem, ozdobiony miniaturowymi złotymi listkami.

Odwrociła wzrok. Nie spodziewała się, że zrobi to na niej aż takie wrażenie. Zapach śmierci uwiązł jej w gardle, ostra woń chemikaliów i zgnilizny.

- Galindez - powiedział Drumm.

Z całą pewnością Galindez - pomyślała Amanda.

- Nie ma połowy twarzy - zauważył Drumm.

- Owszem, ale nie co dzień widzi się taki sygnet - dodała. Pamiętała ten sygnet, pamiętała, jak Galindez miał zwyczaj nim obracać. Rubin i złoto. Pochwalił się jej podczas jednej z rozmów, dotyczących zeznań, które miał złożyć, że wygrał sygnet w pokera w Bullhead City. Co, u diabła, robiły jego zwłoki w kostnicy we Flagstaff?

- Wszystko wskazuje na to, że leżał w wodzie dwa, trzy dni, może dłużej, może krócej - powiedział Lavery. - Śmierć spowodował strzał w serce. Sądząc po wielkości rany, przypuszczam, że oddano go z czterdziestkapiątki. Mamy też drugą ranę postrzałową, na lewym ramieniu. Zabito go w górze rzeki. Jeśli uwzględnić szybkość nurtu, mogło to być jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym go znalazł Charlie.

- Coś jeszcze? - spytał Drumm.

- Dam panu kopię swojego raportu - powiedział Lavery. - Nie znajdzie pan tam niczego nadzwyczajnego. Ubranie czyste, nie naprowadzi na żaden ślad. Butów brak. Nic specjalnego pod paznokciami. Uszkodzenia twarzy spowodowane przez zwierzęta: myszokłowy, kojoty. Urządziły sobie ucztę, kiedy woda wyrzuciła ciało na brzeg. *À propos* jedzenia, jeśli was to interesuje, ostatni posiłek ofiary składał się ze spaghetti, klopsików oraz surówki, w której skład wchodziły rzodkiewki.

- Nie może nam pan przypadkiem powiedzieć czegoś bardziej konkretnego? - spytał Drumm. - Jak na przykład nazwa restauracji?

Lavery uśmiechnął się i spojrzął na ciało.

- Proszę mi dać kilka dni, panie poruczniku, a może powiem panu nie tylko, gdzie jadł, ale również jaki dał napiwek.

- Żartowniś z pana - zauważył Drumm.

- W tym zawodzie to się przydaje.

Charlie House spojrzął na Drumma i uśmiechnął się.

- Jest do pańskiej dyspozycji, panie poruczniku.

- Prezent od plemienia Nawaho - powiedział Drumm.

- Oddaję, co cesarskie, cesarzowi - skomentował House.

- Czy pozwolą państwo, że z powrotem zamknę Moby Dicka w chłodni? - zapytał Lavery. - Te wycieczki go męczą.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Lavery zatrzasnął drzwi chłodni. Amanda usłyszała cichy szcęk metalu o metal. Pomyślała o Galindezie, płynącym w dół rzeki, niesionym przez prąd; była ciekawa, ile kilometrów naprawdę pokonało ciało.

- Charlie, następnym razem, kiedy postanowisz nam coś podrzucić, postaraj się, żeby tak nie cuchnęło - powiedział Lavery.

- Mam i tak ręce pełne roboty bez trupów przyniesionych przez rzekę nie wiadomo skąd - zauważył House.

Lavery spojrzął na Williego Drumma.

- Panie poruczniku, musi mi pan podpisać kilka dokumentów. Papiery, zawsze papiery, cholerny ocean papierzyśk.

Drumm wyszedł z Laverym z pokoju.

Charlie House, kiedy został sam z Amandą, zapytał:

- Była pani oskarżycielem w sprawie Sancheza, tak?

- Tak - przyznała.

Przemarzała do szpiku kości. Skierowała się do drzwi prowadzących na zewnątrz, a potężny Indianin ruszył za nią.

- Czytałem, że zrezygnowała pani z pracy - powiedział.

Wyszła na korytarz. Chociaż klimatyzowany, nie było w nim tak zimno jak w kostnicy.

- Owszem - przyznała.
- Miała pani dosyć?

Odwróciła się i spojrzała na Charliego House'a. Miał sympatyczne oczy koloru palonej kawy. Śmierć wyprowadziła ją z równowagi. Nie po to się zasyła na tym pustkowiu, by oglądać zwłoki, szczególnie zwłoki Reubena Galindeza. Zrezygnowała z dawnego życia i czekała, jakby w stanie zawieszenia, co jej przyniesie przyszłość. Chciała osiągnąć nieważkość, być wolna od nacisków, od przeszłości. Kiedy ci się nie podoba własne życie, musisz je zmienić, powiedział jej Rhees jakiś miesiąc temu. I właśnie próbowała to zrobić, przejść proces oczyszczenia, doznać reinkarnacji, doczekać się narodzin z popiołów nowej Amandy.

Ale rzeka wyrzuciła na brzeg zwłoki mężczyzny, który powinien być zupełnie gdzie indziej, który powinien otrzymać nowe nazwisko i tożsamość i zostać umieszczony w jednej z tajnych kryjówek Federalnego Programu Ochrony Świadków.

- Można to tak określić - odpowiedziała w końcu House'owi i stwierdziła, że jej głos zabrzmiał dziwnie matowo.

Kobieta myśli: „Potrzebna mi bryka”. Nigdy w życiu niczego nie ukradła, nie wie, od czego zacząć. Wyobraża sobie niezamknięte drzwi, kluczyki w stacyjce, może ktoś pobiegł do centrum handlowego coś szybko załatwić, jakaś gapa. Nie należy kraść, ale kiedy zagrożone jest życie, może stanowi to okoliczność łagodzącą i Bóg uczyni wyjątek i jej wybaczy.

Chodzi tam i z powrotem, jest skonana i przerażona, ponieważ nie wie, ile jej jeszcze zostało czasu, zanim ją dopadną. Oblewa ją pot, wprost rozpuszcza się w gorącym, południowym słońcu. To nic przyjemnego, potrzebna jej kąpiel, szampon i perfumy.

Zatrzymuje się, udaje, że czegoś szuka w torbie, w płóciennym worku zawierającym cały jej nędzny dobytek. Dobry Boże, jak nisko upadła od czasów, kiedy dzieliła wielki dom w Carefree z Angelem, wszystkie pokoje wyłożone były białymi i niebieskimi kafelkami, pod sufitem obracały się wiatraki. Mieli też szklarnię, Angel nazywał ją cieplarnią, z rzędami zielonych roślin w pojemnikach, powietrze pachniało ziołami. Wydaje jej się, że ukradła komuś to wspomnienie, wspomnienie mięty i kolendry.

Grzebie w torbie, starając się sprawiać wrażenie zaabsorbowanej, ponieważ strażnik w niebieskim mundurze stoi w drzwiach do centrum handlowego i patrzy na parking, w kaburze lśni mu pistolet. Cały jest jak z błyszczącego metalu, ma okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi szklami. Kobieta wie, wie na pewno, że obserwuje ją, jak chodzi między samochodami i zagląda do każdego, wypatrując kluczyków. Wyciąga z torby chusteczkę jednorazową i unosi ją do czoła, strażnik lekko odwraca głowę. Ociera pot z twarzy i wyrzuca zużytą chusteczkę do pojemnika na śmieci.

Ludzie wychodzą ze sklepu, pchając przed sobą wózki. Dzieciaki i kobiety. Przypomina sobie, jak Angel kiedyś powiedział: „Stworzymy rodzinę”, ale to było, zanim wszystko diabli wzięli, a stało się to piorunem. Słucha teraz turkotu kółek wózka i dzieciaka śpiewającego piosenkę reklamową jakiejś pizzerii, matka woła za nim: „Wracaj tu, Terry. Nie oddalaj się nigdzie, słyszysz?”.

Kobieta się przygląda, jak matka bierze dziecko i sadza go w wózku z zakupami. Strażnik opuszcza swój posterunek przed wejściem i idzie przez parking, a to ostatnia rzecz, której by sobie życzyła. Znowu grzebie w torbie, żeby czymś się zająć, zastanawia się, czy przypomina bezdomną, bo jest nieuczesaana i nieumalowana, czy też wygląda podejrzanie. A właściwie co ona robi w Farmington w Nowym Meksyku? Wstrzymuje oddech. Słyszy kroki strażnika na asfalcie; stuk, stuk, stuk. Zastanawia się, czego może od niej chcieć. Zastanawia się, ile jej jeszcze zostało czasu, zanim ją dopadną. Człowiekowi przychodzą do głowy różne myśli, kiedy się boi.

- Wszystko w porządku? - pyta strażnik.

Patrzy na niego przez brudne okulary przeciwsłoneczne.

- Tak.

- Obserwowałem panią - mówi. - Sprawia pani wrażenie przygnębionej.

- Przygnębionej? - Mówi „przygnembionej”. Wymowa ją zdradza. To wszystko przez ten strach i słońce, i upał. Angel jej powtarzał: „Naucz się poprawnie mówić”. Wazniak Angel umiał mówić poprawnie. Też nauczyłam się całkiem dobrze mówić, myśli. Za dobrze. Niebo wali się na nią, błękitne i ciężkie, wyciskając ją jak pomarańczę.

- Na pewno wszystko w porządku? - pyta strażnik.
- Tak - mówi. Idź sobie, myśli. Przestań mi się przyglądać.
- Gorąco dziś - zauważa strażnik.

Znów na niego spogląda. Gorąco. Ach, tak. Chodzi mu o upał, o ten cholerny upał. Tylko tego jej potrzeba.

- W taki dzień można dostać udaru słonecznego - mówi strażnik. - Trzeba pić dużo wody.

- Tak, trzeba dużo pić. - Kobieta odchodzi, strażnik patrzy za nią, potem się odwraca i maszeruje z powrotem w stronę wejścia do centrum handlowego, a ona dalej krąży pomiędzy rzędami zaparkowanych samochodów. Jest bliska obłądu, czuje się osaczona przez strażnika i facetów, którzy mogą być zaledwie parę przecznic stąd. Ogarnia ją panika, wyobraża sobie, że jest liściem, który porywa trąba powietrzna.

Znaleźć cholerny samochód.

Żegna się. Odmawia modlitwę. Prosi o radę. Święci są po twojej stronie. Tyle tylko, że odnosi wrażenie, iż ją opuścili, bo nie znalazłyby się w takim gównianym położeniu, gdyby byli przy niej.

Widzi, jak na parking wjeżdża wiekowy datsun. Wysiadła z niego jakiś starszy jegomość. Ma laskę z czarnego drewna z mosiężną gałką, biała koszula wyszła mu ze spodni w czarno-zieloną jodełkę; porusza się wolno, zamyka drzwi samochodu, potem się odwraca i patrzy na nią, przesuwa jedną ręką po brodzie z kilkudniowym zarostem. Kobieta odwraca wzrok.

Starszy pan kieruje się do centrum handlowego. Podpiera się laską.

- Nieźle przypieka, co, Jimmy? - woła do strażnika.
- A gdzie tam - zaprzecza strażnik.

Słyszy, jak staruszek się śmieje i mówi coś jakby: „Tak przygrzewa, że można na chodniku usmażyć jajecznicę”. Kobieta podchodzi bliżej do samochodu i widzi pęk kluczy na siedzeniu dla pasażera.

No, teraz albo nigdy.

Przesuwa dłońią po włosach i czeka. Asfalt lśni. Czuje przez podeszwy butów bijące od niego ciepło. Wydaje jej się, że powietrze wypełniają niewidzialne diabły. Pies cię trącał, Angel. To wszystko przez ciebie. A kochałam cię, oddałam ci serce, i co z nim zrobiłeś?

Dotyka klamki u drzwiczek datsuna. Metal ją parzy. Przykleiła się do niego skóra dłoni. Kobieta patrzy w kierunku strażnika. Starszy jegomość wszedł do środka, strażnik śmieje się z czegoś, kobieta wie, że nie trafi jej się lepszy moment od tego.

Otwiera drzwi, wsiada do samochodu, bierze kluczyki, wkłada każdy po kolei, póki nie znajdzie tego, który pasuje do stacyjki, przekręca go, silnik wydaje odgłosy przypominające „brum-brum-brum”. Gdyby ten samochód miał płuca, z pewnością cierpiałby na bronchit. Pojazd drga, budzi się do życia i bucha spalinami. Kobieta przesuwając fotel do przodu, naciska pedał gazu, przesuwając dźwignię biegów na wsteczny i wycofuje się. Widzi, jak strażnik coś krzyczy, starszy jegomość wymachuje laską, czarne drewno lśni, ale ona jedzie, jedzie dalej, i chociaż strażnik ją goni, szybko opuszcza parking i skręca na szosę. Potem wypatruje drogowskazu informującego, jak dojechać do autostrady, chociaż wie, że demony gromadzą się za nią, a jej świat jest tak bezpieczny, jak dom na palach w krainie nawiedzanej przez trzęsienia ziemi.

Podczas drogi powrotnej Drumm powiedział:

- Dobra, Galindez zostaje objęty Programem. Co potem? Stwierdza, że nie potrafi żyć z ograniczeniami narzuconymi przez Program Ochrony Świadków, i chce wrócić w swoje strony, gdzie go załatwia jeden z jego dawnych kumpli. Albo odrzucamy tę wersję i wskazujemy palcem Victora Sancheza, zwalając całą winę na niego. Tym samym dopuszczamy możliwość, że udało mu się naruszyć gwarancje bezpieczeństwa, obiecywane przez Program, i dotrzeć do Galindeza.

Amanda przypomniała sobie piasek i żwir w pustym oczodole, odór martwego ciała.

- Nie wyobrażam sobie, jak mógłby tego dokonać. - Naruszyć gwarancje bezpieczeństwa. W ogóle nie dopuszcza do siebie takiej myśli. Jej umysł wysyła niewyraźne sygnały, których nie chce odczytać. - Jak zdobyłyby poufne informacje? Jakby wszystko zaaranżował?

- Najpierw potrzebowałyby informatora, orientującego się w zasadach funkcjonowania Programu - powiedział Drumm. - Potem płatnego mordercy.

Amanda spojrzała na las sosnowy rosnący po obu stronach szosy.

Informator, płatny morderca. Poczula słońce padające przez szybę na jej twarz.

- Nie odpowiada mi ten tok rozumowania, Willie. Na samą myśl o tym dostaję mdłości.

Drumm zrobił skruszoną minę.

- Przepraszam, że cię w to wciągnąłem. Nie wiem, dlaczego nie pojechałem prosto do Flagstaff, dlaczego nadłożyłem drogi, by cię odszukać. Chyba nie działałem racjonalnie.

- Do niczego mnie nie zmuszałeś.

- Nie o to chodzi - powiedział Drumm. - Nie potrzebujesz, żeby dobry, stary wujek Willie podrzucał ci na próg domu niedawną przeszłość. To był zły pomysł z mojej strony.

Amanda skwitowała jego uwagi machnięciem ręki. Wyjrzała przez okno i stwierdziła, że samochód zjechał z szosy.

- Co teraz zamierzasz?

Drumm wzruszył ramionami.

- Jedyne, co mogę zrobić, to napisać raport i wysłać drogą służbową, w końcu trafi na biurko kogoś zajmującego się Programem. Kłopot w tym, że mają swoje sekretne sposoby działania, co bardzo utrudnia zwykłemu gliniarzowi z wydziału zabójstw wetknięcie nogi między drzwi.

Sekretne sposoby działania, pomyślała. Do których nikt nie powinien mieć dostępu - a okazuje się, że ma.

Między gęsto rosnącymi drzewami mignął domek. Zbudował go w latach siedemdziesiątych ojciec Amandy, Morgan Scholes. Kupił sześćdziesiąt hektarów lasu sosnowego i spędzał weekendy, wznosząc swoją pustelnię. Pracował z pełnym poświęceniem, tak jak miał zwyczaj robić wszystko, wykopał studnię i zainstalował generator. Dwie małe sypialnie, kuchnia, ubikacja i prysznic. Linię telefoniczną podciągnięto pięć lat temu, za ten luksus Scholes słono zapłacił. Numer był zastrzeżony. Do domku prowadziła jedynie wąska, nieutwardzona droga przez las; stanowił idealne miejsce ucieczki

przed miastem i rozpalonymi autostradami.

Drumm zatrzymał wóz, ale nie wyłączył silnika.

- Chyba nie wejdziesz do środka, Amando. Dwa razy jednego dnia naruszyć granice prywatnej posiadłości to przesada.

Otworzyła drzwi i spojrzała na okna, wypatrując Rheesa.

- Brakuje mi ciebie - powiedział Drumm.

- Mnie ciebie też, Willie.

- Słyszałem, że już zatrudnili na twoje miejsce Dominica Concannon.

- Jest dobry - powiedziała. - To przyzwoity prawnik, jeśli takie określenie nie zawiera wewnętrznej sprzeczności.

- Ale to nie Amanda Scholes. - Drumm położył jej dłoń na ramieniu. - Posłuchaj dobrej rady: zapomnij o tym wszystkim.

Wysiadła z samochodu, przystanąła i spojrzała na Drumma.

- Bez wyjątku?

- Bez wyjątku. Zapomnij, że tu przyjechałem. Zaczynaj nowe życie.

Zamknęła drzwi, uderzyła w nie ręką i patrzyła, jak Drumm zakręca i odjeżdża. Kiedy zniknął jej z oczu, odwróciła się i ruszyła w stronę domku. Zawahała się przez chwilę, nim weszła do środka.

Rhees siedział za stołem zasłanym papierzyskami i tomikami poezji. Wczoraj wieczorem przygotowywał materiały do wykładów w semestrze zimowym. Sporządzał notatki drobniutkim pismem, którego nie potrafiła odczytać.

Czuła słabość do spokojnego świata poezji Rheesa. Sam też trochę pisał z różnych okazji, na przykład na urodziny otrzymywała krótki wiersz w kopercie przyklepionej do prezentu. W okularach zsuniętych nisko na nos trudził się nad swymi strofami niczym człowiek ze skalpelem. Czasem cicho sobie nucił jakieś stare walijskie melodie. Rhees miał w sobie coś z barda.

Nie unosząc głowy znad książki, powiedział:

- Musiałaś koniecznie to obejrzeć, prawda?

Miała ochotę na kawę. Wsypała trzy miarki do pojemnika i włączyła ekspres. Stwierdziła, że ręka jej trochę drży.

- Dlaczego? - zapytał. - Lubisz kostnice?

- Nie, nie lubię kostnic. Chciałam mieć pewność. Kawa zaczęła perkotać. Amanda bawiła się kosmykiem włosów. Zauważyła pasmo siwizny.

- Galindez był łajdakiem, Amando - powiedział Rhees.

- Wiem o tym - zgodziła się. - Dobrze się zapoznałam z jego kartoteką. Ohydne morderstwo w Tuscon, przekwalifikowane dzięki zwykłym prawniczym kruczkom na nieumyślne zabójstwo. Szybko zwolniony warunkowo. Parę oskarżeń o gwałt, z których udało mu się wywinąć, bo nikt nie chciał zeznawać. Pomagał Sanchezowi przemycić broń dla kilku bardzo nietuzinkowych klientów w Meksyku.

- Gwałtownego człowieka spotkał gwałtowny koniec. Sprawiedliwości stało się zadość.

Amanda wyjęła z szuflady nową paczkę papierosów i rozdarła celofan. Stała plecami do zlewu, paląc i wdychając zapach kawy.

- Słuchaj, to ty doszłaś do wniosku, że musisz z tym skończyć - przypomniał jej Rhees. - To ty złożyłaś rezygnację. Nikt ci nie przyłożył pistoletu do skroni.

Amanda naląka kawę do dwóch filiżanek i podeszła z nimi do stołu.

- I jestem zadowolona z tej decyzji - stwierdziła.

- Ale coś do ciebie przyłgnęło - zauważył.

- Nie chcę tak myśleć.

Spojrzał na nią znad filiżanki.

- Nie daje mi to spokoju, John.

- Dźwigasz zbędny balast.

- Nie zamierzam znów się w to zaangażować - zapewniła go.

- To daj sobie z tym spokój. Znajdują martwego Galindeza i natychmiast do wszystkiego wracasz. - Rhees machnęła ręką, by rozpuścić dym z papierosa. - Chciałbym, żebyś rzuciła palenie.

- Umieściłam to na liście rzeczy, z którymi chcę skończyć.
- Ach, ta twoja lista. Są na niej dwie pozycje, których nie skreśliłaś; palenie jest jedną z nich.

Amanda zgasiła papierosa na starej pokrywce słoika wypełnionej niedopałkami.

- Tak się składa, że Galindez był głównym świadkiem, którego wykorzystałam. Gdyby nie on, Sanchez nadal mógłby przebywać na wolności. Uważasz, że Galindez był łajdakiem? To niewiniątko w porównaniu z Sanchezem. Ale Galindez przystał na układ. Wcale mnie to tak bardzo nie cieszyło...

- Miesiąc temu byłaś bardzo nieszczęśliwa - przerwał jej. - Bezsenność, osłabiony układ odpornościowy, podatność na wirusy grypy, kiepskie odżywianie, co wieczór pigułka na sen. Wyglądałaś jak duch, wyrzucony z nawiedzanego przez siebie domu. Znajdowałaś się na skraju załamania nerwowego. Pamiętasz?

- Nie musisz mi tego przypominać. - Uczucie, że żyje nad przepaścią. Ciągła panika. Płytki sen pełen koszmarów. Przemoczony strach, którego nie potrafiła wytłumaczyć. Czula, że się rozpada na tysiące kawałków. Teraz nie mogła sobie nawet przypomnieć, co napisała w swojej rezygnacji. Pamiętała jedynie, jak Luke Basha, stanowy minister sprawiedliwości, radził jej, by jeszcze raz wszystko przemyślała. „Potrzebny ci tylko urlop - przekonywał ją. - Za ciężko pracowałaś”. „To coś więcej, Luke - powiedziała. To sięga znacznie głębiej”. Nie pamiętała też konferencji prasowej, nie pamiętała, co odpowiadała na pytania dotyczące swojej rezygnacji ani jakie podała powody decyzji. W pamięci utkwiły jej tylko błyski fleszy, dźwięki wydobywające się z jej ust i pulsujący ból głowy.

- Rozmawialiśmy o tym, Amando - powiedział Rhees. - O twoim stanie umysłu. O twoim zdrowiu. Ale decyzję podjęłaś sama. - Poklepał ją po dłoni wyraźnie poruszony. - Prawo wysysa z człowieka wszystkie soki. To twoje słowa. Spójrz tylko teraz na siebie. Na twarz powróciły ci rumieńce. Odzyskałaś ochotę na seks. Po raz

pierwszy od wieków sypiasz w nocy. Stwierdziłaś, że warto żyć. Pytanie tylko, czy prawo wystarczająco cię wyssało, byś je skreśliła z tej swojej listy.

Przeszła przez małą kuchnię i zatrzymała się koło okna. Promienie słoneczne padały ukośnie między sosnami. Dlaczego nie potrafiła zwyczajnie cieszyć się tym wszystkim i zapomnieć o reszcie? Podeszła do Johna i położyła mu dłonie na ramionach.

- Słuchaj, wcale nie zmieniam raz podjętej decyzji. Chcę tu zostać. Chcę znowu czuć się... jak to powiedzieć... nieskalana. Ale myślę, że powinnam osobiście porozmawiać z Lewisem Bascombe'em.

- Co to za jeden ów Bascombe?

- Jest łącznikiem z Programem. Powiem mu, żeby się bliżej zainteresował, czy przypadkiem nie doszło do jakichś nieprawidłowości i przecieków.

- Nie rozumiem, czemu nie możesz o to poprosić Drumma.

- Bo lepiej go znam niż Willie. Po prostu rzucę to Bascombe'owi na biurko.

- I tylko tyle? - Rhees miał wątpliwości.

- Tak. Jutro pojedę do miasta. Chcesz mi dotrzymać towarzystwa?

- Pod jednym warunkiem. Że wrócimy tutaj na noc.

- Obiecuję.

Otworzyła drzwi kuchenne i spojrzała na sosny. Gdzieś z głębi lasu dobiegło ujadanie kojotów, a potem pisk konającego stworzenia. Małego zwierzątka, zabłąkanego kota, trudno powiedzieć.

Amanda się wzdygnęła.

- Nienawidzę tego.

- Głusza ma swoje minusy - powiedział Rhees.

Skamlanie ustało i znów zapanowała cisza. Wyobraziła sobie uczujące kojoty. Przypomniała sobie Galindeza i przysunęła się do Rheesa.

- Chodźmy do łóżka i zajmijmy się czymś porywającym - zaproponowała.

Rhees zamknął drzwi.

- Właśnie sobie przypomniałem, że zostawiłem wędkę na brzegu rzeki.

- Nie miałam na myśli twojej wędki, John.

Kobieta odczytuje przez brudną szybę zieloną tablicę z nazwą miasta. Tuba City.

Chooba City. Gdzie to jest, u diabła?

Widzi przy drodze bar z migającym neonem. Zatrzymam się tutaj, muszę się gdzieś zatrzymać. Jest wykończona, czuje zmęczenie w kościach, a nawet głębiej - w sercu, a raczej w tym, co z niego zostało. Parkuje samochód za barem, żeby był niewidoczny z głównej drogi. Noc jest ciemna, gorąca i sucha, kobieta czuje się tak, jakby była ofiarą osunięcia się ziemi, zasypana, oślepiąca, walcząca o oddech.

Wchodzi do środka, zajmuje stolik daleko od okna i obserwuje kelnerkę, podchodzącą do niej z bloczkiem. Kelnerka porusza się w prowokujący sposób, jak dawna królowa piękności, może Miss Tuba City z 1964 roku albo coś w tym rodzaju. W lokalu panuje półmrok.

- Kawę.
- Kawa raz. Mamy pyszne ciasteczka, skusi się pani?
- Nie, proszę tylko kawę. Bez śmietanki. Kawa - czarna i mocna. Wie, że musi wstać, wrócić do samochodu i jechać dalej, bo nigdzie nie jest bezpieczna. Patrzy na zegarek, właściwie nie wiadomo po co. Czas się nie liczy, czas nie ma żadnego znaczenia, tylko odległość, odległość jest wszystkim.

Otwiera portmonetkę, widzi zaklejoną kopertę z odręczną notatką w środku. Zastanawia się, czy jej pismo jest czytelne, czy nie zrobiła błędów ortograficznych. Nie ma adresu domowego, tylko biurowy. Jeśli list trafi do biura, przekażą go dalej. A jeśli tego nie zrobią?

Jest kawa. Pije ją, bębni palcami w stół, wygląda przez okno, widzi samochody mijające bar, samochody wynurzające się z ciemności gorącej nocy, by za chwilę znów w niej zniknąć, samochody zmierzające wszędzie i donikąd. Bierze serwetkę z pojemnika na stole i mnie ją w dłoni. Musisz się ruszyć, jechać dalej, bo nie wiesz, co jest za tobą. Jedyne, co wiesz, to, że w tej ciemności są tamci faceci, i to coraz bliżej. To jedyne, czego możesz być pewna.

Tamci faceci.

Serwetka wpada jej do kawy, wyciąga ją. Jest mokra i brązowa, kobieta ją zgniata. Nie ma popielniczki, więc rzuca ją na podłogę, ale teraz ma mokrą rękę i musi wziąć drugą serwetkę, żeby wytrzeć dłoni. Ile z tym zamieszania, wszystkie serwetki wysuwają się z pojemnika. Czuje, jak jej puszczają nerwy.

Przyciska palce do oczu. Jest śpiąca, powinna się położyć i zdrzemnąć. Ile czasu upłynęło, odkąd leżała w jakimś motelu na tamtym wąskim, żelaznym łóżku w wilgotnym pokoju z zepsutym klimatyzatorem? Ręka jej drży. Ciekawa jest, czy ktoś to zauważył, ale nikt na nią nie patrzy. W takich przydrożnych lokalach nikogo nic nie obchodzi, nigdzie nikogo nic nie obchodzi, wszędzie jest tak samo, bez względu na to, gdzie się trafi.

Kończy kawę, wstaje, idzie do toalety, myje twarz, starając się nie patrzeć w lustro. Nie chce zobaczyć w nim swojego odbicia: obrazu nędzy i rozpacz. W toalecie pachnie wrzosem albo bzem, nie potrafi powiedzieć. Zresztą to i tak wszystko chemia, rozpylona z aerozolu. Wraca na salę.

- Jest tu telefon? - pyta.

Kelnerka wskazuje żółtym ołówkiem drugi koniec sali.

- Dziękuję - mówi.

Idzie między stolikami do automatu telefonicznego, zamyka za sobą drzwi, wyciąga monety z portmonetki. Do tego wszystkiego jeszcze kończą się jej pieniądze. Podnosi słuchawkę, coś się rozlega w jej głowie, jakby echo, jakby duch szepejący pod czaszką. To dlatego, że jest śpiąca, długo tak nie pociągnie. Będzie miała halucynacje, zwiady. Będzie śniła, chociaż nie będzie spała.

Widzi błyski światła w ciemności. Odsuwa to wspomnienie na bok, ale ono natychmiast znów powraca. Jak może się nagle zmienić noc i temperatura spaść do zera?

Wrzuca monety. Jaki to numer, przypomnij sobie: 6035 i co dalej? Naciska guziki i zamyka oczy. Żeby tylko odebrała, żeby tylko odebrała...

Telefon dzwoni i dzwoni. Wyobraża sobie pusty dom, dzwoni telefon, ale nikt tego nie słyszy.

Dobra, spróbuje pod ten drugi numer. Odbiera ten sam facet co poprzednio.

- Czy to pani wczoraj dzwoniła? - pyta.

- Dzwonię z Chooba City - mówi i zastanawia się, dlaczego o tym powiedziała. Gapiostwo, zachowuje się jak w transie, strach odbiera jej rozum.

- Proszę posłuchać, dam pani numer, pod którym...

Odwiesza słuchawkę, rozlega się brzęk. Mężczyzna... nie wie, co to za jeden, to może być każdy. Jeszcze jedna pułapka, w którą wpadniesz. Płacze, czuje w gardle słone łzy. Płacze z twarzą przyciśniętą do telefonu.

List. Otwiera portmonetkę i podchodzi do kelnerki, wręcza jej zmiętą kopertę.

- Czy może to pani wysłać? Proszę to zrobić dla mnie.

- Nie ma znacząca, kochana - mówi kelnerka.

Wcisła parę ćwierćdolarówek w rękę kelnerki i pośpiesznie opuszcza bar. Wciąż płacze, kiedy biegnie na parking, otwiera samochód i siada za kierownicą. W środku czuć zapach zatłuszczonego papieru, w jakim sprzedają frytki.

Jedź, jedź dalej, nie myśl. Uwierz, że może jesteś na wakacjach, jesteś kobietą podróżującą sobie tu i tam, jakąś beztroską rozwódką. Przekręca kluczyk w stacyjce. Jak daleko są tamci? - zastanawia się. Jak daleko?

Miasto w oddali miało w popołudniowym słońcu kolor zmatowiałego centa. Po obu stronach autostrady spieczone, brunatne wzgórza drgały w rozgrzanym powietrzu. Amanda otworzyła szyberdach w volkswagenie i ciepły wietrzyk rozwiął jej włosy.

- Bascombe powiedział, że spotka się ze mną o trzeciej. Chciałabym też, zanim wyruszymy w drogę powrotną, wstąpić na chwilę do domu. Muszę wziąć kilka książek.

- Jakich książek?

- Biografię Lincolna, którą zaczęłam czytać, zanim wyjechaliśmy w góry. I sagę, dotarłam do jej połowy. Miło poczytać coś innego niż streszczenia spraw.

Rhees przyjrzał się uważnie drodze i powiedział:

- Może powinniśmy odwiedzić twego ojca.

- Czemu nie? Lubi cię. Uważa, że wywierasz na mnie zbawieniny wpływ.

- Bardzo mi odpowiadają jego poglądy - powiedział Rhees.

Amanda trzymała rękę na oparciu fotela kierowcy. Przez jakiś czas obserwowała twarz Rheesa, zarys jego brody, mądre szare oczy. Z jego rysów biła solidność. On nigdy nie zawiedzie, nigdy nie zdradzi. Czowała się przy nim bezpieczna.

Autostrada przecinała miasto przez środek. Z lewej strony lśniły wieżowce centrum, wzniesione z betonu i stali. Z prawej, pogrążone w fioletowym cieniu, rudery i baraki oraz pranie, wiszące nieruchomo na sznurach. Dalej ciągnęły się przedmieścia, ginące w lekkiej niczym gaza mgiełce.

- Moglibyśmy przez okrągły rok mieszkać w domku - powiedział Rhees. - Bez trudu mógłbym upchnąć wszystkie zajęcia w dwa dni w tygodniu, gdybym się podliział dziekanowi wydziału.

Amanda spojrzała na niego. Mówił całkiem serio. Przeprowadzka na stałe do domku. Wspomniał o tym już wcześniej.

- A co ja bym tam robiła przez całe dni? - spytała.

- Czytałabyś, nauczyłabyś się łapać ryby. Kupilibyśmy śnieżny skuter i mogłabyś śmigać po okolicach.

- Pomyślę o tym.

Prawdę mówiąc, nie zastanawiała się jeszcze nad swoją przyszłością. Po raz pierwszy od lat dysponowała wolnym czasem. Budziła się rano ze świadomością, że nie ma dwustu spotkań z policjantami i nie czekają ją stresujące wystąpienia w sądzie. Rozkoszowała się wolnością, ale podejrzewała, że taki stan nie może trwać wiecznie. Odkąd sięgała pamięcią, ciężko pracowała - studia prawnicze, dwa lata w firmie, gdzie przekładała z miejsca na miejsce dokumenty spółek, trzy lata w biurze prokuratora okręgowego w południowej Kalifornii, kolejne dwa w północnej Arizonie, potem osiem lat w Phoenix, z których ostatnie trzy na stanowisku prokuratora w wydziale kryminalnym stanowego Ministerstwa Sprawiedliwości. Jej życiorys zawodowy był bardzo bogaty.

- Prawdopodobnie gnębiłyby mnie wyrzuty sumienia, gdybym nic nie robiła - powiedziała. - Zresztą, nie jestem pewna, czy by mi odpowiadało pozostawanie na twoim utrzymaniu, kiedy mi się skończy oszczędności. Czułabym się jak utrzymanka.

- Utrzymańka. To słowo zawiera podtekst seksualny. - Rhees uśmiechnął się i skręcił do centrum. Udało mu się zaparkować samochód parę przecznic od budynku władz federalnych.

Nagle sobie przypomniała, że ostatniej nocy przyśnił jej się Galindez, jego ciało unosiło się na czarnej wodzie, zwierzęta pożywiały się nim. Wolałaby, żeby jego zwłoki wyrzuciła jakaś inna rzeka w jakimś stanie dwa tysiące kilometrów stąd. Żałowała, że razem z Rheesem nie była na Hawajach albo Fidzi, kiedy pojawił się Willie Drumm. Marzenia, marzenia, marzenia...

A teraz znów znalazła się w mieście, gdzie tak wiele rzeczy przypominało jej o pracy, z której zrezygnowała, pracy, która wycisnęła ją jak cytrynę.

Prawo wysysa z człowieka wszystkie soki, pomyślała. Nie miała racji, kiedy to powiedziała. To sposób, w jaki manipulowano prawem, zmęczył ją i rozczarował, ohyda pertraktacji z obrońcami, przypominających sposób, w jaki informatorzy upominają się o postawienie im butelki coli, brak jakiegokolwiek moralnego wytłumaczenia usprawiedliwiającego nieudolność maszyny wymiaru sprawiedliwości. Moralność jest niemodna, nawet traktowana z kpinią. Żeby uzyskać wyrok skazujący, trzeba spać z wrogiem. Trzeba się zgadzać na rozmaite układy, od niektórych aż się człowiekowi skręcają wnętrzności, inne niczym kwas wypalają serce - jak to, do czego się zobowiązała wobec Reubena Galindeza. Rube, powiedz mi wszystko, co wiesz o Sanchezie, a w zamian otrzymasz nowe życie. Nieumyślne zabójstwo? Gwałt? Nielegalny handel bronią, zakazany przez prawo federalne? Nie ma problemu. Zeznaj przeciwko Sanchezowi, a otrzymasz nową tożsamość i dom w odległym stanie, i dosyć pieniędzy, by ustawić się w życiu. Zapraszamy do Federalnego Programu Ochrony Świadków, panie Galindez.

Otworzyła drzwi, ale nie wysiadła.

- Czasami aż nie mogę uwierzyć, kiedy sobie przypomnę, jaka byłam naiwna - powiedziała. W jej głosie dało się wyczuć nutkę smutku. - Kiedyś wierzyłam, że prawo odznacza się swego rodzaju czystością, ale każdy gówniany układ, który się zawiera, zaciemnia obraz i osłabia wiarę. W końcu człowiek staje się cynikiem.

Rhees milczał przez jakiś czas.

- Jesteś całkiem pewna, że chcesz się zobaczyć z tym Bascombe'em?

- To nic wielkiego. Wpadnę i wypadnę. To potrwa chwilę.

- Poszukam jakiegoś baru i napiję się piwa - powiedział Rhees.

- Spotkamy się tu za pół godziny.

Pocałował ją. Gwizdnęła za nim, kiedy odszedł kilka kroków. Odwrócił się i uśmiechnął. Miał na sobie beżową płócienną marynarkę i czarne dżinsy, był lekko opalony. Wyglądał niezwykle przystojnie. Sześć lat, a serce nadal jej mocno biło na jego widok.

- Uważaj na siebie! - zawołała do niego.

Ruszyła w kierunku gmachu władz federalnych. Przeszła przez bramkę do wykrywania metali, minęła uzbrojonych strażników i skierowała się ku windom.

- Jeszcze nie dotarł do mnie raport policji - powiedział Lewis Bascombe.

- Drumm i tak nie przekazałby go bezpośrednio tobie - wyjaśniła Amanda. - Trafiłby do Kellowaya. Dostałbyś go drogą służbową.

Bascombe stukał w blat biurka długopisem opatrzonym sloganem reklamowym sklepu całodobowego. Światło słoneczne wpadało cienkimi wiązkami przez opuszczone żaluzje. Ściany gabinetu były gołe, jeśli nie liczyć zdjęcia przedstawiającego Bascombe'a, któremu ścisnął dłoń eks-prezydent Bush.

Bascombe był niepozornym mężczyzną z tupecikiem mysiego koloru.

- Zgodnie z regulaminem muszę mieć kopię raportu policji, Amando. Muszę otrzymać potwierdzenie na piśmie.

- Potwierdzenie? Czego? To z całą pewnością były zwłoki Galindeza i z całą pewnością został zastrzelony. O co chodzi, Lew?

- Muszę otrzymać oficjalny raport.

- Lew - powiedziała Amanda - czy nie możemy tym razem obejść regulaminu? Jeśli istnieje chociażby najmniejsze prawdopodobieństwo przecieków, nie możesz siedzieć na dupie i spokojnie czekać na raport.

- Nie kwestionuję, że to był Galindez, i nie będę oplakiwał jego śmierci, ale postaw się na moim miejscu.

- Spędziłam najlepsze lata swego życia, naginając prawo, żeby móc je wykorzystywać. Jeśli jakiś przepis nie pasował, musiałam go odpowiednio zinterpretować, a jeśli to nie wystarczyło, musiałam tak kombinować, żeby wszystko zagrało. Jedno wiem o regulaminach: można je obchodzić. - Zaczynała tracić cierpliwość. - Jedyne, o co cię proszę, to żebyś natychmiast powiadomił odpowiednie czynniki, Lew.

- Amando, nie masz już statusu urzędnika państwowego.

- To potraktuj mnie jak zaniepokojonego obywatela, jeśli to ci ułatwi sprawę.

Bascombe zdawał się rozważać to, co usłyszał. Amanda nie potrafiła wywnioskować z jego twarzy, co się z nim dzieje w środku. Może nic tam nie było. Może to tylko pusta powłoka cielesna, marna peruka i plamy potu na rękawach koszuli. Był łącznikiem między Policją Sądową Stanów Zjednoczonych a Ministerstwem Sprawiedliwości w sprawach dotyczących Federalnego Programu Ochrony Świadców, co znaczyło, że pracował na sekretnym zapleczu, w instytucji owianej mgiełką tajemnicy. Może taka nieprzenikniona twarz była warunkiem wstępnym zatrudnienia na takim stanowisku.

- Lew, Galindez został objęty Programem Ochrony Świadców. Znalaziono go martwego tam, gdzie go w ogóle nie powinno być, więc to chyba normalne, że się zaniepokoiłam. Jeśli Program nie funkcjonuje prawidłowo, powinniśmy o tym wiedzieć.

Bascombe dalej stukał długopisem w biurko.

- Przypuszczam, że wzięłaś pod uwagę możliwość, że Galindez z własnej woli zrezygnował z ochrony, jaką mu zapewniał Program?

- Naturalnie, że tak pomyślałam, ale nie ryzykuję, kiedy w grę wchodzi ludzkie życie. A ty?

- Pracuję po omacku, Amando. Moim obowiązkiem jest zagwarantowanie bezpieczeństwa świadkom, zanim złożą zeznania i w trakcie ich składania. Potem nie wiem, co się z nimi dzieje, i nie chcę tego wiedzieć. Trafiają pod opiekę sądu, a następnie znikają zgodnie z rozdziałem osiemnastym „Przestępstwa i procedura karna”, paragraf 3521 „Ochrona i przesiedlanie świadków”. Im mniej wiem, tym lepiej dla mnie i bezpieczeństwa w ogóle.

- Lew, nie musisz mi mydlić oczu paragrafami.

Bascombe zaczął toczyć długopis po blacie biurka. Miał serdelkowate palce. Amanda przez chwilę przyglądała się zdjęciu na ścianie. Prezydent Bush uśmiechał się jak ktoś, kto stara się za wszelką cenę obstawać przy swoim podczas przedłużającej się obstrukcji parlamentarnej.

Amanda westchnęła.

- Chcę jedynie, żebyś się skontaktował z ludźmi z Programu i powiedział im o Galindezie. Proszę tylko o drobną przysługę, nic więcej. A jeśli nie chcesz tego zrobić, jeśli nie możesz tego zrobić, daj mi nazwisko osoby, do której mogę się zwrócić.

- Nazwisko? - Bascombe pokręcił głową, jakby prośba Amandy była zbyt nedorzeczna, by ją w ogóle rozważać. - Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, szybko ci minie entuzjazm, Amando. Odupuć to sobie.

- Potraktuję to jak chorobę zawodową.

- Jak na osobkę bez apetytu wydajesz się dość napalona.

- Nie podoba mi się myśl o istnieniu przecieków, Lew.

Bascombe wolno pokiwał głową. Była pewna ociężałość w tym ruchu. Z natężeniem wpatrywał się w napis na długopisie.

- Dobra. Dziś przekażę informację o Galindezie, ale moim zdaniem okaże się, że głupio postanowił wrócić do swych starych kumpi i jeden z nich wykonał *coup de grâce*. Kryminaliści mają siano zamiast mózgu, jak sama dobrze wiesz, Amando.

- Dziękuję - powiedziała Amanda.
- I jeśli dotrze do mnie coś, o czym powinnaś wiedzieć, skontaktuj się z tobą - obiecał Bascombe.

Amanda dała mu numer telefonu do domku. Bascombe zapisał go na skrawku papieru, który następnie wrzucił do szuflady.

- Jeszcze coś? - spytał.

Zawahała się, ale po chwili pokręciła głową. Nic, pomyślała, jedynie nieuchwytny, niewyraźny niepokój gdzieś w głębi duszy. Zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Podniosła się z krzesła.

- Kiedy się spotkałeś z Bushem? - spytała.
- Jakies dziewięć lat temu.
- Sympatyczny?
- Zwyczajny facet - powiedział Bascombe. - Ale nie głosowałem na niego.
- Dlaczego?
- Bo nigdy nie głosuję i kropka - odparł.
- To postawa aspołeczna, Lew.
- Możesz w to nie wierzyć, ale w głębi duszy mam w sobie coś z buntownika i czasem bierze to górę - powiedział Bascombe.
- Jesteś tajemniczym człowiekiem. Zaskakujesz mnie, Lew.

Anthony Dansk akurat słuchał wieczornej mszy, kiedy w kieszeni zabrzączał mu telefon komórkowy. Natychmiast go wyłączył, ale nie na tyle szybko, by niektórzy wierni nie odwrócili się, by na niego spojrzeć. Ksiądz też coś usłyszał, zmarszczył czoło i powiódł wzrokiem po twarzach obecnych.

Dansk wyszedł z ławki i ruszył środkiem nawy. W kruchcie naciśnął guzik aparatu i powiedział:

- Nie mogę teraz rozmawiać, McTell. Oddzwonię do ciebie.

Rozłączył się i spojrzał na ogłoszenia przyczepione do tablicy. Gorące linie dla alkoholików i niedoszłych samobójców, grupy wspomagające maltretowane żony, plan zajęć dla dzieci w wieku przedszkolnym. Dostrzegł też kurz na gzymsach, a pod ramieniem Chrystusa starą pajęczynę z zasuszoną muchą.

Schował telefon do kieszeni, wrócił do kościoła i cicho usiadł na ławce w pobliżu wejścia. Świątynie wywierały na nim duże wrażenie: lubił majestat i tajemniczość. Matka mawiała, że jest pyłkiem w promieniu Jezusowego światła. Przez lata uważał się za pyłek unoszący się w powietrzu, który tylko dzięki Chrystusowi nie upada na ziemię. Ludzie wierzą w dziwne rzeczy.

Przyglądał się księdzu, jego różowej czaszce, błyszczącej w przy-
śmienionym świetle. Dansk zadumał się nad problemem ślubów czysto-
ści, jak to jest nie bzykać się. Nieprawdopodobne. Przecież mężczyzna
nie rozstaje się ze swoim instrumentem, a może niektórzy wolą chłop-
ców z chóru i zadowala ich gmeranie pod sutanną w zaciszu zakrystii.

Po skończonej mszy Dansk wyszedł i przystanął na chodniku. Z
kościółka zaczęli się wysypywać wierni. Porządni ludzie: wyfiokowa-
ne kobiety, mężczyźni w garniturach. Mieli domy, do których mogli
wracać, dzieci, którymi się mogli zająć.

Na schodach pojawił się ksiądz i spojrzał na niego.

- Z wizytą? - spytał duchowny.
- Można tak powiedzieć - odparł Dansk.
- Pańska twarz wydała mi się nowa.
- Nowa? Ma trzydzieści pięć lat.
- Słucham?
- Żartowałem. Powiedział ksiądz „nowa”.
- Ach, tak. Proszę mi wybaczyć.
- Ja mam wybaczyć księdzu? Czy nie powinno być raczej na
odwrot?

Tym razem ksiądz się roześmiał, ale był wyraźnie skrępowany.
Dansk często wzbudzał u innych niepokój. Już dawno odkrył w sobie
tę cechę. Napotykanii ludzie często doznawali uczucia niejasnego
lęku, jakby domyślali się w nim istnienia jakiegoś mrocznego jądra.
Jakby odbierali wibracje, które lekko wytrącały ich z równowagi.
Uznał to za coś w rodzaju władzy, jaką sprawował nad innymi. Do-
tknął scyzoryka, który miał w kieszeni.

- Przyjemne nabożeństwo - zauważył.
- Mamy tutaj sympatycznych ludzi - powiedział ksiądz. - Jestem
ojciec Hannon. Brian Hannon.
- Anthony Dansk.
- Przyjechał pan do nas na dłużej?
- Zależy, jak się ułożą interesy.

- Aha. Trudni się pan handlem.
- Zgadza się.
- Cóż, jeśli zechcesz znów się z nami pomodlić, Anthony, wiesz, gdzie nas szukać. Tylko następnym razem nie zapomnij wyłączyć telefonu. - Ksiądz odszedł, by zamienić kilka słów ze swoimi parafianami.

Dansk doszedł do najbliższej przecznicy, gdzie zaparkował wypożyczony samochód. Usiadł za kierownicą, wyjął telefon i nacisnął guzik, by się połączyć z McTellem.

- Dobra - rzucił do słuchawki. - Mów.
- Trafiliśmy na jej ślad.
- Jeśli mnie pamięć nie myli, już wcześniej trafiliście na jej ślad - zauważył Dansk.
- Tym razem to co innego.
- Wtedy też tak mówiłeś - zwrócił uwagę.
- Wiem, wiem. Ale tym razem przysięgam.
- Na co przysięgasz, McTell?
- Jakies czterdzieści pięć minut temu tankowała przy Thunderbird.
- Przy Thunderbird. Co to takiego?
- Nazwa ulicy. Facet ze stacji benzynowej powiedział, że była rozklejona. Pieniądze leciały jej z rąk, płakała, dygotała, mówiła do siebie. Wziął ją za świrniętą.
- No i?
- Pasquale nie spuszcza z niej oka.
- Nawet teraz, kiedy rozmawiamy?
- Tak - zapewnił McTell.

Dansk się zastanowił.

- McTell, nie chcę, żebyś znów mnie niepokoił, by powtórzyć swoją dawną śpiewkę. Nie dzwoń do mnie, póki nie będziesz mi mógł zaśpiewać kołysanki.

Dansk się rozłączył. Obserwował przez szybę, jak ksiądz Hannon ściska dłonie swym owieczkom. Dansk wyobraził sobie białe domki na przedmieściach, poranne gazety na progach, ciasto w piekarnikach, roześmiane dzieci na podwórkach. Jego życie składało się z hoteli, niekończących się szos, knajp, otwartych okrągłą dobę, i samotnych, szalonych nieznajomych.

Przekręcił lusterko wsteczne i spojrzął na siebie: gęste, rude włosy, zielone oczy, usta niemal jak u cherubinka, jasna cera. Trzydzieści pięć lat. Można go było wziąć za dwudziestolatka. Chłopięca buzia.

Odkręcił lusterko, wsunął telefon do skrytki i zamknął ją. Wrócił do hotelu w centrum miasta i zaczekał na kolejny telefon McTella.

Spojrzął przez ulicę na księdza. Handel, dobre sobie. Co ty wiesz, ojczu - pomyślał. Na pewno sobie wyobrażasz komputery, polisy ubezpieczeniowe albo zaopatrzenie hoteli.

Mylisz się. Mój handel to ciemność bez końca.

Morgan Scholes wylewnie uściskał dłoń Rheesa, a potem czule objął Amandę. Miał gęste, siwe, krótko ostrzyżone włosy. Pachniał old spice'em, którego zapach Amanda zawsze uważała za podnoszący na duchu.

- Powtarzam ci, Mandy, wyjdź za tego mężczyznę - powiedział Morgan Scholes. - Jeśli tego nie zrobisz, pewnego dnia odejdziesz.

- Nie mam zamiaru nigdzie odchodzić, Morgan - oświadczył Rhees.

- Rozmawialiśmy już o małżeństwie, tato - wyjaśniła Amanda. - To temat, do którego podchodzimy bardzo ostrożnie.

- Bzdura - odparł starszy pan. - To ocean, do którego trzeba się rzucić głową naprzód i pozwolić się porwać prądowi. Czy nie za późno, by się czegoś napić?

- Istnieje teoria, że w każdej chwili w jakimś punkcie globu jest akurat pora koktajlowa - powiedział Rhees.

- Widzisz, Mandy? Podoba mi się ten facet. - Morgan Scholes klepnął Rheesa w ramię. - Pierwszy sympatyczny gość, jakiego zaprosiłaś do domu. W przeciwieństwie do tych kretynów, z którymi się dawniej zadawałaś, tych karierowiczów z jednym okiem utkwionym w przenośny telefon, a drugim w mój portfel. Potrafię takich wyczuć na kilometr.

- Wolnego, nie wszyscy z nich byli łowcami posagów - sprzeciwiła się Amanda.

Morgan Scholes prychnął pogardliwie.

- Byli bez jaj. Wystarczyło raz na nich spojrzeć.

Nie widziała sensu kontynuowania dyskusji o jej dawnych przyjaciółkach i postanowiła nie ciągnąć tego tematu. Już dawno stwierdziła, że im dłużej Morgan w coś wierzył, tym bardziej był niezachwiany w swych przekonaniach. Poza tym wiedziała, że Rhees nie lubi rozmów o jej byłych kochankach, nawet jeśli dla niej przestali cokolwiek znaczyć. Czasami odznaczał się rozczulającym brakiem poczucia bezpieczeństwa.

Ruszyła za Morganem do domu, który, przecząc istnieniu prawa ciężenia, przyczepiony był do stoku góry. Składał się z trzech skrzydeł, wzniesionych wokół wewnętrznego dziedzińca z fontanną, ozdobioną posągami syreny. Były tu łukowo sklepione pasaży i dużo otwartej przestrzeni. W salonie, którego podłoga obniżała się w stosunku do innych pomieszczeń, okna witrażowe filtrowały światło późnopołudniowego słońca, zmieniając jego barwę. Na ścianach wisiały tradycyjne dzieła sztuki z Zachodu: przedstawiały kowbojów w błyszczących, nawoskowanych kurtkach, wóz z prowiantem obok płonącego ogniska.

- Może być dzin z tonikiem?

Starszy pan, ubrany w szare spodnie i jasnobieżową koszulę, przygotował drinki. Podał je wszystkim, a potem usiadł obok Amandy i powiedział:

- Ślicznie wyglądasz w białym. Jak aniołek.

- Och, tato, ty stary komplementarzu.

- To wcale nie komplement. Nigdy w życiu nie okłamałem kobiety. Taką mam zasadę. Złamałem ją tylko raz, kiedy twoja matka spytała mnie bez ogródek, czy jej choroba jest nieuleczalna. Powiedziałem, że nie, że odzyska zdrowie. Trzy tygodnie później zmarła.

- Usprawiedliwione kłamstwo - wtrącił Rhees.

- Nie mówi się ukochanej kobiecie, patrząc jej prosto w oczy, że umiera na raka.

Amanda spróbowała swojego drinka. Jedyne wspomnienie matki, jakie zachowała, to jej głos, miękki i łagodny. Zmarła, kiedy Amanda miała trzy latka. Potem nastąpiła seria „towarzyszek”, które szybko się zmieniały, ponieważ nie dorównywały zmarłej. Zresztą Morgana i tak bardziej pochłaniał bezwzględny świat interesów niż subtelności związków międzyludzkich. Dorobił się fortuny, wprowadzając kartki z życzeniami z reprodukcjami wielkich dzieł sztuki. Zwielokrotnił majątek na handlu nieruchomościami w czasach, kiedy jednego dnia można było kupić ziemię, a następnego sprzedać ją ze znacznym zyskiem.

- To było cholernie udane małżeństwo - stwierdził starszy pan.

- Miałaś szczęście - powiedział Rhees.

- Owszem. Kiedyś się zastanawiałem, czy się nie ożenić po wtórnie, mieć więcej dzieci. A potem mówiłem sobie: spokojnie, prawdopodobnie wykorzystałaś cały przysługujący ci limit szczęścia z matką Amandy. Zostaniecie na obiedzie?

- Tym razem nie - odrzekła Amanda. - Chcemy wrócić, zanim się zrobi zbyt późno.

- Ten domek coraz bardziej ci się podoba - zauważył Scholes. - Moim zdaniem mądrze zrobiłaś, rzucając tę pracę, Mandy. Kiedy ci się nie podoba to, co robisz, skończ z tym. Zajmij się czymś innym. Jesteś jeszcze młoda.

- Stosunkowo.

Morgan Scholes machnął lekceważąco ręką.

- Masz czterdzieści dwa lata.

- Czterdzieści trzy.

- Niech będzie czterdzieści trzy. Co to jest? Mam rację, John?

- Całkowitą - poparł go Rhees.

- A kiedy ci się zacznie nudzić, zapisz się na jakieś kursy, poznaj coś nowego - możesz studiować ekonomię, handel. Coś praktycznego. Nie twierdzą, że masz problemy finansowe.

- Zostało mi trochę oszczędności - powiedziała Amanda.
- Daj spokój, to grosze. Mam na myśli to, co odziedziczysz. Kiedy przeniosę się na tamten świat, zostaniesz bardzo bogatą kobietą.
- Nie mówmy o przenoszeniu się na tamten świat - poprosiła Amanda.

- Amando, nie ma nic złego w dziedziczeniu pieniędzy. Co chcesz, żebym z nimi zrobił? Zostawił jakiejś instytucji dobroczynnej? Nie rozumiem, dlaczego jesteś w tych sprawach tak cholernie uparta i zasadnicza. Na miłość boską, przecież uczciwie je zarobiłem.

Problem spadku, który Morgan poruszał przy każdej nadarżającej się okazji, krępował ją. W pewnym momencie swego życia doszła do wniosku, że to niesprawiedliwe dziedziczyć pieniądze, wdzięczając to tylko faktowi narodzin w takiej, a nie innej rodzinie. Kiedy studiowała prawo w Los Angeles, pracowała wieczorami i w weekendy jako barmanka w hotelu w Brentwood, nie godząc się na przyjęcie uporczywie ponawianych propozycji ojca, że opłaci jej czesne i da pieniądze na utrzymanie. Wynikało to z faktu, że chciała być sobą, a nie córką bogatego tatusia.

Nie chciała pieniędzy ojca i nie podobało jej się to, w jaki sposób bogactwo wpłynęło na życie Morgana. Wiecznie zadawał się ze skostniałymi ludźmi, równie majątynymi jak on, z przemysłowcami, osobami wpływowymi, których żony poddawały się operacjom plastycznym i spędzały czas na zakupach lub gromadząc fundusze dla krajów Trzeciego Świata, jakich nie odnalazłyby na mapie, nawet gdyby spróbowały. Bogactwo wywoływało u niektórych rodzaj ślepej ignorancji, zamykało ich w kokonie.

Starszy pan zmienił temat, okazując takt, co mu się rzadko zdarzało.

- Zresztą i tak lepiej trzymać się jak najdalej od sądów. To kpi-ny w tym kraju, chyba że ma się pieniędzy jak lodu. Prawnicy kochają tylko jedno: gromadzić zielone. Sprawiedliwość? A cóż to takiego? John zasługuje, żeby mieć za żonę kogoś lepszego niż prawnika, kiedy się w końcu zdecydujecie.

- Tato, ile razy mam ci powtarzać? Nie przewidujemy wzięcia ślubu.

- Powinna sobie dać zbadać głowę - zwrócił się starszy pan do Rheesa.

Rhees się uśmiechnął i powiedział:

- Nie wydaje mi się, żeby Amanda miała coś nie w porządku z głową, Morgan.

- John, zawsze bierzesz jej stronę. Nie zachęcaj jej. Chcę doczekać chwili, kiedy razem przejdziecie główną nawą kościoła, szczęśliwi i rozpromienieni.

Amanda spojrzała na Rheesa znad swego dzinu z tonikiem.

- Nie wie, kiedy przestać, John.

- Wyrj to na moim nagrobku - powiedział starszy pan. Dopił swego drinka i jakiś czas przyglądał się Amandzie, nim zwrócił się do Rheesa.

- Jest uparta i ma silną wolę. Nie mam pojęcia, skąd się to u niej wzięło.

Mrugnął do Rheesa, a potem wstał i roześmiał się.

- Okropny zwyczaj mówić innym, co dla nich dobre, prawda? Ale w moim wieku trudno zmieniać przyzwyczajenia.

- Chcesz dobrze - powiedziała Amanda.

- Ale dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane - zauważył starszy pan. - Jeszcze się napijecie?

- Ja prowadzę - powiedział Rhees.

- Ja dziękuję - rzekła Amanda.

- Znalazłem się w towarzystwie osób o słabych głowach - stwierdził Morgan Scholes i nalał sobie drugiego drinka. Potem spojrział na córkę. - Ach, coś sobie przypomniałem. Jakaś kobieta wydzwania do ciebie, Mandy.

- Tutaj? Kto taki?

- Pierwszy raz zadzwoniła dwa dni temu, wczoraj wieczorem znowu. Powiedziała: „Muszę porozmawiać z Amandą. Jestem w Tuba City”.

- W Tuba City?

- Tak powiedziała. Mówię jej, że cię nie ma, ale zanim jej zdążyłem podać numer do domku, rozłączyła się.

- Nie zostawiła nazwiska?

Scholes pokręcił głową.

- Nie.

- Opisz jej głos.

- Mówiła szeptem. Z obcym akcentem. Sprawiała wrażenie mocno zdenerwowanej, a potem odłożyła słuchawkę, jakby się bała, że ktoś ją podsłuchuje, albo jakby się bardzo spieszyła. Znasz kogoś w Tuba City?

Amanda spojrzała na swój kieliszek. Bąbelki gazu pękały na powierzchni drinka. Dzwoni kobieta i natychmiast odkłada słuchawkę. Co to mogło znaczyć? Miała absolutną pustkę w głowie.

Spojrzała na Rheesa, który przyglądał jej się w zamyśleniu. Zobaczyła światło zachodzącego słońca, wpadające przez jasnoniebieskie szybki witraży.

- Tato, dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie i mi o tym nie powiedziałeś? - spytała.

- Byłem zajęty - powiedział Morgan Scholes. - Kto to taki?

Dokończyła swego drinka.

- Nie mam pojęcia - odparła.

- Zachodzę w głowę, któż to mógł dzwonić - powiedziała Amanda, kiedy już byli w samochodzie. - Nie znam nikogo w tamtej części stanu. - Zapaliła papierosa i zbyt pośpiesznie zaciągnęła się dymem. Morgan użył określenia „mocno zdenerwowana”. Muszę porozmawiać z Amandą. Mocno zdenerwowana, Tuba City. Obcy akcent. Wołała o tym nie myśleć.

Zachmurzyła się. Ujrzała ten sam sygnał, który wyrzuciła z głowy, rozmawiając z Williem Drummem o Galindezie, poczuła ten sam dreszczyk niepokoju, który ją przebiegł w gabinecie Bascombe'a. Zamknęła oczy. Tuba City, gdzieś na końcu świata. Wyobraziła sobie bezkresny, spalony słońcem krajobraz, głos, biegnący przewodami telefonicznymi, Galindeza, wyrzuconego na brzeg przez wody rzeki.

- Dlaczego zadzwoniła do ciebie pod numer ojca? - spytał Rhees.

- Może najpierw wykręciła nasz numer domowy, a kiedy nikt nie odbierał, znalazła w książce telefonicznej numer Morgana. Nie wiem.

Rhees jechał w kierunku Scottsdale. Po słońcu pozostało jedynie kilka smug koloru krwi. W centrum Scottsdale światła stały na każdym skrzyżowaniu, wszystkie zdawały się czerwone. Rhees skręcił z

główniej ulicy w lewo. Jechał, aż dotarł do ślepej uliczki, gdzie znajdował się dom, który dzielił z Amandą. Zaparkował na podjeździe. Amanda poszła przodem, otworzyła drzwi i zapaliła światło.

W środku panował zaduch. Wyjechali niespełna cztery tygodnie temu, a jednak czuła się tu jak intruz. Przeszła do salonu, Rhees podążył za nią. Więcej światła. Rozejrzała się po pokoju. Ich dobytek - książki, telewizor, meble - charakteryzowała ta obcość, której człowiek czasem doświadcza po powrocie do domu z wakacji. Wymiary domu zdawały się nie takie, sufity za wysoko, okna za duże.

- Dziwnie tu - zauważył Rhees.

- Czujesz to?

- Tak.

- Zupełnie jakby to nie był nasz dom - powiedziała Amanda. - Wyobrażam sobie, że gdybyśmy wyszli do ogrodu, zastalibyśmy tam nasze sobowtóry wyłaniające się z ogromnych kokonów.

Podszła do automatycznej sekretarki, a potem sobie przypomniała, że ją przed wyjazdem wyłączyła, co stanowiło akt rozmyślnego zerwania z przeszłością. „Niepotrzebna mi automatyczna sekretarka i nie chcę żadnych wiadomości zostawianych dla mnie”.

- Myślisz, że owa tajemnicza kobieta zadzwoni? - spytał Rhees.

- Niewykluczone.

- Mam ochotę na drinka. A ty?

- Chętnie się napiję.

Rhees poszedł do kuchni. Amanda słyszała, jak szuka lodu w lodówce. Usiadła na kanapie, spojrzała na reprodukcje Adamsa na ścianach, chłodne czarno-białe formacje skalne. Przedmioty, wcześniej tak znajome, zostały odarte z dawnej bliskości. Nawet oprawione w ramki wycinki z gazet i magazynów ilustrowanych, opisujące niektóre sprawy prowadzone przez Amandę, dotyczyły kogoś innego, a nie jej. Zupełnie jakby ktoś tu przyszedł pod ich nieobecność i usunął wszystko, co było znane. Rhees wrócił z drinkami.

- Zapomnieliśmy opróżnić lodówkę. Wyrosło tam coś obrzydliwego.

- Usiądź przy mnie. - Klepnęła w kanapę. Usiadł i dotknął jej dłoni. Sączyła drinka. Czuła obecność milczącego czarnego aparatu telefonicznego stojącego na stole za jej plecami. Nagle ogarnęło ją dziwne napięcie. Chciała się napić dzinu, by się odprężyć, by poczuć lekkie otępienie.

Gdzieś w oddali dobiegł przenikliwy jęk radiowozu policyjnego. Noc w mieście. Nagłe zgony i wypadki. Przypadkowe postrzelenia. Zatęskniła za lasem.

- Niebawem powinniśmy się zacząć zbierać do powrotu - powiedział Rhees.

Amanda się nie poruszyła. Rhees wstał.

- Może zrobię porządek z lodówką, a ty przez ten czas dokończ drinka, czekając, czy przypadkiem nie zadzwoni telefon.

Wrócił do kuchni. Słyszała odgłosy przestawianych naczyń, słoików i butelek, brzęk szkła o szkło. Tak samo jak ona nie miał ochoty tu siedzieć. Usłyszała, jak powiedział:

- Słodki Jezu, cóż to za obrzydliwa paćka, która kiedyś była marchewką?

Minęło jeszcze piętnaście minut, nim zadzwonił telefon. Amanda natychmiast podniosła słuchawkę i przedstawiła się.

- Manda, od kilku dni próbuję się z tobą skontaktować - powiedziała kobieta. - Bezskutecznie.

Amandzie na moment odebrało mowę. Przebiegł ją dreszcz. Tylko mgliście zdawała sobie sprawę z tego, że w drzwiach kuchni pojawił się Rhees, trzymając w ręku coś, co przypominało zielony kompost. Pochyliła się na kanapie i spytała, starając się nie okazywać niepokoju:

- Gdzie jesteś? Gdzie, u diabła, jesteś?

- Wszystko wzięło w łeb, Manda. Wcale nie jest tak, jak mówiłaś. Jestem w samym środku tego koszmaru, gdzie nie moje miejsce.

- Kobieta płakała, jej słowa się zlewały, wyrzucane jednym tchem.

- Powiedz mi, gdzie jesteś - poprosiła Amanda.

- Boże, gdzie jestem? Jezu, nie wiem.

- Uspokój się.

- Śledzą mnie, Manda.

- Kto?

- Tamci dwaj faceci, śledzą mnie.

Amandzie zdrętwiały palce od ściskania słuchawki.

- Pomogę ci, powiedz tylko, gdzie jesteś.

- Dobra, już mówię. - Jej głos umilkł. Amanda słyszała stuk odkładanej słuchawki, a potem skrzypienie. - Już mówię. Nazywa się to... chwileczkę, spojrzę na napis... Canyon Motel, obok autostrady międzystanowej. Z taką wielką niebieską tablicą.

- Podaj mi numer autostrady.

- Numer autostrady? 17.I-17.

- 17? Jesteś w Arizonie?

- Manda, pomóż mi. Przyjedź i pomóż mi.

- Dzwonisz z budki telefonicznej?

- Tak. Powiedz, że przyjedziesz.

- Zostań tam, gdzie jesteś. Nigdzie się stamtąd nie ruszaj.

Rhees przyglądał jej się z zaintrygowaniem.

- Ile ci to zajmie?

- Nie wiem. Postaram się dotrzeć jak najszybciej.

- Pośpiesz się, na Boga, błagam.

- Czekać na mnie.

Amanda się rozłączyła. Rhees pośpiesznie kartkował książkę telefoniczną.

- Canyon - przeczytał. - To niedaleko Black Canyon City.

Amanda słyszała, jak pulsuje jej krew.

- Nawet gdybym gnała na złamanie karku, zajmie mi to jakieś dwadzieścia pięć minut, pół godziny. Zrób coś dla mnie. Zadzwoń do Williego Drumma i powiedz, żeby się tam ze mną spotkał.

Pobiegła do drzwi, zanim Rhee - zaniepokojony i zaintrygowany - zdołał cokolwiek powiedzieć. Spieszyła się, znalazła się w stanie, kiedy umysł nie pracuje logicznie, a w głowie kłębią się szalone myśli. Posłała Rheesowi całusa i rzuciła:

- Powiedz mu, że to Isabel Sanchez.

Jechała w skupieniu. Miejska zabudowa rzędła, w końcu zniknęły pomarańczowe latarnie, ustępując miejsca nieprzeniknionym ciemnościom pustyni po obu stronach drogi. Próbowwała uporządkować myśli, ułożyć je w logiczny ciąg, ale bez powodzenia. Isabel dzwoni z motelu Canyon przy I-17. Ma kłopoty. Po pierwsze, dlaczego znalazła się akurat tam? I co robiła wcześniej w Tuba City? Skup się! Ale myśli się płaczą, a litery alfabetu straciły wszelki sens. Noc została roztrzaskana na kawałki, które nie pasują do siebie, i Amanda nie może ich ułożyć.

Dalej w ciemność, dalej w pustkę. Nieczytelne drogowskie mi-gają, skupisko żółtych latarni, a potem znów kilometry czerni, mijające ją pojazdy rozplywają się w nicości. Kiedy ujrzała niebieski neon motelu Canyon, uświadomiła sobie, że straciła poczucie czasu i odległości. Skrzyła z autostrady i ostro zahamowała na parkingu. Otworzyła drzwi i wysiadła.

Przed motelem była budka telefoniczna. Nikt z niej nie korzystał, nigdzie ani śladu Isabel. Weszła do biura. W recepcji dyżurował chłopak w bejsbolówce. W środku zastała również Williego Drama w przyciasnej płóciennym marynarce.

- Nie ma jej tutaj - powiedział Drumm. - Odjechała.
- Odjechała?
- Dotarłem tu przed chwilą...

- Rozejrzałeś się po okolicy?

- Amando, dopiero co przyjechałem.

Amanda spojrzała na recepcjonistę.

- Widziałeś ją?

- Jakies dziesięć minut temu z automatu dzwoniła jakaś kobieta - wyjaśnił chłopak. - Mała, wyglądała na Meksykankę. O tę chodzi?

- Dokąd się udała?

- Niezbyt zwracałem na nią uwagę - powiedział wyrostek. Na biurku leżała otwarta gruba książka. „Anatomia” Graya. Amanda rzuciła okiem na rycinę, która mogła przedstawiać przekrój jakiegoś gruczołu.

- W przyszłym miesiącu mam egzamin - wyjaśnił chłopak. - Uczyłem się.

Amanda głośno zamknęła książkę.

- Co, do jasnej cholery, właściwie widziałeś?

Chłopak o drobnej twarzy i bystrym spojrzeniu obrzucił Amandę zirytowanym wzrokiem.

- Ejże! - wykrzyknął. - Nie tym tonem!

- Pytam jeszcze raz. Co widziałeś?

- Ta kobieta weszła, chciała skorzystać z automatu, więc rozmieniłem jej pieniądze. Wzięła drobne i wyszła. Widziałem, jak wchodzi do budki. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

- Co potem?

- Powiedziałem już, nie zwracałem na nią uwagi.

- Kiedy skończyła dzwonić, co zrobiła? Odjechała? Czy chodziła tam i z powrotem? Co widziałeś?

- Usłyszałem warkot silnika. Przypuszczam, że odjechała. Po-tem przez parking przejechał z rykiem motoru drugi samochód.

- Jaki samochód?

- Chyba land cruiser.

- Usłyszałeś go zaraz po tym pierwszym aucie?

- Dosłownie w sekundę później.

- Może przypadkiem wiesz, w jakim kierunku się udały?

Chłopak się zastanowił.

- Nie wydaje mi się, żeby skręciły na autostradę. Odniosłem wrażenie, że pojechały w drugą stronę. Tam. - Wskazał palcem w kierunku pustyni.

Amanda spojrzała na Drumma.

- Weźmiemy twój wóz, Willie.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Drumm podszedł do drzwi i otworzył je. Amanda wyszła pierwsza. Policjant, z prawą nogą sztywną po starej ranie postrzałowej, pokuśtykał za nią.

Amanda była niespokojna. Otworzyła drzwiczki bronco, zajęła miejsce dla pasażera, obserwowała, jak Drumm siada za kierownicą.

- Nie mogła odjechać daleko - powiedziała.

Drumm wycofał wóz, wyjechał z parkingu i skręcił w drogę biegnącą pod kątem do autostrady, nieoświetloną wstęgę asfaltu. Niebieski neon motelu szybko zniknął w mroku. Miasto przemieniło się w odległą żółtawopomarańczową konstelację na niebie. W światłach reflektorów wyłaniały się kaktusy, niektóre podziurawione kulami przez wandalów, którzy zrobili sobie z nich tarcze strzelnicze.

- Powiesz mi, co się stało? - spytał Drumm.

- Zadzwoń do mnie. Znalazła się w tarapatkach. Powiedziała, że śledzą ją jacyś faceci.

- Powiedziała co to za jedni?

- Nie mówiła logicznie.

- Myślisz, że ten drugi wóz ją ścigał?

- Na to wygląda. Była porządnie wystraszona i muszę ją odszukać.

Bronco podskakiwał na wybojach.

- Ale tu doły - poskarżył się Drumm. - Obserwuj swoją stronę, a ja będę obserwował swoją.

- Właśnie to robię.

- Ciemno, choć oko wykol. A jeśli zjechała z drogi? Skierowała się na pustynię?

- Na razie trzymajmy się szosy - zaproponowała Amanda.

- Nie mamy innego wyjścia. Jeśli chcielibyśmy zjechać z drogi, w którą stronę się skierować? Ludzie wciąż jeszcze gubią się na pustyni.

Amanda bębniła w tablicę rozdzielczą. Starła się odprężyć, ale na próżno. Wyobrażała sobie Isabel, drobniutką, gdzieś na tym pustkowiu. Z prawej, z lewej, z przodu, z tyłu. Drumm miał rację. Gdyby zjechali z szosy, zmierzaliby nie wiadomo dokąd.

- Myślałem, że już dawno wyjechała - powiedział Drumm.

- Ja też. - Amanda pochyliła się do przodu, wpatrując w noc, w której ginęły światła reflektorów. - Zatrzymaj się.

Drumm zahamował. Amanda opuściła szybę i wsłuchiwała się w ciszę wielką jak wszechświat.

- Słyszysz coś? - spytał Drumm.

- Nie. Podjedź kawalek dalej.

Dżip ruszył. Droga się zwężała, ustępując pod naporem pustyni. Przejechali z kilometr, dwa, kiedy Amanda znów poprosiła:

- Zatrzymaj się.

Drumm wyłączył silnik. Amanda wyteżyła wzrok, próbując przeniknąć cichą, ciemną noc. Marzyła o racach sygnałowych, wielkich pióropuszcach białego światła, którymi mogłaby rozproszyc mrok. Nasłuchiwała z natężeniem, jak jeszcze nigdy w życiu. Docierała do niej jedynie pustka, cisza i przyspieszony rytm własnego pulsu. Pustynia stanowiła nieprzeniknioną, irytującą zagadkę.

Powiedziała Drummowi, by jechał dalej.

Po kolejnym kilometrze Amanda usłyszała niewyraźne ujadanie psów. Drumm zwolnił.

- Kojoty - powiedział.

- Nie, to psy - poprawiła go Amanda.

- Jestem mieszczuchem - usprawiedliwił się Drumm. - Psy, kojoty to dla mnie jeden czort.

Amanda otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu. Stała na skraju szosy i nasłuchiwała. Psy głośno ujadły i skowyczały. Psy gończe, psy myśliwskie, bardzo podniecone. Nie potrafiła określić,

skąd dobiegało szczekanie, w jakiej odległości mogli się znajdować. Można tu jechać kilometrami, myśląc, że zmierza się prosto do celu, i być w błędzie. Fale akustyczne biegły zygzakami. Występowały zniekształcenia.

Drumm stał obok niej i z ponurą miną wpatrywał się w mrok.

- Co myślisz?
- Może trzeba będzie tam pojechać, Willie.
- Jesteśmy jak para ślepców.
- Nie podoba mi się to ujadanie psów.
- Może jakiś poczciwiec wybrał się na zające.
- W nocy?

Drumm wzruszył ramionami.

- Wszystko możliwe. Chcesz, żebym zjechał z drogi, proszę bardzo. Jeden Bóg wie, jak to się skończy.

Amanda wsiadła do dżipa. Psy mogły być kilometr stąd, pięć kilometrów, dziesięć. Drumm przekręcił kluczyk w stacyjce.

Amanda wysunęła jedną rękę przez okno. Drumm skręcił z asfaltu i ruszył między kaktusami przypominającymi sylwetki ludzi, którzy skamienieli w bezruchu w blasku reflektorów samochodu.

Skręciła nogę w kostce, złamał jej się obcas. Biegnie, potykając się, stara się poruszać jak najciszej, ale głośno chwyta powietrze, bo płuca mało jej nie pękną, a kostka zaczyna puchnąć.

Psy trafiły na jej trop. Skowyczą i ujadają. Żałuje, że wysiadła z samochodu. Co z tego, że złapała gumę? Mogła siedzieć w środku, zamknąwszy drzwi i okna. Tylko na co by się to zdało? Mężczyźni jadą za psami dżipem. Mężczyźni, zawsze mężczyźni.

Noc jest bezksiężycowa, gwiazd też nie widać na niebie, kobieta wspina się na jakieś zbocze. Kurz wciska się jej do nosa, do ust, szczypie w oczy. Ma ochotę się rozplakać, ale ostatnio za dużo płakała i chyba nadszedł moment, kiedy zabrakło jej łez.

Wspina się na zbocze na czworakach. Kamienie osuwają jej się spod nóg. Jedyne, czego pragnie, to położyć się i leżeć bez ruchu, udając, że nie istnieje. Gdyby się skuliła, może psy by jej nie wyczuły? Potyka się i osuwa kilka metrów. Myśli: wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

Pamięta tylko jazdę autostopem ciężarówkami, które wiozły ją nie tam, gdzie chciała jechać: Gallup, potem Farmington w Nowym Meksyku, zupełnie nie w tym kierunku, ale przez jakiś czas nie rozumowała logicznie. Potem ukradła samochód i wróciła do Arizony.

Zmęczenie, rozpalone wewnątrz samochodu, skwar i duchota - to wszystko, co pamięta. I jeszcze jak telefon Mandy dzwoni i dzwoni, a kiedy postanowiła spróbować szczęścia i wykręciła drugi numer, odebrał mężczyzna. Może ojciec Mandy. Może. Nie wiadomo, komu ufać: glinom, nieznanym, nie wiadomo. Taki już jest ten świat.

Powinna nie puszczać pary z ust, ale zaczęła mówić o Angelu. Tak, to było bardzo mądre z jej strony, bardzo mądre, nie ma co, o Angelu, którego kiedyś kochała. O Angelu, który ją wykorzystywał i traktował jak śmieć, raz nawet rzucił się na nią z brzytwą. Nie chciała teraz o nim myśleć, bo miłość to bujda.

Ucieczka, wielogodzinna jazda samochodem, panika, wyczerpanie, płatanina dróg odcisnięta w jej głowie, jedna noc w małym, dusznym pokoju w jakimś motelu. Nie wie, jak długo może spać, bo mężczyźni ciągle depczą jej po piętach. Wie, że nie uda jej się przed nimi uciec, zginie tutaj i nawet nikt nie odnajdzie jej ciała.

Żałuje, że nie świeci księżyc, ale po chwili myśli sobie: może to i lepiej, że nie widzi, co ją otacza. Niech już będzie ciemno. Tak jest lepiej. Znow się wspina. Paznokcie ma połamane. Kiedyś była taka dumna ze swoich długich paznokci, malowała je, polerowała i piłowała pilniczkiem, starała się wyglądać ładnie dla Angela - to było wtedy, kiedy go kochała. Gdy mieli wielki dom i oranżerię, czy jak to się zwie. Rośliny, czuje ich zapach, ale to tylko wspomnienie z przeszłości. Wspomnienie kołaczące się w jej głowie.

Czuje ból w skręconej nodze. Powłóczy nią, noga utrudnia jej poruszanie się, a psy są coraz bliżej. Wyobraża sobie, jak gnają w ciemnościach w jej stronę. Wyobraża sobie ich gorące oddechy, pazury, ostre kły. Myśli: żebym nie wiem jak się starała, i tak psy mnie dopadną, zbliżają się, a tuż za nimi podążają mężczyźni. Ścigają ją nocą, a przecież powiedziała tylko to, co wiedziała, a Angel jedynie zadawał ból - zasłużył sobie na swój los. Ale nie zrezygnował nawet, kiedy trafił za kratki, o nie, to nie w jego stylu; nasłał na nią facetów

z psami. Nikt inny by tego nie zrobił. Nigdy nikogo nie skrzywdziła. Była zawsze dobra, nawet wtedy kiedy babka ciągała ją ze sobą od miasta do miasta, sprzedając te zwariowane wywary z ziół na kurzajki, bezsenność i wzdęcia. Wędrowały przez spieczone wioski i miasteczka - Camargo, La Esmeralda, Ceballos. Pamięta wyboiste drogi i swoją babkę, krojącą liście juki na kawałki i mruczącą pod nosem sekretne zaklęcia. Pamięta pomarszczoną, starą kobietę mówiącą: „Jesteś dobrym dzieckiem, Isabello. Zawsze odmawiaj pacierz, nie kłam i myj zęby. A kiedy zagadnie cię przystojny młodzieniec, uśmiechnij się do niego grzecznie”.

Obiecałaś mi, Manda. Mówiłaś, że wszystko będzie dobrze. Powiedz mi jedno: ile są teraz warte twoje słowa?

Znów się potknęła. Zsuwa się w dół zbocza, kurz ją dławi, w głowie jej się kręci, niebo wiruje nad głową, a ujadanie psów jest coraz głośniejsze. Czuje to, co królik, na którego urządzono polowanie: przemożny strach i instynktowne odruchy, i pragnienie uratowania się, ucieczki stąd i spokojnego życia gdzieś daleko.

Wtem opadają ją psy, wyłaniają się z ciemności, warcząc, czuje ich oddechy, ujadają i szczekają, szarpia jej ubranie, są dzikie i zajądłe. Widzi, jak im błyszczą ślepia. Próbuje osłonić twarz i kopnięciami odpędzić bestie. Zapach ich sierści jest mocny i mdlący, dotyk ich ciał wilgotny i gorący w zetknięciu z jej skórą.

- Matko Boska - szepcze. - Matko Boska.

Kły, szczęki, ślina, pazury. Zwija się w kłębek. Psy kłapią zębami, gryzą i piszczą. Ile ich jest? Trzy, cztery? Któż to wie? Rozharały jej nogę, dłonie jej krwawią, psy są żądne jej krwi. Próbuje się spod nich wyczołgać, ale przywarły do niej, wczepiły się w nią.

Warkot samochodu. Trzaśnięcie drzwi. Głos mężczyzny.

- Do nogi! Do nogi!

Zwierzęta się wycofują, węsząc, skamląc załośnie.

Spogląda w jasny krąg latarki.

- Suka - mówi mężczyzna. Zna ten głos.
- Koniec drogi, skarbie - odzywa się drugi.
- Ja to zrobię - mówi pierwszy.

Jego towarzysz się schyla, chwyta ją za włosy i odwraca jej twarz.

- Nie wyglądasz już tak ładnie. Jesteś zmęczona.

Puszcza ją. Kobieta czuje pieczenie tam, gdzie psy rozorały jej skórę zębami.

- Jeśli już macie to zrobić, zróbcie szybko - mówi.

- Wydaje ci się, że jesteś odważna? - rzuca pierwszy mężczyzna. Kopie ją w piersi, aż kobieta jęczy. - Tak? Tak? Pokażę ci, co to odwaga, *Conchita*. - Pochyliła się, zadziera jej spódnicę, wsadza jej palec pod majtki i przesuwa nim tam i z powrotem. Potem się śmieje, wyciąga rękę, kobieta słyszy, jak obwąchuje własne palce. Jego śmiech przypomina szczekanie psa.

- No, kończmy z nią - mówi drugi mężczyzna.

Kobieta widzi pistolet, lśni w świetle latarki. Jezu, ratuj! Żegna się zakrwawioną ręką.

- *Adiós* - mówi pierwszy mężczyzna i przykłada srebrną lufę do jej skroni. Rozlega się trzask, a po chwili pojawia się błysk.

- Mam już tego dosyć, Amando - powiedział Drumm. - Minęły przynajmniej dwie godziny, odkąd usłyszeliśmy strzał, szczekanie psów też już umilkło. Najlepiej będzie dać sobie z tym teraz spokój, wrócić w dzień i dokładnie przeczesać teren.

Amanda wpatrywała się w ciemność, zalegającą tam, gdzie kończyły się światła reflektorów. Oczy ją bolały. Wiedziała, że propozycja Damma jest rozsądna, i gdyby szukała kogoś innego, a nie Isabel, poddałaby się.

- Nie zapominaj, Amando, że ja też prowadziłem sprawę Sancheza, pracowałem nad nią długo i ciężko. Nie zrozum więc mnie źle, ale ktoś mógłby nazwać twoje zachowanie irracjonalnym.

- Może miałby rację.

- Wiem, że dużo zawdzięczamy tej kobiecie. Rozumiem, co czujesz. - Drumm wskazał na ciemności gestem pełnym rezygnacji. - Jest takie przysłowie o igle w stogu siana, Amando, ale to...

Amanda zaciągnęła się papierosem. W ciągu dwóch godzin, które upłynęły od strzału, wypaliła prawie dwie paczki. Dwie godziny jazdy przez bezdroża i jary, lawirowania między kaktusami. Sto dwadzieścia minut albo i więcej, podczas których na próżno starała się przypisać huk zupełnie czemu innemu - może to wybuch prymusa,

należącego do jakiegoś palanta, obozującego pod gołym niebem, może to wystrzał w rurze wydechowej furgonetki, prowadzonej przez obłąkanego poszukiwacza złota. Pustynia przyciągała najrozmaitszych pomyleńców, szukających tu pociechy materialnej czy duchowej, Boga lub złota.

Ale oszukiwała samą siebie. To był bez wątpienia strzał z broni. A zaraz potem wydało jej się, że dobiegł ją z oddali warkot samochodu. Wpatrywała się w ciemność, ale nie dostrzegła świateł reflektorów. Teren był nierówny, pełen kotlin i wąwozów, idealnych miejsc na kryjówkę.

- Zaczynam mieć dosyć kaktusów - powiedział Willie Drumm. - Wydaje mi się, że zyskują osobowość. Czekam, kiedy któryś zapyta: „To znowu wy?”.

Amanda siedziała zgarbiona na swoim miejscu. Od dawna nie zmieniała pozycji.

- Willie, jeszcze dwadzieścia minut i wracamy.
- Na pewno wiesz, jak trafić z powrotem na szosę?
- Jakoś znajdziemy drogę.

Drumm lawirował dżipem pomiędzy skupiskami kaktusów. Przed nimi biegł zygzakiem zając. Raz strzyżyk przefrunął tuż przed maską samochodu, opierzona kulka światła. Amanda ledwo to dostrzegła. Myślni była zupełnie gdzie indziej.

Bronco podskoczył i wpadł w płytkie, wyschnięte koryto rzeczne, które Drumm za późno zauważył.

- Cholera - zaklął.

Wycofał wóz, tylne koła zabuksowały, wyrzucając w górę tuman piasku.

Wtedy Amanda coś dostrzegła, coś błyszczącego, z metalu.

- Co to? - spytała, wskazując ręką.

Drumm zatrzymał samochód i wyciągnął latarkę ze schowka. Zostawił włączone reflektory. W ich blasku ukazał się datsun z końca

lat siedemdziesiątych z przebitą przednią oponą. Drumm otworzył drzwi od strony pasażera i poświecił latarką. W środku wałało się pełno pustych opakowań po jedzeniu, plastikowe kubeczki po kawie, puste pudełka po camelach i zmięte chusteczki jednorazowe.

Amanda spojrzała na ten śmietnik.

- Oświetl tył - zwróciła się do Drumma.

Drumm przesunął snop światła. Na tylnym siedzeniu Amanda dojrzała stertę zmiętych ubrań. Niektóre były bardzo znajome. Bluzka w kolorowe paski, para dżinsów, niebieska koszulka bawełniana z palmą i napisem „Malibu”.

- Jej? - spytał Drumm.

Amanda skinęła głową. Zauważyła między ubraniami jakiś mały różowy przedmiot. Sięgnęła po niego.

- Co to?

- Spinka do włosów. - Amanda zacisnęła palce wokół wąskiego kawałka plastiku.

Drumm oświetlił ziemię wokół datsuna.

- Złapała gumę i postanowiła iść na piechotę - powiedział.

Amanda przyglądała się śladom na piasku. Dostrzegła odciski butów i psich łap. Drumm pierwszy zauważył czółenka i je podniósł.

- Niezbyt dobrze się biega w szpilekach - oświadczył.

Amanda wzięła od niego but i stwierdziła, że obcas jest złamany. Próbowwała odtworzyć scenę, ale nie podobało jej się to, co podsuwała wyobraźnia. Isabel biegnie, łamie sobie obcas, psy ją gonią.

- Chcesz iść dalej? - spytał Drumm.

Nie chciała. Nie miała do tego serca. Poczowała pustkę i zniechęcenie.

- Naturalnie - powiedziała.

Drumm oświetlał latarką odciski stóp, Amanda szła za nim. Nie wiedziała, ile przeszli z Drummem: pół kilometra, kilometr, więcej. Pustynia jest niezmiernie duża.

- Szła tędy. - Drumm przystanął nagle u stóp pochyłości. Na zrytej ziemi dostrzegli krew.

Amanda ukucnęła, wzięła garść piasku i pozwoliła, by przesypał się między palcami. Ślady krwi były jeszcze świeże.

- Tutaj nastąpił koniec - powiedział cicho Drumm. Poświecił latarką wkoło. - Widzę ślady opon.

Amanda nie spojrzała w tamtym kierunku. Myślała o psach, wyobrażała sobie, jakie to uczucie być przez nie ściganym, starała się nie ulec hysterii, uczuciu zagubienia. Tutaj nastąpił koniec. Słowa wypowiedziane przez Drumma kołatały jej się w głowie.

- Psy ją dopadły, przewróciły na ziemię, potem nastąpił finał. Zabójca wysiadł i zagwizdał na psy. Pif-paf.

- A gdzie ciało? - spytała Amanda.

- Zabrał z sobą.

- Dlaczego go nie zostawił? Nie można sobie wyobrazić lepszego miejsca na porzucenie zwłok.

- Masz rację - powiedział Drumm. - Co za cholera. Ta cała sprawa mi się nie podoba. Dwoje przyjechało, dwoje wyjechało.

Dwoje przyjechało, dwoje wyjechało. Amanda słuchała pustyni, teraz spowitej ciszą, pełnej grozy, gdzie ciemny łąd stykał się z ciemnym niebem.

Podczas procesu Victora Sancheza Randolph Hanseimer, obrońca, próbował kwestionować zeznania Isabel Sanchez. Atakował brutalnie, raz czy dwa kobieta zamknęła oczy i zachwiała się lekko na miejscu dla świadków, jakby za chwilę miała zemdleć. „Czy nie próbuje pani przypadkiem odegrać się na swym byłym mężu za to, że od pani odszedł? Czy nie jest pani zwyczajnie wściekła na niego za to, że panią rzucił, ponieważ zawiodła pani jego oczekiwania jako żona? Czy nie mamy tutaj przypadkiem do czynienia z wyjątkowo złośliwą próbą zniesławienia niewinnej osoby?”

Sprzeciw, sprzeciw, sprzeciw.

Amanda odtwarzała w myślach proces. Wciąż widziała Isabel na miejscu dla świadków, zaciskającą pięści. Hanseimer próbował ją złamać, ale zawsze znajdowała w sobie dosyć siły, by mu nie ulec. Ława przysięgłych ją podziwiała. Widziano w niej skromną młodą kobietę, maltretowaną przez męża, który był bezwzględny i zwyrodniałcem.

Amanda wyciągnęła rękę w poprzek łóżka. Nie potrafiła się opędzić od natrętnych myśli, gardło ją bolało od papierosów, nie mogła się wyzwolić od pustyni, od strachu, który ją tam ogarnął, a który nadal czuła. Światło latarki Drumma, biegnący zając, krew na piasku.

Psy, cholerne psy: wciąż słyszała ich skowyt i ujadanie. Isabel, uciekająca przed nimi, jej strach, jej samotność, tylko ona i jej strach pod obojętnym czarnym niebem. Usiadła.

- Dwoje ludzi, objętych ochroną przez Program. Nowe nazwiska, nowa tożsamość, nowe życie. Co więc, do diabła, robili z powrotem w Arizonie?

Rhees podparł się na łokciu.

- Może jakoś ich tu zwabiono.
- Zwabiono?
- Zresztą komu sprawiłaby satysfakcję ich śmierć?
- Tylko Victorowi Sanchezowi. Zwabieni? Jak?
- Sanchez pragnie się zemścić, ale w szczególny sposób. Cóż by mu przyszło z tego, gdyby zginęli w Idaho czy Bóg wie gdzie? Lepiej jakoś ściągnąć ich i zabić tutaj, gdzie ciała zostaną odnalezione. Gdzie się o tym dowiesz, ponieważ to twój stan, twoje podwórko. Chce ci pogrozić palcem. Chce ci pokazać, że może robić z Programem, co zechce, pragnie, żebyś była tego świadoma. Chce, żebyś wiedziała, że chociaż wsadziłaś go za kratki, gdzie czeka na wykonanie wyroku śmierci, nadal może wszystko.

Zastanowiła się nad jego słowami.

- Wyjaśnij, dlaczego nie udało nam się znaleźć ciała Isabel - spytała po chwili. - Jeśli Sanchez grozi mi palcem, dlaczego nie zostawiono jej zwłok?

- Może ich nie zauważyłaś w ciemnościach. Może wcale nie zginęła.

- Drumm wróci tam rano z posiłkami - powiedziała.

- W takim razie ją znajdzie. Jeśli tam jest.

Amanda nie chciała myśleć o Drummie i jego oddziale poszukiwawczym. Przypomniała sobie długie godziny spędzone z Isabel w pokoju hotelowym na przedmieściach Phoenix, gdzie ją umieszczono na czas procesu. Uzbrojeni strażnicy pod drzwiami, nieoznakowane

samochody policyjne na parkingu. Nie chciała ryzykować. Isabel była taka krucha. Miała drobną, śniadą twarz o doskonałych rysach, prawie zawsze ściągniętych. W pokoju panowała atmosfera napięcia i uległości. Isabel było trudno zeznawać przeciwko mężowi, ponieważ nawet jeśli jej małżeństwo okazało się czymś w rodzaju krzyża, do którego przybito Isabel gwoździami, a Victor był niewyobrażalnym okrutnikiem, nadal istniała między nimi jakaś forma szczątkowej lojalności. Czasami Amanda podtrzymywała Isabel na duchu, tłumacząc jej, że słusznie robi, że miejsce Victor a jest w więzieniu i że dzięki niej może tam trafić na bardzo długo. „Nie traktuj tego jak zdrady, Isabel. Obiecuję ci, że będziesz bezpieczna”.

Obietnice. Puste słowa bez pokrycia.

Wstała z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju z założonymi rękami. Przystanąła przed dużym lustrem i w słabym świetle księżycy dostrzegła swoje odbicie. Wyglądała na wykończoną, miała dwa-trzy kilogramy nadwagi, co dało się zauważyć nawet mimo obszernej czarnej bawełnianej koszulki, którą włożyła. Odwróciła się i westchnęła.

Rhees przyglądał się jej.

- Sanchez ma klucz do tego wszystkiego. To oczywiste.
- John, nie powinno być żadnego klucza. Drzwi powinny być zatrzasknięte. Nikomu nie powinno się udać ich otworzyć.
- Sanchez znalazł jakiś sposób.
- Jakim cudem?

Rhees podrapał się w brodę.

- Wracaj do łóżka.
- Mówimy o czymś otoczonym taką tajemnicą, że nawet ktoś taki jak Bascombe nie wie, jak naprawdę działa cała machina. Mówimy o opatrzonych pieczęciami dokumentach i tajnych kodach. Nie można zwyczajnie podnieść słuchawki i poprosić o informacje na temat nowych nazwisk i miejsc pobytu świadków.

Rhees odwinął prześcieradło i klepnął w poduszkę.

- Połóż się - powiedział.
- Dobrze. - Wyciągnęła się obok niego, ujęła jego rękę i muskała ją ustami. Ale nie mogła się uspokoić. - Namówiłam ją do tego, John. Skłoniłam ją, by pojawiła się w sądzie.

Rhees pogłaskał ją po czole.

- Nie możesz siebie o to winić.
- Muszę zapalić. Wiem, że ustaliliśmy zasady dotyczące palenia w sypialni, ale muszę je złamać. - Zapaliła papierosa. Siarkowy zapach zapalki był okropny. - Nie zeznawałaby jako świadek, gdybym jej nie zmusiła.

- Zmusiła? Ostatecznie to była jej decyzja. Nikt jej nie zakuł w kajdanki i nie zaprowadził siłą na salę sądową, poszła tam z własnej, nieprzymuszonej woli.

Amanda potrząsnęła głową.

- Ja kupiłam jej bilet. Ja wsadziłam ją do tego pociągu, który - jak się okazało - zmierzał donikąd.

- Teraz ogarnęły cię wyrzuty sumienia i chcesz coś z tym zrobić. Ale postąpisz o wiele rozsądniej, wracając z samego rana do domku i pozwalając Drummowi się tym wszystkim zająć. Niech Bascombe zrobi to, co do niego należy, ciebie to już nie dotyczy. Zresztą już tam nie pracujesz.

- To samo powiedział Bascombe.

- I ma rację. Teraz spróbuj zasnąć.

- Jak, do cholery, mogę spać, na litość boską?

Rhees otworzył szufladę nocnej szafki, wyjął buteleczkę z lekarami, odkręcił wieczko, wytrząsnął na dłoń czerwono-żółtą kapsułkę.

- Weź to.

- Nie chcę.

- Czy mam ci to wepchnąć do gardła siłą?

Niechętnie otworzyła usta. Położył jej tabletkę na języku i delikatnie zamknął jej usta. Połknęła proszek.

- Bardzo ładnie - powiedziała. Znów pigułki na sen. Nie brała ich od tygodni. Starła się ze wszystkich sił zepchnąć wspomnienia procesu Sancheza do najodleglejszego zakątka umysłu i prawie jej się to udało.

- Ciekawy jestem, co ona widziała w tym Sanchezie - powiedział Rhees.

- To proste. Była młoda, naiwna i biedna, John. Sanchez był przystojny, miał forszę, wiedział, jak czarować kobiety. Z czasem fascynacja ciałem przemija, znalazł więc inne sposoby. Kiedy znajdowała się w pobliżu, nieostrożnie wymachiwał zapalonym papierosem. Raz, dla zabawy, odciął jej żyłkę brodawkę sutkową. To nie był przyjemniaczek.

Widywała Sancheza niemal dzień w dzień przez osiem tygodni procesu. Zapamiętała, jak spoglądał na nią z największą pogardą. Potrafił się wpatrywać długo i ani mu drgnęła powieka. Wysyłał potężne fale nienawiści jak przekaźnik emitujący stały strumień wrogości. Doszło do tego, że cierpła jej skóra na samą myśl, że musi wejść na salę sądową, że poczuje na sobie jego wzrok, gorący niczym płomień lasera.

- Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało obcesowo, ale nie masz wobec niej żadnych zobowiązań - rzekł Rhees.

- Dałam jej słowo, John.

- Tak, ale to nie ty je złamałaś.

- Nie o to chodzi - odparła. - Polubiłam Isabel.

- Wiem.

- Miała za sobą bardzo nieszczęśliwe małżeństwo i potrzebowała gwarancji bezpieczeństwa, by zgodzić się stanąć na miejscu dla świadków. W takich warunkach nawiązuje się szczególna więź. Rozmawialiśmy na najróżniejsze tematy: o rodzinie, przyjaciółach. Dużo mówiłyśmy o naszych ojcach. Opowiedziałam jej, jak Morgan podarował mi na siedemnaste urodziny nowiutki samochód. Jedynym prezentem urodzinowym od ojca, jaki sobie mogła przypomnieć, była

tania plastikowa spinka do włosów. Dostała ją na dwunaste urodziny i zatrzymała. Było mi smutno i odczuwałam złość. Ja miałam wszystko, chociaż o to nie prosiłam, a ona nie miała nic.

Amanda poczuła, że pigułka nasenna zaczyna działać. Słyszała leciutkie echo, rozbrzmiewające po każdym słowie. W gardle jej zaschło. Rhees coś powiedział, ale nie zrozumiała co, ponieważ zapadała w tę dziwną, czarną czeluść sztucznie wywołanego snu.

Przyśnił się jej Sanchez. Śniło jej się, że mierzy mu temperaturę w odbytnicy. Stał wypięty i uśmiechał się, a jego uśmiech był przerażający.

Obudziła się o świcie. Niebo miało kolor bladego błękitu. Odrzuciła prześcieradło. Czuli się tak, jakby głowę miała pełną fusów po kawie, ale wiedziała, co musi zrobić.

Willie Drumm spoglądał na pustynię; słońce stało wysoko, dawno rozproszywszy ciemności.

- W dzień jest tu zupełnie inaczej - zauważył Drumm. - Fascynująco, jeśli ktoś lubi kilometry pustki.

Amanda wpatrywała się w cienie u stóp odległych wzgórz. Po niebie leniwie przeleciał jastrząb. Cztery wozy patrolowe, wszystkie z pootwieranymi drzwiami, stały między kaktusami w pobliżu datsuna zawierającego dobytek Isabel. Umundurowani policjanci utworzyli grupki i popijali kawę z termosów. Doliczyła się dwunastu.

Wśród nich zauważyła przełożonego Drumma, Dana Kellowaya, szczupłego, o długiej szyi i ogolonej głowie. Miał bzika na punkcie sprawności fizycznej, podobno codziennie przed śniadaniem przejeżdżał trzydzieści kilometrów na rowerze, a odżywiał się migdałami i jogurtem. Śniady, wysoki, włożył biały garnitur i był jak zawsze sztywny. Pomiędzy nią i Kellowayem panowały chłodne stosunki. Oziębłość powstała na tle ostrej różnicy zdań jakiś rok temu w związku ze sprawą pewnego Murzyna, którego Kelloway koniecznie chciał postawić przed sądem. Amanda uznała, że policja dysponuje jedynie poszlakami, a sprawa młodego Murzyna nazwiskiem Hood, u którego znaleziono broń użytą podczas napadu rabunkowego, gdy śmiertelnie postrzelono białą kobietę w ciąży, nie jest warta tego, by

nią zaprzętać sędziów. Niezadowolenie Kellowaya wywołane jej stanowiskiem eksplodowało niekontrolowaną złością. Oskarżył ją o zaniechywanie obowiązków, upór, głupotę, obrzucił stekiem zniewag. Odniosła wtedy wrażenie, że wybuch wściekłości Kellowaya spowodowało coś więcej niż błaha sprawa Hooda, że czuje do niej jakąś głęboką urazę, której przyczyn nigdy nie próbowała dociec i nawet nie miała ochoty tego robić.

- Widzę, że pojawił się stary - zauważyła.

- Tak. Przypuszczam, że chciał zmanifestować swoją obecność. Kiedy nie gra w komendzie Mussoliniego, przeistacza się w nadgorliwca.

Drumm wymienił wszystko, co znaleźli, zaginając palce.

- Dobra, oto co mamy: parę czólenek, jedno ze złamanym obcasem. Samochód z przebitą oponą. Stos pojemników po jedzeniu. Mapa Stanów Zjednoczonych w schowku. Ubrania i buty. Trochę krwi w pobliżu, ale brak ciała. Znaleźliśmy jednak psią sierść.

Amanda słuchała go jednym uchem. Gapiła się na samochód.

- Tablice rejestracyjne z Nowego Meksyku. - Tak, już to sprawdziliśmy – powiedział Drumm. - Samochód został skradziony w Farmington.

- W Farmington?

- Ciekawa jesteś, co mogła robić w Farmington - zauważył Drumm. - Nawet nie próbuję zgadywać. Gdzie była, co ją tu sprowadziło z powrotem. Przychodzi mi jedynie do głowy, że zdecydowała się na tę podróż, by zobaczyć się z tobą, Amando. Miała jakieś kłopoty, a ty byłaś jedyną osobą, do której mogła się zwrócić.

- Willie, sęk w tym, że nie powinna mieć żadnych kłopotów.

- Nie ufała nikomu poza tobą. Jeden Bóg wie, ile godzin spędziłem, próbując do niej dotrzeć, ale właściwie niewiele mi powiedziała. To widocznie kwestia jakiegoś szczególnego kobiecego podejścia.

- Widocznie - powiedziała Amanda. Kępka psiej sierści, tablice rejestracyjne z Nowego Meksyku, stos opakowań po jedzeniu - wyglądało to na listę składników, z których nie da się przyrządzić jakiegokolwiek strawnego dania. Próbowała sobie wyobrazić Isabel pokonującą olbrzymią odległość, by się z nią spotkać. A skończyła tutaj, przerażona, opuszczona przez wszystkich.

W oddali pojawił się radiowóz. Jadąc, wzbijał w niebo tumany pomarańczowego pyłu. Po chwili z samochodu wysiadł umundurowany policjant o płowych włosach, kwadratowej twarzy, z wąsami. Amanda rozpoznała sierżanta Thomasa Gannona.

Skinął do Amandy i powiedział:

- Pani Scholes, miło znów panią widzieć.
- Witam, sierżancie - powiedziała.
- Ślady opon, które pana interesują, prowadzą do kanionu, gdzie teren jest nierówny, z pewnością więc szukamy pojazdu terenowego

- zwrócił się Gannon do Drumma. - Nie dam rady tamtędy przejechać swoim wozem.

Amanda znów spojrzała w kierunku wzgórz, gdzie cienie tworzyły ponure plamy. Słońce świeciło jej prosto w oczy i kiedy odwróciła głowę, przed oczami wirowały jej jaskrawe kręgi.

- Wyślemy tam helikopter - oświadczył Drumm.
- Zajrzeliśmy w każdą dziurę, pani Scholes - powiedział sierżant Gannon. Położył dłoń na pistolecie. - Lubilem tę kobietę.
- Tak, wszyscy byliśmy pod jej urokiem - stwierdził Drumm z nutką smutku w głosie.

„Wszyscy byliśmy pod jej urokiem”. W sam raz na epitafium, pomyślała Amanda.

- Wiem, co myślisz - powiedział Drumm.
- W takim razie wiesz więcej ode mnie.
- Z pewnością zwał się nam na kark federalni zajmujący się Programem. Prawdopodobnie pojawiają się też faceci z Ministerstwa

Sprawiedliwości. Mamy to jak w banku - zauważył Drumm i dotknął jej ramienia. - Najlepiej zrobisz, jak sobie stąd pójdziesz. Odejdiesz, nie oglądając się za siebie.

- W przeciwnym razie zamienię się w słupek soli - dodała.

- Żyj sobie spokojnie z Johnem. Trzymaj się tego, co dla ciebie najważniejsze.

Amanda zaczęła iść w stronę czerwonego volkswagena. Czowała, że zbliża się do niej Kelloway.

- Witam, pani Scholes - powiedział. Odwróciła się do niego. Słońce odbijało się od jego ogolonej głowy. Przypominał drapieżnego ptaka, któremu haczykowały nos służy do rozrywania ciał ofiar.

- Sprowadza tu panią niezdrowa ciekawość? - spytał.

Miał zwyczaj przypisywania ludziom niskich pobudek.

- Jestem ciekawa - odparła. - Ale nie ma w tym nic niezdrowego.

- Chyba nie muszę pani przypominać, że to wyłącznie sprawa policji - powiedział.

- Nie, nie musi mi pan przypominać.

- Powinienem powiesić tabliczkę „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

- Interesuję się Isabel - oznajmiła.

- Interesowała się pani. To już przeszłość. Nie chcę, żeby się tu pani kręciła i przeszkadzała moim ludziom w pracy.

Powiedział to takim tonem, jakby zamierzała molestować seksualnie umundurowanych funkcjonariuszy policji. Trudno doszukać się w nim jakichkolwiek ludzkich cech, pomyślała. Czerpał satysfakcję z tego, że miał władzę.

- Chętnie bym z panem dłużej porozmawiała, Kelloway, bo to zawsze takie pokrzepiające, ale nie mam czasu. - Minęła go i usiadła za kierownicą swego wozu.

Zbliżył twarz do okna i się uśmiechnął. Miał złotą plombę w lewym górnym zębie przedtrzonowym.

- Należy pani do historii. Proszę o tym pamiętać. Wszystkie prawa i przywileje, którymi się pani wcześniej cieszyła, straciły ważność. Pani wiza jest anulowana. Kredyt został cofnięty.

- Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał.

- Czyżbym słyszał irytację w pani głosie? - spytał Kelloway i jeszcze bliżej przysunął twarz. - Coś pani powiem.

- Zamieniam się w słuch.

- Pamięta pani naszego dawnego znajomego Hooda, tego, którego uważała pani za świętego?

- Owszem.

- Zgarnęliśmy go wczoraj za nielegalne posiadanie broni i handel koką.

Patrzyła prosto przed siebie.

- Mam nadzieję, że dysponujecie niepodważalnymi dowodami - powiedziała.

- Och, mamy niezbite dowody. Ta sprawa się nie rozmyje z powodu jakichś nieistotnych wątpliwości pani prokurator.

Przekręciła kluczyk w stacyjce.

- Wcale nie były takie nieistotne, Kelloway.

- To było gównem i dobrze pani o tym wiedziała.

- Spadaj!

Zawróciła i skierowała się ku drodze. Pomachała Drummowi, a potem spojrzała w lusterko wsteczne i zobaczyła w nim uśmiechniętego Kellowaya. Po chwili zniknął i w lusterku pojawiła się jałowa pustynia. Przejechała kilka kilometrów, nim całkiem pozbyła się myśli o Kellowayu.

Złapała Bascombe'a w barze kawowym niedaleko budynku władz federalnych. Właśnie gryzł obwarzanek z masłem, kiedy usiadła przy jego stoliku.

- Widzę, że nasza zaniepokojona obywatelka jest również ran-
nym ptaszkiem - powiedział Bascombe. - Jak mnie odnalazłaś?

- Spytałam sekretarkę. Wiesz, dlaczego tu jestem.

Bascombe skończył jeść obwarzanek.

- Dostałem kopię raportu z komendy policji w Phoenix, sporzą-
dzonego przez porucznika Drumma. Wiem też o waszej nocnej wy-
prawie na pustynię.

- Dziś rano zorganizowano drugą - poinformowała. - Właśnie
stamtąd wracam. Nie ma jej tam. Chyba że została głęboko zakopa-
na. Drumm ściągnął do pomocy kilkunastu ludzi. Nie wyłączając
Boga w osobie Kellowaya.

Bascombe z kamienną twarzą popijał kawę.

- Najpierw Galindez, teraz Isabel - powiedziała Amanda. - Nie
ma się co oszukiwać, sytuacja jest poważna.

- Zgadza się - przyznał jej rację Bascombe. Potarł lekko za-
czerwienione oczy.

- Wysłałeś swój raport dotyczący Galindeza?

- Natychmiast po tym, jak się rozstaliśmy wczoraj po południu, poszedł faks.

- I nic?

- Amando, nie rzucają wszystkiego, bo Lew Bascombe wysłał do nich informację. Przychodzi faks, ktoś go czyta, a następnie kieruje do właściwej osoby.

- A co z Isabel? Powiadomiłeś ich o tym? Wspomniałeś, że dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem bliska paniki?

- Tak jest. Pół godziny temu wyszedł kolejny faks.

Amanda zgmiotła papierosa w popielniczkę.

- Zaznaczyłeś, że to pilne?

- Zwróciłem uwagę na fakt, że zarówno Galindez, jak i pani Sanchez byli świadkami oskarżenia w procesie Victora Sancheza.

- Co to znaczy „zwróciłeś uwagę na fakt”?

- To znaczy, że napisałem, co łączy Galindeza i panią Sanchez.

- Co ty mi trujesz, Lew?

- Spytałaś, co zrobiłem. Powiedziałem ci.

- Na litość boską, „zwróciłeś uwagę na fakt”? Dlaczego otwarcie nie napisałeś, że doszło do przecieków? Dlaczego do nich nie zadzwoniłeś? Dlaczego z kimś nie porozmawiałeś? Wysłałeś faks. Nawet nie wiesz, czy do nich dotarł. Czasem się rozplywają w powietrzu.

- W takiej sytuacji należy postępować zgodnie z instrukcjami - powiedział Bascombe. - Instrukcja mówi: wszystko ma być na piśmie. Dokument na papierze nie jest czymś ulotnym.

- Lew, wczoraj byłeś buntownikiem. Co się z tobą stało przez noc?

- Wczoraj wyświadczyłem ci osobistą przysługę.

- Jestem wdzięczna.

- Ale nie mogę ciągle działać niezgodnie z regulaminem. Nie mogę lekceważyć ustalonego trybu postępowania dlatego, że do mojego gabinetu wpadła była pani prokurator, która ma robaki w tyłku.

- Robaki w tyłku - powiedziała. – Cholernie zabawny sposób określenia mojej reakcji na dwa trupy.

- Jeśli chodzi o jednego, nie ma wątpliwości. Z tym drugim jeszcze nic nie wiadomo.

- Ponieważ nie znaleziono zwłok? Lew, chcę wierzyć, że ona nadal żyje, ale nawet jeśli jakimś cudem krąży boso po tej cholerniej pustyni, widząc obrazy Najświętszej Pani, wywołane odwodnieniem organizmu, pozostaje faktem, że doszło do przecieków. I o to w tym wszystkim chodzi.

Amanda umilkła. W głowie iskrzył jej bezpiecznik. Słyszała jego syk. Zapaliła kolejnego papierosa. Uśmiechnęła się do Lewisa Bascombe'a i powiedziała trochę innym tonem:

- Dobra, uspokoiłam się.

- I bardzo dobrze - zauważył Lew.

Siedziała z uśmiechem przyklepionym do twarzy, ale Jezu, ile ją to kosztowało!

- Lew, jeśli doszło do przecieków, człowiek sobie wyobraża, że zaczął działać natychmiast. Że ostro się wezmą do roboty. Wyobraża sobie również, że delikatnie przepytają Victora Sancheza jako głównego podejrzanego.

- Porozmawiają z Sanchezem, Amando. Na pewno jest ich podejrzanym numer jeden. To, że nie mam żadnych informacji, jeszcze wcale nie znaczy, że siedzą z założonymi rękami. Z całą pewnością będą działali szybko. Nie mają obowiązku powiadamiać mnie o każdym swoim kroku. Prawdę mówiąc, mogą mnie zupełnie olać.

- Czyli siedzisz w ciemnościach, nic nie wiesz.

- Jestem tylko facetem, który uderza w bęben. Jak usłyszą, zaczną działać.

- Ale nie informują cię o niczym.

- Nie muszą.

- Wszystko otoczone najgłębszą tajemnicą.

- Tak to zostało pomyślane.

- Chyba nie obmyślili tego najlepiej, co, Lew, skoro ktoś może odszukać naszych świadków?

- Czasem zawodzą najlepsze systemy. - Bascombe wziął rachunek, pogrzebał w portfelu i rzucił na stół banknot pięciodolarowy. - Muszę wracać.

- Powiedz mi jedno, Lew. Czy to już koniec? Czy nigdy już nie usłyszymy o tej sprawie? Czy nigdy nie dotrzemy do korzeni tego wszystkiego? Dlaczego do tego doszło? Dlaczego tych dwoje nie miało zapewnionej właściwej ochrony? Jak złamano zabezpieczenia? Czy na tym się to skończy?

- Nie umiem odpowiedzieć nawet na takie proste pytanie - powiedział Bascombe i skierował się do drzwi.

Amanda siedziała jeszcze jakiś czas, nim się podniosła, by wyjść. Kiedy znalazła się na ulicy, w pierwszej chwili zakręciło jej się w głowie. Za dużo papierosów na czczo, tak jak to bywało, zanim zrezygnowała z tej pracy, zanim postanowiła wyrwać się z tego świata, by zyskać wolność i zdrowie.

Tylko że wcale nie była wolna. Myślała, że dynamitem utorowała sobie drogę ucieczki z jaskini.

Tymczasem wcale tak nie było.

Anthony Dansk siedział w pokoju hotelowym i kartkował magazyn pornograficzny, studiując ogłoszenia agencji towarzyskich. Lubił dziwki, bo wypełniały miejsce w środku. Szybki seks, higieniczne, jednorazowe opakowanie. Odpowiadało mu, że po skończonym numerku dziwki się nie ociągały z wyjściem, zebrząc o uczucie. Pojawiały się i znikwały, nie sprawiając kłopotów, zwykła usługa i do widzenia.

Kiedy zadzwonił telefon, natychmiast podniósł słuchawkę.

- Jestem w barze - powiedział McTell.

Dansk wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem. Postanowił nie korzystać z windy, tylko zejść po schodach. Mała gimnastyka jest zbawienna dla serca. Wierzył w ćwiczenia fizyczne. Był dumny ze swego ciała.

W barze panował mrok. McTell, blady brodac, wybrał sobie stolik pośrodku. Dansk usiadł i poprosił kelnerkę w minispódniczce o wodę sodową. Nie pił alkoholu, ponieważ alkohol pozbawia człowieka jasności sądu.

- Zrobione - oświadczył Eddie McTell. - *Finito*.

Dansk milczał. Kelnerka przyniosła mu wodę i odeszła, zostawiając za sobą w powietrzu przyjemną woń mango. Powiódł wzrokiem za jej długimi nogami, odruch warunkowy.

- Laska na szczudłach - zauważył McTell.

Dansk puścił jego słowa mimo uszu.

- Dopadliśmy ją. Na pustyni – powiedział McTell.

- Oszczędź mi szczegółów - poprosił Dansk.

- Z tymi psami to był dobry pomysł - stwierdził McTell.

- Prosiłem!

McTell wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, możemy się teraz stąd wynosić. Uciec od tego cholernego skwaru.

Dansk popijał wodę sodową. Spoglądał na szczupłą twarz McTella. Broda miała mu nadać wygląd intelektualisty, ale bez powodzenia. Sprawiała wrażenie, że jest przyklejona, że to przebranie szpiega.

McTell uniósł szklanekę z piwem.

- *Vaya con dios* - powiedział.

Dansk obserwował, jak McTell siorbie piwo.

- Kiedy byłeś dzieckiem, jak sobie wyobrażałeś swoją przyszłość? - zapytał.

- Swoją przyszłość? Chodzi ci o ambicje?

- Musiałeś o czymś marzyć, McTell. Że zostaniesz strażakiem.

Albo maszynistą. Albo superzawodnikiem, który w ostatniej minucie strzela gola, a kibice szaleją na trybunach. Każdy chce zostać kimś wielkim.

- Byłem czarodziejem na lodowisku.

- Marzyłeś, żeby zostać sławnym hokeistą? Wiązałeś swoje nadzieje z hokejem?

McTell pokręcił głową.

- Raz spróbowałem sił w jednej drużynie z Bostonu, ale chyba brakowało mi czegoś, na czym im zależało.

- Może chodziło im o wdzięk, McTell.

- Wdzięk? Może. Zabawne, moja pierwsza żona nazywała się Grace. Grace Spatsky. Polska lalunia z takimi cyckami.

Danska nie interesowała historia małżeństw McTella.

- Ja sobie wyobrażałem, że zostanę misjonarzem - powiedział. - Będę czynił dobro. Może pracował w wiosce trędowatych. Studiowałem mapy. Szukałem na nich takich krajów, jak Czad, Wybrzeże Kości Słoniowej.

McTell się uśmiechnął i przesunął ręką po brodzie.

- Misjonarzem?

- Uważasz, że to śmieszne?

- Dzieciaki mają zabawne pomysły. Bez obrazy.

Dansk zastanawiał się, dlaczego wspomniał McTellowi o swych dziecięcych marzeniach. Wszystko, co się mówiło McTellowi, ginęło niczym w czarnej dziurze. Zupełnie jakby się wysyłało wiadomość w kosmos, ponieważ McTell był stworzeniem pośledniego gatunku, stał zaledwie stopień wyżej od tych, których się wiecznie widuje w tanich supermarketach, jak pchają przed sobą wózki, otoczeni gromadą zasmarkanych dzieciaków i żonami o kaczkowatym chodzie, albo w nocnych sklepach, handlujących wielgachnymi mrożonymi pizzami i skrzynkami piwa. Mieszkają w osiedlach przyczep z powybijanymi oknami i przekrzywionymi antenami satelitarnymi albo w domach komunalnych, pełnych karaluchów i z zasmarowanymi murami. Objadają się snickersami i czipsami. Oglądają Oprah i wydaje im się, że sprawdzają puls Ameryki. Ci ludzie byli wyposażeni w słabe akumulatory.

Ale najsmutniejsze było to, że nie zdawali sobie sprawy ze swej pustki i głupoty. Odznaczeni się pewną zwierzęcą przebiegłością, ale w gruncie rzeczy istnieli na tej ziemi jedynie po to, by biegać na posyłki, by wykonywać brudną robotę, zleconą przez kogoś takiego jak Dansk.

Dansk odsunął szklankę. Miał dosyć towarzystwa McTella. Jego broda wywoływała w nim przygnębienie, podobnie jak jasnoniebieska marynarka i golf koloru śnieżnego łososia.

Dansk wstał, konstatuując ze smutkiem, że w swojej pracy musi się zadawać z takimi ludźmi jak McTell.

- Chyba razem z Pasqualem wyjedziemy stąd - oświadczył McTell.

- Jedźcie do Vegas, zatrzymajcie się tam, gdzie zawsze - powiedział Dansk. - Będę w kontakcie. Szykuje się następna robota w Seattle.

Dansk odwrócił się, by wyjść.

- Aha, Pasquale zabił psy - rzucił za nim McTell. - Zabrał je gdzieś daleko od autostrady i zastrzelił. Rąbnął je prosto między ślepia.

Dansk wiedział, że McTell powiedział mu to, żeby go zdenerwować. Wyobraził sobie roztrzaskane psie łby i zakrwawione futro. Nie zatrzymał się. Minął recepcję, ale potem przystanął gwałtownie i zawrócił.

Recepcjonista spojrzał na niego z protekcyjnym wyrazem twarzy, jaki mają recepcjoniści na całym świecie. Musi chyba gdzieś istnieć jakaś szkoła, w której ich tego uczą.

- Słucham pana?

Dansk nie raczył odpowiedzieć. Wziął gazetę ze stosu leżącego na kontuarze. „Arizona Republic” z pieczętką „egzemplarz gratisowy”.

Zobaczył to, czego szukał, w połowie pierwszej strony. Informacja na jedną kolumnę. Wrócił do baru.

Stanął nad McTellem i powiedział:

- Zapomnij o Vegas. To już nieaktualne.

Dansk przysunął krzesło, które było jeszcze ciepłe, i spojrzał na McTella.

- Coś nie tak? - spytał McTell. Dansk rzucił gazetę na stół.

- Zakładam, że umiesz czytać.

McTell jakiś czas z obojętną miną gapił się na pierwszą stronę. Dansk wyrwał mu gazetę z rąk i powiedział:

- Przejdźmy się. Zaczernijmy trochę świeżego powietrza.

- Nienawidzę tutejszego powietrza - oświadczył McTell.

- Ruszaj się, Eddie - powiedział Dansk. - I nie marudź, bo nie jestem w nastroju.

Na zewnątrz Dansk zaczął się pocić na karku i pod pachami. Nie lubił tego. Płyn przenika przez pory, nieczystości są usuwane z organizmu. Szedł, a za nim podążał McTell, aż dotarli na malutki skwerek, gdzie urzędnicy, rozsiadłszy się tu i tam na trawie, jedli drugie śniadanie. Mężczyźni w białych koszulach, kobiety w wykrochmalonych bluzkach. Mieli miny niższych funkcjonariuszy państwowych. Zabijali czas, czekając na emeryturę. Oto wasza emerytura. Wszystkiego najlepszego.

Facet w okularach w drucianej oprawce roześmiał się z czegoś. Dziewczyna, klęcząca obok niego, trzymała w ręku złożony na pół kawałek hinduskiego chleba i mówiła coś z pełnymi ustami. Panowała tu atmosfera stosowności, przerwa śniadaniowa trwała przepisowe trzydzieści minut, urozmaicona biurowymi ploteczkami. Zamordujmy szefa. Nasypmy mu trucizny do kanapki z wołowiną.

Dansk przesunął dłoń po mokrym czole i usiadł w cieniu pod drzewem. McTell przykucnął na piętach, ręce mu zwisały bezwładnie między nogami. Dansk odczuwał taką wściekłość, że zdawało mu się, że się rozdziwił, że istnieje jakiś rozgniewany *doppelgänger*, jakiś inny Anthony w innym wymiarze.

Podsunał McTellowi gazetę pod nos z taką energią, jakby chciał mu ją wepchnąć do gardła.

- Posłuchaj tylko. „Ciało Reubena Galindeza, lat czterdzieści siedem, znalazł sierżant Charles House w Little Colorado w rezerwacie Indian Nawaho. Policja informuje, tra ta ta, rana postrzałowa, tra ta ta. Galindez zeznawał przeciwko uczestnikom przestępstwa, *et cetera, et cetera*. W identyfikacji zwłok we Flagstaff uczestniczył detektyw z wydziału zabójstw, porucznik William Drumm z komyndy policji w Phoenix, baju baju. Towarzyszyła mu Amanda Scholes, oskarżyciel podczas głośnego procesu Sancheza, przebywającego obecnie w celi śmierci. Ani porucznik Drumm, ani pani Scholes nie złożyli oświadczeń dla prasy”.

- Tak, czytałem to, Anthony.

- Wyobrażam sobie Galindeza, płynącego w dół rzeki jak kłoda

drewna, i nie podoba mi się to - powiedział Dansk. - Wcale mi się to nie podoba. To wszystko mi się nie podoba. Nie powiedziałaś, jak to się odbyło.

- Pasquale go zastrzelił, ale prąd był cholernie wartki, nie świecił księżyc ani nic z tych rzeczy - tłumaczył się McTell. - Pomyśleliśmy sobie, że może...

- Że może co? Rozpuści się w wodzie, jak tabletki alka-seltzer? A może wydawało wam się, że w rzece są piranie i go zjedzą?

- Piranie? - McTell głupio się uśmiechnął. - Raczej, że zgnije gdzieś na dnie rzeki albo coś w tym rodzaju.

- Trupy unoszą się na powierzchni wody, McTell. Jeśli się ich czymś nie obciążą, mają tę niedobłą skłonność wypływania na powierzchnię.

Dansk westchnął i spojrzał na niebo. Było tak wysoko i było takie błękitne. McTell działał na niego jak kawałek kryptonitu na Supermana.

- Płynie sobie w dół rzeki, a potem kto się pojawia na scenie? Spójrz tylko! Masz tu wypisane czarno na białym.

- No i co z tego?

- No i co z tego?! To tylko policjant z wydziału zabójstw i cholerna pani prokurator, której ostatnią sprawą był proces Victora Sancheza, tak? Próbuje prowadzić firmę zajmującą się dyskretnym usuwaniem niepotrzebnych ludzi. Solidną firmę. Tymczasem Galindez znika wam z oczu, porwany przez jakąś cholerną rzekę, a drobna kobieta, kalibru myszki Minnie, zmusza was do pościgu, podczas którego o mało nie pogubiliście portek.

McTell szurnął nogami po ziemi.

- Owszem, ale w końcu ją dopadliśmy, Anthony.

- Jasne. Za to ci płacą, McTell. Tylko że teraz mamy na karku tego cholernego gliniarza z wydziału zabójstw i tę dziwkę, była panią prokurator. Czuję się tak, jakby moją głową ktoś grał w kręgle, i myślę sobie: Może tak tego nie zostawia. Może coś ich zastanowi, McTell.

- Też mi problem. Nie ma sprawy, możemy ich załatwić - powiedział McTell.

- Załatwić policjanta z wydziału zabójstw i była panią prokurator, tak?

- Słuchaj, każdego można załatwić.

- Na wszystko masz jedną odpowiedź: załatwić. Jest problem, niech zginie w mroku zapomnienia.

- Na dłuższą metę to oszczędność czasu i zachodu.

Dansk próbował sobie wyobrazić, jak czułby się Einstein na dworcu autobusowym, otoczony, powiedzmy, mormonami. Co by czuł, stojąc w kolejce po hot doga z frytkami i słuchając całego tego pustego trajkotania o pokazywanych poprzedniego wieczoru w telewizji odcinkach seriali.

Spojrzał na porośniętą trawą skwerek. Z podziwem patrzył, jak urzędnicy zabierają ze sobą śmiecie. Dobrze wytresowani. Porządnicy. Pracują w pomieszczeniach, gdzie jest zakaz palenia, piją butelkowaną wodę, należą do klubów odnowy fizycznej, mają hipoteki, cieszą się wysoką oceną zdolności kredytowej. Są szanowanymi obywatelami, niezbędnymi do funkcjonowania kraju. Machina przestałaby działać, gdyby nie oni. Politycy zabiegali o ich głosy.

Stwierdził, że zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby przechodzący akurat wtedy uzbrojony bandyta otworzył do nich ogień, tak dla sportu. Ujrzał krew na trawie, białe koszule pokryte czerwonymi plamami, krzyczących ludzi starających się ukryć, całkowity chaos. Pomyślał o snajperach na dachach wieżowców i bombach w furgonetkach zaparkowanych przed budynkami urzędów państwowych, o pomyłkach na pustkowiach, którzy mają na pieńku z poborcami podatkowymi. To jest Ameryka, kraj kamizelek kuloodpornych, gdzie się nie siada tyłem do wejścia. Naród się zdegenerował.

Wstał, otrzepał ze spodni żdźbła trawy i spojrzał na McTella. Co jest takiego ze wszystkimi zabójcami, dlaczego są tak hojnie obdarzeni brutalnością, a tak ograniczeni, jeśli chodzi o pomysłuńek?

Trzeba brać to, co się trafi, pomyślał. Nie można iść do biura zatrudnienia i poprosić o morderców. McTell i Pasquale pochodzili z rynsztoków. Jedyne, co znali, to śmierć. Byli ograniczeni. Lubili zabijać, dostarczało im to emocji. To był ich zwariowany teatr.

Wyobraził sobie, jakby to było, gdyby można było kupić bilet i wejść do środka. Sceny morderstw w Blood Bijou. Ludzie rozrywani na strzępy. Prawdziwa jatka. A może podczas snu człowiek śnił o ludzkich rzeźniach i trupach wiszących na hakach głową w dół, obdartych ze skóry, wyżyłowanych i sprawionych.

Patrzył, jak McTell zerwał stokrotkę i po jednym odrywał jej płatki. Ciekaw był, czy rośliny odczuwają ból i cierpienie, czy ta stokrotka krzyczy niesłyszalnym dla ludzkiego ucha głosem. Ta myśl go zaintrygowała. Dźwięki, których nie słyhać, miejsce poza zasięgiem zmysłów.

- Zaczekamy, zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja, przekonamy się, co z tego wyniknie - powiedział. - Potem podejmę decyzję. Nie myśl sobie, McTell, że będzie jakaś premia za ten ostatni pocałunek na dobranoc.

- Nie będzie premii? - zapytał McTell.

- Nie. A jeśli ci się to nie podoba, idź na skargę do związku zawodowego.

Pierwsze, co Amanda usłyszała po powrocie do domu, to głos kobiety. Rhees był w salonie ze swoją studentką, smukłą dziewczyną z długimi, prostymi włosami koloru blond. Wyglądała, jakby zeszała prosto z reklamy szamponu. Otaczała ją złota aureola.

- Amando - powiedział Rhees - to Polly Svensen. W przyszłym semestrze pisze pracę podyplomową.

Studentka się uśmiechnęła. Amanda odwzajemniła uśmiech. Polly Svensen była, cóż, zwyczajnie oszałamiająca. Odnaczała się tym rodzajem zdumiewającej urody, na której widok serca mężczyzn zaczynają szybciej bić, a w zatłoczonych salach rozlegają się podniecone szepty. Może tylko ma trochę za długą szyję, pomyślała Amanda.

- Nie spodziewałam się zastać profesora Rheesa w domu. Chciałam tylko podrzucić swoją pracę - tłumaczyła Polly. - Słyszałam, że profesor wyjechał z miasta.

- A tymczasem co za niespodzianka! - przemówiła Amanda lodowatym tonem. - Oto i on we własnej osobie.

Polly była pełna fałszywej skromności. Wiedziała, że jest zjawiskowo piękna. Szczupła, metr osiemdziesiąt wzrostu, jasnoniebieskie opięte dżinsy i krótka biała bluzeczka, ukazująca jej mały, zgrabny pępek. Wiedziała, że gdziekolwiek się pojawiła, wywoływała sensację.

Rhees spojrzął z ukosa na Amandę i powiedział:

- Właśnie omawialiśmy rolę przyrody w twórczości Dylana Thomasa.

- Ciekawe - zauważyła Amanda. Rhees miał dostęp do niewyczerpanego źródła dziewcząt. Spotykał się z nimi indywidualnie w swoim gabinecie, jak to mieli w zwyczaju adiunkci. Na ogół nie czuła się zagrożona przez te akademickie *tête-à-tête*, ale dziś zbyt dużo na nią spadło i czuła się bezbronna.

- „Ta siła, która przez zielony lont prze kwiaty”¹ *et cetera* - powiedziała.

¹ Fragment wiersza Dylana Thomasa w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

- Właśnie - ucieszyła się Polly. - Jest pani obeznana z Dylanem. Z Dylanem. Polly należała do osób, które są po imieniu ze zmarłymi poetami.

- Kilka wersów, to wszystko - wyjaśniła Amanda.

- Wart jest większej uwagi - powiedziała Polly. - Jest u niego to naprawdę cudowne, głęboko tkwiące umiłowanie natury. „Przy śpiewkach domu i tak szczęśliwy, jak zielona jest trawa”, zna to pani?

- A cały czas myślałam, że pisał o waleniu konia.

Śmiech Polly był charakterystyczny. Prawdopodobnie ktoś jej kiedyś powiedział, że jest wdzięczny, śmiała się więc przy każdej okazji.

Rhees wstał zza stołu i chrząknął. Lekkim ruchem głowy dał do zrozumienia, że chce przez chwilę porozmawiać z Amandą na osobności. Skierował się do kuchni, Amanda poszła za nim. Zamknął drzwi i stanął ze skrzyżowanymi rękami.

- Jesteś niegrzeczna - stwierdził.

- Naprawdę?

- Dobrze o tym wiesz. - Rhees wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. - To do ciebie niepodobne, Amando.

- No cóż. - Wzruszyła ramionami.
- O świcie wymknęłaś się z domu, nie mówiąc, dokąd idziesz.

Zresztą i tak się domyśliłem.

Amanda otworzyła drzwi spiżarki i zaczęła w niej grzebać.

- Myślałam, że mamy grahamki - powiedziała. - Polly może mieć ochotę coś przekąsić.

- Zbyteczna ironia - zauważył Rhees.

Amanda głośno zatrzasnęła drzwiczki szafki.

- Jest młoda i przypomina jakąś boginkę. Włosy sięgają jej do pasa. Na rany Chrystusa, z jakiej ona jest planety?

- Chodź tu. - Rhees rozłożył ręce, Amanda przypadła do niego i zamknęła oczy.

Rhees, jej przystań.

- Polly to głupia gąska, ty jesteś bliższa memu ideałowi.

- Jak mogę być czymkolwiek ideałem? Spójrz tylko na mnie.

- Amando, coraz bardziej mi się podobasz. Postawiłem cię na piedestale.

- Jestem za ciężka na piedestał. Czuję się gruba i niemrawa. A teraz jeszcze to. - Przeciągnęła ręką po swoich ciemnych włosach, pozwalając, by przesypały się między palcami. - Nie znaleźli Isabel, John. Szukali i szukali, ale na próżno.

- Może... - zaczął.

- Może co?

- Wciąż gdzieś tam jest.

Amanda przypomniała sobie ziarenka piasku wilgotne od krwi. Rhees próbował za wszelką cenę dodać jej odrobinę otuchy, choć fakty świadczyły o tym, że sytuacja jest beznadziejna. Był niezadowolony w wyszukiwaniu we wszystkim dobrych stron. Boże, błagam, pozwól, by to była jedna z tych dobrych stron. Niech Isabel żyje.

Rhees pocałował ją w czoło.

- Pozwolę Polly skorzystać z mojej mądrości, co powinno zająć wszystkiego siedem, osiem minut, i zaraz potem jedziemy na północ. Jak ci się to podoba? - Skierował się do drzwi kuchennych. - Póki pamiętam, dzwonił jakiś dziennikarz z „Phoenix Gazette”. Chciał wiedzieć, czy masz coś do powiedzenia na temat Galindeza.

- Mam nadzieję, że mu powiedziałaś, że nic nie wiem.

- Niczego ze mnie nie wyciągnął.

Rhees wyszedł z kuchni.

Amandę bolała głowa, paliła ją zgaga i czuła się ogólnie chora, rozbita, jakby jej układ odpornościowy zastrajkował. Wyjrzała przez okno na ogród. Zaniedbana trawa rosła długimi, wystrzępionymi, brązowymi źdźbłami, motyle krążyły tu i tam, przysiadając, gdzie im przyszła ochota.

Przez jakiś czas je obserwowała i myślała o Isabel. Nie mogła wyrzucić jej z pamięci. Nie mogła od niej uciec, jak jeden z tych ruchliwych motyli.

Poszła do łazienki, otworzyła szafkę i zaczęła grzebać pośród licznych buteleczek. Przywitaj się z dawnymi znajomymi: żeń-szeń, cynk w kapsułkach, żelazo, cały wachlarz witamin z grupy B, czo-snek w drażetkach, witamina C forte, jakieś środki przeciwbólowe. Cały arsenał. Wysypała tabletki na dłoń, wsadziła do ust i połknęła, popijając wodą z kranu.

Potem sięgnęła do kieszeni dżinsów, wyciągnęła plastikową spin-kę do włosów Isabel Sanchez i zaczęła się jej uważnie przyglądać. Błysnęła w promieniach słońca, wpadających przez okno do łazienki. Podobno są na świecie ludzie, którzy potrafią odnaleźć zwłoki czło-wieka, dotykając przedmiotów do niego należących, ale ona się do nich nie zaliczała.

Należała do osób konkretnych, a nie mistyków.

Jakiś czas krążyła po kuchni, nim zadzwoniła do biura numerów i zapisała telefon, który jej podano. Następnie go wykreśliła.

Odebrał mężczyzna, który się przedstawił jako Donald Scarfe.

- Don, mówi Amanda Scholes - powiedziała.

- Ach, Amanda - ucieszył się Scarfe. - Kopę lat. Co u ciebie nowego?

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Znasz drogę - odparł Scarfe.

Amanda odłożyła słuchawkę. Wyszła z kuchni tylnymi drzwiami, żeby Rhees jej nie zobaczył. Nie ucieszy się z tego podstępu.

Okno gabinetu Donalda Scarfe'a w zakładzie we Florence wychodziło na majaczące w oddali na pustyni góry. Ale tuż w dole rozciągał się inny widok: ogrodzony dziedziniec, wieże strażnicze, drut kolczasty, wysokie mury.

Dziedziniec był pusty. Amanda spojrzała w dół i zobaczyła cienie na betonie. Wieże strażnicze ją deprymowały. Strażnicy z karabinami, stojący w cieniu. Zakład penitencjarny był groźnym miejscem, gdzie w powietrzu czuło się przemoc.

- A więc sądzisz, że zlecił, by ich zamordowano - powiedział Scarfe.

- Wszystko na to wskazuje, Don.

Donald Scarfe był wysoki i chudy, twarz miał pomarszczoną i wysuszoną od nadmiaru słońca. Zawsze przypominał Amandzie zmurszały słup ogrodzenia na skraju spieczonej prerii. Miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i turkusową apaszką pod brodą, bardziej przypominał czyjeś wyobrażenie kowboja w średnim wieku, biorącego udział w rodeo, niż naczelnika więzienia.

Amanda podeszła do dystrybutora wody, stojącego w kącie gabinetu Scarfe'a, i napełniła kubeczek jednorazowy. Wypiła duszkiem.

- Mogę zapalić?

Scarfe wskazał tabliczkę z napisem „Palenie wzbronione”.

- Przykro mi.

- W porządku. I tak coraz częściej czuję się jak trędowata. - Zgniotła kubeczek i wrzuciła go do kosza. Przez chwilę przyglądała się Scarfe'owi. W ciągu ostatnich paru lat spotkała go kilka razy na rozmaitych seminariach poświęconych polityce penitencjarnej i strategiom zapewniającym przestrzeganie prawa, odpowiadało jej jego liberalne podejście, kontrastujące z przeważającymi opiniami o konieczności surowego traktowania więźniów. Wsadzić ich do cholerych namiotów, niech się pocą, karmić świńskimi pomyjami.

- Nie mam nic przeciwko tym odwiedzinom - powiedział. - Nie wiem tylko, czego po nich oczekujesz.

- Nie oczekuję spowiedzi - oświadczyła.

- W takim razie czego chcesz się dowiedzieć?

- Nie wiem - przyznała.

- Myślisz, że potrafisz go zrozumieć, tak?

- Nie jestem pewna, Don. Czy ostatnio ktoś go odwiedzał? Miał jakichś gości?

- Nikt mu nie składa wizyt, Amando.

Amanda spojrzała na zegarek. Było wpół do czwartej. Pamiętała, co powiedział Willie Drumm. „Z pewnością zwał się nam na kark federalni zajmujący się Programem. Prawdopodobnie pojawią się też faceci z Ministerstwa Sprawiedliwości”. Dlaczego więc jeszcze nikt nie było? Pierwsza informacja Bascombe'a do Arlington, dotycząca Galindeza, wyszła dwadzieścia cztery godziny temu. Druga musiała zostać odebrana dziś koło południa czasu wschodniego. A co powiedział sam Bascombe? „Z całą pewnością będą działali szybko”.

Biurokraci. Siedzieli beczynn timer, kiedy płonęły miasta. Przekładali papierki, kiedy wybuchały wulkany. Może nadal studiowali fakty od Bascombe'a. A może już kogoś tu wydelegowali. Nie wiedziała.

- Czujesz się na siłach? - spytał Scarfe. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś nie była w najlepszej formie.

- Jechałam w upale - usprawiedliwiła się.

Scarfe wzruszył ramionami i podniósł słuchawkę jednego z dwóch telefonów stojących na biurku. Nacisnął guzik i powiedział:

- Chuck, przyprowadź do sali widzeń więźnia numer osiemdziesiąt osiem sześćdziesiąt, dobrze? Ma gości. Chcę, żeby podczas rozmowy w pokoju był obecny uzbrojony strażnik.

Scarfe odłożył słuchawkę. Otworzył szufladę i wyciągnął mały laminowany kartonik z napisem „Gość”. Amanda przypięła go do koszuli.

- Pójdę z tobą - powiedział Scarfe. - Muszę cię jednak ostrzec. Od początku sprawa kłopoty. Zaatakował współwięźnia śrubokrętem, czego oczywiście nie można udowodnić, ponieważ nikt nic nie widział. Przebił mu jedno płuco.

- Jest uroczy - stwierdziła.

- A w zeszłym tygodniu podpalił celę innego więźnia. Uważał, że to zabawne.

- Oryginalne poczucie humoru.

- Z całą pewnością to czarny humor. Przypuszczam, że kiedy się jest tam, dokąd trafił, wszystko przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Wyszli z gabinetu i znaleźli się w długim, chłodnym korytarzu. W jego połowie Amanda się zatrzymała. Była na rozstaju dróg, mogła jeszcze wybierać. Mogła się rozmyślić, odwrócić na pięcie, wrócić do samochodu, odjechać i zostawić wszystko własnemu biegowi.

Ruszyła przed siebie.

Przeszła przez most i spaliła go za sobą, dym miał słodko-gorzki zapach. Wydawało jej się, że wyczuła w nim dziwną woń niepokoju, że znajdzie się w towarzystwie więźnia numer osiemdziesiąt osiem sześćdziesiąt.

W pokoju widzeń, w którym był stół, kilka krzeseł i lustrzana szyba, odgradzająca sąsiednie pomieszczenie służące do obserwacji, pachniało woskiem do podłogi. Pod sufitem wisiała pojedyncza świetlówka. Amanda ucieszyła się na widok popielniczki stojącej na stole i natychmiast zapaliła papierosa.

Drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Victor Sanchez, prowadzony przez uzbrojonego strażnika o okrągłej głowie i wydatnych szczękach, który zajął miejsce w kącie. Sanchez wolno, bo ruchy krępowały mu łańcuchy na nogach, podszedł do krzesła i usiadł naprzeciwko Amandy.

- Pani prokurator! - powiedział. - Życie jest pełne niespodzianek.

Miał na sobie luźny więzienny drellich. Był smagły, muskularny, przystojny, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, długie, zawinięte rzęsy i oczy koloru bezkسیężycowej nocy. Dziewczyny dla tych oczu traciły głowy. Tak jak Isabel.

- Papierosa? - Amanda popchnęła paczkę przez stół. Ręce jej się trochę trzęsły, próbowała opanować drżenie.

- Pozbyłem się tego nałogu - powiedział. - To wizyta towarzyska czy co?

- Nie, nie towarzyska. - Isabel, mówiąc o swym byłym mężu, często używała imienia Ángel, wymawiając je Anyel. Wymagało

sporego wysiłku dopatrzenie się w Sanchezie czegokolwiek anielskiego. Został utkany z ciemności, był tworem patologicznej wyobraźni. Gdyby miał skrzydła, uniosłyby go one do ponurych rejonów stworzonych przez niego samego. Niebiańskie zakątki nie leżały na szlaku Ángela.

Amanda spojrzała na strażnika, który miał wypisane na plakietce nazwisko: Holland E. Gapił się na gołą ścianę.

- Jak więzienne życie? - spytała.

- Mamy niezły ubaw. Kibluje tu kilku prawdziwych szajbusów. Skończonych kretynów. - Sanchez obrzucił ją przeszywającym spojrzeniem. Postanowiła wytrzymać jego wzrok i nie mrugnąć, chociaż przypomnieli jej się pogranicznicy, których zamordował Sanchez. Kazał im uklęknąć, a potem zabił ich strzałami prosto w otwarte usta. Wiedziała o tym z zeznań Galindeza, którego wykrętne zachowanie w sądzie uczyniło mniej wiarygodnym świadkiem od Isabel. Sanchez kazał strażnikom błagać o litość, a potem i tak ich zastrzelił. Jak parę baranków. Wszędzie była ich krew.

- Przypuszczam, że niezbyt tu przyjemnie - powiedziała. - Odwoływałeś się od wyroku?

- Odwołuję się na wszelkie sposoby. - Doskonale się bawił. Miał zabójczy uśmiech. Z taką sylwetką i śniadą cerą mógł być jeszcze jednym świecidełkiem na choince. W innych okolicznościach stanowiłby ideał latynoskiej urody, gdyby na przykład dumnie kroczył wąskim chodnikiem w białym płóciennym garniturze i dwubarwnych butach.

- A tak w ogóle po co pani tu przyjechała? - spytał. - Porozmawiać o moim wyroku? Ejże, a może ma pani w kieszeni ułaskawienie? Ma pani świstek od gubernatora czy jak?

- Żadnego ułaskawienia, Victorze. Tylko kilka znaków zapytania.

- Niby ja jestem tym znakiem zapytania?

- Powiedz mi, jak do nich dotarłeś.

- Do kogo? Jest pani bardzo tajemnicza.

- Przypuszczam, że nie masz pojęcia, o czym mówię?

Sanchez położył rękę na udzie.

- Lubię zgadywanki. Mam taką książkę z łamigłówkami i rysunkami, gdzie trzeba połączyć kropki, by otrzymać pieprzonego osła czy orła. Rozwiązuję krzyżówki. Muszę przyznać, że to cholernie zajmujące.

- Nie mam na myśli krzyżówek - powiedziała.

- Wiesz, co o tobie myślę, paniusiu?

Amanda pokręciła głową.

- Nie potrafię czytać w cudzych myślach.

Sanchez przesunął rękę po udzie.

- Jesteś porządna, trochę wyniosła. Ale gorąca w wyrze. O, tak!
- Zamachał ręką, jakby sobie poparzył palec.

- Grasz, Victorze. Ja nie żartuję.

- Ile ma pani lat? Czterdzieści parę? Trzydzieści z hakiem? Kobieta w najlepszym wieku, dojrzała i gotowa do zerwania.

- Czy to ten numer, w którym łapiesz się za krocze? - spytała.

- Obserwowałem panią na sali sądowej. Przyglądała mi się pani.

- Przeważnie z pogardą.

- Mam to w dupie.

- Może cię to zdziwi, ale nie postrzegam cię jako daru niebios.

- Wie pani, ile kobiet przeleciałem w życiu? Z półtora tysiąca.

- Założę się, że masz od wszystkich listy polecające.

- Nie narzekały. Większość z nich wracała po dokładkę, niektóre krzyczały z rozkoszy.

- Ale przypuszczam, że nie wtedy, kiedy ucinałeś im brodawki.

Sanchez prychnął.

- Wierzy pani w bajeczki tej cipki? Wkroczyła na salę niczym Madonna, usiadła, ale za każdym razem, kiedy otwierała usta, kłamała.

- Oczerniła cię, co?

- Obsmarowała mnie - poprawił ją.

Amanda przez chwilę milczała. Sanchez sprowadził rozmowę na manowce, a ona mu na to pozwoliła. To nie miało żadnego związku ze sprawą.

- Wróćmy do tematu, Victorze.
- Przypominam, że to pani jest taka tajemnicza.
- To ty zaczęłaś mówić o zagadkach. Ja zapytałam, jak ci się to udało.

- Już to słyszałem. Niby co mi się udało?
- Z Galindezem. Z twoją była żoną. Wiesz, o czym mówię.
- Para pieprzonych żmij - stwierdził.
- Jak do nich dotarłeś, Victorze?
- Jak dotarłem?
- Jak doprowadziłeś do ich, zamordowania?

Sanchez odsunął krzesło.

- Zamordowania? Mówi pani, że nie żyją?
- Galindez z całą pewnością. Zabity strzałem w serce. Isabel być może. Oto co mówię.

Sanchez przechylił głowę do tyłu i wlepił wzrok w sufit. Poruszył nogami i łańcuch zadzwonił. Roześmiał się, potem znów zgarbił się na krześle, ręce zwisały mu po bokach, twarz miał poważną.

- Co to znaczy, że Isabel być może?
- To, co powiedziałam. Isabel być może.
- Niech mi to pani wyjaśni.
- Może twoim ludziom się z nią nie udało, jeszcze nie wiem. - Mała nadzieja, pomyślała, ale czasem człowiek czepia się takiej myśli, ponieważ na przekór wszystkiemu chce w nią wierzyć.

- Moi ludzie? Znaczą się kto?
- Faceci, których wynajęłaś. Jak to załatwiłaś? Oto co chcę wiedzieć.

- Załatwiłem? Naprawdę tak pani myśli?
- Takie jest moje przeświadczenie, Victorze.
- Proszę mnie posłuchać, siedzę w kiciu i rozwiązuję te pieprzone zgadywanki w książce. Przebywam w odosobnieniu.
- Jakoś komuś przekazałaś wiadomość - powiedziała.
- To jasne, tak samo jak zamawiam pizzę i dzwonię po dziewczynki.

Podparł się na łokciach i zaczął się jej przyglądać. Zmieszana spojrzeniem jego czarnych oczu, przez chwilę milczała. Sanchez miał kłamstwo we krwi. Prawdopodobnie uważał prawdomówność za objaw słabości.

- Pragnąłeś się zemścić - powiedziała. - Miałeś motyw, Victorze.

- Pewnie, że chciałem się zemścić. Siedzę w celi i kiedy nie łączę tych cholernych kropek, obmyślam dla nich różne rodzaje powolnej śmierci w męczarniach. Nie powiedziano mi, że marzenia to też przestępstwo. Co pani zamierza? Jeszcze raz skazać mnie na śmierć?

- Byli objęci Programem Ochrony Świadców, Victorze - oświadczyła. - Jak więc do nich dotarłeś?

- Ma pani poważne problemy ze słuchem.

Co można wywnioskować z wyrazu twarzy Sancheza? Co można wyczytać z jego ruchów?

Wyciągnęła z pudełka papierosa i przypaliła zapalniczką. Niczego się tutaj nie dowie. Patrzyła, jak Sanchez bębni palcami w stół, i odnosiła wrażenie, że stara się trzymać w ryzach olbrzymią energię, która w każdej chwili mogła się wymknąć spod kontroli.

- Dla dobra sprawy zróbmy to mało prawdopodobne założenie i wyobraźmy sobie, że tego nie zrobiłeś - powiedziała. - Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

Wzruszył ramionami.

- Nie.

- Postaraj się, Victorze.

- Czego pani ode mnie chce?

- Prawdy.

- Powiedziałem prawdę.

- Ciekawe, dlaczego tego nie kupiłam.

Sanchez uśmiechnął się do niej. Dostrzegła w jego oczach przebiegłość, może nawet poczucie winy, a może był jedynie lustrem, w którym się widzi to, co się chce zobaczyć.

- Mówi pani, że to zrobiłem. Dobra, nie będę się spierał. To pani jest mądra, a ja jestem tylko pospolitym kryminalistą, nędznikiem. - Dał jej znak, by nachyliła się bliżej, jakby chciał jej powiedzieć coś w zaufaniu. Pochyliła głowę i przysunęła krzesło do stołu. Była świadoma jego przytłaczającej obecności fizycznej, sposobu, w jaki się prezentował. Wyobrażała sobie, jak kobiety się na to nabierały. Patrzyły Sanchezowi w oczy i nie widziały w nich nic poza miłością i morskimi rejsami, i wietrzykiem, rozwiewającym szyfon, i długimi godzinami seksu, czasem delikatnego, czasem ostrego, w domku na plaży.

Podniósł rękę i lekko musnął palcami jej usta. Nie poruszyła się, nie odwróciła wzroku. Pachniał tanim więziennym mydłem. Jego dotyk mógł podniecać jakiegoś podlotka, jakąś naiwną dziewczynę w rodzaju Isabel czy półtora tysiąca innych, którymi się chelpił. Czuliła, jak jej się jeżą włosy na karku, chociaż wiedziała, jakie to ważne, by się od niego nie odsunąć, by zgodzić się na jego warunki, bez względu na to, jakie są. Potem rozchylił jej usta i dotknął zębów. Miał długie palce. Tymi samymi palcami przytknął żyłkę do piersi Isabel. Nie zapominaj o tym. Miała nadzieję, że cierpiał w swej celi. Miała nadzieję, że czasami ogarniał go strach. Chciała, żeby męczyły go koszmary senne. Chciała, żeby widział siebie przywiązanego pasami do noszy, wiezionego do sali straceń, żeby widział, jak podłączają mu kroplówkę, jak śmiertelna mieszanka dostaje się do jego krwioobiegu, a potem do widzenia, idź sobie z Bogiem!

Utrzymywanie kontaktu wzrokowego męczyło ją, nagle znów się znalazła w tej obrzydliwej sali sądowej, głowa jej pękała, nos miała zatkany, uderzenia sędziowskiego młotka odbijały się głuchym echem.

- Słuchaj no, mogłabyś niby niechcący upuścić coś na podłogę, a kiedy się schylisz, by to podnieść, być może znalazłabyś jakiś sposób zabawienia mnie - szepnął do niej. - Wtedy niewykluczone, że wyznam wszystko, co chcesz wiedzieć...

- Ejże, Romeo, żadnego dotykania - zwrócił mu uwagę strażnik.
- Znasz regulamin.

- Tak jest, panie Holland. - Sanchez wolno cofnął rękę. Zachowywał się jak ktoś, kto ma wszystko w nosie, kto gwizdże na wszelkie autorytety, na cały świat.

Amanda szybko wstała, podeszła do lustrzanej szyby i skrzyżowała ramiona. Ciągle jeszcze czuła dotyk jego palców. Potrafi cię omotać, nawet mimo że nim gardzisz. Przesunęła wierzchem dłoni po ustach - był to akt oczyszczenia, wypędzenia diabła. Ale czuła lekki niepokój, Sanchez wyprowadził ją z równowagi, podobnie jak ta dziwna, niechciana bliskość. Jego szept. Jego władczość. Upuść coś, uklęknij, zabaw mnie, kiedy będziesz pochylona.

Przeszła wokół stołu.

- Nie muszę odpowiadać na żadne pytania - powiedział. - Zresztą co będę z tego miał? Pół godziny ćwiczeń na dziedzińcu, może własny telewizor z pilotem? Też mi coś. Może poda mi pani jeden dobry powód, dlaczego miałbym pomóc. To pani wsadziła mnie do pierdła.

- Sam się tu wsadziłeś, Victorze. Ja tylko zrobiłam to, co do mnie należało.

- Tak, tak, to, co należało. Narzędzie sprawiedliwości. Suka z zawiązanymi oczami. Idź do diabła! - Sanchez patrzył na nią, próbując ją sprowokować.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, ale teraz nie mogła znieść jego spojrzenia, ponieważ patrzył na nią twardo i bezlitośnie. Wyobrażała sobie, że miał taką samą minę, kiedy zabijał tamtych pograniczników.

Odwróciła się.

- Spróbujmy, czy uda nam się razem ułożyć scenariusz, Victorze. Założmy, że udało ci się uzyskać jakieś informacje. Dotarłeś do kogoś z Programu Ochrony Świadców. Powiedzmy, że zaproponowałeś taką kwotę, że ten ktoś nie mógł się oprzeć pokusie. W zamian dowiedziałeś się, gdzie przebywają Galindez i Isabel.

- I udało mi się tego dokonać z mojej pieprzonej celi bez telefonu? - zapytał.

- Zorganizowałeś to wszystko przed procesem. Załatwiłeś to, zanim zapadł wyrok.

- Rany, kobieto, niby jakim cudem?

- Nie wiem, ale jestem już bliska rozwiązania zagadki, Victorze. Jestem na tropie. Czy to jasne?

Sanchez nagle się roześmiał, po chwili jego śmiech ucichł, a wyraz twarzy stał się lodowaty. W jednej sekundzie potrafił się zmienić nie do poznania. Znów na niego spojrzała, ale nadal trudno było wytrzymać jego wzrok, ponieważ wydawało się, że otacza go jakieś pole elektryczne, i jeśli dobrze nastawić uszu, można było usłyszeć cichutki brzęczyk ostrzegający przed niebezpieczeństwem.

Wstał i dał znak strażnikowi.

- Holland, mam tego dosyć. Zabierz mnie stąd.

- Zaczekaj - poprosiła.

- Na co? Szkoda mi czasu. Zastanawiała się, jak ktoś z takim wyglądem może być takim potworem. To tylko pozory. Wystarczy zajrzeć trochę głębiej, a natrafi się na czarne serce, mroczną otchłań.

- Nikt poza tobą nie miał motywu, Victorze - powiedziała.

- Powinna pani wiedzieć, że motyw to za mało.

- Tylko ty go miałeś - powtórzyła.

Przez chwilę patrzył w sufit, a potem skoczył. Nie spodziewała się tego, podobnie jak strażnik. Chociaż łańcuchy krępowwały mu ruchy, Sanchez zaatakował ze zdumiewającą zręcznością. Z całej siły rąbnął Hollanda bykiem w twarz. Amanda usłyszała chrzęst łamanej kości i zobaczyła, jak Holland osuwa się na ziemię; z nosa trysnęła mu krew. Sanchez odwrócił się szybko i brutalnie przyparł ją do ściany; a potężnym ramieniem zaczął dusić niczym żelazną sztabą. Gdzieś w budynku rozległy się dzwonki alarmowe. Słyszała je niewyraźnie, ponieważ stalowy uścisk ręki Sancheza sprawiał, że nie mogła zaczerpnąć powietrza, w głowie jej szumiało. Okładała go

pięściami po twarzy, ale nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia. Uśmiechał się z miną... Perfidnego zadowolenia? Jakiejś przewrotnej satysfakcji? Zbliżył do niej twarz, niemal dotykał jej ustami. Jego oddech miał zapach pasty do zębów. Zdawała sobie sprawę, że ich kolana się stykają, że napiera na nią całym ciałem. Czarne plamy migotały jej przed oczami.

- Oto nadchodzi jedno nieszczęście za drugim, moja pani - szepnęła. - Słyszała to pani kiedyś? Dwoje już załatwionych, reszty może się pani sama domyślić. Proszę o tym pamiętać.

Holland doszedł do siebie i wyciągnął broń z kabury. Całą twarz miał we krwi.

- Ty sukinsynie! - powiedział i rąbnął Sancheza w tył głowy, ale mimo uderzenia wyraz twarzy Sancheza nie uległ zmianie. Uśmiech miał przyklejony do ust, straszny i okrutny. Do pomieszczenia wbiegło jeszcze kilku strażników, trzech czy czterech potężnych chłopów. Jeden z nich odciągnął Sancheza od Amandy, drugi zaczął go okładać pałką po żebrach. Sanchez osłonił głowę rękami, upadł na podłogę i zwinął się w kłębek. Strażnicy obstąpili go, dali mu kilka kopniaków, a potem podnieśli z ziemi. Kiedy podtrzymywali jego bezwładne ciało, spojrzał na Amandę, która łapczywie chwytiała powietrze, próbując ochłonać.

- Pamiętaj - powiedział.

Patrzyła, jak go wyprowadzają z pokoju. Słyszała brzęk i dzwonienie łańcuchów, a także jego śmiech, a potem szybkie uderzenie pałki, po którym na korytarzu zaległa cisza.

Pojawił się Donald Scarfe.

- Jezu, nic ci nie jest?

- Podejrzewam, że to tylko szok - powiedziała. Zakaszła kilka razy, zasłaniając usta dłonią.

- Potrzebna ci pomoc lekarska? Zaraz kogoś poproszę.

Pokręciła głową. Czuła się tak, jakby nogi miała z waty.

- Nic mi nie jest.

- Byłem w sąsiednim pomieszczeniu - powiedział Scarfe. - Wszystko stało się tak szybko. Nigdy nie powinienem się zgodzić na to...

- Don, wszystko w porządku, nic mi nie jest. - Kłamała. Oparła się o stół, dygocąc, czuła zawroty głowy, oddech miała przyspieszony. Ale zapaliła papierosa. Wyobrażała sobie dym krążący w jej płucach, jakby oglądała się podczas prześwietlenia rentgenowskiego.

- Słyszałeś, co powiedział na samym końcu? - spytała.

- Mówi różne rzeczy, żeby zamącić ludziom w głowach.

- Oto nadchodzi jedno nieszczęście za drugim. Słyszałeś to.

- Potraktowałbym to z dużą dozą sceptycyzmu, Amando.

Dwoje załatwionych, pomyślała. Oto nadchodzi jedno nieszczęście za drugim. Znasz dalszy ciąg. Zobaczyła białą rękę Galindeza z sygnetem z rubinem, krew Isabel i jej tanią różową spinkę do włosów i wyobraziła sobie siebie, leżącą na stole w laboratorium korynara, i Rheesa, dokonującego identyfikacji jej zwłok. Oto nadchodzi jedno nieszczęście za drugim...

Światłówki na korytarzu brzęczały. Czuła się, jakby brzęczały w jej głowie.

- Co teraz? - spytał Scarfe.

Co teraz? Sama nie wiedziała. Była rozpalona, skonana, czuła coś jeszcze, coś nowego, strach. A musiała jechać do domu w bezlitosnym słońcu, w świecie, który nagle się zatrząsł i rozleciał na kawałki. Spojrzała na Scarfe'a, ale nic nie powiedziała. Myślała o zapachu oddechu Victora Sancheza, wciąż czuła jego ciężkie jak z ołowiu ramie, niepozwalające jej oddychać. I w kółko słyszała jego słowa.

Dansk siedział w samochodzie zaparkowanym w ślepej uliczce i patrzył na dom. W takich zaułkach niedobrze prowadzić obserwację. Osiem budynków po obu stronach i jeden na końcu, ruch na ogół niewielki. Nieznajomy siedzący zbyt długo w zaparkowanym samochodzie zanadto się rzucał w oczy. Ktoś może zapisać numer rejestracyjny, a nawet zadzwonić na policję.

Na wszystkich szybach widział małe żółte lub niebieskie nalepki agencji ochrony. Niektóre okna były zakratowane, inne miały stalowe żaluzje. Takie okolice to raj dla handlarzy strachem sprzedających najrozmaitsze systemy zabezpieczeń.

Danska interesował ostatni budynek po lewej stronie. Zaparkował po przekątnej. Był to jedyny dom z zapuszczonym ogródkiem od ulicy. Potrzeba trochę więcej troski, trochę dumy. Należy myśleć o sąsiadach, o ogólnym wyglądzie ulicy, o wartości działek.

Spojrzał na zegarek. Postanowił zostać najwyżej dwadzieścia minut, sterceć tu dłużej byłoby szaleństwem, nawet dwadzieścia minut to spore ryzyko.

Miał plik faktur nieistniejącej firmy farmaceutycznej i zaczął piórem odhaczać poszczególne pozycje, starając się sprawiać wrażenie zajętego sprzedawcy czy posłańca, odrabiającego zaległości papierkowe.

Ludzie są dziwni. Widząc obcego człowieka z plikiem jakichś dokumentów, będą traktować go jak kogoś niegroźnego, wykonującego jakieś oficjalne zajęcie, nie zwrócą na niego większej uwagi.

Zadzwoił telefon komórkowy.

Pasquale miał głos jak ktoś, komu podano do wdychania hel: piskiwy, trochę zachrypnięty.

- Nadjeżdża, Anthony. Będzie za jakieś dwie minuty.

- Dobra. - Dansk się rozłączył i czekał. Zobaczył samochód skręcający w uliczkę. Wóz minął go i zatrzymał się na podjeździe domu z zarośniętym ogrodem.

Zobaczył ją, jak wysiada.

Miała granatową koszulę i dżinsy. Przesunęła dłonią po ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach. Była trochę rozkojarzona. W połowie ścieżki przystanęła, zerwała liść eukaliptusa i zaczęła go wąchać, jakby to były jakieś rzadkie perfumy. Danska intrygowały twarze ludzi. Na przykład ta kobieta. Nie była atrakcyjna w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. A jednak na swój sposób ładna, z mocno zarysowanymi szczękami i nieco puciołowatymi policzkami. Nie była w jego typie. Miała duży biust, a Dansk wołał małe piersi u kobiet. Lubił dziewczyny kościste, kanciaste, o chłopięcych biodrach. Poza tym uważał, że jest stara. Wołał osiemnastki, siedemnastki. A ona miała ile? Czterdzieści?

Ale nigdy nic nie wiadomo. Nie wyrzuciłby jej z łóżka. Dla odmiany dobrze byłoby przelecieć cymbałkę.

Więcej uśmiechu, pomyślał. Odrobina makijażu, nowa fryzura, nieco koloru - na przykład sjena albo coś odważnego i jaskrawego. Blond z różowymi pasemkami. Wtedy niejedną by się za nią obejrzał.

Powinna zwrócić większą uwagę na to, jak się trzyma. Zbyt wiele lat siedziała przygarbiona nad książkami prawniczymi, wyszukując precedensy. Wyprostuj się, zdobądź się na trochę elegancji, wyrzuć

niebieskie džinsy, a w granacie zdecydowanie ci nie do twarzy. Podkreśl to, co w tobie najlepsze. Masz zgrabny tyłeczek. Zazwyczaj kobiety w tym wieku mają obwisłe pośladki, ale jej prezentowały się całkiem całkiem.

Pomyślał: nie chcę ci komplikować życia, więc mnie do tego nie zmuszaj. Jesteś prawdopodobnie inteligentna, zaangażowana, oddana idei. Nie poświęcaj się niesłusznym sprawom.

Oparł się o kierownicę, obserwując kobietę. Znów się zatrzymała, jakby się ociągała z wejściem do domu. O co chodzi? Niezdecydowanie?

Zapomniała kluczy?

W drzwiach pojawił się jakiś facet.

Zaskoczyło to Danska, ponieważ sam nie wiedział, dlaczego założył, że w środku nie ma nikogo. Mężczyzna był wysoki i szczupły. Czarne džinsy, biała koszula, gęste, ciemne włosy siwiejące na skroniach. Powiedział coś do kobiety. Potrząsnęła głową. Dansk wyczuł jakiś konflikt. Facet zrobił kilka kroków w jej stronę. Kobieta się nie poruszyła.

Co to za jeden? Kochanek?

Z jednej strony może to utrudnienie, z drugiej może nie ma żadnego znaczenia. Zależało to od kobiety. Wszystko od niej zależało.

Objęli się, naprawiali to, co się popsło między nimi. Dansk widział, jak mężczyzna zsunął rękę na jej biodra. Oznaka bliskiej poufności. Dansk był ciekaw, jak kobieta się śmieje. Wyobrażał sobie, że zmysłowo i szczerze. Taki śmiech czasem się słyszy na zatłoczonych przyjęciach, na chwilę przykuwa uwagę swą serdecznością, zyczliwością.

Dansk nigdy nie chodził na przyjęcia, nikt go nie zapraszał.

Widział, jak mężczyzna otacza kobietę ramieniem i całuje. Weszli do domu - wyobrażał sobie, że skierowali się do sypialni. Ujrzał porzucane ubrania, splecione ciała, wybuch namiętności, poczuł zapachy miłości.

Opuścił zaułek. Minął centrum Scottsdale, skręcił z głównej arterii i znalazł się na ulicy z galeriami sztuki. W oknach wystawowych wisiały płótna o wygórowanych cenach, wszędzie były widoczne wpływy Indian, wyroby artystyczne plemion Nawaho i Hopi, paciorki i przedmioty zagrabione z rezerwatów.

Nie zatrzymywał się. Z wczesnowieczornego nieba sączyło się światło.

W końcu znalazł to, czego szukał. Był to bar o nazwie Floozies, reklamujący przedstawienia topless. Wszedł do środka i znalazł się w wielkiej ponurej sali, w której nic się nie działo - było jeszcze za wcześnie na występy artystyczne. W powietrzu unosił się zapach piwa, a podłoga była brudna. Typowe.

McTell i Pasquale zajmowali stolik blisko sceny zasłoniętej srebrną kurtyną ozdobioną nagimi postaciami dziewcząt. Dansk usiadł obok mieniących się bębnów i keyboardu Yamaha.

McTell pogładził się po brodzie i powiedział:

- Spędziła we Florence trzy kwadransy, mierzyłem czas. Pojechała tam sama. Nie zauważyłem ani śladu tego Drumma. Skierowała się prosto do mamra.

Dansk rozejrzył się za barmanem, ale nie dostrzegł go. W tym kraju nie ma już porządnej obsługi, wszędzie brak wychowania i słyhać nieszczerze „Miłego dnia”.

- Widziała się z Sanchezem - powiedział.

- Czy to źle? - spytał McTell.

- Pojechała do Florence. Z kim jeszcze mogłaby się tam spotkać? - Wyobraził ją sobie rozmawiającą z Sanchezem. Czyli że ją to zaintrygowało. Interesowała się czymś, czemu powinna dać spokój. Zbytne wścibstwo. Prawdopodobnie wrodzone. Jej świat wisiał na włosku, a ona nawet o tym nie wiedziała. Drummm nie pojechał z nią, to oznacza, że na własną rękę próbowała coś wywęszyć.

Pasquale bawił się papierową serwetką. Złożył ją raz, potem drugi i nie wiadomo kiedy powstało małe zwierzątko z papieru, które postawił na stole. Mógł to być koń albo tygrys, trudno powiedzieć. Tak czy inaczej, był solidnie wykonany. Dansk patrzył na ciemny garnitur i białą koszulę Pasquale. Mężczyzna miał mięsistą dolną wargę i jakieś siedem kilogramów nadwagi. Długie, smukłe palce i siwo-blond włosy oraz baki. Na szyi dyndał mu złoty wisiołek.

Dansk widział, jak pojawił się jakiś facet i usiadł przy perkusji. Uderzył w cymbały, a potem zaczął wyłamywać wszystkie palce po kolei. Dansk zamknął oczy. Oto siedział w tej budzie w towarzystwie zabójców, facet wykręcał sobie palce, a ten odgłos działał na niego jak zgrzytanie kredy na tablicy. Siedział w jakiejś zaplutej spelunie z tandetną kurtyną, na której wymalowano gołe dziwki. Pomyślał: Oto czym się zajmuję. Oto jak zarabiam na życie.

- Dlaczego nie zostawimy tego w cholerę i nie zmyjemy się stąd? Po co się tu jeszcze kręcimy? Powiedziałeś, że czeka kolejna robota.

Cierpliwość Danską była na wyczerpaniu.

- Musimy wiedzieć, co robi, z kim się widuje. Jak jej zachowanie może nam zaszkodzić. Informacja, Eddie. Pamiętaj, dla kogo pracujesz. Im więcej się wie, tym mniejsze ryzyko popełnienia błędu. Przypuśćmy, że teraz się rozdzielimy. Przypuśćmy, że się stąd wyniesiemy. Nie będziemy mieli pojęcia, co ona i ten gliniarz mogą zrobić za naszymi plecami, prawda? Kapujesz?

McTell skinął głową. Miał płaskie, niemal wklęsłe czoło.

- No więc widziała się z Sanchezem - oznajmił. - Co jej mógł powiedzieć? Roześmiał jej się prosto w twarz.

Dansk, wściekły na cały świat, odwrócił się do faceta przy perkusji i spytał:

- Zamierzasz tu siedzieć cały wieczór i strzelać palcami, stary?

Perkusista uśmiechnął się lekko.

- Nie podoba się coś?

- Nie podoba mi się to pstrykanie - stwierdził Dansk. - Jest irytujące.

- Tak? Masz jakiś problem?

- Wszystko będzie dobrze, jak mi zejdziesz z oczu.

Perkusista spojrział na Danska. Jeśli zamierzał mu odszczeknąć, to to, co ujrzał w oczach Danska, skłoniło go do zmiany taktyki.

- Już dobra, przepraszam. Nie ma sprawy. Usiądę w drugim końcu sali. Przepraszam.

Dansk patrzył, jak facet chyłkiem się wynosi. Świat był pełen dokuczliwych drobiazgów, nieoczekiwanych przeszkód, zbędnych utrudnień. Wszystkiego, czego nie potrzebował.

Spojrzął na Pasquale i McTella. Przyglądali mu się, czekając na instrukcje.

- Sam się nią zajmę - powiedział. - Pasquale, siedź w motelu i oglądaj kreskówki, póki cię nie wezwę.

- A ja? - spytał McTell.

- Ma jakiegoś faceta, sprawdź go. Kto to taki, czym się zajmuje. Tylko delikatnie, jeśli wiesz, co to znaczy.

- Zrobi się - powiedział McTell.

- Dobra. - Dansk wstał. Wyszedł na zewnątrz. Na niebie świecił pomarańczowy księżyc. Ruszył do samochodu. Przypomniał sobie, jak Amanda wachała liść eukaliptusa. Ciekaw był, czy mógłby zmienić bieg swego życia dzięki jakiejś pachnącej alejce.

Dziesięć mrzonki. Kiedy już raz człowiek się zdecyduje na coś takiego, nie ma odwrotu. Żyje z zabijania.

Wybrali się do francuskiej restauracji na północy Scottsdale. To Rhees zaproponował ten lokal. Lubił niedosmażone mięso, krwisty sok pływający na talerzu.

Amanda zobaczyła swoje niewyraźne odbicie w mahoniowej boazerii za głową Rheesa. Wcześniej poszli do łóżka, ale wyczuwała w nim pewną powściągliwość. Był spięty, niepokoiło ją jego milczenie. Rhees zawsze coś mówił, kiedy się kochali. Słowa, nawet szeptane w niezrozumiałym języku kochanków, stanowiły nieodłączny element seksu z nim.

- Ciągłe się gniewasz? - spytała.

- Owszem. Wymknęłaś się na spotkanie z Sanchezem, nic mi nie mówiąc.

Spojrzała na resztki ryżu z szafranem złocące się na jej talerzu.

- Zgoda, wymknęłam się. Wiedziałam, że tego nie pochwalisz, dlatego ci nie powiedziałam, że wychodzę.

- Dziel się ze mną wszystkim, to jedyne, o co proszę.

Przesunęła ręką po jego dłoni.

- John, nie prosiłam o to, co się stało.

Rhees złożył serwetkę, rzucił ją na kości jagnięce i spojrzał na Amandę.

- Dlaczego tak się tym przejmujesz?

- Bo wpadło mi prosto w ręce i brzydko pachnie.

- Ale to nie twoja sprawa. Dałaś słowo Isabel, bardzo ładnie, zasłużyłaś na podziw i uznanie. Ale przestałaś być za nią odpowiedzialna, jak tylko skończył się proces. Co twoim zdaniem powinnaś zrobić? Do końca życia trzymać ją za rękę? Może powinna się do nas przeprowadzić, żebyś mogła ją mieć na oku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Poza tym dobrze pamiętam, że miałaś jedynie porozmawiać z Bascombe'em. Wpadnę i wypadnę, to potrwa chwilę, to twoje słowa. - Na serwetce pojawiły się plamy krwi. - *À propos*, co powiedział ci Sánchez?

- Nic - przyznała. Nie opisała Rheesowi spotkania, bo wiedziała, że wpadłby w przerażenie. Bawiła się łyżką, obracając ją w kółko. Przypomniała sobie zachowanie Sancheza, przypomniała sobie szok, jakiego doznała, nie mogła odpędzić obrazów gwałtownych scen w pokoju widzeń: Sanchez przypierający ją do ściany, policjant uderzający go pistoletem w tył głowy, razy pałki.

Przypomniała sobie jego groźbę i nagle poczuła się zupełnie bezbronna. Na przykład goście w tej restauracji. Skąd mogła wiedzieć, czy nic jej nie grozi z ich strony? Na dobrą sprawę przynajmniej jeden z nich mógł być człowiekiem Sancheza, śledzącym ją, czyhającym na okazję.

Odpędziła tę myśl. Pozwoliła, by słowa Donalda Scarfe'a zadziały jak balsam. „Mówi różne rzeczy, żeby zamącić ludziom w głowach. Trochę sceptycyzmu”. Ale wciąż słyszała Sancheza. „Oto nadchodzi jedno nieszczęście za drugim”. Jak poważnie należy potraktować jego groźby?

- Lubi gierki - powiedziała jedynie.
- Spodziewałaś się czegoś więcej?
- Właściwie nie.

Rhees skinął na kelnera i poprosił o kartę deserów. Wybrał tort bezowy z gruszkami w sherry. Amanda zamówiła tylko kawę. Kelner wrócił z deserem i Rhees zanurzył łyżkę w owocach. Lubiła go obserwować, jak jadł. Było w tym tyle zapału.

- John, musimy jeszcze przejechać górę.
- Jakoś wcześniej nabrałem apetytu.
- Nie rozumiem, dlaczego nie rozmawiał z nim jeszcze nikt z Programu - zdziwiła się Amanda.
- Masz do czynienia z biurokratami.
- Ale w takiej sytuacji człowiek oczekuje natychmiastowego działania.
- Może rozmawiają z nim właśnie teraz, kiedy tu siedzimy.
- Bardzo bym chciała spotkać się z kimś, kto się zajmuje Programem - oznajmiła. - Otrzymać szczere odpowiedzi, jeśli coś takiego istnieje.
- Myślisz, że to wykonalne?
- Wszystko da się zrobić, jeśli się do tego odpowiednio zabrać - powiedziała. Wzięła swoją serwetkę i wytarła Rheesowi usta. - Został ci tu okruszek.
- Dziękuję, mamusiu.
- Mogę zażądać spotkania. Nie jestem kimś prosto z ulicy, kto wtyka nos w nie swoje sprawy. Pozostaję stroną zainteresowaną.

Wrzuciła do kawy kostkę cukru i zamieszała.

- Masz, spróbuj - zaproponował Rhees.

Przytknął łyżkę do jej ust. Posmakowała i stwierdziła, że beza jest mdląco słodka, a gruszki zbyt nasączone sherry.

- Czysty cholesterol - oświadczyła.
- Zatyka tętnice. Utrudnia dopływ krwi do mózgu i sprawia, że człowiek zaczyna myśleć ociężale.
- Czego oczywiście pragniesz.
- Wiesz, co czuję, Amando. - Poprosił o rachunek, a potem wyszedł do toalety. Długo go nie było. Kiedy wrócił, udali się na parking. Noc była gorąca, ciemność zalegała za świetłkami lampek, przeciągniętych do palm rosnących wokół restauracji. Miało się wrażenie, że się jest w oazie światła. Nie interesowały ją cienie zalegające między lampkami.

- Myślę, że z radością znów do tego wróciłaś. Ten dawny zapach. Właściwie nigdy nie miałaś ochoty z tego zrezygnować, prawda?

- Nie byłabym tego taka pewna.

- Nie zapominaj, co się z tym nieodłącznie wiąże - ostrzegł. - Pamiętaj o tym, zanim zaczniesz głębiej kopać.

Kopać. Właśnie tego ją uczono na studiach. Chwytaj łopatę, wbij ją w ziemię, przyjrzyj się temu, co wykopałeś, odrzuć to, co nieistotne, zachowaj rzeczy ważne. Swego rodzaju archeologia. Wsunęła Johnowi rękę pod ramię i pocałowała go. Poczowała, że się lekko opiera, zupełnie jakby chciał ją odtrącić, ale po chwili zrezygnował, otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

Amanda z samego rana zadzwoniła do Donalda Scarfe'a.

- Czy Sanchez miał jakichś gości? - spytała.
- Oprócz ciebie nikogo - odparł.
- Żadnych pytań? Żadnych próśb?
- Jak na razie nic.
- To wszystko, co chciałam wiedzieć, Don. Dzięki.
- Jak się dzisiaj czujesz?
- Już się otrząsnęłam z szoku - powiedziała.
- Wciąż mam do siebie pretensje, Amando.
- Udzielam ci całkowitego rozgrzeszenia, Don. To ja chciałam

koniecznie wejść do jaskini lwa.

Następnie wystukała numer Bascombe'a.

- Jeszcze nie zdążyłem wypić porannej kawy - powiedział jej Bascombe. - Jestem nie do życia, póki się nie napiję.

Korzystała z aparatu w kuchni. Ranek był deszczowy, mokry, długie źdźbła trawy w ogródku zgięły się do ziemi. Zmiana pogody. Lubiła deszcz.

- Wyjaśnij mi coś, Lew - poprosiła. - Dlaczego jeszcze nikt nie rozmawiał z Sanchezem? Czyżby przeoczono związek między nim i dwójką rzekomo „bezpiecznych” świadków?

- Wysłałem informacje, Amando - powiedział Bascombe. - Nie mam nic do powiedzenia, jeśli chodzi o metody ich działania.

- To jest nie do przyjęcia, Lew.
- Amando, nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

Patrzyła, jak Rhees, w szlafroku do kolan, wkłada do tosterka dwie kromki chleba. Nalał sobie kawy, usiadł przy stole i wyrżał przez okno.

- Lew, może jesteś zadowolony, pracując po omacku, ale ta sytuacja nie daje mi spokoju.

- Nie jestem pewny, czy ludziom w Arlington chociaż trochę zależy na twoim spokoju - powiedział.

- Czy potwierdzili otrzymanie twoich faksów?

- Już o tym mówiliśmy, Amando.

- Rozumiem. I bardzo mnie to martwi. Prawdę mówiąc, wkurza mnie to. Nie podoba mi się taki sposób działania, jeśli to w ogóle można nazwać działaniem.

- A ja najbardziej nie lubię mieć do czynienia z krzykliwymi babami.

- Nie krzyczę, Lew.

- Owszem.

- To raczej przypomina walenie głową w mur - rzekła.

- Mogę wysłać jeszcze jeden faks, zobaczymy, co się stanie.

- Tym razem napisz coś innego. Dodaj następującą uwagę: były oskarżyciel żąda spotkania twarzą w twarz z kimś z Programu Ochrony Świadków. Mówię poważnie, Lew.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Bardzo dobrze wiem, o co proszę.

- Odmówią ci.

- Nie, jeśli napomkniesz, że zamierzam nadać całej tej sprawie rozgłos.

- To znaczy?

Nabrała głęboko powietrza, żeby zmniejszyć ucisk, jaki czuła w piersiach.

- To dziecinnie proste, Lew. O Galindezie już pisały gazety, ale nie wspomniano ani słowem, że powinien być bezpieczny, objęty Programem Ochrony Świadków. O Isabel na razie nikt nic nie wie.

Wystarczy, żebym zadzwoniła do jakiegoś żądnego sensacji dziennikarza i opowiedziała mu wszystko ze szczegółami. Bo chodzi o to, że Program Ochrony Świadców jest dziurawy jak sito.

- Nie zrobisz tego - powiedział.
- Założymy się?
- Amando, zaszkoziłabyś sprawie walki z przestępczością w całym kraju. Taki artykuł...

- Taki artykuł sprawia, że człowiekowi włosy się jeżą na głowie, Lew - powiedziała.

- Taki artykuł sprawiłby, że potencjalni świadkowie poważnie by się zastanowili, zanim zgodziliby się zeznawać. Nie przemyślałaś tego, Amando.

- *Au contraire.*

- Masz obsesję na punkcie Isabel Sanchez. Podchodzisz do tego zbyt emocjonalnie. Posuwasz się również do szantażu.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz, Lew. Czekaam na telefon od ciebie do końca dnia. To ultimatum.

Rhees spojrział znad swojej kawy.

- Idziesz na całość - zauważył.

- Czy mam inne wyjście? - spytała. Nalała sobie kawy. Poczula dreszcz w całym ciele, jakby ktoś szarpnął struny cytry.

- Cholera. Nie potrafię ci opisać, jaką mi to sprawiło satysfakcję.

- Myślisz, że w ten sposób coś osiągniesz? - spytał Rhees.

- Zobaczymy. - Objęła kubek dłońmi i słuchała deszczu. Bębnił w dach, spływał rynnami, trącał żdźbła trawy. Rozległ się dzwonek u drzwi. Na jego dźwięk aż podskoczyła. Rhees poszedł zobaczyć, kto to. Słyszała, jak otwiera drzwi frontowe. Po paru minutach wrócił.

- Jakiś facet sprzedający prenumeratę czasopism - powiedział. - Zrobiło mi się go żal. Tak leje.

- Liczą na współczucie - powiedziała. Rhees się uśmiechnął. - Powiedziałem, że zaprenumeruję „Sports Illustrated”.

- Przecież nie interesujesz się sportem.

- Biedak przemókł do suchej nitki. Poza tym zawsze jest jeden numer poświęcony kostiumom kąpielowym. Zresztą nie miał „New York Review of Books”. Co miałem zrobić?

- Oddałbyś ostatniego centa każdemu, kto by się pojawił z puszką na datki.

- To się nazywa dobroczynność - powiedział Rhees.

Chodziła po pokoju. Ciekawa była, czy Bascombe zadzwonił do Arlington, czy wystarczająco go nastraszyła, by posunął się tak daleko.

Zadzwonił telefon. Natychmiast podniosła słuchawkę. Telefoniował jej ojciec.

- Dzwoniłem do domku - powiedział. - Słyszę, że jeszcze jesteście.

- Owszem - potwierdziła.

- Wyjechałem na jeden dzień z miasta, wracam, a tu piszą o tobie w gazetach. Nie wspomniałaś mi ani słowem o tym zabitym.

- Tato, czekam na telefon, Rozłączę się teraz, zadzwonię do ciebie później. '

- Coś mi się wydaje, że wróciłaś do dawnego zajęcia, dobrze zgadłem?

- Nie, nie wróciłam do dawnego zajęcia. Robię tylko to, co uważam za słuszne.

- Co się z tobą dzieje? Masz wstręt do ciszy i spokoju? Na miejscu Rheesa zapakowałbym cię do bagażnika samochodu, natychmiast zawiózłbym do domku i zamknął tam, dopóki nie zaczęłabyś myśleć rozsądnie. *À propos*, co z nim? Okręciłaś go sobie wokół małego palca jak...

- Odkładam słuchawkę, zadzwonię później.

- Ani mi się waży rozłączyć, Amando.

Położyła słuchawkę na widełki. Zaczęła owijać pasemko włosów z czoła wokół palca. Na swój sposób sprawiło jej przyjemność rozłączenie się z Morganem, który tak pragnął, by potrzebowała jego i jego pieniędzy. Znowu zadzwonił telefon. Tym razem to był Bascombe.

- Zgodzili się - powiedział.

Wczesnym popołudniem Dansk prawie skończył przeglądanie materiałów prasowych zapisanych na mikrofilmach. Powiększył zdjęcie Amandy zrobione przed gmachem sądu. Ubrana w ciemny kostium z dwurzędową marynarką uśmiechała się do obiektywu. Wpatrywał się w jej twarz. Czy malowało się na niej zmęczenie? Czy też ulga? Nie był w stanie powiedzieć.

Podpis pod zdjęciem głosił: REZYGNACJA PROKURATOR PROWADZĄCEJ SPRAWĘ SANCHEZA.

Przebiegł wzrokiem artykuł. „Pani Scholes powiedziała, że musi mieć trochę czasu na życie osobiste... wybiera się na długi urlop, ale nie zdradziła, gdzie zamierza go spędzić... cieszy się, że przedłużający się proces Sancheza wreszcie się zakończył i że sprawiedliwości stało się zadość”.

Sprawiedliwości stało się zadość, amen.

Na zdjęciu za Amandą stał mężczyzna. Z podpisu wynikało, że to porucznik William Drumm. Miał małe, zmrużone oczka i dobroduszny uśmiech. Przytoczono jego wypowiedź, że rezygnacja pani prokurator Scholes oznacza wielką stratę dla organów ścigania. Amanda i pulchny gliniarz, towarzystwo wzajemnej adoracji.

\W artykule wspomniano również, że następcą Amandy został niejaki Dominie Concannon, absolwent Columbii. Concannon powiedział, że Amanda Scholes wysoko umieściła poprzeczkę i trudno będzie jej dorównać.

Dansk pomyślał, że w swoim czasie dużo o niej pisano. Artykuły w czasopismach i dziennikach, głównie o zasięgu stanowym, ale również parę w ogólnokrajowych. Wypowiadała się w sprawach interesujących wszystkich. Kara śmierci (przeciwna w niektórych wypadkach, za w innych - dla zabójców policjantów, dzieci). Aborcja (za prawem kobiety do decydowania). Krytycznie wyrażała się o postępowaniu sądowym, wysuwała typowe zarzuty: zbyt wiele procesów dotyczących błahych przewinień, zbyt wiele spraw dotyczących odszkodowań za szkody osobiste, zbyt wiele ugód zawieranych w zaciszu gabinetów.

Opuścił budynek, wyszedł na deszcz, wsiadł do samochodu, wyciągnął notes i zaczął go kartkować. Ta Amanda należała do upartych kobiet. Ruszała do ataku przy wtórze armat. W sądzie maglowała świadków obrony, wyklócała się z adwokatami strony przeciwnej, wysłuchiwała upomnień sędziów. Cwana i mądra, trzeba przyznać.

A potem ni stąd, ni zowąd ma dosyć. Hokus-pokus i znika. Ciekaw był, co się kryło za tym krokiem. Może sobie uświadomiła, że obrała zawód, który nie dawał spełnienia, a podjęcie takiej decyzji nie przyszło jej łatwo. Przeczynał, że nie działała pod wpływem emocji, najpierw oceniała wszystkie za i przeciw. Może to nie najlepiej - z raptusem poszłoby łatwiej.

Przerzucił kartki notatnika, by dotrzeć do danych biograficznych. Ojciec Morgan Scholes, wdowiec, bogaty rekin finansjery. Amanda studiowała prawo w Los Angeles. Nigdy nie wyszła za mąż. Prawdopodobnie była zbyt zajęta robieniem kariery, wspinaniem się po kolejnych szczeblach drabiny. Najgorsze, że kiedy próbowało się poznać z mikrofilmów czyjeś życie, nie otrzymywało się pełnego obrazu, tylko nieistotne szczegóły, co nigdy nie dawało zadowolenia.

Na przykład czy miała bliskich przyjaciół? Dawnych kolegów ze studiów? Ludzi, którym się zwierzała? Osoby, do których się zwracała w potrzebie? Kogoś, kto ją popierał? Zapisał w notesie „przyjaciele” ze znakiem zapytania.

Patrzył na deszcz padający na parking. Nie było słońca, miasto wyglądało ponuro, przejeżdżające samochody rozchlapwały wodę. Typowe, człowiek wybiera się na pustynię, a tu leje. Wrócił do hotelu, zostawił wóz w podziemnym garażu. McTell czekał w recepcji. Poszli do pustego baru, Dansk zamówił 7-up. McTell poprosił o coorsa.

Nachylił się nad stołem.

- Facet nazywa się John Rhees - powiedział. - Jest profesorem. Uczy w miejscowym college'u. Poezji czy czegoś w tym rodzaju.

Chciała kogoś inteligentnego, pomyślał Dansk.

- Jeszcze coś? - spytał.

- Według słów wścibskiego sąsiada, z którym rozmawiałem, kilka ostatnich tygodni spędzili w małym domku w pobliżu Flagstaff. Wygląda, jakby była chora czy co.

Chora. Dansk zastanowił się nad tym. Chora to za mało. Rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Napracowałeś się, Eddie.

- Przyjemny gość z tego Rheesa - powiedział McTell.

- Nie mów, że z nim rozmawiałeś.

- Kilka minut.

- Co powiedziałeś? Że jesteś z elektrowni i musisz odczytać stan licznika? - spytał Dansk.

- Tajemnica służbowa, Anthony.

- Widziałeś ją?

- Uhm. - McTell wpatrywał się w szklankę. - Jak myślisz, Anthony? Będziemy musieli przeprowadzić operację czy co?

Dansk nic nie powiedział. Operacja, pomyślał. Wyprute żyły, tryskająca krew.

- Nie możemy się tu wiecznie kręcić - powiedział McTell.
- Będziemy tu siedzieli tak długo, jak każę, McTell.

McTell wyduł policzki i zrobił ponurą minę, przypominał nadętego indora.

Dansk odsunął krzesło od stołu. Przypomniawszy sobie francuską restaurację, sposób, w jaki Amanda i Rhees trzymali się za ręce. Zdawał sobie sprawę ze słabego, malutkiego, niebieskożółtego płomyka samotności płonącego gdzieś w głębi jego serca. Przypomniawszy sobie, jak pochyliła się nad stołem i wytarła Rheesowi usta serwetką, z troską, która miała w sobie coś matczynego, a zarazem zmysłowego. Schowany za wazonem z goździkami Dansk bez apetytu grzebał w talerzu *salade niçoise*.

Poszedł za Rheesem do męskiej toalety i stanął przy sąsiednim pisuarze. Podczas nienaturalnej rozmowy, prowadzonej przez nieznanymi załatwiających jeden obok drugiego, Dansk powiedział:

- To dobry znak, kiedy w restauracji jest czysta toaleta.

Rhees się zgodził, zapinając rozporek. Dansk, wiedziony ciekawością, spojrzawszy przelotnie na penis Rheesa - obrzezany, średniej wielkości, nic nadzwyczajnego - potem umył ręce i wsunął pod suszarkę.

- To bardziej higieniczne niż korzystanie z ręcznika - powiedział Dansk.

- Ale te urządzenia nie suszą rąk tak dokładnie jak ręcznik - odparł Rhees.

- Ręczniki mogą przenosić zarazki - zauważył Dansk.

- Przypuszczam, że to kwestia gustu - powiedział Rhees i uśmiechnął się grzecznie jak mężczyzna, który wie, że ukochana kobieta czeka na jego powrót. Dansk wyobraził sobie tego szczupłego faceta o uprzejmym uśmiechu posuwającego Amandę. Wyobraził ją sobie z rozłożonymi nogami, jej owłosiony wzgórek łonowy, światło księżyca wpadające przez okno i Rheesa mówiącego, że ją kocha. Zastanawiał się, jak to jest wieść takie zwyczajne życie.

Dansk wstał. Wspomnienie Rheesa wprawiło go w zły humor.

- Chyba pójdę trochę odpocząć.
- Do zobaczenia - pożegnał go McTell.

Dansk pojechał windą na górę. Umieścił na klamce wywieszkę „Nie przeszkadzać” i zamknął drzwi. Zaczął zdejmować marynarkę, kiedy sobie uświadomił, że nie jest sam. Mężczyzna siedzący na łóżku miał długi czarny płaszcz i czarny kaszmirowy beret. Oddychał płytko i z trudem.

Dansk się nie poruszył, nie powiedział ani słowa. Zaskoczył go niespodziewany gość, ogarnął go niepokój. Zdjął marynarkę do połowy, pusty rękaw wisiał bezwładnie.

Facet zasłonił usta dłonią w czarnej rękawiczce i parę razy zakaśtał. Oczy miał przekrwione, załzawione i - pomyślał Dansk - wzbudzające odrazę.

Mężczyzna otworzył teczkę. Wyjął z niej gruby plik nowiutkich banknotów, położył go na nocnym stoliku i powiedział:

- Wypłata dla twoich ludzi, Anthony.

Dotarła do „Biltmore” o dziesiątej wieczorem. „To akcja z rodzaju płaszczu i szpady - powiedział Bascombe przez telefon. - Zgodzili się tylko pod tymi warunkami. Przyjdź punktualnie”.

Tylko pod tymi warunkami, pomyślała. Cóż jest złego w odrobinie otwartości od czasu do czasu? Byli przewrażliwieni na punkcie tajemnicy. Lubili spotkania nocą i rozmowy prowadzone szeptem w bezpiecznym miejscu.

Rozejrzała się po recepcji. Ten budynek, zaprojektowany przez Franka Lloyda Wrighta, wzbudzający przez wiele lat tyle kontrowersji, miał już za sobą okres największej świetności. Jadały tu obiady kobiety po źle wykonanych operacjach plastycznych, które z trudem utrzymywały równowagę w szpilkach, uwieszone ramion siwowłosych mężczyzn wyglądających jak bankierzy lub gracze w golfa z epoki pumpów. Unosił się tu zapach starych pieniędzy i zbutwiała woń potężnych wpływów. W takich miejscach jej ojciec czasem jadał obiady.

Amanda podeszła do kontuaru. Poprosiła recepcjonistę o klucz do pokoju dwieście czterdzieści siedem, tak jak ją poinstruowano. „Zrób dokładnie tak, jak ci powiem” - polecił Bascombe. Recepcjonista był nieuprzejmy. Rzucił klucz Amandzie takim gestem, jakby uważał, że

przyszła tu w niecnym celu. Zastanowiła się, czy może jej ubiór wzbudził podejrzenia. Według niej czarna spódnica do kolan i marynarka tego samego koloru nie stanowiły typowego stroju pańienek lekkich obyczajów. Nigdy nie wiadomo, pomyślała.

Wzięła klucz i ruszyła w kierunku schodów. W drodze na górę minęła grupkę starych wdów paplających ze sobą jak stado rozszczebiotanych ptaków. Schodziły spowite w szyfony i duszący zapach Chanel No. 5. Amanda stanęła z boku, pozwoliła im przejść, a potem znów ruszyła po schodach.

Ścisnęła klucz w spoczonej dłoni. „Wejdz do pokoju. Ktoś się tam z tobą spotka”. Przez krótką chwilę podejrzewała jakiś żart lub zasadzkę. Zupełnie bezpodstawnie, wszystko przez te nerwy. Udawała się na spokojną rozmowę z jakimś szarym na twarzy urzędasem i tyle, z kimś, kto rozproszy jej obawy kilkoma gładkimi frazesami i może jednym czy dwoma kłamstwami rzuconymi w dobrej wierze. Z kimś, kto jej powie, że zbadano sprawę, uszczelniono dziury, że to się więcej nie powtórzy. A przy okazji, przykro nam z powodu Isabel.

A jednak.

Szła korytarzem, szukając właściwych drzwi. Dotarła do nich, przystanąła, a potem ruszyła dalej. Te nerwy to głupota, więc czemu się nie odwróci, nie wsunie klucza do zamka i nie wejdzie do tego cholernego pokoju? Przecież sama tego chciałaś, pomyślała. Sama o to prosiłaś.

Wróciła. Przez chwilę patrzyła na klucz, potem otworzyła drzwi. Weszła do środka. W pokoju nie zastała nikogo. Zajrzała do łazienki. Też nikogo. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie. W świetle stojących na trawniku latarni obserwowała krople padającego deszczu. Gdzieś zaczęła grać orkiestra, niewyraźne dźwięki muzyki dla ludzi, którzy chcieli sunąć w fokstrocie.

No dobra, a więc przedstawiciel Programu się spóźni, opóźnienie lotu, korek na drodze, tysiące przyczyn. Usiadła przed toaletką i ujrzała w lustrze swoje odbicie. Delikatny makijaż, odrobina cieni na powiekach, tusz, najlżejsza szminka, włosy wyszczotkowane i na miejscu. Chciała wyglądać poważnie, jak osoba, której nie da się zwieść frazesami i wykrętnymi tłumaczeniami.

Usłyszała zgrzyt przekręcanego w zamku klucza i drzwi się otworzyły. Jakiś mężczyzna wszedł i ruszył ku niej przez pokój.

- Amanda Scholes? - zapytał.

Zauważyła na jego włosach drobniutkie kropelki dżdzu. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i powiedział:

- Pozwoli pani, że się wylegitymuję.

- Proszę bardzo - powiedziała.

Wręczył jej laminowany kartonik. Zobaczyła na nim słowa „Ministerstwo Sprawiedliwości”, zdjęcie mężczyzny, odcisk kciuka, a tuż niżej wypisane jego imię i nazwisko: „Anthony Dansk”.

Pierwsze, co zwróciło jej uwagę, to fiołkoworóżowe znamię, przypominające skrócony kontur Włoch, sięgające od ucha aż do linii szczęk Danska. A potem oczy: barwa zielona jest często uważana za uspokajającą, ale nie odnosiło się to do zieleni oczu Danska, ostrej, przywodzącej na myśl jaskrawy kolor sygnalizacji świetlnej gdzieś na opustoszałej drodze na głębokim odludziu. Proste rude włosy, gęste i zdrowe, miał zaczesane do tyłu, policzki pokrywał mu lekki ryży puszek. Ubrany był w schludny jednorzędowy szary garnitur, szarą koszulę i czarno-szary krawat. Sylwetkę miał zadbaną - wyraźnie nad nią pracował. Wygląda o wiele za młodo, pomyślała, ale w dzisiejszych czasach mnóstwo ludzi tak wygląda - lekarze, gliny, adwokaci. Przypominali przebrane za dorosłych dzieci. Człowiek przekracza czterdziestkę i nagle świat jest pełen gówniarzy trzymających wszystko za twarz.

Zapaliła papierosa. Nadal była trochę spięta.

- Spóźniłem się - przemówił pierwszy. - Nikt teraz nie przestrzega rozkładów lotów. Ciekaw jestem, dlaczego je w ogóle drukują. - Usiadł, marszcząc czoło, gdy poczuł dym z jej papierosa.

- Tak, wiem. Na opakowaniu jest ostrzeżenie ministra zdrowia - powiedziała.

- To, czym ludzie się trują, to ich prywatna sprawa - oświadczył Dansk. - Chcą ryzykować, proszę bardzo. - Rozsiadł się wygodniej w

fotelu. Uśmiechnął się krótko i na ułamek sekundy jego spojrzenie przestało być takie oficjalne, a w policzkach pojawiły się dołeczki. Wyobraziła go sobie w wieku chłopięcym, z puciołowatą, piegowatą buzią. Miał zęby w idealnym stanie. Widać, że bardzo dba o nie, pomyślała.

Rozejrzała się za popielniczką. Popiół spadł jej na kolana, strzepnęła go, na spódnicy pozostała szara smuga. Niezdara. Dansk przyglądał jej się z obojętną miną.

- Czy mogę mówić pani po imieniu, czy też woli pani bardziej oficjalny styl?

- Możemy przejść na ty - powiedziała. - A więc od czego zaczniemy?

Dansk złożył ręce. Były zadbane, tylko u małego palca lewej dłoni brakowało paznokcia, na jego miejscu ujrzała jedynie pomarszczoną skórę.

- Może od twoich obaw dotyczących Programu - zaproponował.

- Świetnie.

Podszedł do minibarku, wyjął puszkę dietetycznej coli i otworzył ją.

- Pod taką czy inną nazwą - Eliminator, WITSEC - Program istnieje już od jakichś trzydziestu lat. Coś tak delikatnego nie może funkcjonować tak długo bez zdarzających się od czasu do czasu wpadek czy potknięć.

- Nie nazwałabym zabójstwa Galindeza potknięciem - powiedziała. - A już z całą pewnością nie określiłabym tak wielce prawdopodobnego zabójstwa Isabel Sanchez. Eufemizmy wywołują u mnie zgagę.

Pochylił się w swym fotelu.

- Chodzi mi o to, że ludzie są omylni, chciwi. Urzędnik bierze łapówkę w zamian za ujawnienie czyjegoś adresu. I nagle świadka, którego się uważało za dobrze chronionego, znajduje się w bagażniku porzuconego samochodu. Przypuszczam, że w przypadku Galindeza i Isabel Sanchez mamy do czynienia z przekupstwem. Potrzebujemy trochę czasu, by to stwierdzić z całą pewnością.

- Ile konkretnie?
 - Trudno powiedzieć. Musimy działać bardzo ostrożnie. Winny nie może zacząć podejrzewać, że znajduje się pod obserwacją.
 - Ile osób ma dostęp do informacji, o jakich mówimy?
 - Nie wolno mi tego ujawnić.
 - A co ci wolno?
 - Spróbuj zrozumieć, Amando, że istotą tego Programu jest poufność.
 - Słuchaj - powiedziała. - Najbardziej oczywiste byłoby zacząć od Victora Sancheza. Już pojechałam do Florence na rozmowę z nim. Nie twierdzę, że czegoś się dowiedziałam.
 - Jakie odniosłaś wrażenie?
 - Tkwi w tym po uszy, nie wiem tylko, jak udało mu się pokonać zabezpieczenia. Groził również mnie.
 - Groził ci?
 - Powiedział, że jestem następną na jego liście. - Przesunęła palcem wskazującym po szyi.
 - Nie było to przyjemne.
 - Myślisz, że mówił poważnie?
 - Takich deklaracji nigdy nie traktuję lekko - oświadczyła. - Porządnie mnie nastraszył.
- Przez chwilę Dansk milczał.
- Przygotowujemy się do rozmowy z nim. Od razu mi lżej na sercu, pomyślała.
 - W końcu do tego dojrzeliście, tak?
- Dansk zdawał się głuchy na jej sarkazm.
- Radziłbym, żebyś wyjechała na wakacje, nie mówiąc nikomu, dokąd się udajesz - powiedział. - Będiesz bezpieczniejsza gdzieś daleko stąd. A całą tę sprawę zostaw mnie, jest w dobrych rękach.
 - Zabawne, to samo powiedziałam Isabel Sanchez - zauważyła.
 - Jesteś w dobrych rękach, skarbie. A wciąż słyszę ujadanie tych przeklętych psów.

- Tak, psy - powiedział. - Jak blisko byliście?
- Trudno powiedzieć. Kilometr, dwa, może więcej.

Dansk się zamyślił.

- Rozumiem, że zareagowałaś na telefon pani Sanchez.

Amanda skinęła głową.

- Pojawiłam się za późno, by jej pomóc.
- Co dokładnie powiedziała?
- Nie widziałeś raportu?
- Czasami raporty, które otrzymuję, pozostawiają wiele do życzenia.

- Była przerażona. Ścigali ją jacyś faceci.

- Znała ich?

- Nie powiedziała.

- Wspomniała, ilu ich było?

- Powiedziała, że dwóch.

- Podała ich rysopisy, znaki szczególne?

- Nie.

Dansk pokiwał głową.

- Kiepska sprawa.

„Kiepska sprawa” to bardzo oględne określenie sytuacji, pomyślała.

- Jedno mnie intryguje. Isabel była w Farmington w Nowym Meksyku, potem w Tuba City. W końcu wraca tu, do Phoenix. Gdzie ją umieściliście?

- Przykro mi, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- A na jakie, do jasnej cholery, możesz odpowiedzieć? Galindez nie żyje, Isabel przepadła jak kamień w wodę, a ty pojawiaasz się najspokojniej w świecie z jakiegoś cichego kątku w Arlington albo w Waszyngtonie czy Bóg wie gdzie i zachowujesz się protekcyjnie. Och, zajmijmy się tym, Amando, a ty zrób sobie wakacje. - Opanowała się. Nie chciała zrazić do siebie Danska, ponieważ mógł zatrzęsnąć przed nią wszystkie drzwi.

- Protekcyjnalnie? - spytał. - Przyleciałem tu taki szmat drogi, by cię uspokoić.

- A co, jeśli ci się to nie uda? Co, jeśli czuję się, jakbym siedziała na rozżarzonych węglach?

Dansk zaczął krążyć po pokoju, popijając colę. Niespodziewanie zmienił temat.

- Zdaje się, że wspomniałaś coś o poinformowaniu prasy. Nie uważam tego za rozsądny krok.

- Czy to swego rodzaju ostrzeżenie?

Znow usiadł i przysunął fotel bliżej. Ich kolana prawie się stykały.

- Chcę jedynie powiedzieć, że jeśli zdecydujesz się szepnąć coś na ucho jakiemuś dociekliwemu dziennikarzowi, nie dojdzie do wytoczenia wielu procesów, ponieważ świadkowie będą się bali mówić.

- Zamkniecie usta dziennikarzom?

- Sądziś, że mamy taką władzę?

- Nie wiem dokładnie, jakimi dysponujecie możliwościami. Mam iść w siną dal, podczas gdy wy wszystkim się zajmiecie.

- Zgodzisz się nie wtrącać do tej sprawy, a ja w zamian za to poinformuję cię o wynikach naszych dochodzeń.

- Poskromię swoją ciekawość na ten czas.

- Jeszcze jeden warunek: nie będziesz rozmawiała z dziennikarzami.

- Jedno mi się nie podoba - oznajmiła. - Możesz skontaktować się ze mną za parę dni, za tydzień, za miesiąc, powiedz mi cokolwiek, a ja muszę ci uwierzyć.

- To nie w moim stylu - rzekł Dansk.

Amanda wstała. Nogi jej zdrętwiały.

- Prosisz mnie, bym ci zaufała.

- Proszę cię, żebyś była rozsądna - powiedział Dansk. Nagle jego głos stał się zimny. Nie lubiła takiego tonu. - Nie mam obowiązku o niczym cię informować.

Odwróciła się, wyrzała przez okno i dostrzegła puszkę coli Dan-ska odbijającą się w mokrej od deszczu szybie. Patrzyła, jak jego odbicie przysuwa się trochę bliżej do niej.

- A jeśli się ze mną nie skontaktujesz? Nie dasz mi numeru tele-fonu, pod którym cię mogę złapać zawsze, kiedy zechcę, prawda?

- Nie chcę, żebyś wyszła z tego pokoju z uczuciem, że odbyłaś rozmowę z kimś, kto zniknie w jakimś - jak to powiedziałaś? - ci-chym kątku w Waszyngtonie. - Dansk wyjął z kieszeni notes i zapi-sał coś na kartce. - Zabawię tu przynajmniej parę dni. To numer, pod którym możesz mnie łapać.

- Nie zatrzymałeś się tutaj? - spytała.

- Przyjechałem tu tylko na spotkanie z tobą.

Punkt kontaktowy, pomyślała. Płaszcz i szpada. Robią to z faso-nem. Ciekawa była, czy ludzie, których praca obracała się wokół spraw tajnych, stawali się od niej uzależnieni, czy prowadzenie życia w ukryciu przypomina zanurzenie na dłuższy czas w basenie do de-prywacji sensorycznej. Czy to zawieszenie w próżni wpływa na spo-sób postrzegania rzeczywistości.

- A kiedy wyjedziesz z miasta, gdzie mam do ciebie dzwonić?

- Dopiszę drugi numer. Jest zastrzeżony. Nie zawsze siedzę za biurkiem, ale możesz zostawić wiadomość, oddzwonię najszybciej, jak będę mógł.

- Dajesz słowo?

- Oczywiście.

Zastanawiała się nad wartością słowa honoru Anthony'ego Dan-ska. Potem pomyślała: oceniam go zbyt surowo. Ma swoje regulami-ny i przepisy, musi postępować tak, jak mu każą. Powinna czuć do niego jakąś wdzięczność za to, że przeleciał trzy i pół tysiąca kilome-trów specjalnie po to, żeby z nią porozmawiać - nawet jeśli musiała uciec się do szantażu, by się tu pojawił.

- Zgoda? - spytał.

Zastanowiła się chwilę, nim powiedziała:

- Zgoda.
- Może to opijemy.

Powiedział to tak, jak młokos proszący dziewczynę o spotkanie, pomyślała. Przyglądał jej się z pewną nadzieją, która wywoływała w niej skrępowanie. Przez chwilę przypominał jej licealistę, który nigdy nie miał dziewczyny, który sterczał samotnie na szkolnych zabawach, w przekrzywionym krawacie, nieśmiało spoglądając na pary tańczące na parkiecie. Spojrzała na zegarek.

- Czemu nie. Dżin, jeśli jest, i tonik.

Podszedł do minibarku.

- Nie ma lodu.
- Nie szkodzi - powiedziała. Dansk podał jej dżin z tonikiem.

Sączyła napój, spoglądając na niego znad szklaneczki. Zauważyła, że ma zwyczaj odwracać głowę w jedną stronę, by ukryć znamię na twarzy. Pomyślała, że w taki sposób musiał kroczyć przez życie, z twarzą zawsze zwróconą lekko w jedną stronę. Znamię wyraźnie go krępowało.

- Dlaczego odeszłaś z prokuratury? - spytał.

- Sprawdzales moją przeszłość, Anthony.

- Nie nazwałbym tego sprawdzaniem. Kiedy się dowiedziałem, że mam się z tobą spotkać, pomyślałem, że powinienem wiedzieć, z kim będę rozmawiał. To wszystko. Twoja rezygnacja to nie tajemnica.

- Dlaczego odeszłam z prokuratury? Złożyło się na to wiele przyczyn. Głównie czułam się skażona po latach pracy z kłamcami, specjalistami od wszelkiego rodzaju machlojek i ludzkimi gnidami. Osiągnęłam poziom zatrucia grożący chorobą i nie byłam przygotowana na dalsze płacenie takiej ceny.

- Ludzkie gnidy - powtórzył.
- Bestie, udające ludzi.
- Ostre słowa.
- Sam byłeś ciekaw. - Słuchała deszczu bębniącego o szyby.

Wiatr się wzmógł i drzewa się kołysały, przesłaniając latarnie.

Dokończyła drinka.

- Na mnie już czas.

Uścisnęła mu dłoń. Otworzył jej drzwi w taki sposób, że musiała się prześlizgnąć pod jego wyciągniętym ramieniem. Wyszła na korytarz.

- Na początku trochę mnie poniosło - powiedziała. - Przepraszam.

- Już o tym zapomniałem, Amando. Będę w kontakcie.

- Czekam na twój telefon.

- Najlepiej, jakbyś na jakiś czas wyjechała. Reszta jest pod kontrolą.

Zeszła po schodach, minęła recepcję i znalazła się na dworze. Siedziała w zaparkowanym samochodzie, patrząc przed siebie. Nagle uświadomiła sobie, że nie lubi ciemności. Deszcz bębnił w dach. Zrobiła to, co do niej należało. Zwaliła cały ten kram komu innemu na głowę. Przynajmniej Rhees będzie zadowolony. Przekręciła kluczyk w stacyjce akurat wtedy, kiedy Dansk wyszedł z hotelu i zważym krokiem ruszył przez parking. Minął jej samochód w odległości dwudziestu metrów, ale widoczność zasłaniał mu wielki, czarny parasol, więc jej nie zauważył.

Miała wielką ochotę pojechać za nim, ale się powstrzymała.

Dansk, znalazłszy się w swym pokoju hotelowym, rozwiązał krawat i powiesił go w szafie. Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je. Dziewczyna miała jakieś dziewiętnaście lat i wygląd zagubionego dziecka. Z drobnej buzi spoglądały na niego wielkie, brązowe oczy.

- Spodziewasz się mnie - powiedziała. - Jestem Chaka. Z Romantycznych Związków.

- Ach tak, wejdz.

Spytała go, czego sobie życzy, a on odparł:

- Proszę bez żadnych ekstrawagancji.

- Jak chcesz - powiedziała. Rozebrała się na jego oczach: zdjęła białą minispódniczkę, zsunęła rajstopy, ściągnęła czarne majteczki. Nie nosiła stanika: nie był jej potrzebny. Wyciągnęła się na łóżku, a on położył rękę na jej wklęsłym brzuchu. Intrygowały go pępki. Stanowiły małe oko ciała.

Pachniała talkiem. Miała wygolone pachy i wzgórek łonowy. Fantazyjne strzyżenie owłosienia łonowego. Raz w El Paso widział dziwkę z włosami wystrzyżonymi na kształt serca, przypominało to kosmatą walentynkę między udami.

Ściągnął spodnie i powiesił je na krześle. Chaka obserwowała go i czekała, jej wewnętrzny zegar odmierzał minuty. Tik-tak, czas to

pieniądz. Zdjął koszulę. Wsunęła mu rękę pod żółto-białe szorty w kropki i przez chwilę go pieściła.

- Nie czuję, by cokolwiek tam drgnęło - zauważyła.

Niesprawność maszynierii to ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Chciał się rozładować, otworzyć wentyle, wypuścić nadmiar pary. Dziewczyna podparła się na łokciu i spojrzała na niego.

- Chcesz popatrzeć, jak się będę onanizowała? Może to cię ruszy? - spytała.

- Dobra. - Jego mózg nie wysyłał sygnałów do centralnego paleniska. Awaria kotłowni. Co się dzieje, zastanawiał się.

Rozłożyła nogi i wsunęła palec w szparkę. Miała czerwone paznokcie. Rozchyliła usta. Dansk widział czarną czeluść jej gardła. A potem nagle znalazł się na tej cholernej pustyni i zaczął się zastanawiać, jak blisko McTella, Pasquale i ich psów była Amanda Scholes. Powiedziała: kilometr, może dwa. Niedaleko.

Spokojnie, Anthony, tylko spokojnie.

Dziewczyna znów wsunęła mu rękę za majtki.

- Obawiam się, że moje wdzięki na ciebie nie działają. Za dodatkową opłatą mogę ci zagrać na flecie.

Dansk nie lubił wsadzać swego fiuta nikomu do ust. Próbował kiedyś, ale czuł się wyjątkowo bezbronny na myśl, co by się stało, gdyby kobiecie podczas odstawiania numerka coś nagle odbiło, przyszła jej ochota na zemstę i postanowiła mu odgryźć kawałek członka.

Nagle złapał ją za rękę i mocno ścisnął. Miała drobne kości. Wyobraził sobie, że trzyma małego, delikatnego ptaszka uwięzionego w zamkniętej dłoni. Jak łatwo byłoby go udusić.

- Aj! - krzyknęła.

Dansk stwierdził, że przez chwilę rozważa pomysł zmiażdżenia filigranowej dłoni dziwki. Wyobraził sobie trzask łamanych kości. Jako dziecko zastrzelił kiedyś z wiatrówki gołębia. Pamiętał, jak ptak spadł na chodnik i leżał zakrwawiony, z połamanymi skrzydłami, a z

dzioba sączyła mu się jakaś ohydna ciecz. Gołąb długo zdychał, podrygując na ziemi. Matka mu powiedziała: „Anthony, nie zabija się boskich stworzeń”.

„To tylko gołąb, na świecie są ich miliardy, co Bogu zależy na jednym?”

„Zależy mu nawet na wróbelku, skarbie”.

- Ej, ty! - krzyknęła dziewczyna, szarpiąc rękę, by się uwolnić.

Puścił dłoń dziewczyny. Poczuli się zdezorientowani. Świsł kuli z wiatrówki, spadający gołąb, czego wtedy doświadczył? Miał świadomość posiadania odrobiny władzy czy ogarnął go żal? Nie potrafił teraz powiedzieć. Dzieciak, zabijający ptaka dla zabawy, tylko dlatego, że miał broń, a gołąb akurat się pojawił właśnie w tamtej chwili. Wszystko zmierza do jednego punktu, efekt czystego przypadku, jak z Galindezem w tej choliernej rzece. Niektórych rzeczy nie da się przewidzieć.

Dziewczyna, pocierając dłoń, powiedziała:

- Łatwo mi się robią siniaki.

Dansk dał dziewczynie pięćdziesiąt zielonych, dwie dwudziestki i dziesiątkę. Wciąż jeszcze rozcierała rękę, którą jej ścisnął, i spoglądała na niego niepewnie. Miał ochotę znów ją złapać i tym razem wbić jej paznokcie w ciało tak, by z żył trysnęła krew.

Ubrała się. Opanowała sztukę szybkiego wynoszenia się, traktując to jako zabezpieczenie przed szurniętymi klientami. Odwrócił się od niej. Wsłuchiwał się w odgłosy: szelest elastycznych majtek, przesuwanie się rajstop przypominających drugą skórę, chrzęst zamka błyskawicznego.

- Niezły z ciebie palant - powiedziała.

Palant. Ujrzał twarz Amandy Scholes i ciekaw był, czy istniał jakiś związek między tym niewypałem z dziwką a spotkaniem z panią prokurator, jakieś rozkojarzenie na poziomie, który pozostawał poza zasięgiem świadomości. Wyobraził sobie, jak dzwoni ta Sanchez. Zgoda, była niezrównoważona psychicznie, ale to nie to. Mogła mieć

przeblyski świadomości. Nie można w ten sposób prowadzić takiego interesu. Nie wolno się zdawać na łut szczęścia. Należy samemu kształtować własną przyszłość.

Przeszedł szybko przez pokój. Dziewczyna zdążyła już do połowy otworzyć drzwi. Zamknął je kopnięciem.

- Palant, tak?

Uświadomił sobie, że ma przyspieszony oddech. Złapał ją za ramię. Czuł jej kości, wyobraził sobie, że słyszy bicie jej serca. Ogarzył go gniew. Nie myślał, tylko wsłuchiwał się w siebie, w uporczywe głosy, które niosła ze sobą fala wściekłości.

- Jestem palantem? Tak mnie nazwałaś? Palantem?

- Precz z łapami - powiedziała.

Dziewczyna próbowała strząsnąć jego dłoń z ramienia, ale za mocno ją trzymał. Zrób to! Zrób to, Anthony! Uderzył ją w twarz, popchnął na ścianę, znów uderzył, aż jej odskoczyła głowa, ale jakoś jej się udało chwycić go zębami za rękę, wbiła mu je w ciało. Poczul taki ból jak wtedy, kiedy skóra wejdzie między ząbki błyskawicznego. Wyrwał się, złapał dziewczynę za biodra i okręcił. Wymierzył jej policzek. Skuliła się. Patrzył na nią, fala gniewu minęła. Zapanowała głucha cisza.

Dziewczyna spojrzała na niego. Wokół ust już pojawiło się zasinienie. Poruszył nieznacznie ręką i dziewczyna wzdrygnęła się, chowając głowę.

Odwrócił się od niej, nie patrzył, kiedy wstała i otworzyła drzwi. Słyszał ją, jak wstrzymuje oddech, jakby walczyła ze łzami. Przyjrzał się swej dłoni. Pomyślał: człowiek uruchamia pewne mięśnie i ręka przemienia się w pięść, w broń. Człowiek poddaje się impulsowi i znika całe wewnętrzne opanowanie. Chwila furii.

Usłyszał, jak drzwi się zamykają. Może iść na policję, pomyślał, ale tego nie robi, uprawiając taki proceder.

Problem z gniewem polega na tym, że nie da się nim kierować: rozlewa się, idzie na wszystkie strony, uderza się każdego, kto się

znajdzie w zasięgu ręki. Ale ty nie masz powodów do zdenerwowania. Wszystko pozostaje pod kontrolą. Jesteś artystą. Rozłożyłeś swój towar i była pani prokurator, dociekliwa klientka, słucha twej gadki i zanim się zorientowała, co się dzieje, kupuje twój towar. Kupuje całą twoją bajeczkę i udaje się do domu, taszcząc zakupy z „Butiku Uczciwego Anthony'ego”. Jest w domu ze swoim kochankiem, jej obawy zostały rozproszone, ciężar zdjęty z ramion.

Ale...

Nigdy nic nie wiadomo. Człowiek to wielka zagadka, mikrosmos rządzący się własnymi prawami. „Nigdzie teraz nie pracuję”, powiedziała. To mu nie dawało spokoju. Inteligentna kobieta, dawniej bardzo zajęta, która teraz ma za dużo wolnego czasu. Trochę znudzona. Nie należy do tych, które mogą siedzieć, szydełkując, lub pochylać się nad książką kucharską, studiując przepis na jakąś cholerną *bouillabaisse*. Nie spotka się jej też, jak rozlewa zupę w jakimś miasteczku namiotowym dla bezdomnych. W takim razie co robi ze swoim czasem?

Prawo Danska: Nie można nigdy spocząć i być zadowolonym z siebie. Życie drugiego człowieka to nieznaną obszar, trzeba sporządzić jego mapę i je poznać, póki się nie nabierze stuprocentowej pewności. A jeśli doszłoby co do czego, trzeba wyrzucić presję.

Był mistrzem w wywieraniu presji.

Jakiś czas krążył po pokoju, rozważając w myślach różne warianty. Zostawi tę sprawę, nie zostawi. Zaczęły go boleć palce od ciósów, które wymierzył. Nie było to nieprzyjemne uczucie.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer nędznego motelu w południowej części Phoenix, gdzie zatrzymali się McTell i Pasquale. Nazywał się „Dom pośród wzgórz”, mieścił się na ruchliwym skrzyżowaniu, a w promieniu kilometrów nie było nic, co choćby odrobinę przypominało wzgórze.

McTell odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

- Była na pustyni, McTell - powiedział Dansk. - Pani prokurator była na tej cholernej pustyni w tym samym czasie co ty i twój partner. Zdajecie sobie sprawę, jak niewiele brakowało, a mielibyście naocznego świadka? Słyszała szczekanie psów, McTell.

- Widziała nas? - spytał McTell.

- Na szczęście nie. Ale nie o to chodzi. Nie możecie być tacy niefrasobliwi. Musicie mieć oczy i uszy otwarte i upewnić się, czy nikt się nie kręci w pobliżu, kiedy pracujecie.

- Skąd mieliśmy wiedzieć, że ktoś się tam pałęta? Pustynia jest cholernie wielka, była ciemna noc.

- Jesteś nieostrożny, Eddie. Czujesz krew i o wszystkim zapominasz, na przykład o tym, że możesz mieć naocznego świadka. Staram się być profesjonalistą. Profesjonalistą, McTell. Znasz to słowo? Słyszałeś je już wcześniej?

- Nie rozumiem, czemu się tak żołądkujesz, Anthony - powiedział McTell. - Jeśli nas nie widziała, po co cały ten krzyk? To już przeszłość. Nadal twierdzę, że najlepszym wyjściem jest operacja.

Dansk zignorował jego słowa.

- Chcę, żebyście się ze mną spotkali. W barze Denny'ego przy szosie międzystanowej na Thomas. Znajdziecie go bez trudu. Bądźcie tam za trzy kwadranse.

Rozłączył się i poszedł do łazienki. Chciał wziąć prysznic. Chciał doznać tego przyjemnego uczucia, kiedy krople wody pod ciśnieniem spadają na człowieka i cały brud oraz zarazki, jakie się nagromadziły w ciągu dnia, spływają razem z białoszarą pianą do rury i trafiają do mrocznego labiryntu kanalizacji.

Amanda jechała, póki nie znalazła się obok cocktail-baru jakieś dwa kilometry od domu. Zaparkowała wóz, myśląc o Rheesie, na pewno czytał w łóżku jakąś grubą, mądrą księgę, włożywszy na nos okulary z półokrągłymi szklami, w których wyglądał jak ksiądz. Weszła do pogrążonego w głębokim mroku baru. W środku było kilka samotnych osób, Mulatka śpiewała drżącym głosem „I Got You Under My Skin”, akompaniując sobie na fortepianie.

Poprosiła o dzin z tonikiem. Bawiła się podstawką, obracając ją w dłoniach. Rozejrzała się po sali. W jednym kącie dostrzegła napis „Toalety. Telefon”. Nie ruszyła tam natychmiast. Takie zachowanie z całą pewnością można było zaliczyć do kategorii konspiracyjnego, ale nie zachwycała ją myśl, że John przyjąłby jej kolejny pomysł z dezaprobatą.

Znów obrzuciła wzrokiem bar: nieznanymi o twarzach ukrytych w cieniu, dziewczyna przy pianinie. Myślała o radzie Danska. „Zrób sobie wakacje. Wyjedź daleko stąd”. Próbowwała sobie wyobrazić, jak będzie prowadził dochodzenie, ale nie miała pojęcia, co wchodziło w grę, i to ją dręczyło. Coś jej nie dawało spokoju, jakby miała element układanki, który nigdzie nie pasował, albo podczas stawiania pasjansa została jej jedna karta.

No dalej, przekonaj się. Połóż kres wątpliwościom, które cię gnębią. Ruszyła w stronę telefonu. Wyjęła z marynarki kartkę, którą jej dał Dansk. Wrzuciła monetę i wykręciła numer.

W słuchawce rozległ się kobiecy głos.

- Hotel Carlton. Słucham?
- Proszę z Anthonym Danskiem.
- Jedną chwilkę.

Amanda wsłuchiwała się w odgłosy dzwonka. Dansk odebrał telefon, nieco zdyszany.

- Mówi Amanda Scholes - przedstawiła się. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

- Właśnie brałem prysznic. - Głos miał pogodny.
- Uświadomiłam sobie, że nie dałam ci naszego numeru telefonu - powiedziała.

- Przypuszczam, że znalazłbym go w książce telefonicznej.
- Numer domowy tak, ale może będzie ci potrzebny numer do domku za miastem. Jest zastrzeżony.
- Zdecydowałaś się wyjechać? - spytał.
- Mamy domek na północy stanu.
- Musi tam być ładnie. Dobra, mogę zapisywać.

Podyktowała mu numer.

- Zanotowałem - powiedział.
- Nie zapomnij o mnie - poprosiła.
- Nie obawiaj się, Amando. - Życzył jej dobrej nocy.

Odwiesiła słuchawkę, ale dalej stała, bębniąc palcami w książkę telefoniczną. „Nie obawiaj się, Amando”.

Znów podniosła słuchawkę, zawahała się moment, po czym wsunęła w otwór garść monet. Wyobrażała sobie gorącą linię, czynną całą dobę, operatora, który przyjmie zgłoszenie. Tymczasem usłyszała wiadomość nagrany na automatycznej sekretarce. Mężczyzna mówił takim głosem, jakby kilka razy przeszedł zapalenie krtani.

- Ministerstwo Sprawiedliwości. Tu numer Anthony'ego Danska. Pan Dansk nie może w tej chwili podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość. Oddzwoni jak najszybciej. Nie ma potrzeby podawania daty i godziny, ponieważ są one zapisywane automatycznie. Dziękuję”. Rozłączyła się. Automatyczna sekretarka o skrzeczącym głosie. Numer Anthony'ego Danska. Nagrana wiadomość, głos, który nie należał do niego.

Zastanawiała się nad tym, idąc do samochodu.

Przez zamknięte powieki czuła jaskrawe światło słoneczne, dobiegł ją dźwięk dzwonka u drzwi. Słyszała, jak John wstał z łóżka i wyszedł z pokoju. Naciągnęła prześcieradło na głowę, próbując znów usnąć, ale Rhees wrócił i powiedział:

- Masz gościa.

Otworzyła jedno oko. Słońce świeciło oślepiająco.

- Kto przyszedł?

- Dom Concannon - powiedział.

- Cóż to za barbarzyńska pora?

- Za dwadzieścia dziewiąta.

- Czego, u diabła, może ode mnie chcieć za dwadzieścia dziewiąta?

- Kto to wie? Zaparzę kawę - powiedział Rhees.

Amanda usiadła. Po chwili wolno powlokła się do łazienki, umyła zęby, przeciągnęła grzebieniem po włosach, a potem stwierdziła, że nie musi się tak starać. Ostatecznie to tylko Concannon. Weszła do salonu, ubrana w szlafrok, i spojrzała na Dorna, którego nawet lubiła. Irytowało ją w nim tylko jedno: zawsze tryskał energią i był w doskonałej formie, co może drażnić, szczególnie kogoś, kto się dopiero obudził.

Siedział na kanapie, długie nogi wyciągnął przed siebie.

- Zerwałem cię z łóżka, co?

- Obiecaj mi tylko, że nie odegrasz tego swego irlandzkiego numeru - powiedziała.

- A właśnie sobie ćwiczyłem.

Usiadła naprzeciwko Concannona. Miał wielką, szczerą twarz i jasne, zmierzwiłone włosy. Jego przodkowie siedemdziesiąt lat temu opuścili Cork. Był ekspertem w dziedzinie celtyckiej sztuki sakralnej. Jak Rhees ze swoją ujawnianą niekiedy walijskością, tak i Concannon był jeszcze jedną przyprawą w amerykańskim tyglu.

- Wyobraź sobie, że jestem listonoszem - powiedział.

- Obiecałeś, Dom - przypomniała mu.

- To jest silniejsze ode mnie. Co mogę poradzić?

- Na początek staraj się jak najmniej mówić - zaproponowała.

Rhees wyłonił się z kuchni z dzbankiem kawy i trzema filiżankami na tacy. Postawił wszystko na stole i rozlał kawę. Amanda sączyła napój, czekając, aż kawa ją rozbudzi.

- Cóż to miało znaczyć, że jesteś listonoszem? - spytała.

Concannon wyjął kopertę z kieszeni marynarki.

- To przyszło do ciebie na adres biura. Wygląda, jakby zostało wysłane z frontu.

Spojrzała na zmiętą brązową kopertę.

- Chyba nie przyszedłeś tylko po to, by mi to doręczyć?

- Stęskniłem się za tobą, list dostarczył mi wymarzonego pretekstu, zresztą przypadkiem znalazłem się w pobliżu. A więc jak się czujesz?

- Całkiem dobrze jak na kogoś, kto został właśnie brutalnie wyrwany ze snu przez pseudo-Irlandczyka. Nie masz nic do roboty czy co?

- Prawdę mówiąc, za parę godzin mam w sądzie jedną interesującą sprawę. Pewien gość sprzedawał wielkie parcele w północnej Arizonie, którymi nie miał prawa handlować. Skomplikowane oszustwo, z wykorzystaniem amerykańskiej poczty. Facet twierdzi, że został wrobiony przez współnika. Zawsze ta sama stara śpiewka. Broni go twój przyjaciel Randy Hanseimer.

- Pocałuj mnie w nos, Dom. - Znów wypięła łyk kawy i obróciła kopertę w dłoniach. Nadal nie widziała wyraźnie. Odczytała swoje nazwisko wypisane długopisem drukowanymi literami. Znaczek był przyklejony do góry nogami.

- Ciekawa sprawa z tym Galindezem - powiedział Concannon. - Myślałem, że jest dobrze chroniony. Chodzą słuchy, że niepokoisz się o bezpieczeństwo świadków.

Nic nie powiedziała. Pomyślała o nowinkach, poczcie pantoflowej. O grupkach adwokatów, plotkujących na schodach, rozprawiających o tym okruchu prawdy czy tamtym strzępku fałszywej informacji.

- Domyślam się, że mało się dowiedziałeś od tych facetów z Programu Ochrony Świadców - powiedział. - Dotychczas nie miałem z nimi wiele do czynienia, ale z tego, co wiem, prowadzą ten swój interes, jakby to był Fort Knox.

- Przypuszczalnie.

Concannon zmienił pozycję.

- Daj mi znać, jeśli mógłbym jakoś pomóc. Bo jeśli doszło do jakichś przecieków, to kiepska sprawa. - Dopił kawę i wstał. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, nogi jak szczydła. - Muszę lecieć. Przygwoździć kolejnego łotra do krzyża sprawiedliwości. Och, póki pamiętam, przedwczoraj zadzwoniła do ciebie Bernadette Vialli.

- Bernadette Vialli?

- Wspomnienie z przeszłości - powiedział Concannon. - Chciała z tobą o czymś porozmawiać. Obiecałem, że poproszę, byś do niej zadzwoniła. - Z przesadą dotknął dłonią głowy. - Życzę miłego dnia, moja droga.

Złapała jasek, by w niego rzucić, ale już się wymknął przez drzwi i tyle go widziała. Przez chwilę myślała o Bernadette Vialli, wdowie, którą zapamiętała jako drobną kobietę w okularach, z ondulowanymi włosami. Pamiętała jej syna Benny'ego, i jak nieśmiało odpowiadał na pytania, stojąc na miejscu dla świadków. Błady, po niewierany dzieciak, patrzył gdzieś w przestrzeń, ani razu nie spojrzął

w oczy dwójce obrońców, którzy przyglądali mu się z nieukrywaną nienawiścią. Byli spokrewnieni, wuj Charlie Ravanelli i wuj Giovanni Luccini, „Żelazna Głowa”, para typków spod ciemnej gwiazdy, którzy naoglądali się za dużo filmów o mafii i małpowali wszystkie podpatrzone ruchy i gesty. Niezbyt rozgarnięty Benny włączył się do rodzinnego interesu: wymuszanie, handel narkotykami, nierząd. Był nierzucającym się w oczy kuzynkiem i nikt nie zwracał na niego większej uwagi. Biegnij tu, biegnij tam, przynieś, zanieś, pozamiataj. Typowe popychadło. Ale Benny miał niemal fotograficzną pamięć i kiedy nadeszła jego pora na sali sądowej, okazał się prawdziwą encyklopedią, sypał nazwiskami i datami, przytaczał rozmowy, które zapamiętał słowo w słowo. Prokuratorzy o takich marzą.

- Nie słyszałem, jak wróciłaś wczoraj wieczorem - powiedział Rhees.

- Nie chciałam cię budzić.

- Jak tam twoje spotkanie?

Opowiedziała mu krótko o rozmowie z Danskiem.

- Otrzymałaś zapewnienie - rzekł - czy teraz możemy wracać między sosny?

- Jasne.

- Nie powiedziałaś tego z całkowitym przekonaniem - zauważył i spojrzał na nią podejrzliwie.

Znów popatrzyła na swoje nazwisko na kopercie i zauważyła stempel pocztowy. Zwróciła twarz w stronę Rheesa i poczuła, że krew napłynęła jej do głowy. Kiedy rozrywała kopertę, odnosiła wrażenie, że ręce ma zdrętwiałe, jakby w ogóle nie należały do niej, a w uszach słyszała dziwny szum, jakby w kanionie rozszalał się cyklon.

Pasquale zaparkował u wylotu ślepej uliczki. Rozpostarł na kierownicy mapę i pochylił się nad nią, zmarszczywszy brwi, jakby był turystą, który zgubił drogę w labiryncie ulic nieznanego miasta.

Uniósł głowę i spojrział w głąb zaułka. Ani żywej duszy. Niepewna pogoda. Raz słońce, potem chmury, znowu słońce.

Zabrzączał telefon. Przytknął aparat do ucha i usłyszał głos McTella.

- Czyściciel szaleństw. To najgorsze zajęcie, jakie mi przychodzi do głowy.

To była zabawa, której się oddawali z pasją. McTell zaparkował parę przecznic dalej. Zmieniali miejsca postoju zgodnie z instrukcjami Danska.

- Nie ma porównania z charakterizatorem zwłok - zauważył Pasquale. - Szminka, cienie na powieki, róż na policzki.

- Nie, to betka w porównaniu z tym - sprzeciwił się McTell. - Wyobraź sobie tylko. Przychodzisz do roboty, jest błądy świt, bierziesz kubek, szczotkę i środki dezynfekujące, nie wiesz, co ujrzysz w kabinach: wymiociny, gówna, zaszczańa i obsraną podłogę, zużyte prezerwatywy, igły zostawione przez ćpunów. Ej, przyszło mi do głowy jeszcze coś gorszego: czyściciel szaleństw na wielkim kacu.

- Niczego sobie - przyznał Pasquale.
- Jak wymyślisz coś lepszego od czyściciela kibli z diabelskim kacem, zadzwoń. Co się dzieje u ciebie?
- Nic - powiedział Pasquale.
- Nie znoszę takiego czekania. Człowiek siedzi jak na szpilkach, bo nie wie, uda mu się czy nie. Czekanie mnie wkurza. Dansk mnie wkurza. Chce, żebyśmy wymyślali... jak on to nazwał?

Sposoby odwracania uwagi? Sam sobie wymyślaj, Anthony. Pokaż im gołą dupę.

- Dobrze płaci, do tego dochodzą niezłe premie. Nie musisz go lubić. - Pasquale oderwał kawałek mapy i zaczął go składać.

- Jedyne, o co proszę, to odrobina zaufania - powiedział McTell.
- Traktuje człowieka jak ścierwo. Każe jechać tu, jechać tam, goni nas po całym tym pieprzonym stanie. Nie okazuje człowiekowi odrobiny szacunku.

- Lubi się uważać za ideał - stwierdził Pasquale.

- Mam go w dupie.

- On za wszystko płaci - powiedział Pasquale.

- I on stawia warunki.

- Owszem, on stawia warunki, zgoda, ale to my pociągamy za cyngiel, Bruno. Tam nie widać Tony'ego ze Znamieniem. Zupełnie jakby tu przybył z innej planety. Widziałeś kiedyś, co on wyprawia każdego ranka, zanim wypije kawę?

- Nie - powiedział Pasquale, pracowicie składając kawałek mapy. Potem przyjrzał się papierowemu samolocikowi, coś poprawił i wyrzucił go przez otwarte okno. Zabawka trafiła na sprzyjający prąd powietrza i poszybowała w górę, a potem upadła w jakieś zarośla. Kamikadze.

- Posłuchaj tylko, aż trudno w to uwierzyć - powiedział McTell.
- Najpierw czyści sobie zęby nitką o smaku miętowym, pokrytą wośkiem, produkowaną w Holandii czy gdzieś tam. Potem bierze tę swoją turecką czy hinduską drewnianą skrobaczkę i usuwa z języka

całe to gównno, które się zbierze przez noc. Następnie myje zęby pastą Sensodyne. Zawsze Sensodyne. Potem płucze usta tym świństwem, Per coś tam, Peridex, nie jestem pewien. Myślisz, że to już koniec zabiegów związanych z higieną jamy ustnej? Skądże znowu. Po tym wszystkim płucze usta słoną wodą. Woda jest butelkowana, nigdy prosto z kranu, a sól koniecznie morska. Nie rozstaje się z tą swoją solniczką. Gdybym był bakterią, nie chciałbym trafić do ust Danka. To oznaczałoby całkowitą eksterminację. A nie wspomniałem jeszcze o toniku do włosów, goleniu, które przypomina skomplikowany rytuał, uwadze, jaką poświęca paznokciom, i setce szybkich pompek.

- Tak jak powiedziałem, Eddie. Perfekcjonista.
- Można to i tak nazwać - zgodził się McTell.

Amanda wygładziła kartki i wyjrzała przez okno, nie patrząc na nic w szczególności: wysoka trawa, basen, młode drzewka grejpfrutowe, których skórzaste liście rzucały świetlne refleksy. Słyszała wciąż głos Isabel, tak jakby to ona odczytywała jej to, co napisała na dwóch kartkach, wyrwanych z taniego notatnika.

Zapaliła papierosa i zwróciła się do Rheesa:

- Wiem, że jeszcze cholernie wcześnie, ale muszę się napić. - Wstała od stołu, podeszła do barku, naląła sobie brandy, przez moment wachała jej bukiet, a potem wypła.

Rhees siedział pochylony nad listem, studiując go tak, jak zapewne studiowałby cudownie odnaleziony pierwszy szkic jakiegoś poematu. Zastanawiała się, co Rhees tam widział, czy próbował czytać między wierszami. Przypomniała sobie błędy ortograficzne, brak znaków przestankowych, ciągle, pochyle pismo, dziwny podział na linijki. Zastanawiała się, czy to jakoś odzwierciedla stan umysłu Isabel Sanchez.

Dopiła brandy. Ponownie przeczyta list, chyba po raz czterdziesty drugi. Nie liczyła. Wróciła do stołu. Brandy ścisnęło jej serce niczym pętla lassa.

„Manda, mam nadzieję, że dostaniesz ten list, ścigają mnie, dwóch facetów zapakowało mnie do takiej wielkiej jakby furgonetki był w niej też Galindez co mnie zdziwiło - nie spodziewałam się, że będę gdzieś z nim podróżowała, nie lubi mnie.

siedział na przedzie z jednym z tych facetów, a ja z tyłu z tym drugim który mówił że spodoba mi się moje nowe życie

Galindez powtężył że wolałby trzymać głowę zamkniętą na kludkę, potem się ściemniło jechaliśmy dalej i wtedy to się stało - furgonetka się zatrzymała Galindez wyskoczył i tych dwóch facetów pobiegło za nim i

usłyszałam strzały okropnie się złąkałam pomyślałam sobie że najlepiej będzie jak stąd prysnę zanim wrucą.

wysiadłam z furgonetki i usłyszałam jak jeden z nich mówi głupi skurwiel a drugi co teraz zrobimy z *Conchitą*.

Cichutko przycupnęłam za drzewami.

Usłyszałam jak jeden z nich woła *Conchita* gdzie jesteś nie ruszałam się, nie wiem jak długo leżałam bez ruchu.

potem nadjechała ciężarówka i kierowca mnie zabrał i tak się znalazłam w Gallup”.

Amanda przerwała lekturę i spojrzała na Rheesa. Stał w oknie, obserwując ją, lekko przechyliwszy głowę na bok. Wzięła list, przeszła do kuchni, a stamtąd do ogródka. Rhees podążył za nią. Zatrzymali się koło basenu. Na wyłożonym kafelkami dnie leżała zdechła zaba, biała i skurczona. Chmury, kłębiące się wokół porannego słońca, przypominały dym z krematorium.

Rozłożyła list na kolanach. Nie chciała go ponownie czytać.

„potem następną okazją dojechałam do farmington - zadzwoniłam pod numer który mi dałaś ale nikt nie odebrał

wykręciłam drugi numer i słuchawkę podniósł mężczyzna
pomyślałam może lepiej wrucę do phoenix i spotkam się
z tobą,
ukradłam samochód sprzed sklepu
potem znowu zobaczyłam tych dwóch facetów,
staram się jechać jak najszybciej ale cały czas depczą
mi po piętach zgubiłam ich w pobliżu parku gdzie teraz
piszę ten list

a potem znowu ich zobaczyłam
tym razem koło Tuba city”.

Amanda złożyła kartki.

- Widzę ją, jak krąży w tym skradzionym samochodzie, przypominając sobie wszystko, co jej obiecywałam... - Zrobiło jej się zimno, tak jak na początku grypy. Czowała chłód w kościach. Patrzyła na mur otaczający ogród i myślała: Nie stanowiłby dla nikogo przeszkody, dla nikogo wystarczająco zdecydowanego, by ją dopaść. Wydawało jej się, że widzi kogoś w zaroślach.

- Galindez stwierdza, że nie chce być objęty Programem, i wysiada z furgonetki - powiedziała. - Dwaj, którzy go eskortują, ruszają za nim w pościg i zabijają go, a rzeka porywa ciało. Dlaczego zwyczajnie nie pozwolili mu odejść? To jego decyzja. Jego. Dlaczego go zabili?

- A ponieważ Isabel jest świadkiem... - zaczął Rhees. - To co? Ją też trzeba zabić?

- Ale przede wszystkim dlaczego strzelali do Galindeza? Na liść boską, ci faceci to funkcjonariusze państwowi. Mają chronić świadków i umożliwiać im rozpoczęcie nowego życia, a nie zabijać ich.

Rhees usiadł obok niej i powiedział:

- To oczywiste, że nie są funkcjonariuszami. Mają fałszywe

dokumenty i wystarczająco dobre legitymacje, by przekonać każdego, że zlecono im odstawienie świadków w bezpieczne miejsce, a w rzeczywistości to ludzie wynajęci przez Sancheza.

Chmury i słońce, powietrze ciężkie i nieruchome.

- Dlaczego ludzie Sancheza mieliby się uciekać do takiej maskarady? - spytała Amanda. - I czemu jechać na pustkowia Arizony? Jego ludzie uwinęliby się z robotą na pierwszym postoju.

„Co teraz zrobimy z *conchita*?”. Słońce znowu się skryło za chmurami. Było na zmianę to widno, to ciemno. Pomyślała o Sanchezie. Przypomniała sobie bijącą od niego siłę, dotyk jego palców na swych ustach, zapach pasty do zębów i to, że nadchodzi jedno nieszczęście za drugim. Jak, do diabła, udało mu się dotrzeć do kogoś z Programu? Komu zapłacił?

- Drzysz - powiedział Rhees.

- Wiem. Może to jakiś wirus.

- Wracajmy do środka.

W domu znowu naląła sobie brandy. Alkohol na pusty żołądek, bardzo mądrze. Potrzebna jej była potężna dawka witamin i mikroelementów, preparaty białkowe i środki wzmacniające system odpornościowy.

- Zadzwoń do Danska - powiedział Rhees. - Daj mu list, niech się nad nim głowi. Wyośmy się stąd i wracajmy do domku.

Domek, racja. Wyobraziła sobie Sancheza w jego celi. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, którzy przyjechali na rozmowę z nim, wśród nich jest Dansk. Maglują go długo i szczegółowo. Nie musi im nic mówić. I tak jest już trupem, może wygadywać, co mu ślina na język przyniesie. Spieprzajcie, powie im. Dansk może spyta: „Czy mówiłeś poważnie, grożąc Amandzie Scholes?”. A Sanchez tylko powie: „Chrzań się” i uśmiechnie się pogardliwie.

- Zadzwoń do Danska, daj mu list - powtórzył Rhees. Wziął aparat telefoniczny i wyciągnął w jej stronę.

Nie ruszyła się.

- Zadzwoń do niego, na litość boską. Dostarcz mu list. To nie twoja sprawa. Powinny się tym zająć odpowiednie władze.

Dansk. Odpowiednie władze. Ale Dansk był obcy. Nie spędził wielu godzin w towarzystwie Isabel, tak jak ona, nie słuchał tragicznej historii jej małżeństwa z Sanchezem, nie pocieszał jej, nie nakłaniał do zwierzeń, nie tulił jej, kiedy płakała ze strachu i złości.

Nadal jestem za nią odpowiedzialna. To wciąż moja sprawa.

Rhees trzymał telefon w wyciągniętej ręce.

Odwróciła się. Poszła do łazienki i zamknęła drzwi za sobą. Włożyła dzinsy i bawełnianą koszulkę, wsunęła list Isabel do kieszeni, łyknęła garść drażetek i tabletek, czując kwaskowaty zapach drożdży piwnych. Dodajcie mi sił. Pomóżcie mi myśleć. Przesunęła szczotką po włosach. „Co teraz zrobimy z *conchitą*?”. Zabijemy ją, cóż innego nam pozostaje?

Zabiją *conchitę*.

Rhees czekał na nią, kiedy wyszła z łazienki.

- Dokąd się wybierasz?

- Gdzie są moje tenisówki? - Przeszła obok niego, znalazła tenisówki, włożyła je i zawiązała sznurowadła. - Muszę coś sprawdzić. Niebawem wrócę.

- Niech Dansk sprawdza, do cholery. Po to tu jest. Co się z tobą dzieje? Co oznacza ta potrzeba samodzielnego działania?

Skierowała się do drzwi wyjściowych. Wsiadała już do samochodu, kiedy ujrzała Rheesa na podjeździe. Wycofała wóz. Uniósł rękę w górę w geście oznaczającym „Zatrzymaj się”, ale nie posłuchała.

John, spróbuj mnie zrozumieć, pomyślała. Nie należysz do mojego świata. Nie była nawet pewna, czy sama nadal do niego należy.

Nie była pewna, czy wciąż ma jego mapy, czy zrozumie siatkę geograficzną i symbole, czy też zmierza z powrotem ku temu samemu oziępającemu uczuciu, które poprzednio prawie ją zniszczyło.

Wyjechała z uliczki, myśląc o ostatnich słowach listu Isabel.

„wiesz co?

ta ochrona

to jeden wielki bajer”.

Dansk, w bejsbolówce i ciemnych okularach, odebrał telefon komórkowy po pierwszym sygnale. Usłyszał, jak Pasquale mówi:

- Właśnie wyjeżdża.

- Będę w kontakcie - powiedział Dansk. Parkował przed Taco Bell. Zaczekał, póki się nie pojawił czerwony volkswagen, a potem opuścił parking, włączył się do ruchu i pojechał za Amandą. Podążał za nią nierzucającym się w oczy buickiem, który godzinę temu wypożyczył w Budget. Uważał częstą zmianę samochodów za element strategii ogólnej. Zawsze wybierał wozy średniolitrażowe w kolorach nudnych szarości albo ciemnego błękitu z trudnymi do zapamiętania kołami.

Ujrzał w myślach tytuł. BYŁA PANI PROKURATOR ZGINEŁA W NIESZCZĘŚLIWYM WYPADKU. Ale nie można przekupić operatora dźwigu, by upuścił sześciotonową płytę betonową na czyjś samochód. Mam dla pani propozycję: dlaczego nie wjedzie pani na plac budowy, prosto pod dźwig z wielką płytą na haku?

Potem wyobraził sobie inny tytuł. BYŁA PANI PROKURATOR ZNIKA, ZOSTAWIAJĄC TAJEMNICZY LIST. *Wyjeżdżam, nie mogę już dłużej wytrzymać, wybacz.* Ale Amanda Scholes nie należy do osób, które znikają.

Zmierzała do centrum Phoenix, w oddali majaczyły wieżowce, a za nimi skaliste, brunatne szczyty. Proszę, zrób coś zwyczajnego: idź do banku, supermarketu, odbierz ubrania z pralni. Zwykłe, codzienne rzeczy.

Nadal zastanawiał się nad jej wczorajszym telefonem do niego do hotelu; zadzwoniła rzekomo dlatego, żeby dać mu swój numer telefonu, ale w rzeczywistości, by go sprawdzić, co świadczy o tym, w jaki sposób pracuje jej umysł. I wciąż myślał o jej spotkaniu z Sanchezem. Próbowwała to jednego, to drugiego, szukając wyjaśnienia zagadki.

Centrum, chmury się podniosły, samochody jechały wolno, kierowcy w koszulach z krótkimi rękawami wystawili ręce za okna. Palili papierosy, bębnilo palcami w drzwi. Widział jej volkswagena przed sobą, utknęła, tak jak on. Ściągnął bejsbolówkę. Swędziała go pod nią głowa.

Samochody znowu ruszyły. Volkswagen skręcił w prawo. Danska dzieliło od Amandy sześć wozów. Ruszył za nią. Żałował, że nie ma maski, która zatrzymywałaby spaliny wiszące w powietrzu.

Amanda znalazła miejsce do zaparkowania samochodu i wjeżdżała na nie tyłem. Dansk ją minął, dotarł do ruchliwego skrzyżowania, zawrócił niezgodnie z przepisami i przejechał obok volkswagena.

Amanda szła chodnikiem. Przesunęła ręką po włosach i Dansk pomyślał: Rhees powinien jej na gwiazdkę podarować porządną szczotkę i grzebień.

Musiał znaleźć miejsce, gdzie mógłby zostawić buicka. Wjechał w alejkę zastawioną samochodami, potem skręcił w lewo i zatrzymał wóz obok parkometru, między ciężarówką do holowania pojazdów i poobijanym dzipem z rejestracją z Nevady. Zamknął samochód. Amanda była jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów przed nim. Nie patrzyła w jego stronę. Na nic nie patrzyła. Była zamyślona. Miała na sobie dzinsy, białą koszulę i wypłowiałe tenisówki.

We francuskiej restauracji sprawiała wrażenie bystrej, ożywionej i atrakcyjnej. Odznaczała się powabem, który przychodzi z wiekiem. Kobieta znająca wszystkie strefy erogenne na ciele swego kochanka. Danska intrygowało, jaka była w wieku siedemnastu lat, czy wzbudziłaby w nim pożądanie. Prawdopodobnie tak.

Nie, zdecydowanie nie. Przelecieć młodą Amandę. Wtulić twarz w jej piersi, poczuć w ustach jej twarde, ciemne sutki. Wsadzić jej fiuta, jest bliska orgazmu, jęczy głośno, zaczynasz czuć, jak kręgosłup wygina ci się w łuk, w środku wybucha gejzer, wbiła ci paznokcie w plecy, pragniesz jej wsunąć język jak najgłębiej do ust. Pragniesz jej całe, pragniesz ją zjeść, pragniesz dotrzeć językiem jej macicy, a ona jęczy: Och, och, och, Anthony, och, Anthony, zaczyna cała drżeć, och, ach, Boże, och, Anthony, Anthoneee, jeszcze, jeszcze, jeszcze, jeszcze, nie przerywaj, rznij mnie do upadłego.

Widzi to wszystko. Czuje.

Opanuj się, Anthony. Grunt to bezstronność.

Przystanęła na chodniku, sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła parę kartek papieru. Zaintrygowało go to, jak je trzymała. Mocno, władczo, jakby miały dla niej wielką wartość. Z tej odległości wyglądały jak zwykle kartki wyrwane z notesu. Może to nic ważnego, lista zakupów albo spis spraw do załatwienia. Coś, co sobie zapisała ku pamięci. Więc dlaczego ścisła ją tak, jakby to był tajny klucz do odczytania martwego języka?

W pewnej chwili jedna z kartek wysunęła jej się z palców, a bardzo słaby wietrzyk porwał ją wzdłuż chodnika. Szybko się schyliła, by ją podnieść, ale kolejne podmuchy przesunęły ją. Gonila za nią, wyglądała na lekko spanikowaną, przepychała się między przechodniami, w końcu przydepnęła kartkę butem. Kiedy podniosła nogę, kartka znowu popłynęła, tym razem wylądowała pod zaparkowanym samochodem. Ukłęknęła, zaczęła macać pod autem, odzyskała kartkę i kucając, wygładziła ją na kolanie. Na jej twarzy malował się wyraz ulgi, uśmiechała się lekko.

Pozostała bez ruchu przez kilka chwil, jakby coś rozważała. Widocznie podjęła decyzję, bo złożyła kartki, wsunęła je z powrotem do kieszeni i ruszyła przed siebie.

Sposób, w jaki uklękała, by podnieść leżącą kartkę, zaintrygował go. Cokolwiek to było, z całą pewnością można wykluczyć listę zakupów. To coś innego, coś dla niej bardzo ważnego.

Dotarła do budynku władz federalnych i weszła do środka.

Budynek władz federalnych. No, no. Zaczął się kręcić między przechodniami.

Pojawił się mim, z białą twarzą, w rękawiczkach, w jednej dłoni trzymał sznurek, na którego końcu kiwał się żółty balon wypełniony helem. Przez sekundę przyglądał się Danskowi, potem gwałtownie się odwrócił i odszedł. Dansk z głęboką pogardą traktował tych darmozjadów. Ich plastikowe kwiaty, z których tryskała woda, sposób, w jaki udawali, że idą pod wiatr. Takim dupkom powinno się wydać zakaz występowania, a jeśli już przy tym jesteśmy, jeszcze jeden dla byłych prokuratorów, którzy wtykają nos w nie swoje sprawy.

Lew Bascombe szedł przez hol w stronę wind. Amanda zawołała go. Odwrócił się.

- To znowu ty? - spytał.
- Dziękuję za zorganizowanie spotkania - powiedziała.
- Mam nadzieję, że było owocne - zauważył Bascombe.
- Bardzo.
- Czy to znaczy, że mogę się spodziewać odrobiny wytchnienia?
Położyła mu rękę na ramieniu.
- Ostatnie pytanie, Lew.

Rozejrzała się po holu. Pracownicy chodzili tam i z powrotem, niosąc akta i teczki. Ubrojony strażnik obok wykrywacza metali cicho pogwizdywał „Danny boy”.

- Powiedziałeś mi wcześniej, że przekazałeś Isabel Sanchez i Reubena Galindeza agentom Programu, zgadza się? - spytała.

Bascombe wyraźnie znużony skinął głową.

- Urzędnikom federalnym, tak?
- Nie - powiedział Bascombe. - Oddziałowi szturmowemu SS.

Nie była w nastroju do żartów.

- Ilu ich było?
- To już trzecie pytanie, Amando. Liczę. Powiedziałaś, że masz jedno pytanie.

- Proszę, Lew.
- Ilu ich było? - powtórzył Bascombe. - Nie mogę ci na to odpowiedzieć.

- Ale się wylegitymowali?

- Amando, co się, u diabła, z tobą dzieje? Szantażem zmuszasz mnie do załatwienia ci spotkania z urzędnikiem Programu, co zrobiłem. Dlaczego jemu nie zadałaś tych wszystkich pytań?

- Pytam ciebie, Lew.

Bascombe odciągnął ją na bok, żeby nie stali w przejściu do windy.

- Amando, to się musi skończyć.

- Lew, co ci pokazali?

- Mieli odpis aktu, podstemplowany i poświadczony. Sprawdziłem go z duplikatem otrzymanym z Arlington. Jeśli są zgodne, wszystko jest w porządku.

- Mogły być podrobione - nie poddawała się.

- Chciałbym mieć pojemnik z jakąś substancją, którą mógłbym cię spryskać. Wywołać u ciebie czasową śpiączkę. Ponieważ nie dysponuję niczym takim, jestem bliski wezwania strażników, by cię stąd wyrzucili. - Bascombe nacisnął guzik windy.

- Cały ten system wydaje mi się nieszczelny - powiedziała Amanda.

Bascombe potrząsnął głową.

- Oba dokumenty muszą być całkowicie zgodne. Każdej sprawie nadawany jest też numer, ściśle tajny. Takie są środki ostrożności.

- Dobra. Pokazują ci papiery. Czy im towarzyszysz, kiedy udają się po świadków, Lew? Żeby mieć pewność, że wszystko przebiegnie gładko?

- Ze względów bezpieczeństwa sposób postępowania jest za każdym razem inny. Nie zamierzam się w to zagłębiać, Amando.

Spojrzała na Bascombe'a. Tupecik na jego głowie wyglądał dziś trochę niechlujnie.

- Powiedz mi jedno, Lew. Jesteś uczciwy?
- Uczciwy?
- Czy dwulicowy?
- Chyba niezupełnie rozumiem - powiedział Bascombe.

Nie masz twarzy, twoje włosy też są do niczego, pomyślała. Jesteś tym, kim jesteś, gryziopórkiem z domem na przedmieściu i dwojgiem przecinek ileś tam dzieci.

- Zapomnij, że o to pytałam, Lew - poprosiła.

- A teraz patrz, Amando - powiedział Bascombe. - Wsiądę do windy. Wyobraź sobie, jak jadę na górę do mojego malutkiego gabinetu, w którym chcę być sam. Widzisz to? - Wsiadł do windy, drzwi się za nim zamknęły.

Odwróciła się, wyszła z budynku i znalazła się z powrotem na, skąpanej w słońcu ulicy. Szła razem z tłumem. Miała uczucie, że jest korkiem unoszonym przez nieprzewidywalny prąd wody. Czowała słońce na twarzy, chłód w kościach i rozterkę w sercu.

Przeszła na drugą stronę. Dotarła do następnego skrzyżowania i zatrzymała się przed drogerią. Poklepała się po kieszeni spodni, jakby chciała się upewnić, że list Isabel wciąż tam jest.

Daj go Danskowi. Dostarcz mu go teraz. Tylko tracisz czas, spalasz energię. Wyjęła kartki, pomyślała, jakie są kruche, czuła marną jakość papieru. Potem wsunęła je z powrotem do kieszeni i podeszła do automatu telefonicznego. Zadzwoiła na komendę policji w Phoenix i poprosiła z Williem Drummem. Omówi list z Williem. On już będzie wiedział, co zrobić. Poradzi jej.

Poinformowano ją, że nie ma go w biurze. Niech zadzwoni za godzinę. Odwiesiła słuchawkę.

Wyszła z budki telefonicznej, szklane drzwi zamknęły się, mignęło w nich odbicie twarzy mężczyzny stojącego kilka metrów dalej na chodniku. Przez chwilę nie była pewna, czy powinna się odwrócić i odejść. Potem pomyślała: a co mi szkodzi.

Zaskoczony Dansk, widząc, jak Amanda wychodzi z budki telefonicznej i kieruje się w jego stronę, zmusił się do uśmiechu.

- Amando! - wykrzyknął. - Ale niespodzianka.

Był na siebie wściekły, że dał się tak przyłapać. Moment nieuwagi i nagle jesteś w defensywie, tylko nie możesz tego zdradzić, musisz się starać, by nie dać tego po sobie poznać wyrazem twarzy ani tonem głosu, a to wymaga wysiłku.

- Miałem coś do załatwienia w śródmieściu - powiedział. - Ty też?

- Nic ważnego - odparła. - Zwyczajne sprawy. Nic ważnego, pomyślał, tylko wyprawa do siedziby władz federalnych.

- Masz chwilę czasu, żeby się napić kawy?

- Wybacz, ale się spieszę.

- Miałaś wachać kwiatki, Amando.

- Właśnie się do tego przygotowuję.

Dansk zdjął okulary.

- Musisz się pośpieszyć. Lato przeminie i zanim się obejrzysz, będzie jesień.

- A potem długie zimowe wieczory - powiedziała.

Długie zimowe wieczory. Bardzo dobrze to ujęłaś.

- Odniosłem wrażenie, że wybierasz się do domku, o którym wspomniałaś.

- Anthony, czy przypadkiem nie próbujesz mnie poganiać? - spytała.

- Poganiać? - Nie przeciągaj struny, pomyślał. Jest wystarczająco bystra, by się zorientować, że zależy ci, by wyjechała jak najprędzej.

- Po prostu odniosłem wrażenie, że chcesz opuścić miasto, i tyle.

- Prawdopodobnie wyjadę dziś wieczorem - oznajmiła. - Najpóźniej jutro rano. Czy widziałeś się już z Sanchezem?

- W każdej chwili spodziewam się raportu.

- Nie porozmawiasz z nim osobiście?

- Robi to ktoś inny.

- Nie przeprowadzasz rozmów - powiedziała.

- Nie potrafisz się zorientować, kiedy ktoś ci próbuje wciskać kit.

- Wcale tego nie powiedziałem. Tak już po prostu jest. Podział pracy.

Ruszyła chodnikiem, Dansk poszedł za nią.

- Anthony, a tak w ogóle, jak trafiłeś do tej roboty? - spytała.

- Różnymi drogami - powiedział.

- Jesteś bardzo oględny.

- Przyzwyczajenie.

- Masz na myśli konieczność zachowywania tajemnicy.

- To styl życia, który wchodzi człowiekowi w krew.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że to dziwny styl, Anthony.

- Nie jest to praca sprzyjająca bujnemu życiu towarzyskiemu - powiedział Dansk. - To nie firma, która organizuje dla pracowników przyjęcia gwiazdkowe i festyny.

- Chyba czujesz się samotny - powiedziała.

Nie chciał, by odniosła wrażenie, że doskwiera mu samotność. Nie chciał ujawnić niczego o sobie.

- Ale ta praca daje coś w zamian - odparł. - Robię coś pożytecznego.

- Coś dla ludzi.

- To jak służba. Pracujemy w cieniu, żeby takie osoby jak ty mogły posyłać przestępców tam, gdzie ich miejsce. Wierzę w to, co robię.

- Nie wątpię w to, Anthony. Bije od ciebie solidność.

Spojrzała mu prosto w oczy. Zrozumiał, że jest w jakiś sposób poddawany ocenie. Nie podobała mu się szczerłość jej spojrzenia. Przez chwilę odnosił wrażenie, że ubył jej lat i że widzi ją taką, jaką mogła być w wieku dwudziestu paru lat, z bardziej wydatnymi kośćmi policzkowymi, bez tych drobnych zmarszczek wokół szaroniebieskich oczu, błyszczących i pełnych entuzjazmu.

Odwrócił wzrok, a po chwili znów na nią spojrzał, ale odwróciła lekko głowę i ku swej uldze stwierdził, że zniknęła z jej twarzy ta młodzieńczość. Odgarnęła z czoła kosmyk włosów, przyłapał się na tym, że chciałby to zrobić za nią, aż zacisnął dłoń. Dotknąć pani prokurator. Odgarnąć jej włosy. Tylko nie poczuć do niej sympatii. Nie polub jej. Dobra, już wcześniej ulegałeś podobnym fantazjom erotycznym, które nie miały najmniejszego znaczenia, były jedynie przypadkowymi wytworami wyobraźni. Nawet nie myśl o niej jako o kobiecie, jest obiektem twojej obserwacji i tyle. Rozpracowujesz ją. Taki masz zawód. W ten sposób zarabiasz na życie, Anthony.

Wsunęła rękę do kieszeni spodni. Pomyślał o kartkach, które traktuje z takim pietyzmem. Potrzebny mu był kieszonkowiec. Musi koniecznie się przekonać, co to za kartki.

- Czy kiedykolwiek straciłeś ludzi? - spytała.

- Czy straciłem? - Dansk zastanowił się nad jej pytaniem. Miał wrażenie, że Amanda pyta o coś zupełnie innego. - Chodzi ci o to, czy kiedykolwiek rezygnują z ochrony?

- Na przykład - powiedziała.

- Zdarza się. Brakuje im starych śmieci. Wracają. Ale zdarza się to rzadko.

- Czy prowadzona jest jakaś statystyka? Na przykład ile osób zrezygnowało z ochrony. Jaki procent pozostaje objęty Programem. Ciekawe byłoby przeanalizowanie tych cyfr.

- Takie informacje byłyby poufne, Amando - powiedział Dansk.
- Poufne. Oczywiście.

Spojrzał na nią. „Czy kiedykolwiek straciłeś ludzi?”. To było coś więcej niż zwykle pytanie. To była próba sondowania głębokich wód, badanie podmorskich form życia. Była dzisiaj jakaś inna niż podczas spotkania w „Biltmore”, tylko nie mógł do końca zrozumieć, na czym polega ta inność. Zdawała się bardziej pewna siebie, uspokojona. Ciekaw był dlaczego. Może przypadkiem na coś się natknęła. Coś wie. Wykluczone. Zresztą, co mogłaby znaleźć? Nie było nic do wyniuchania. Wszystko pozostawało szczelne, zamknięte na kłódkę i żelazne sztaby.

Jak na razie.

Jego uwagę zwróciła kobieta z małym pieskiem na smyczy. Przypominał szczura. Pies przykucnął, zrobił kupę na chodniku, potrząsnął tyłkiem i poszedł dalej.

Dansk spojrzął na psie gównno i powiedział:

- Boże, jak tego nienawidzę. Ludzie pozwalają, by ich psy zabrudziły chodnik, i jak gdyby nigdy nic idą sobie dalej. Kretyni wyrzucają puszki po piwie z samochodów i furgonetek. Szosy są zaśmiecone. Tuż obok domów walają się stare meble. Materace, lodówki, łóżka, ubrania, porzucone wózki sklepowe. Człowiek się zastanawia, cóż to za mentalność, dlaczego ludzie nie potrafią utrzymać czystości...

Wystarczy, Anthony. Nie rozwódź się nad tym dalej. Dosyć powiedziałeś.

- To naprawdę cię irytuje - stwierdziła. Spojrzała na niego lekko zdziwiona.

- Jasne, że mnie irytuje. A ciebie nie?

- Owszem, ale nie mogę z ręką na sercu oświadczyć, że przywiązuję do tego taką wagę, jak by należało, Anthony.

Dansk wziął głęboki oddech. Opanowanie było tu bardzo istotne. Powinien sprawiać wrażenie człowieka bezstronnego, a nie takiego, którego ponosi na widok psiej kupy. Z całą pewnością nie takiego.

Odezwał się, przybierając bardziej wyważony ton.

- O to właśnie chodzi: nikt o tym nie myśli. Ludzie pozbywają się śmieci, ale robią to niewłaściwie i ktoś inny musi po nich sprzątać. Morza są pełne chemikaliów, rzeki są zatrute. Powietrze... Wszędzie widać graffiti. - Przesunął wierzchem dłoni po ustach.

- Należysz do maniaków porządku - zauważyła. - Ty pozbywasz się swoich śmieci jak należy, prawda?

- Staram się - powiedział. - Nic mi nie wiadomo, żebym był maniakem porządku. - Nie lubił słowa „maniak”. Wywoływało w nim złe skojarzenia.

- Czy to jakiś rodzaj przypowieści, Anthony? - spytała. - Narzekasz na śmieci i zatrucie środowiska, ale w rzeczywistości masz na myśli coś zupełnie innego?

- Mówiłem wyłącznie o śmieciach. - Roześmiał się. Usłyszał w swym śmiechu dziwne tony.

Spojrzała na niego.

- Szczerze mówiąc, bardziej mnie interesuje pozbywanie się innego rodzaju śmieci, takich jak Galindez, Isabel.

Powiedziała „pozbywanie się” w taki sposób, że nadała temu słowu wiele znaczeń. Spojrzała na okno wystawowe. Tysiące rodzajów tradycyjnych słodczy w słojach, prążki, zwoje i wrażenie, że w buteleczkach uwieczono tęczę.

- Spójrz, iryski - powiedziała. - I toffi.

Weszła do sklepu, a Dansk za nią. Powietrze było ciężkie od zapachu wanilii i cynamonu. Dansk przyglądał się lizakom, smażonej lukrecji i karmelkom. Bolały go oczy od szkarłatów, zieleni i ostrej żółci. Nigdy nie przepadał za słodczymi, w takich sklepach czuł się tak, jakby ktoś mu położył sreberko bezpośrednio na metalową plombę.

Amanda kupiła torebkę toffi. Jeszcze zanim wyszli na ulicę, wsunęła cukierek do ust.

- Chcesz jednego? - spytała.

- Nie, dziękuję.

- Mam słabość do toffi - oznajmiła. Jeden policzek miała wypchany cukierkiem. - A ty masz jakąś, Anthony?

- Chodzi ci o ukrytą słabostkę? Chyba nie.

- Niech zgadnę - powiedziała. - Twoja słabostka jest tak głęboko ukryta, że nawet nie wiesz, co to takiego.

Dansk się uśmiechnęła. Bawi się ze mną. Posuwa się za daleko. Kontroluję to, pomyślał.

- Mówiliśmy o twoim dochodzeniu - przypomniała.

- Zgadza się.

- Ten raport, dotyczący Sancheza, na który czekasz, może ci niewiele pomóc.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- A potem co? Z powrotem do centrali?

Dansk skinął głową.

- Tak jest.

- I do wewnętrznego śledztwa? Kiedy się czegoś dowiesz, musisz mnie poinformować.

- Zawarliśmy umowę, Amando. Przypieczętowaliśmy ją uściskiem dłoni.

- Racja.

- Możesz mnie nazwać tradycjonalistą, ale dla mnie uścisk dłoni wciąż dużo znaczy - powiedział.

- Dla mnie też, Anthony. - Potrząsnęła papierową torebką z cukierkami. - Moja ukryta słabostka jest naprawdę bardzo niewinna, jeśli pomyśleć, do czego mogłabym się posunąć.

- Do czego mogłabyś się posunąć, Amando? - spytał.

- Och, do różnych niecnych rzeczy. Spojrzał na delikatny łańcuszek na jej szyi i wyobraził sobie, jak go zaciska, aż oczy jej wychodzą z orbit, język zwisa z ust i już jest po niej. Potem wyobraził sobie, jak ją grzebie żywcem. Ziemia przykrywa jej twarz, ogarnia ją ciemność, unosi ręce, broniąc się przed bezlitosnymi zwałami ziemi. Jak krzyczy, póki piasek nie zasypie jej ust. Żadnego śladu, że tu jest

jej grób, żadnego napisu „Tu spoczywa pani prokurator”. Potem wyobraził ją sobie, jak płonie. Wyobraził sobie powietrze wypełnione popiołem. Mam nad tobą władzę, moja pani. Mogę zrobić z twoim życiem, co tylko zechcę, nie uwierzyłybyś, ile mogę.

Szli, aż znaleźli się na skrzyżowaniu. Dansk czuł się, jakby czaszkę wypełniały mu ciasno ułożone zwoje. Przez ciebie muszę tkwić w tej dziurze, kiedy powinienem jechać gdzie indziej, zając się czymś innym. Nie mogę się tak rozdrabniać, moja pani.

- Zaparkowałam tam - powiedziała. - Tutaj się rozstaniemy.
- Chyba tak.

Znów potrząsnęła torebką z cukierkami.

- Na pewno nie masz ochoty na jednego? Ostatnia szansa.
- Jesteś uparta.
- Bardzo - potwierdziła.

Otworzyła torebkę, wsunął rękę do środka i wyciągnął brązowy, kruchy sześcian. Położył go sobie na języku, jakby to był odpad radioaktywny. Uśmiechnęła się i poszła do swego samochodu. Jak tylko się odwróciła, wypłuł cukierka.

Przejechała obok niego, dwa razy nacisnęła klakson i pomachała mu. Też jej pomachał. Mdlący smak cukierka utkwiał mu w gardle niczym posłodzona kreda. Patrzył, jak volkswagen znika za rogiem.

Wrócił do swego wozu i usiadł za kierownicą. W głowie przelatywały mu pociski smugowe. Jego umysł był terenem wojny. Okopy, ranni, sanitariusze z noszami, huk armat, trupy zaścielenające pole bitwy.

Nieczne rzeczy, pomyślał. Pokażę ci kilka naprawdę niecznych sztuczek, cycatko. Masz osobiste zapewnienie Anthony'ego Danska. Ujrzał swoją rękę nad pulpitem kontrolnym, światełka migotały, palec wskazujący unosił się w powietrzu, siła grawitacji Amandy sprawiała, że jego palec zmierzał ku nieuchronnemu.

Jedno dotknięcie. I po wszystkim.

Zadzwoił do McTella.

Wykręciła numer Drumma z budki telefonicznej na stacji benzynowej. Wciąż go nie było. Zostawiła wiadomość, że dzwoniła, potem postanowiła zatelefonować do Rheesa. Obserwowała przejeżdżające samochody i zastanawiała się, czy Anthony Dansk jest gdzieś w pobliżu, czy naprawdę ją śledził i widział, jak weszła do budynku władz federalnych, czy nadal za nią jedzie. Obserwuje każdy jej ruch. „Miałś wachać kwiatki, Amando”.

Zaskoczyła go, kiedy wyszła z budki telefonicznej. Bardzo się starał nie okazywać swego zmieszania, ale zachowywał się jak ktoś, kogo przyłapano na podglądaniu, jak podsłuchujący przydybany pod drzwiami. Zdradziło go jego zachowanie: drapał się po znamieniu, ogryzał koniuszek małego palca. A potem ni stąd, ni zowąd ta dziwaczna tyrada przeciwko śmieciom, aż w kącikach ust pojawiły mu się białe kropelki śliny.

Pies robi kupę na chodniku i Danska ogarnia wściekłość. Maniak porządku. Kapitan Higiena. Zaniepokoił ją jego roziskrzony wzrok, kiedy to mówił. Było to spojrzenie nadgorliwca, utkwione nieruchomo w jakiś odległy punkt, który widział tylko on. Jego oczy stały się twardymi, błyszczącymi kawałkami szmaragdów. Nie rzucał słów na wiatr. Był kimś, kto wszedł na górę i wrócił z ważną nowiną. Nie zaśmiecacie Ameryki.

Nie, tu chodziło o coś więcej niż o śmiecie, graffiti i porzucone wózki sklepowe. Niezbyt się orientowała w alegoriach, ale odniosła wrażenie, że Dansk mówił, na swój okrężny sposób, o stanie kraju. Tylko o co mu chodziło? Że duch narodu zaniknął? Że Amerykanie za daleko się posunęli w swym braku poszanowania dla prawa i porządku, o czym świadczyły ich skłonności do zaśmiecania ulic i pozwalania swym psom na robienie kupy wszędzie, gdzie zechcą?

Nie była pewna, ale ten niespodziewany wybuch sprawił, że poczuła się nieswojo, bardzo nieswojo. Najwyraźniej w mózgu Danską była bardzo dziwna i niepokojąca szufladka. Przez moment odnosiła wrażenie, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, jakby, stojąc w budce telefonicznej, stanowiła wyraźny cel dla jakiegoś snajpera, czającego się w pobliżu, kierującego na nią lufę, trzymającego na cynglu palec żółty od nikotyny. Spojrzała na drugą stronę ulicy. Wznosił się tam trzypiętrowy biurowiec, z żaluzjami w oknach, przed wejściem kołysała się samotna palma daktylowa. Przeniosła wzrok na dach, myśląc, że to paranoja. Dansk może i zachowuje się trochę dziwacznie, ale jest pracownikiem Ministerstwa Sprawiedliwości, stoi po twojej stronie...

A jednak czuła się zagrożona.

Rhees odebrał telefon.

- To ja - powiedziała. Rhees milczał przez chwilę.
- Gdzie jesteś?
- Na Glendale Avenue - odparła.
- Mam nadzieję, że jedziesz do domu. - Wyraźnie był nie w humorze.
- Nie zamierzałam tak wybiec, John.
- Zawsze tak mówisz, Amando – zauważył Rhees.
- Przepraszam.
- Czyżbym słyszał skruchę w twoim głosie? - spytał.
- Owszem, odczuwam skruchę.
- I brak szczerości. Nie znoszę tego. Poczowała się tak, jakby miała ciasną obręcz wokół głowy.

- Zawieszenie broni?
- Nie wystarczy wypowiedzieć te słowa i myśleć, że wszystko załatwione. Skontaktowałaś się z Danskiem?

- Widziałam go.
- Powiedz mi, że dałaś mu ten cholerny list, Amando. To wszystko, co chcę usłyszeć.

- Myślę, że mnie śledził, John.
- Śledził cię?
- Obserwował mnie.
- Dlaczego miałby to robić?
- Pragnie mieć pewność, że wyjadę z miasta. Nie chce, żebym się tu kręciła. Mam również nieodparte wrażenie, jakby czegoś szukał.

- A więc cię śledzi. Obserwuje.
- Tak mi się wydaje, nie mogę tego twierdzić na pewno...
- Ale mówisz, że mu nie ufasz.
- Owszem, nie ufam mu - powiedziała szybko.
- Nie wierzysz, że jest wobec ciebie uczciwy? Czy nie ufasz mu i kropka?

- To drugie.
- Dlaczego nie przyjedziesz do domu, żebyśmy mogli o tym spokojnie pomówić? Nadal czekam, żeby się dowiedzieć czegoś o liście. Bardzo zgrabnie wykręciłaś się od odpowiedzi.

Przez chwilę milczała.

- Mam go w kieszeni - przyznała się. - Chcę o nim porozmawiać z Williem, zanim się na cokolwiek zdecyduję.

- Drumm, Dansk, naprawdę wszystko mi jedno, komu go dasz, jeśli pozbędziemy się go z naszego życia.

Rozłączył się. Nigdy wcześniej tego nie robił. Ani razu się nie rozłączył podczas sześciu lat ich znajomości. Odwiesiła słuchawkę. Czowała się poturbowana, jakby w budce telefonicznej doszło do jakiejś małej eksplozji.

Wyszła i poczuła na sobie palące promienie słońca. Nagle sobie przypomniała, że miała oddzwonić do Bernadette Vialli. Wróciła do budki, odszukała jej numer w zniszczonej książce telefonicznej, a następnie go wykręciła. Nikt nie odbierał.

Poszła do samochodu, przejechała kawałek, zerkając w lusterko wsteczne i zastanawiając się, jak się można zorientować, czy się jest śledzonym, kiedy na drodze panuje taki ruch. Skręciła na parking przed centrum handlowym, wyłączyła silnik i siedziała jakiś czas, wyglądając przez okno i obserwując przejeżdżające samochody. Tyle pojazdów, tyle ludzi, cały ruch zlewał się ostatecznie w jeden nieprzerwany strumień, który po jakimś czasie stawał się czymś surrealistycznym.

Myślała o Sanchezie, o jego groźbie, która jej wciąż dźwięczała w uszach. Myślała o cieniach i skradających się myśliwych, o możliwości istnienia niebezpieczeństwa, czającego się w mroku.

Dansk.

Albo ktoś inny, ktoś wynajęty przez Sancheza.

Skąd można wiedzieć, czy się jest śledzonym w takim zwariowanym, wielkomijskim koszmarze? Tak jak skąd można wiedzieć, czy identyfikator, którym mignął jej Dansk, nie był podrobiony? Jakie miała dowody na to, że Dansk naprawdę jest tym, za kogo się podaje?

Żadnych.

Rhees zabijał czas, wyławiając z basenu martwe motyle, opadłe z sił owady i liście, kiedy w domu zadzwonił telefon. Odłożył siatkę na ziemię i poszedł do kuchni. Myślał, że to może znowu Amanda, ale usłyszał głos Morgana Scholesa.

- Daj no mi ją.

- Nie ma jej w domu - powiedział Rhees. Patrzył na cedrowy płot okalający ogród. Woda skąpana w słońcu odbijała się w deskach, tworząc na nich drżący wzór. Kilka metrów dalej, za ogrodzeniem, pracownik telefonów w białym kasku schodził z drabiny opartej o słup telegraficzny. Zniknął z pola widzenia, Rhees usłyszał trzaśnięcie drzwiczek i odgłos uruchamianego silnika.

- Słuchasz mnie, John? - spytał Scholes.

- Tak.

- Dzwonię do niej, obiecuje, że oddzwoni, i nic.

- Jest zajęta, Morgan - wyjaśnił Rhees.

- Nie mów. Chodzi o tego sztywnego, znalezionego w rzece, tak?

- Przecież ją znasz - powiedział Rhees.

- Jak zły szeląg - wysapał Morgan Scholes. - Jesteś dla niej za miękki, John. A tak w ogóle kto u was rządzi? Ty czy ona?

- Panuje równouprawnienie - odparł Rhees i zastanowił się, ile jest w tym prawdy. Czasami myślał o Amandzie jak o sztormie, o gwałtownie wezbranej rzece. Jego zadaniem było układanie wzdłuż brzegów worków z piaskiem i czekanie, aż wody opadną.

- Równouprawnienie? Wątpię. Krótco cię trzyma.

- Mylisz się, Morgan.

- To moja wina. Dałem jej za dużo swobody, kiedy była dzieckiem, i co dobrego z tego wynikło? Powinienem być surowszym ojcem.

Rhees spojrział na zegar kuchenny. Minęło pół godziny, odkąd się rozłączył z Amandą. Może się obraziła, nie śpieszy się z powrotem, wystawia jego cierpliwość na próbę.

- Nie sądzę, by miało to coś wspólnego z tym, że dałeś jej za dużo swobody, Morgan - powiedział.

- Nie?

- Raz pragnie ciszy i spokoju - powiedział Rhees - a po chwili nie jest pewna, czy naprawdę odpowiada jej bezczynność. Dawniej zawsze miała jakiś cel. Teraz... myślę, że to kwestia samookreślenia się na nowo, co nie przychodzi łatwo.

- Jest wystarczająco duża, John, by w końcu coś postanowić, i powinieneś jej to powiedzieć - oświadczył Morgan Scholes.

- Próbuję - odparł Rhees.

- Każ jej zadzwonić do mnie, kiedy wróci.

Rhees obiecał, że przekaze Amandzie jego prośbę.

Odłożył słuchawkę i krążył z pokoju do pokoju, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. W łazience zajrzał do apteczki. Miał ochotę zebrać preparaty witaminowe Amandy oraz jej środki na wzmocnienie i wyrzucić wszystko do śmieci. Zaczął czytać etykiety: suszone algi, sproszkowane omułki, cokolwiek to jest. Wyobraził sobie rośliny i zwierzęta, wyławiane z głębi morza, mielone, a następnie zatapiane w kapsułkach.

Były dwa leki na receptę: diazepam i dalmane. Środki nasenne, które zażywała podczas procesu Sancheza, kiedy musiała się prześpać, kiedy była zbyt spięta, kiedy była trzecia nad ranem, a ona kompletowała materiały albo studiowała zeznania Isabel Sanchez, albo ślęczała nad stenogramami swych rozmów z Galindezem. Kiedy nerwy miała w strzępach.

A teraz oświadcza, że Dansk ją śledzi. Mówi, że to czuje. Zazwyczaj jej instynkt się nie mylił, ale tym razem Rhees zastanawiał się, czy prawidłowo interpretowała sygnały, czy też zachowywała się melodramatycznie w związku z Isabel.

Przypadek paranoi? Całkiem możliwe.

Zamknął szafkę. Wsłuchał się w zalegającą w domu ciszę. Pragnął, żeby weszła przez drzwi frontowe, a on by ją przytulił i powiedział: „Przepraszam, że się rozłączyłem. Porozmawiajmy” albo coś w tym rodzaju. Wyjaśnijmy sobie wszystko i oczyścimy atmosferę.

Poszedł do kuchni. Drzwi do ogrodu były otwarte. Myślał, że je zamknął. Nie, dobrze pamiętał, że je zamykał, żeby nie wypuszczać zimnego powietrza z klimatyzowanego...

Ujrzał łyżkę do opon, ale stał jak wryty. Spadła na jego zębra z siłą, która sprawiła, że całe powietrze uszło mu z płuc. Zachwiał się, ścisnąc bolący bok, w oczach mu pociemniało, czuł się tak, jakby się zsuwał w dół naoliwionego cylindra. Drugi raz dostał w głowę i uczucie osuwania się w mrocznej rurze stało się jeszcze silniejsze. Zrezygnował z próby zachowania równowagi i opadł na rękę i kolana.

Uniósł głowę. Próbował wstać, chwytając się krawędzi stołu, i wtedy otrzymał trzeci cios, potężny i straszny, metal z taką siłą opadł na jego lewą dłoń, że słyszał trzask łamanych kości. Osunął się na ziemię, świat zaczął wirować jak podczas owych szalonych jazd na karuzeli, kiedy człowiek szybuje w powietrzu, a ludzie stojący w dole przypominają morze twarzy w białym świetle. Przekreślił się na wznak i ujrzał niewyraźnie dwóch facetów w maskach narciarskich. Zebrał wszystkie siły i kopnął jednego z nich w krocze.

- Ty skurwielu - zaklął mężczyzna.

Łyżka do opon wylądowała na jego kolanie. Zaczęli go ciągnąć po podłodze, potem przez ogród, aż znaleźli się obok basenu. Tam wsadzili mu głowę pod wodę i przytrzymywali. Jedyne, co widział, to jasnoczerwone bąbelki wydobywające się z jego ust. Zamierzali go utopić. Chciał krzyczeć, potem wyciągnęli mu głowę z wody, słońce świeciło mu prosto w oczy, znów go zdzielili, tym razem w kark. Zanurzyli mu głowę drugi raz, a może trzeci, nie liczył, nie był zdolny do najprostszych działań arytmetycznych. Ból zaczął mu targać wnętrzności, przybierać na sile, ale to był dopiero początek, ponieważ później stał się nie do wytrzymania, a jego mózg załapała ciemnobordowa fala.

Amanda skręciła w ślepią uliczkę. Nie dostrzegła niczego podejrzanego. Nie było widać Danska ani w ogóle nikogo, nie jechał za nią żaden samochód. Zaparkowała na podjeździe.

Dobrze. Pora zrobić coś konkretnego. Wejść do domu, zadzwonić do centrali Ministerstwa Sprawiedliwości w Waszyngtonie i poprosić o połączenie z Anthonym Danskiem. Telefon, który jej dał, mógł wcale nie należeć do ministerstwa. Jeśli ją połączą z jego numerem wewnętrznym, będzie przynajmniej wiedziała, że jest tam zatrudniony. Jeśli telefonistka powie, że nie ma nikogo o nazwisku Dansk... nie była jeszcze gotowa do formułowania wniosków.

Wysiadła z samochodu. Odwróciła się i spojrzała na uliczkę. Panował tu spokój, ale wywołujący dziwne zdenerwowanie. Jakby przeszedł tędy kondukt, okrywając wszystko całunem ciszy. Żadnych dzieciaków, żadnych przechodniów, żadnego warkotu kosiarek do trawników, nic. Coś było nie tak, tylko nie potrafiła powiedzieć co. Nieruchome powietrze było naładowane elektrycznością, jak przed burzą.

Otworzyła drzwi samochodu, spojrzała na dom i zobaczyła lśniące w słońcu okna. Oślepił ją ich blask. Ruszyła w stronę domu, otworzyła drzwi i weszła do holu, gdzie w roztrzaskanym lustrze na ścianie jej twarz odbiła się w tysiącu ostrych odłamków.

Nie poruszyła się. Podświadomość jej podpowiadała, że w takich sytuacjach powinno się działać zgodnie z ustalonym schematem, należy natychmiast wybiec z domu i wezwać policję, nie wolno ryzykować spotkania z włamywaczem, jeśli nadal jest w środku, trzeba przestrzegać określonych reguł, jeśli chce się ująć z życiem. Reguły nie miały dostępu do jej umysłu.

Zrobiła krok do przodu. Potłuczone odłamki lustra zachrzęściły pod jej butami. Zajrzała przez otwarte drzwi salonu. Na podłodze leżała maszyna do pisania. Szuflady biurka Rheesa były wysunięte. Wszędzie poniewierały się papiery.

Odstępstwo od tego, co normalne, wywołuje lęk. Papiery tam, gdzie ich nie powinno być, maszyna do pisania na podłodze, stłuczone lustro. Podkrađa się bliżej drzwi, świadoma głębokiej ciszy spowijającej cały dom, wszelkie odgłosy zostały wysrane z pomieszczeń, została tylko ta martwa cisza w kompletnej pustce. Czowała odrętwienie w całym ciele.

Weszła do pokoju.

- John! - zawołała.

Jego książki były porozrzucane. Notatki leżały w nieładzie. Krzesło przewrócone, abażur stratowany i pogięty. Ani śladu Rheesa.

- John!

Skierowała się do kuchni. Tam też go nie było. Na stole kuchennym ktoś przewrócił słoik buraków, ciemnopurpurowy płyn kapał na podłogę.

Stwierdziła, że ma trudności z oddychaniem. Przestrzeń, w której się poruszała, była lepka. Wracaj, odwróć się, uciekaj stąd. Podeszła do na pół otwartych drzwi kuchennych i chwyciła klamkę.

- JOHN!

W ogrodzie panowała cisza. Motyle krążyły nad wysoką trawą, w echu, które do niej wróciło, nie mogła rozpoznać własnego głosu. Błękitne niebo, delikatne, barwne skrzydła motyli, zamierające echo. Ruszyła przez trawnik, coś ją ciągnęło w kierunku basenu. Stała jak wryta. Słońce pociemniało.

Siedział bez ruchu na stopniach z tego końca, gdzie było płytko. Głowa opadła mu na piersi. Oczy miał zamknięte. W wodzie, która mu sięgała do pasa, utworzyły się czerwone kręgi.

Takie rzeczy się zdarzają, czyta się o nich codziennie w gazetach - włamania do domów, chuligani terroryzujący przedmieścia, narkomani szukający pieniędzy na następną działkę. Tak bywa, tyle że to się powinno przytrafić komuś innemu, nie tobie.

W żadnym razie nie tobie.

Podbiegła do Rheesa, przyklękła, ujęła go pod pachy, a potem zaczęła ciągnąć, aż zabrakło jej tchu, a głowa zaczęła płonąć, jakby miała gorączkę. Wyciągnęła go z wody, w powietrzu unosił się zapach chemikaliów i wilgotnej odzieży.

Na twarzy Johna usiadł komar, nucąc swą piosenkę wampira.

Dansk podszedł do konfesjonału. Dostrzegł kawałek różowej gumy do żucia przyklejony do ściany i napis, nabazgrany ołówkiem tuż nad podłogą: „Jezus zbawia w Citibanku”. Tuż obok leżała pomięta prezerwatywa, rzucona przez jakiegoś kretyna o wynaturzonym poczuciu humoru. Oznaki ogólnej degrengolady były widoczne wszędzie - nawet w kościołach.

- Ojcie, zgrzeszyłem. Cudzołóstwo, dziwki, panienki na telefon.

Smuga światła słonecznego, która się wzięła nie wiadomo skąd, padała na czaszkę księdza siedzącego po drugiej stronie konfesjonału, połyskiwała na siwych włosach, tworzących jakby aureolę. Dansk usłyszał, jak duchowny ziewa. Nawet księży dotknął ogólny upadek obyczajów.

Pomyślał o swej matce i jej głębokiej religijności. Mieszkała w Patterson w stanie New Jersey, w trzech ponurych pokoikach oświetlonych dwudziestowatowymi żarówkami, nad warsztatem niewidomego konserwatora skrzypiec nazwiskiem Chomsky. Przy akompaniamencie drażniących uszy dźwięków dobiegających z dołu dużo się modliła przed gipsowym posążkiem Matki Boskiej stojącym na telewizorze. Na podstawie figurki widniał napis „Pamiątka z Knock w Irlandii”. Dorońszesz, Anthony, zostaniesz księgowym, optykiem, człowiekiem szanowanym.

Szacunek to było jej credo. I kiedy tylko możesz, chodź do spowiedzi.

Trzy czy cztery razy do roku dzwonił do niej, mówił jej, że przenosi się z miejsca na miejsce, tam gdzie go skieruje koncern naftowy, w którym pracował jako geodeta. Wymyślał nazwy rzeczy, które nie istniały. Wczoraj zepsuł się *calsidron*. W pobliżu Amarillo jest takie miejsce, gdzie się znajdują prawdopodobnie największe na świecie złoża *vobendum*.

Jego matka nigdy nie zadawała pytań. Nie pytała go nawet, czy ma jakąś dziewczynę i czy może mieć nadzieję, że pewnego dnia zostanie babcią. Zawsze kiedy o niej myślał, widział ją pochyloną przed tą świętą figurką, z zamkniętymi oczami, modlącą się za duszę swego zmarłego męża Alberta, który w dniu czwartych urodzin Danska dostał zawału serca. Jedyne wspomnienie, które zostało Danskowi po ojcu, to zapach smażonego tłuszczu, jakim przesiąknięte było jego ubranie. Czternaście godzin na dobę pracował jako kucharz na postojach dla ciężarówek na peryferiach Patterson.

- Wierzysz w Boga? - spytał ksiądz.

- Tak - powiedział Dansk. Konfesjonały wzbudzały w nim lęk. Wypełniały je echa milionów grzechów, upiornych głosów proszących o przebaczenie.

- Dziesięć zdrowasiek - zadał mu ksiądz pokutę.

- Bóg zapłać - powiedział Dansk.

- Z Bogiem.

Robota odwalona. Duchowni spieszyli się jak wszyscy w tej epoce akronimów i okruchów dźwięków, nikt nie miał czasu słuchać. Odprawiony, Dansk odszedł od konfesjonału. Płacę za miłość, zadaje się z dziwkami. Jestem głównym geodetą Transamerica Explorations Inc. Człowiekiem szanowanym mimo swych upodobań seksualnych. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią.

Dziesięć zdrowasiek, łagodna gimnastyka dla duszy. Nawet się człowiek nie spoci. Wrzucił kilka monet do puszk na misję w Patagonii i wyszedł na ulicę. Ruszył w stronę samochodu, o który się opierał wysoki Murzyn, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Dansk szedł przed siebie, tylko nieznacznie zwolniwszy kroku. Usłyszał buczenie, zwiastujące nadciągające niebezpieczeństwo.

- Ty jesteś Dansk? - spytał mężczyzna.

Dansk dotarł do samochodu. Obrzucił nieznajomego szybkim spojrzeniem. Czarna nylonowa kurtka, czarna koszulka polo, monstrualne, nastroszone brwi, potężne łapska, żadnych sygnetów. Dansk uderzyło ogólne wrażenie brutalności, bijące od nieznajomego.

- Chcę zamienić słówko - odezwał się Murzyn.

- Nie znamy się - powiedział Dansk.

- Zaraz się poznamy - rzekł czarny.

Dansk czuł w otaczającym go powietrzu rodzaj ładunku elektrycznego, gdzieś w głowie słyszał dźwięki przywodzące mu na myśl Chomsky'ego, naprężającego strunę skrzypiec tak, że mało nie uległa zerwaniu.

Murzyn stał przed nim z założonymi rękami.

- Chodźmy tam - powiedział.

Dansk spojrzał w tamtą stronę, ujrzał wylot alejki, wielkie pojemniki na śmieci, plastikowe worki, jeden się rozerwał, ukazując zawartość. Zobaczył kości i sałatę, z której sączyła się jakaś brunatna ciecz.

- Nie chodzę z nieznajomymi po zaułkach - powiedział. - Taką mam zasadę.

- Możemy to załatwić tutaj - odparł czarnoskóry.

Dansk się rozejrzał. Zobaczył ciche domy, puste chodniki, palmy, a kilka przecznic dalej wieżowce centrum miasta. Nigdzie ani żywej duszy. To była jedna z tych prestiżowych ulic, uratowana przed całkowitym upadkiem przez adwokatów, speców od reklamy i lokalnych dziennikarzy.

Murzyn szturchnął Danską w pierś grubym paluchem.

- To napad rabunkowy? - spytał Dansk.
- Chciałbyś.

Dansk spojrział w oczy mężczyzny, które były koloru osmalonego dębu. Dostrzegł w nich wyraźną antypatię.

- A więc to sprawa osobista? - spytał.

Facet dźgał go palcem, a Dansk się cofał.

- To, co zrobiłeś tamtej dziewczynie, to największe krewstwo.

Tacy sukinsyni jak ty zasługują na porządną karę.

Chodzi o tamtą dziwkę na telefon, o Chakę, pomyślał Dansk. Poleciała na skargę do swego osobistego goryla. Wypuściła brutala z prywatnego zoo. Dansk cofnął się kilka kroków, ale facet wciąż przytykał mu palec do piersi. Nie daj się, pomyślał Dansk. Jesteś w nastroju i w świetnej formie.

- W alejce albo tutaj. Wybieraj - powiedział Murzyn.
- Dotknij mnie jeszcze raz.
- Co mi zrobisz, Dansk? Spoliczkujesz? Dasz parę kuksańców?

Nie jestem jakąś chudą kurewką, jeśli tego dotąd nie zauważyłeś.

Nieznamy znów wbił palec w tors Danską.

- Żarty się skończyły - oznajmił Dansk.

- Ja nie żartuję, dupku.

- Przekonaj się, czy cię to rozśmieszy. - Dansk w ułamku sekundy wyciągnął z kieszeni scyzoryk i zanim potężny Murzyn zorientował się, co się dzieje, wbił mu korkociąg prosto w oko. Usłyszał, jak szpikulec przebija galaretowatą substancję, rozległ się jakby chlupot.

- Jezu Chryste! - zawył Murzyn.

Dansk obrócił korkociąg, a potem go wyszarpnął. Olbrzym zrobił parę chwiejnych kroków. Rękę przyciskał do oka, spomiędzy palców tryskała mu krew. Dansk podciął mu nogi i Murzyn zwałił się na ziemię jak kłoda. Leżał na chodniku, zwijając się z bólu. Dansk zaciągnął go w alejkę.

- Przyda ci się drugie do pary - powiedział.

Murzyn uniósł dłoń, by się osłonić, ale Dansk był o wiele szybszy od tego niezgrabnego byka. Już mu wbił korkociąg w drugie oko i zaczął nim obracać, jakby otwierał flaszkę taniego wina. Murzyn oderwał ręce od zakrwawionej twarzy i zaczął kręcić głową to w jedną, to w drugą stronę, usta miał otwarte, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, jeśli nie liczyć dziwnego charkotu świadczącego o trudnościach z oddychaniem, jakiejś osobliwej reakcji na ból.

Dansk wstał i cofnął się. Był niezwykle spokojny, bardzo opanowany.

- Ty pieprzony alfonsie - powiedział. - Ty kupo gnoju, ty nic niewarta gnido.

Mężczyzna zaczął jęczeć. Oszołomiony, wyciągnął ręce, jakby chciał się czegoś złapać. Dansk nadepnął mu na rękę i zmiażdżył ją, a potem poszedł do swojego samochodu. Kiedy wsiadł, wytarł nóż chusteczką jednorazową, którą następnie wepchnął do popielniczki.

Opuścił szybę i zawołał do Murzyna:

- Możesz zawsze znaleźć robotę jako terminator u konserwatora skrzypiec, kutafonie.

Odjechał rozbawiony, bardzo z siebie zadowolony. Spojrzał na swoje odbicie w lusterku wstecznym i roześmiał się.

Zabrzączał telefon, dzwonił Pasquale.

- Powinieneś ją zobaczyć, Anthony. Chodzi wokół szpitala z taką miną, jakby jej wypadła macica. Ten widok złamałby ci serce.

Widok.

- Wiesz, co masz teraz zrobić - powiedział Dansk.

- Startuję. - Pasquale się rozłączył.

Dansk znowu zaczął się śmiać i przyglądał się sobie w lusterku, aż przestał się rozpoznawać. Patrzył na jakiegoś nieznanego, na jakiegoś rżącego rudzielca o załzawionych oczach, niezwykle zadowolonego z siebie. Na faceta mającego dobrą passę, która się jeszcze nie skończyła.

Lekarka okazała się młodą kobietą o surowej twarzy, z identyfikatora można było wyczytać, że nazywa się Clara S. Lamont. Włosy miała upięte w ścisły węzeł, jak żony pionierów. Wyraźnie nie uważała współczucia za nieodzowne w praktyce lekarskiej. Mówiła tak, jakby wyliczała towary z katalogu tanich wyrobów wysyłanych za zaliczeniem pocztowym.

Dwa pęknięte żebra. Zwichnięty bark. Złamane trzy palce u lewej ręki. Krwiak w kolanie. Dostał kilka uderzeń w głowę, ale brak wewnętrznych obrażeń. Pacjent wyzdrowieje, potrzebuje tylko czasu i spokoju. Przez jakiś czas będzie unieruchomiony. Clara S. Lamont niewątpliwie widziała wszystkie ludzkie tragedie i uodporniła się na nieszczęścia.

Amanda spytała, czy Rhees jest przytomny i czy może go zobaczyć. Clara S. Lamont odpowiedziała, że mogą jeszcze upłynąć godziny, nim pacjent się ocknie, i zaproponowała, by Amanda spróbowała się uspokoić i przeszła do poczekalni.

Uspokoić się, pomyślała Amanda. Proszę mi powiedzieć jak, pani doktor. Proszę mi poradzić, zanim zacznę krzyczeć.

Patrzyła, jak doktor Lamont odwróciła się i ruszyła korytarzem.

Szpital przypominał labirynt pasaży i pokoi pomalowanych na pastelowe kolory, by zminimalizować nieodłączny w takich sytuacjach strach. To oddziaływanie barwami okazało się nieskuteczne w przypadku Amandy. To nie był pokój dziecienny. Tu człowiek się stykał z cierpieniem i śmiercią, tu rozstawiano parawany wokół łóżek, tu wieziono ludzi na klekoczących wózkach na sale operacyjne, gdzie ich krojono, a potem zszywano. Dwa pęknięte żebra. Złamane trzy palce u lewej ręki. Krwiak. Wyobrazila sobie ten podskórny obrzęk wypełniony krwią i ból, jaki powodował.

Tylko mgliście zdawała sobie sprawę z obecności pielęgniarek i sanitariuszy. Powlokła się do poczekalni, w której obowiązywał surowy zakaz palenia. Nic jej po takim pomieszczeniu w stanie, w jakim się obecnie znajdowała. Odczuwała głód nikotyny, potrzebna jej była potężna dawka.

Wyszła na dwór i trzęsącą się ręką zapaliła papierosa. Przypomniała sobie karetkę, którą tu przyjechała z Rheesem. Przypomniała sobie nieruchomo leżącego Rheesa, sanitariusza sprawdzającego mu puls, ciśnienie krwi, świecącego mu w oczy latarką. Przypomniała sobie bezwładne powieki Rheesa, źrenice wyglądające jak u zmarłego, białka podbiegnięte krwią.

Rozsypuję się, pomyślała. Rhees jest połamany i ja też, tylko inaczej.

Umundurowani policjanci, którzy pojawili się w domu, zadali kilka pytań, jakie można je było uznać za chaotyczne lub delikatne, ale była zbyt oszołomiona, by to ocenić. Czy coś widziała? Czy coś wiedziała? Czy coś zginęło?

Jakbym miała czas sprawdzić, czy nie brakuje jakichś dupereli, powiedziała. Szok pozbawia człowieka wszelkich hamulców, zmienia reakcje. Człowiek staje się nieokrzesany.

Policjanci porozmawiali z Clara Lamont, a potem gdzieś po drodze udało im się ulotnić. Żeby sporządzić raport. Napisać meldunek w trzech egzemplarzach. Zanotować detale, póki krew jest jeszcze świeża.

Chodziła tam i z powrotem. Palila papierosa za papierosem i mrużyła oczy przed słońcem. Usiadła na murku, ręce zwisały jej bezwładnie między nogami. Nie mogła powstrzymać dygotania. Zresztą jak można się zachować w takiej sytuacji? Jak postąpić? Przetrzeć. Zamknęła oczy. Nie widziała, kiedy się pojawił Drumm.

- Amando. - Jego głos był pełen współczucia. Otoczył ją ramieniem, a ona wtuliła twarz w jego marynarkę w kratkę. Pachniała środkami do chemicznego czyszczenia odzieży.

- Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem. W jakim jest stanie?

Amanda nic nie powiedziała.

- Dwaj mundurowi mówili, że porządnie oberwał - ciągnął Drumm. - Domyślasz się, kto mógłby mu zrobić coś takiego?

Umysł Amandy wypełniał piasek i cisza, miała tam swoją własną, małą Kalahari. Jeszcze nie na tyle odzyskała równowagę, by chociażby pomyśleć, kogo można byłoby za to winić. Potrząsnęła głową i spojrzała na Williego. Nie była w stanie mówić.

- Trzymaj się, mała - powiedział Drumm.

Oto co powinna zrobić. To zwrot stosowny w każdej paskudnej sytuacji. Trzymaj się. Ale czego miała się trzymać?

Drumm cofnął się o krok, jego dłoń nadal spoczywała na jej ramieniu.

- Rozumiem, że wróciłaś do domu i go znalazłaś.

Skinęła głową.

- Jest przytomny? - spytał Drumm.

- Nie.

- Wiadomo, kiedy będzie mógł mówić?

- Nie. Zaczekam tu. Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba.

- Amando, czy masz w domu coś wartościowego?

- Miałam, tylko teraz jest to w tym cholernym szpitalu.

Drumm milczał przez jakiś czas.

- Chodzi mi o biżuterię, pieniądze i tak dalej.

Pomyślała o domu i stwierdziła, że nic nie pamięta. Ile ma pokoi, co się w którym znajduje. Dobrze to wiedziała, ale nie mogła tego wtłoczyć do głowy.

- Może usiądziemy w środku - zaproponował Drumm.
- Nie. Tam nie pozwalają palić. A nie wytrzymam bez papierosa.
- Ludzie włamują się do domów, biją jakichś Bogu ducha winnych ludzi do utraty przytomności. To już jakaś epidemia.

Amanda spojrzała w słońce. To osobliwe uczucie stanowić część świata i jednocześnie do niego nie należeć, jakby się było w czyszcucu, czekając na Bóg wie co. Na przykład słońce na niebie wydało jej się jakieś dziwne, przypominało pastylkę. I dlaczego jest jej tak zimno? Wzdrygnęła się i powiedziała:

- Nic z tego nie rozumiem, Willie.
- Masz. - Wyjął z kieszeni małą paczkę chusteczek jednorazowych i podał jej jedną.

Wydymuchała nos i rzekła:

- Nie mogę sobie tego darować.

Drumm należał do starej szkoły i wierzył w magiczny wpływ, jaki miało na poprawę samopoczucia wydychanie nosa. Wcisnął jej do ręki czystą chusteczkę. Był taki dobry i to ją wzruszyło.

- John chciał dziś rano pojechać ze mną - powiedziała - ale go zostawiłam. Powinnam go zabrać ze sobą, Willie, wtedy to wszystko by się nie wydarzyło.

- Nie masz kryształowej kuli, Amando. Nie mogłaś przewidzieć, że coś mu się stanie.

Amanda chodziła w kółko. Musiała się ruszać, by podtrzymać krążenie krwi.

- Ostatnio go zaniedbywałam. Nie zwracałam na niego uwagi. A przecież ma takie małe wymagania.

Drumm ujął jej dłoń. Jego ręka była nadszpodziewanie delikatna.

- Wejdźmy do środka, Amando. Może powinniśmy się zwrócić do jednego z lekarzy. Przydałoby ci się coś na uspokojenie.

Pozwoliła się zaprowadzić z powrotem do szpitala. Drumm jej powiedział, by usiadła w poczekalni, a sam udał się na poszukiwanie lekarza. Patrzyła na plakaty propagujące rzucenie palenia i rysunek ludzkiego szkieletu ozdabiający jedną ścianę. Dostrzegła słowo „bark”. Wyobraziła sobie, że to szkielet Rheesa. Biedny John. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdził. Z nikim nie walczył.

Do diabła z tą pieprzoną tabliczką. Zapaliła papierosa.

Jedyna osoba w pomieszczeniu, mężczyzna w gorsecie ortopedycznym, powiedział:

- Nie przeszkadza mi dym, może pani palić, ile pani chce.
- Właśnie mam taki zamiar - odparła Amanda.

Mężczyzna wstał i postawił na stole przed Amandą pustą puszkę po coli.

- Proszę to wykorzystać w charakterze popielniczki - zaproponował.

- Dziękuję - powiedziała.

- Jestem tu z powodu szyi. - Usiadł obok niej i pochylił się, by przestawić puszkę po coli. Niemal jej się położył na kolanach. Jego włosy lekko pachniały rozgniecionymi winogronami. Nie lubiła kontaktów cielesnych z nieznajomymi.

- Wypadek podczas pracy - wyjaśnił.

- Aha - mruknęła Amanda. Nie miała ochoty wysłuchiwać historii choroby nieznajomego. Odwróciła wzrok i nieco się od niego odsunęła.

- Wystąpiłem na drogę sądową, bo to się stało nie z mojej winy.

- To dobrze.

- Od tego jest prawo - powiedział.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej i wyszedł z poczekalni. W chwilę później wrócił Drumm, niosąc plastikowy kubeczek z wodą.

- Proszę. - Dał jej kubeczek i małą niebieską tabletkę.
- Co to takiego? - spytała.
- Pielęgniarka mówi, że po tym powinnaś się uspokoić - wyjaśnił Drumm.

- Zakładając, że tego chcę, Willie.
- Połknij to cholerstwo.

Amanda wsunęła tabletkę do ust i popiła ją łykiem wody.

- Chcę zobaczyć Johna - powiedziała.
- Ja też - oświadczył Drumm. - Na razie zaczekajmy tutaj.

Poklepał ją w ramię. Długo siedziała bez słowa, a kiedy tabletkę zaczęła działać, ogarnęła ją senność i bez troska. Musiała się trochę zdrzemnąć, ponieważ później poczuła, jak Drumm szarpie ją za ramię i mówi:

- Możemy go teraz zobaczyć.

Zaschło jej w ustach, a kiedy wstała, zachwiała się lekko. Ruszyła za Drummem korytarzem do windy.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Pod jakim względem dobrze? - pomyślała. Fizycznie, psychicznie, duchowo? Niepotrzebne skreślić.

Wsiadła do windy.

- Leży w sali trzysta sześćdziesiąt - powiedział Drumm. - Mamy pięć minut, na tyle pozwolił lekarz.

Słuchała cichego jęku mechanizmu i kół pasowych. Ciekawa była, jakie odgłosy wydawał Rhees, kiedy został napadnięty. Nie chciała o tym myśleć. Niektóre rzeczy pozostają poza zasięgiem wyobraźni, jak mrok, którego nie rozprasza płomień ogniska.

Rheesa umieszczono w izolatce. Leżał podparty poduszkami, oczy miał zamknięte. Żaluzje w oknie opuszczono i jedynym źródłem światła była słaba lampka w kącie. Amanda podeszła do łóżka, Willie został nieco z tyłu.

- John - powiedziała.

Wolno odwrócił głowę.

- Czuję się świetnie. Mają tu wspaniałe leki.

Uśmiechnęła się do niego, chociaż była to ostatnia rzecz, jaką miała ochotę teraz zrobić. Lewe ramię miał w gipsie. Lewą dłoń też. Twarz posiniaczoną. Kolano było spuchnięte, przybrało odcień fioletowoszkarłatny. Termofor z lodem, który powinien na nim leżeć, zsunął się na prześcieradło.

Kiedy mówił, jego słowa były pozbawione życia, jakby przebyły długą i ciężką drogę, nim dotarły do jego ust.

Chciała go dotknąć, ale nie wiedziała gdzie. Zdecydowała się na prawą dłoń, na której delikatnie położyła rękę.

- John, możesz odpowiedzieć na parę pytań? - spytał Drumm.

Rhees znów zamknął oczy.

- Zdaje się, że było ich dwóch.

Drumm czekał. Amanda pogłaskała dłoń Rheesa. Chciała powiedzieć Drummowi, że to nieodpowiednia pora, że Rheesa należy zostawić w spokoju.

- ...w maskach narciarskich - powiedział Rhees.
- Maski narciarskie, rozumiem - powtórzył Drumm.

Rhees chciał jeszcze coś dodać, ale nie mógł. Amanda przytknęła mu do ust pojemnik z wodą i poprawiła kanciąstą słomkę. Myślała o maskach narciarskich. Taki koszmar we własnym domu, we własnym ogrodzie.

Drumm nachylił się niżej.

- Czy coś mówili, John?

Rhees otworzył oczy. Jego źrenice były czarne, ogromne.

- Nie. Mieli... łyżkę do opon.

Wtedy Amanda po raz pierwszy pomyślała o narzędziu zbrodni. Wcześniej stanowiło ono abstrakcję, ale kiedy Rhees je określił, ujrzała, jak się unosi i opada na jego głowę i ciało. Dotarła do niej cała brutalność tego, co się stało.

Rhees odwrócił głowę na bok i przez chwilę się wydawało, że usnął, ale było to tylko złudzenie. Spojrzał Amandzie w oczy. Ujrzała w nich cierpienie, tylko nieznacznie przyćmione środkami przeciwbólowymi. Ogarnęła ją nagła fala gniewu. Uczyniono z Rheesa wrak człowieka, spoczywający bezwładnie na szpitalnym łóżku. Okaleczono go i zadano ból, ale dlaczego? Prawdopodobnie dla pieniędzy. Kart kredytowych. Wszystkiego, co ma jakąś wartość.

Rhees zamknął oczy i już ich nie otworzył.

- Zemdlął - powiedział Drumm. Amanda, nim odeszła od łóżka, jeszcze przez chwilę trzymała jego dłoń. Pochyliła się, pocałowała Rheesa w czoło, a potem wyszła na korytarz.

- Oburza mnie to do głębi - powiedział Drumm. - Ale co można zrobić? - Pokiwał wolno głową.

Amanda spojrzała na świetlówkę pod sufitem. W głośnikach rozległ się komunikat: „Doktor Strapp proszony do Izby Przyjęć. Doktor Strapp proszony do Izby Przyjęć”. Kolejne przypadki. Kolejne ofiary, zabrane z ulic. Rozbite samochody, rany postrzałowe, pokiereszowane ciała. Co można zrobić? - zapytał Drumm. Wyjechać w góry. Uciec

między sosny i nigdy nie wrócić, i nie przejmować się tym, co się dzieje w mieście. Zostać tam, gdzie jest bezpiecznie, gdzie noce są głębokie jak wszystkie oceany świata.

Przyjechała winda. Wsiedli z Drummem i jechali w milczeniu. Wsunęła rękę do tylnej kieszeni dżinsów, przypomniawszy sobie o liście Isabel, chcąc go poczuć pod palcami. Wolałaby nigdy go nie otrzymać. Wolałaby, żeby się zapodział na poczcie, został przeoczony, uległ zniszczeniu w urządzeniu frankującym. Wolałaby nigdy nie poznać Isabel Sanchez.

Listu nie było ani w tylnej kieszeni, ani w przedniej.

Znów sprawdziła, grzebiąc między kluczami, zgniecioną paczką papierosów, zmiętym paragonem z Walmartu i trzema spranymi banknotami jednodolarowymi.

Listu nie było.

- Szukasz czegoś? - spytał Drumm.

Nie odpowiedziała mu, wysiadła z windy i skierowała się do poczekalni, myśląc, że może tam zostawiła list, wyciągnęła z dżinsów razem z papierosami. Rozejrzała się po sali, zobaczyła puszkę po coli, której użyła jako popielniczki, ale nigdzie nie było śladu dwóch kartek otrzymanych od Isabel. Tylko pusta sala, pomalowana na jasnofioletowo i szaro.

Drumm, kuśtykając za nią, spytał:

- Zgubiłaś coś?

Nie odpowiedziała.

Willie Drumm wszedł do środka przed Amandą. Niechętnie przestąpiła próg domu. Łowiła dźwięki, słyszała, jak Rhees pstryka palcami.

W pokoju Drumm okrążył zrzuconą na podłogę maszynę do pisania, porozciągane papiery i książki z połamanymi grzbietami.

- Ładnie sobie poczynali - zauważył.
- To ponad moje siły - oświadczyła.
- Wystarczy, jak pobieżnie rzucisz okiem - powiedział Drumm.

- Sprawdź, czy coś nie zginęło. Amando, trzymasz w domu biżuterię?

- Wszystko, co miałam cennego, było w sypialni, nie licząc tego srebrnego łańcuszka na szyi. - Prezent od Johna, przypomniała sobie, do którego dołączył jeden ze swych wierszy.

- A pieniądze?
- John mógł mieć trochę dolarów. Nie zamierzaliśmy tu zostać dłużej.
- Gdzie jest sypialnia?

Pokazała Drummowi drogę. Przetrząsnęto garderobę. Grzebano w jej bieliźnie jak podczas gorączkowej wyprzedaży poświętej. Majteczki zwalono na stos, wśród zwykłych dostrzegła również te frymuśne, jedwabne, cieniutkie jak pajęczyna, seksowne. Wyobraziła sobie nieznanym mężczyznom obcesowo obchodzącym się z tymi

intymnymi częściami garderoby i robiących przy tym niewybredne uwagi. Szuflady toaletki były wysunięte.

- Powinno tu być małe etui z czarnego aksamitu zawierające sznur pereł - powiedziała.

- Nie widzę go, Amando.

- Ukradli perły. Zresztą i tak nigdy ich nie nosiłam.

Drumm zajrzał do łazienki.

- Nie zawracali sobie głowy tym pomieszczeniem - powiedział.

Podążyła za Drummem do kuchni. Schylił się, podniósł coś z podłogi i delikatnie uniósł w górę, trzymając w dwóch palcach. Był to skórzany portfel Johna. Otworzył go.

- Co w nim trzymał?

- Karty Amex i Visa, parę kart bibliotecznych. Prawdopodobnie trochę gotówki.

- Zostawili tylko karty biblioteczne - stwierdził Drumm. Owinął portfel w arkusz nawoskowanego papieru i wsunął go do kieszeni. Potem wyszedł do ogrodu i zaczął się przechadzać w wysokiej trawie, okrążając basen. Zastanowiła się nad dowodami rzeczowymi, które zebrał. Portfel, opróżniony z gotówki i kart kredytowych. Rozbity słoik buraków. Martwa żaba w basenie. To, co robił, nie należało do jego obowiązków. Był tu, wyświadczając przysługę, o którą nie prosiła.

Wrócił do środka.

- Ukradli biżuterię i parę kart kredytowych oraz niewielką kwotę pieniędzy - stwierdził - ale nie zabrali komputera ani telewizora, ani drogiego zestawu stereofonicznego. To trochę dziwne. Zazwyczaj właśnie te przedmioty stanowią ich cel.

- Nie mieli ochoty niczego taszczyć - powiedziała. - Może się zmachali, katując Johna.

Drumm położył jej dłoń na ramieniu.

- Sprowadzę chłopaków, żeby zdjęli odciski palców. A kiedy John poczuje się lepiej, może dostarczy nam więcej informacji, które okażą się przydatne.

Usiadła przy stole i spojrzała przez drzwi kuchenne na ogród. Zachodzące słońce miało nieziemski, złoty kolor. Jak na pocztówce. Szkoda, że cię tu nie ma. Brakuje mi ciebie.

Przycisnęła palcami powieki, by zmniejszyć ból głowy. Spojrzała na kałużę utworzoną przez sok z buraków.

- Co sprawia, że wybierają ten dom, a nie inny? Dlaczego nie zdecydowali się na dom sąsiadów? Czy to coś w rodzaju loterii, Willie? Obróć koło, wypadnie adres?

- Czasem tak - powiedział Drumm.

- Nasz dom jest jedyną zaniedbaną posesją na tej uliczce. Ogród jest zarośnięty. Nie świadczy to o bogactwie właścicieli.

- I właśnie to sprawia, że jest taki atrakcyjny. Nikt nie przychodzi, by skosić trawnik czy przyciąć drzewka. Złodzieje obserwują domy. Patrzą, kto przyjeżdża, kto wyjeżdża. Kiedy odnoszą wrażenie, że jakiś jest opuszczony, myślą, że mają łatwe zadanie.

- Obserwują - powtórzyła.

- Jasne, że obserwują.

Obserwują. Monitorują. Przejeżdżają nocą, zawracając cicho w ślepej uliczce.

Ni stąd, ni zowąd przyszedł jej na myśl Anthony Dansk.

Odczuła potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza. Wyszła z domu, dotarła do końca podjazdu i spojrzała na uliczkę. Obrzuciła wzrokiem zaparkowane auta. Szła wolno, aż znalazła się na rogu ulicy przelotowej. Tutaj samochody parkowały jeden obok drugiego wzdłuż chodników. Włączyły się latarnie, rozjarzyły się pomarańczowożółte kule.

Stała na rogu, patrząc to w prawo, to w lewo, sama nie wiedziała, co spodziewa się ujrzeć. Może jakiegoś faceta za kierownicą, kobietę gapiącą się bezmyślnie przed siebie, mężczyznę pochylonego nad podniesioną maską, udającego, że grzebie w silniku. Istniały wprost nieograniczone możliwości. Czyjakolwiek niewinna obecność lub pojawienie się stanowiły pole do spekulacji dla przewrażliwionej wyobraźni.

Próbowała wyobrazić sobie Danska przyczajonego w pobliżu, śledzącego ją, może nawet parkującego czasem na jej ulicze, bezczelnie obserwującego dom. A jeśli nie Dansk, to ktoś, kto mu o wszystkim meldował. A może to byli ludzie Sancheza.

Wracając, przystanąła na podjeździe, by zająrzeć do volkswagena. Pomyślała, że może tam przypadkiem upuściła list Isabel. Sprawdziła pod przednimi fotelami, ale znalazła jedynie pustą puszkę po napoju. Przypomniała sobie puszkę po coli w szpitalnej poczekalni, faceta w gorskiej ortopedycznym, to, jak usiadł tuż obok niej, jak się kręcił i ją trącał, ustawiając przed nią puszkę. „Nie przeszkadza mi dym, może pani palić, ile pani chce”. Wspomnienie było niewyraźne. Nie była usposobiona do rejestrowania szczegółów.

Drumm stanął w progu.

- Czego szukasz, Amando? W szpitalu też czegoś szukałaś.

Oparła się o samochód i spojrzała na ciemne niebo.

Przez jakiś czas Drumm milczał.

- Nadal interesujesz się sprawą Sancheza?

- Już sama nie wiem. Nie jestem w stanie logicznie myśleć, Willie.

- Ćwierkają wróbelki, że pojechałaś do Florence. Widziałaś się z Sanchezem. Wpadł w szal, groził.

- Masz dobre źródła informacji - zauważyła.

- Wysłaliśmy helikopter - powiedział Drumm.

Ujrzała w myślach pustynię, pantofel Isabel ze złamanym obcasem, przesuwany się cień helikoptera.

- Pilot nic nie znalazł - poinformował Drumm.

- Dlaczego nie ukradli cholernego telewizora i wieży stereo? - spytała. - Sam powiedziałeś, że to dziwne.

- Rozmawialiśmy o Sanchezie.

Spojrzała na zegarek.

- Pora, żebym zadzwoniła do szpitala.

- Amando, co wiesz, o czym ja nie wiem?

- Muszę zadzwonić do szpitala.

- Wykręcasz się od odpowiedzi. Nie ufasz mi?
- Cóż to za pytanie? - zachnęła się. Weszła do środka, a Drumm podążył za nią.

Zadzwoiła do informacji, uzyskała numer szpitala, który następnie wykręciła. Poprosiła o połączenie z pokojem pielęgniarek na drugim piętrze. Natychmiast odebrała jakaś kobieta.

- Dzwonię w sprawie pacjenta Johna Rheesa - powiedziała Amanda.

- Czy można wiedzieć, kim pani dla niego jest?

No właśnie, kim? Kochanką? Konkubina?

- Narzeczoną. Nazywam się Amanda Scholes.

Rozległy się odgłosy stukania w klawiaturę.

- Jego stan się ustabilizował, panno Scholes.
- Kiedy mogę się z nim zobaczyć?
- Odwiedziny pacjentów są między dziesiątą a dwunastą.

Amanda podziękowała kobiecie i rozłączyła się. Spojrzała na Drumma i powiedziała:

- Jego stan się ustabilizował. Ach, ten szpitalny żargon.
- Jego stan się ustabilizował. A twój?
- Nie mogę tu zostać. Pojadę na noc do hotelu.
- Świetny pomysł.
- Tylko zabiorę kilka drobiazków i już mnie tu nie ma.

Drumm złapał ją za rękę.

- Słuchaj, jeśli coś ukrywasz, jest okazja, by o tym porozmawiać. Próbowalas się ze mną wcześniej skontaktować. Co chciałaś mi powiedzieć?

Było to zaproszenie do rozmowy. Świetnie, czemu nie? Podnieś to cholerne wieczko i wypuść zawartość puszk. Spojrzała mu w oczy. Willie był zawsze prostolinijny, nie umiał kręcić.

- Willie, to nie jest przeznaczone do ogólnej wiadomości. Niech to zostanie wyłącznie między nami. - Opowiedziała mu wszystko. O liście i jego zgubieniu. O tym, jak zmusiła ludzi z Programu do wydelegowania do Phoenix Anthony'ego Danska. Kiedy skończyła,

odczuła niewyraźną ulgę. Pozbyła się ciężaru, nawet jeśli go nie zrzuciła z serca.

- Słodki Jezu! - wykrzyknął. - Zachodzę w głowę, jak, na Boga, Sanchezowi się udało coś takiego. Mówisz o podrobionych papierach, identyfikatorach, dostępie do wewnętrznych procedur, znajomości *modus operandi* Programu, miejsc rozlokowania świadków *et cetera*. To coś więcej niż przeciek, to puściła cała tama.

- No właśnie - zgodziła się.

- A ten Dansk utrzymuje, że wszystko naprawi.

- Tak powiedział.

- Nie widział listu Isabel?

Potrząsnęła głową.

- I nie masz pojęcia, gdzie go zgubiłaś?

- Najmniejszego.

- A więc Dansk twierdzi, że przeprowadzi dochodzenie i poinformuje cię o jego wynikach. Nie daję ci to spokoju?

- Zgadza się. Ale moja głowa przypomina kręcącą się karuzelę, nie mogę jej zatrzymać na tyle długo, by zebrać myśli.

- Porozmawiaj ze mną jeszcze, Amando. - Ujął ją pod brodę i skierował jej twarz w swoją stronę. - Wyrzuć z siebie wszystko.

Wyrzucić, ale co? Jedyne, co miała, to domysły, niejasne i zamazane, jak zdjęcie zrobione w ciemnym pokoju. Wszystko, czym dysponowała, to wątpliwości i przekonanie, że Dansk nie pasuje do obrazu, co czyniło go niebezpiecznym.

- Kazał mnie obserwować, Willie - powiedziała.

- Masz dowody?

- Nie - przyznała. Pomyślała, że zabrzmiało to tak, jakby zwaśniowała. - Jeszcze trochę, a zaczną słyszeć głosy.

Drumm się nie uśmiechnął. Zawsze traktował serio wszystko, co mówiła.

- Dobra. Chce wiedzieć, jakie masz zamiary. Dlaczego tak się boi, Amando?

- Zagroziłam, że porozmawiam z dziennikarzami, co podziałało

jak bomba. Przypuszczam, że się niepokoi, ponieważ nie ma stuprocentowej pewności, czy tego nie zrobię. Nie podoba mu się perspektywa wtykania przeze mnie nosa tam, gdzie nie powinnam. Mianowicie w sprawy dotyczące hermetyczności Programu.

- W tej chwili hermetyczność Programu wydaje się trochę problematyczna - zauważył Drumm. - Może chroni swój tyłek, bo ma coś do ukrycia.

- Na przykład?

Drumm wyciągnął z kieszeni na piersi wykałaczkę, wsunął ją do ust i zaczął przesuwac z jednego kącika ust do drugiego. Odrzucił głowę do tyłu. Tak dobrze znała tę minę, że niemal słyszała tryby obracające się w jego mózgu.

- Myślę na głos. Sanchezowi udało się spenetrować Program. Ale potrzebował czyjejs wydatnej pomocy. Co, jeśli... - Drumm złamał wykałaczkę. - Co, jeśli wynajął tego typka Danska?

- Sanchez wynajął Danska?

- Nie zapominaj, że to tylko luźne dywagacje. Dansk biega jak kot z pęcherzem, próbując ograniczyć szkody, do których powstania sam się przyczynił. Potwór, którego stworzył dla Sancheza, wymknął się spod kontroli. Nie ma nic wspólnego z Programem. Jest wolnym strzelcem...

- I ktoś inny, pracownik Programu, dostarcza mu informacji? - przerwała Drummowi.

- Być może.

Zastanowiła się nad słowami Drumma. Przypuśćmy, że występ Danska to była jakaś wymyślna maskarada. Przypomniała sobie, jak zadzwoniła pod numer podany jej przez Danska, i komunikat na automatycznej sekretarce wypowiedziany głosem, który nie należał do niego. „Tu numer Anthony'ego Danska. Pan Dansk nie może w tej chwili podejść do telefonu”. Zastanowiło ją to, próbowała sobie wyobrazić, gdzie znajduje się jego gabinet i czy Danska rzeczywiście coś łączy z Ministerstwem Sprawiedliwości. Biuro mogło być wszędzie, w jakimś wynajętym pomieszczeniu, może to tylko automatyczna

sekretarka w pustym pokoju. Ale czyj głos wypowiadał komunikat? Potem sobie przypomniała, że zamierzała zadzwonić do Ministerstwa Sprawiedliwości, ale kiedy znalazła się w domu i zobaczyła, co się stało, wyleciało jej to z głowy. Było jeszcze coś, jeszcze jeden telefon, który planowała wykonać, ale umknął jej z pamięci. Cóż to było, u licha? Na próżno próbowała sobie przypomnieć.

- Mogę trochę powęszyć, popytać o tego Danska, zobaczymy, czego się dowiem - zaproponował Drumm. - Nie zapominaj, że odznaka policjanta nadal otwiera niektóre drzwi.

- Jakie drzwi masz na myśli?

- Na początek Lewisa Bascombe'a - oświadczył.

- Bascombe'a? Jest prawdopodobnie najbardziej skrytym człowiekiem w mieście - powiedziała. - Nie wiem, co ci się uda z niego wyciągnąć, nawet jeśli zgodzi się z tobą spotkać.

- W razie czego użyję siły - powiedział Drumm i uśmiechnął się.

- I zaczniesz mu wymachiwać przed nosem swoją trzydziestkąósemką?

Nie potrafiła sobie wyobrazić, by Drumm wydobył cokolwiek z Lewisa Bascombe'a. Na chwilę zamknęła oczy. Bernadette Vialli, ależ oczywiście. To właśnie ona umknęła jej z pamięci. Jak tyle innych spraw.

- Wyświadc mi przysługę - poprosiła. - Pamiętasz proces Viallego?

- Wrył mi się w pamięci - powiedział Drumm.

- Matka Benny'ego próbowała się ze mną skontaktować. Nie jestem teraz w nastroju do rozmowy z nią.

- Domyślasz się, dlaczego telefonowała?

- Nie. - Amanda spojrzała na leżącą na podłodze maszynę do pisania Johna, na porozrzucane papiery i książki i nagle usłyszała ciche brzęczenie, przypominające bzyczenie rozdrażnionych os. Uświadomiła sobie własny gniew, opóźnioną reakcję na fakt, że jej świat

został porąbany jak szczapy na rozpałkę, i w jakiś sposób Dansk był tym, który trzymał siekierę i zapaloną zapalną.

- Chcesz, żebym się skontaktował z tą kobietą? - spytał Drumm.
- Zrobisz to?
- Nie ma sprawy - powiedział Drumm. - Możesz się do mnie zwracać ze wszystkim. O każdej porze dnia i nocy. Jasne?
- Dzięki - powiedziała. Pocałowała go w ciepły, puciołowaty policzek. Skanalizuj tę złość, pomyślała. Poskrom ten gniew.
- Proponuję, byś spróbowała odpocząć - odezwał się Drumm. Odpoczynek. To ostatnia rzecz, która jej była w głowie.

O dziewiętnastej trzydzieści Anthony Dansk i Eddie McTell byli w parku. Jakieś dwieście metrów od nich odbywał się mecz softballu, poważny pojedynek toczony z entuzjazmem przez drużynę w niebieskich koszulkach z drużyną w pomarańczowych strojach. Rozgrywającym był gość o potężnych zwałach galaretowatego, białego cielska, wylewającego się między koszulką a spodenkami. Niewielka grupka kibiców zgromadziła się za drucianą siatką za plecami łapiącego.

- Podoba ci się ta gra, Anthony? - spytał McTell.

- Nie jestem miłośnikiem softballu - wyjaśnił Dansk. - Po prostu lubię patrzeć, jak ludzie spędzają wolny czas, bo sam już zapomniałem, co to takiego. - Obserwował, jak grubas się zamachnął i chybił. Grający Amerykanie. Niewinne zmagania w świetle lamp. Również mrok poza boiskiem, gdzie wszystko mogło się zdarzyć. Jakiś zbrojeniec proponujący siedmioletniemu dziecku snickersa w zamian za obciągnięcie mu pały albo tępy ćpun dający sobie w żyłę.

McTell pogładził się po brodzie.

- O czym myślisz, Anthony?

- Mamy twarde orzech do zgryzienia - powiedział Dansk. Wręczył McTellowi dwie kartki papieru, który uniósł je do oczu pod takim kątem, by padło na nie światło reflektorów znajdujących się w oddali.

McTell przeczytał tekst, potem uniósł głowę i spojrzął na boisko piłkarskie.

- To od...
- Wiesz od kogo. Wysłała ten list do pani prokurator, a pani prokurator go przeczytała.

- Nie podaje żadnych nazwisk - zauważył McTell i przygarbił się, niczym zmęczony bokser.

- I jesteśmy wdzięczni za drobne łaski - powiedział Dansk.

- Jak zdobyłeś ten list? - spytał McTell.

- Pasquale wykorzystał swoje zręczne palce. - Dansk odebrał list. - Eddie, lubię spokój. Tymczasem mam wiecznie zmartwienia i ból głowy.

- I uważasz, że to moja wina i Pasquale, tak? Muszę ci to wygarnąć, Anthony: nigdy nie masz dla nas ani jednego dobrego słowa. Nigdy nie powiedziałeś, że to czy tamto zrobiliśmy dobrze.

- Czego oczekujesz, Eddie? - Uniósł w górę obie ręce i zrobił ukłon. - Potężny McTell, chwalmy jego imię.

- Jedynie dobrego słowa od czasu do czasu, to wszystko - powiedział McTell. - Z Rheesem to był świetny kawałek roboty. Atakujesz faceta metalowym narzędziem, ryzykujesz, że przebijesz mu płuco albo złamiesz czaszkę, i wtedy sprawa przybrałaby poważny obrót. Zrobiliśmy to jednak tak, jak chciałeś: delikatnie, Anthony. Niczym jacyś pieprzeni artyści.

Dansk gapił się na boisko. Artyści. McTell i Pasquale w roli van Gogha i Rubensa. Zamyślił się nad listem.

- Pani prokurator dowiedziała się czegoś, o czym nie powinna wiedzieć, McTell.

- Jeśli o mnie chodzi, nie widzę, żeby się czegokolwiek dowiedziała - oświadczył McTell.

Dansk miał wielką ochotę wbić korkociąg swego scyzoryka w mózg McTella.

- Pokaż mi, gdzie, do cholery, jest napisane, że ci płacą za wydawanie sądów, McTell. Wynajmują cię do zabijania, ja tu jestem od

myślenia, organizowania i przewidywania. A w tym wypadku chodzi nie tyle o to, czego się dowiedziała, ile o to, co myśli, że się dowiedziała, co jej się wydaje. Jej umysł gorączkowo pracuje.

- Nawet nie ma tego listu - zauważył McTell.

- Racja, ale załóż się, że go pokazała Drummowi - odparł Dansk.

- Dobra, powiedziała o tym temu gliniarzowi, i co z tego? Czy wyciągnie Sancheza z celi i będzie go przesłuchiwał dzień i noc? Komu dał łapówkę? Kogo kupił? I temu podobne. Co mu powie Sanchez? Gównu.

- Nie bierzesz pod uwagę uporu tej kobiety - zauważył Dansk. - Przypomina termita. Jest nieszczęśliwa, kiedy nie ma niczego do przeżuwania.

- Na termity stosuje się truciznę.

- Trucizna - powtórzył Dansk. Nagle dostrzegł rozmaite możliwości. Mecz futbolowy zdawał się toczyć gdzieś bardzo daleko, miniaturowe postacie uczestniczyły przy świetle lamp w pozbawionym znaczenia rytuale. Usta miał suche. Wyciągnął z kieszeni tubkę z balsamem i posmarował nim spierzchnięte wargi. Specyfik miał cytrynowy smak.

- A więc na darmo gimnastykowaliśmy się z tym facetem - zauważył zgryźliwie McTell. - Cały wysiłek na marne.

- Gdyby nie ten cholerny list, przestałaby się tym interesować. Gdyby nie ten histeryczny liścik od uciekającej *señority*, zniknęłaby z pola widzenia i przemieniła się w siostrę miłosierdzia opatrującą rany swego ukochanego. Ale otrzymuje list, czyta go, zaczyna kombinować i nie może przestać.

McTell był wyraźnie rozdrażniony.

- I co teraz?

W kieszeni Danska zadzwonił telefon. Poczuł, jak wibruje w zerknięciu z jego udem. Wyciągnął go i usłyszał głos Pasquale:

- Zgubiłem ją, Anthony.

- Zgubiłeś?

- Spędziła jakąś godzinę w domu z tym gliniarzem, Drummem.

Wyszedł, a parę minut po nim ona. Wsiadła do swojego samochodu. Jechałem za nią bulwarem Lincolna, zatrzymała się przed Circle-K, weszła do środka. Minęło dziesięć minut, ale się nie pojawiła. Zajązłem więc do sklepu, ale jej tam nie było. Pomyślałem, że udała się do kibelka, zapuściłem żurawia, ale w środku pusto, a jej nie ma nigdzie w pobliżu. Wyszedłem ze sklepu. Wóz nadal stoi, ale jej ani śladu.

- Czyli wymknęła się tylnymi drzwiami?

- Obszedłem sklep. Na zapleczu jest alejka. Ani śladu kobiety. Sprawdziłem od frontu, jej cholerny samochód wciąż tam stoi. Sprawdziłem więc ulice wokół sklepu, ale gówno. Potem znów wszedłem do środka. Jej wóz wciąż tu jest. Widzę go stąd.

- A więc to jakaś czarodziejska sztuczka? Rozpłynęła się w powietrzu?

- Nie wiem, dokąd poszła.

Dansk zastanowił się chwilę.

- Oto co masz zrobić. Weź jej samochód. Tylko mi nie mów, że nie masz kluczyków i nie możesz uruchomić silnika. Wkrótce do ciebie zadzwonię.

Dansk się rozłączył i wsunął aparat z powrotem do kieszeni. Wiedziała, że jest śledzona, więc postarała się zgubić Pasquale. Bardzo ładnie. Czy wymknęła się tylnym wyjściem i zagłębiła w labirynt podmiejskich ulic? Szła, póki nie znalazła stacji benzynowej, by zadzwonić po taksówkę? Ta kobieta była nadzwyczaj przebiegła.

- Zwiąła - powiedział. - Po rozmowie z Drummem.

- Masz dla mnie jakieś zadanie?

Dansk milczał przez chwilę.

- Owszem - powiedział.

- Zamieniam się w słuch - odparł McTell. Nachylił się i przekrzywił głowę, przybierając pozę, która według niego świadczyła o całkowitej koncentracji.

Z okna hotelowego Amanda widziała autostradę i migoczące aż po horyzont światła przedmieść. Zaciągnęła story, rzuciła torbę na łóżko i otworzyła ją. Pamiętaj, żeby się odpowiednio poruszać. Skup się. Szybko włożyła kostium, który miała w „Biltmore”. Poszła do łazienki i umalowała się mocno. Na usta nałożyła błyszczącą, czerwoną pomadkę, wokół oczu przeciągnęła długie kreski, potem rozpyliła żel na włosy i przesunęła po nich szczotką. Wyglądała olśniewająco. Wróciła do sypialni i polakierowała paznokcie na wściekły róż, świecący w ciemności.

Nowa Amanda. Wyzywająca.

Otworzyła barek i wyjęła kilka miniaturowych buteleczek z alkoholem, głównie z brandy i dżinem. Poluzowała nakrętki i wepchnęła buteleczki do torebki razem z papierosami i innymi drobiazgami.

Potem przypomniała sobie samochód, który ją śledził na bulwarze Lincolna. Kiedy zwolniła, tamten zrobił to samo. Wjechała na parking przed sklepem spożywczym. Samochód minął sklep, na następnych światłach zawrócił i pojawił się przed sklepem. Weszła do środka, skierowała się w stronę toalet, potem, nie zatrzymując się, pchnęła drzwi prowadzące na zaplecze. Zaczęła biec.

Nie mogę tego zrobić. To szaleństwo. To wyprawa na księżyc. Drumm nie pochwali tego, Rhees dostanie zawału serca, ale na szczęście nie wiedzą, co robię.

Nawet sama nie jesteś pewna, czy słusznie postępujesz.

Owszem, jestem. To się nazywa ogniskowanie własnego gniewu.

Poczuła wewnętrzne drżenie, ogarnęły ją wątpliwości. Odsuń je na bok, pozbadź się ich. Teraz nie pora na wahanie. Jej dłoń zawisła nad aparatem telefonicznym. Paznokcie wyglądały, jakby należały do kogoś innego.

Podniosła słuchawkę i zwróciła się do telefonistki:

- Proszę mnie połączyć z Anthonym Danskiem.
- Chwileczkę. - Jeden dzwonek, drugi, trzeci.
- Przykro mi, ale nikt nie odbiera. Czy zostawi pani wiadomość?

- Nie - powiedziała Amanda.

Odłożyła słuchawkę. Zastanowiła się, ile ma czasu. Nie może sobie teraz pozwolić na snucie domysłów. Wsunęła nogi w czarne czółenka, wzięła wypchaną torebkę i skierowała się do drzwi. Zjechała windą do holu, gdzie wielki żyrandol kłuł niczym laser powietrze wiązkami światła pod różnymi kątami.

Za biurkiem konsjerżki nie było nikogo. W recepcji siedział jedynie młodzieniec, który wcześniej wręczył jej klucze. Rzucił jej uprzejmy uśmiech.

- Słucham panią? - odezwał się.
- Miałam się tu spotkać z kimś, kto się do tej pory nie pojawił - powiedziała. - Jest gościem waszego hotelu.
- Zna pani numer jego pokoju?
- Zdaje się, że 8734. Jestem beznadziejna, jeśli chodzi o zapamiętywanie liczb. - Rozciągnęła umalowane usta w bezradnym uśmiechu.

- Jak się nazywa?

- Dansk. Anthony.

Recepcjonista nacisnął klawisze komputera.

- Rzeczywiście jest pani beznadziejna, jeśli chodzi o zapamiętywanie liczb - powiedział, uśmiechając się.

- Źle zapamiętałam?

- Zupełnie źle.
- To dla mnie typowe. Można wiedzieć, jaki jest właściwy numer? - spytała.
- Przykro mi, ale nie mogę pani tego powiedzieć. Względy bezpieczeństwa.
- Całkiem słusznie w dzisiejszych czasach - przyznała.
- Zadzwoń do jego pokoju w pani imieniu. - Recepcjonista podniósł słuchawkę.

Amanda pomyślała: zrób to teraz. Zrób to, zanim się rozmyślisz.

Trąciła torebkę, która się otworzyła, szminka, ołówki do brwi, puderniczka, flakonik żelu do włosów, wszystko potoczyło się po kontuarze w różne strony.

- O Jezu, ale ze mnie niezdara - powiedziała. Następnie wysypały się papierosy, sześć tamponów luzem i miniaturki alkoholi, zostawiając za sobą strużki brandy i dżinu. - Cholera!

- Nic nie szkodzi - zapewniał ją recepcjonista.

- Znajomi przezywają mnie Amajda-ciamajda - powiedziała głupkowato. - Chyba rozumie pan dlaczego.

- Zaraz to sprzątnę. - Recepcjonista wyciągnął z kieszeni bawełnianą chusteczkę i zaczął wycierać kontuar. Tampony nasiąknęły alkoholem, wokół ołówków do brwi i oprawek z pomadkami do ust utworzyły się różnobarwne kałużki.

- Jezu, ale narozrabiałam. Najmocniej przepraszam - mitygowała się.

- To naprawdę nic takiego. Za chwilę nie będzie śladu.

- Proszę pozwolić sobie pomóc.

- Naprawdę niepotrzebna mi pomoc - podziękował recepcjonista.

- Nalegam. - Sięgnęła przez kontuar, by odzyskać niektóre z rozsypanych przedmiotów, łokciem trąciła monitor, ekran odwrócił się nieco w jej stronę. Kilka cylindrycznych pojemniczków ze środkami upiększającymi spadło na biurko recepcjonisty, a alkohol zaczął kapać na dokumenty.

- Teraz wszystko znalazło się na pańskich papierach. Tak mi cholernie przykro, słowo daję. Nie powinno się mnie wypuszczać z domu.

7320.

- Nic nie szkodzi, naprawdę - powiedział recepcjonista.

Niech będzie błogosławiony, nadal się uśmiechał. Niezła ze mnie komediantka, pomyślała. Umiem to robić, mam wyjątkowy talent-

Recepcjonista zgarnął wszystko na stos na środku kontuaru.

- No, chyba już wszystko. Domyślam się, że chce pani, bym to wsypał do jej torebki.

- Jeśli byłby pan taki dobry - poprosiła.

- Nie ma sprawy.

- Jest pan taki wyrozumiały - powiedziała. - Pojawiłam się i zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje, katastrofa.

- Jestem przygotowany na wszelkie niespodziewane sytuacje - zapewnił ją.

Wyłowiła z torebki wilgotny banknot pięciodolarowy.

- Proszę - rzekła.

- To niepotrzebne - zaproponował.

- Proszę to potraktować jako zadośćuczynienie - zwróciła się do recepcjonisty.

Wziął banknot z jej palców.

Pośpiesznie opuściła recepcję. Koniec aktu pierwszego. Znow zaczęła sobie zdawać sprawę z upływu czasu.

Pojechała windą do swojego pokoju. Spojrzała na jadłospis, podniosła słuchawkę i powiedziała:

- Mówi pani Dansk z pokoju 7320. Proszę przysłać na górę hamburgera z frytkami. Jak długo będę czekała?

- Dziesięć minut, proszę pani.

Spojrzała na zegarek. Dziesięć minut. Pani Dansk, pomyślała. Ciekawa była, czy Dansk jest żonaty. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Krążyła po pokoju. Numer ślapstickowy miała za sobą. Następny zupełnie się różnił od poprzedniego. Usiadła na łóżku, ale serce waliło jej jak oszalałe i znów musiała wstać. Poszła do łazienki i przejrzała się w lustrze. Ślady nerwowego podniecenia, które pomogło jej odegrać w recepcji komedię omyłek, były nadal widoczne na jej twarzy. Stojąc przed recepcjonistą, cały czas zastanawiała się, co się stanie, kiedy akurat w tym momencie pojawi się w hotelu Dansk i ją zobaczy. Udało się. Człowiekowi od czasu do czasu potrzeba trochę szczęścia.

Miejmy nadzieję, że jej nie opuściło.

Znów spojrzała na zegarek. Zdjęła buty i wyszła z pokoju. Zjechała windą i wysiadła na siódmym piętrze. Odnalazła pokój numer 7320 i zatrzymała się pod drzwiami. Dziesięć minut, odkąd złożyła zamówienie. Jedenaście. Dwanaście. Tak się tego nie robi, wyraźnie podupała na duchu. W każdej chwili mógł się pojawić Dansk. Mógł się zmaterializować w korytarzu. I wtedy co? Cześć, Anthony, właśnie byłam w pobliżu.

Usłyszała szum windy, brzęk sztućców. Ujrzała kelnera balansującego tacą w jednej dłoni. Był to wysoki czarnoskóry młokos w kamizelce w paski. Uśmiechnęła się do niego.

- Wiem, wiem, pomyślisz, że jestem zupełną kretynką - powiedziała. - Pozwoliłam, żeby zatrzęsnęły się drzwi pokoju. Jestem nawet bez butów. Wydawało mi się, że kogoś usłyszałam na korytarzu, wyszłam, żeby sprawdzić, kto to, i wtedy drzwi się zatrzęsnęły. Cóż za zawiasy stosujecie? Elektromagnetyczne? Sterczę tu teraz jak idiotka.

- To się ciągle zdarza - oznajmił kelner.
- Naprawdę?
- Jasne.
- Czy w takim razie mam zjeść kolację na korytarzu, czy też będziesz moim rycerzem w lśniącej zbroi i wpuścisz mnie z powrotem do pokoju?

- Widzę, że mam przed sobą nadobną damę w rozpaczliwym położeniu - zauważył kelner.

- Przyznaję, że położenie jest rozpaczliwe. Ale obawiam się, że wyrosłam z wieku nadobnej damy.

Kelner się roześmiał.

- Nigdy nie słyszałem, by istniał jakiś limit wieku dla nadobnych dam. - Wyciągnął z kieszeni spodni kartę magnetyczną.

- Czy da radę otworzyć nią drzwi? - spytała, patrząc na kartę i myśląc: szybciej, szybciej.

- To magiczna karta. Pasuje do wszystkich drzwi. - Wsunął kartę w otwór, przekreślił gałkę i powiedział:

- Widzi pani? Sezam się otworzył.

Weszła przed nim do pokoju. Postawił tacę i podał jej do podpisania odcinek rachunku. Napisła na nim „Pani Dansk” i dodała pięć dolarów w kolumnie „napiwek”.

- Bardzo dziękuję - powiedział chłopak.

- Zasłużyłeś sobie.

Chłopak opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi.

A więc jestem w środku - pomyślała.

Dansk, wysiadając na piętrowym parkingu z samochodu, dostrzegł mężczyznę wyłaniającego się z mroku. Długi czarny płaszcz, beret, nawet czarne rękawiczki. Mężczyzna dostał ataku kaszlu, pogrzebał w kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej małą buteleczkę z ciemnobrązowego szkła. Otworzył ją i przytknął do ust. Pociągnął łyk i schował buteleczkę. Oczy mu zaszyły łzami. Wyglądał, jakby odkasznął fragment chorego płuca i dostał mdłości, czując w ustach jego smak.

- Co to za świństwo, którym się raczysz, Loeb? - spytał Dansk.
- Morfina w syropie.
- Morfina?
- Tak - potwierdził Loeb. - Jeśli ktoś ci kiedyś powie, że jest godność w cierpieniu, nie daj mu się nabrać na te bzdury. Chodźmy zaczerpnąć trochę powietrza.

Przeszli razem przez drzwi opatrzone napisem WYJŚCIE i znaleźli się w alejce na tyłach hotelu, gdzie Dansk zauważył ciemnozielone plastikowe worki na śmieci i pudła kartonowe, wszystko równiutko poustawiane.

W swoim berecie Loeb przypominał poetę z lat pięćdziesiątych o zniszczonej, wychudzonej twarzy, faceta wysiadującego przed kafejką na Left Bank lub w Greenwich Village, wypisującego podniosłe ody i popijającego tanie czerwone wino.

- Rozmyślałem nad naszą panią prokurator - odezwał się.
- Sam się nią zajmę na swój sposób. Należy do mnie - powiedział Dansk, starając się panować nad tonem swego głosu.
- Racja, to twoja sprawa. Ale ta praca potrafi deprawować. Widziałem takich, którzy rozsmakowali się w zabijaniu. Stali się uzależnieni.
- Oszczędź mi morałów - poprosił Dansk.
- Czasami entuzjazm to wspinała rzecz, Anthony. Kiedy indziej zaburza zdolność prawidłowej oceny.
- Potrafię dobrze oceniać sytuację, Loeb - odparł Dansk.
- Ostatnio stałeś się taki cholernie defensywny, zastanawiam się, czy przypadkiem nie zaczęłaś tracić gruntu pod nogami - powiedział Loeb. - Martwię się o twój obiektywizm.
- Jestem obiektywny - zapewnił go Dansk.
- Być może. Ale ta praca tak wpływa na człowieka, że nie wiadomo, kiedy się traci bezstronność oceny.
- W moim wypadku tak nie będzie - oświadczył Dansk.
- W takim razie opowiedz mi o niej, Anthony. Podziel się swymi myślami.

Dansk się roześmiał.

- Podzielić się myślami? A cóż to znowu? Seans u psychoanalityka?
- Kiedy człowiek jest zanadto skryty, żyje w stresie, Anthony. Brałem udział w spotkaniach grupy w Fairfax, ludzi takich jak ja, żyjących z wyrokiem śmierci. Rozmawialiśmy o tym i bardzo nam to pomogło, ponieważ uświadomiliśmy sobie, że nie jesteśmy zupełnie samotni na tym świecie.

Dansk wyobraził sobie salę pełną umierających ludzi. Anonimowi Nieuleczalni.

- Nie muszę się niczym dzielić - oświadczył. - Nie jestem chory.

- Najmocniej przepraszam, zapomniałem, jesteś niezwyknięzony. Cholerny Kapitan Nadzwyczajny. Sporadyczna usługa dziwki, wizyta w jednym czy dwóch kościołach i nagle potrafisz chodzić po wodzie.

- Nie przeciągaj struny, Loeb. - Danska irytowało wścibstwo Loeba, jego uszczypliwość, ten ciemny zapach śmierci. Nie lubił przebywać w towarzystwie Loeba. Zadawanie się z nieuleczalnie chorymi ludźmi jest przygnębiające. Nawet jeśli nie można się od nich zarazić, człowiek jest podatny na ich rozpacz, którą ciągną za sobą niczym kulę u nogi.

- Jeździ tu i tam, więc śledzę jej poczynania, próbuję czytać w jej myślach i ocenić, w jakim stopniu stanowi zagrożenie.

- A w jakim stopniu stanowi zagrożenie, Anthony?

- Jestem zmęczony. Mam za sobą długi dzień i czuję się jak jeden z tych plastikowych worków. Lepiej się od brudu. Muszę wziąć prysznic.

Dansk zrobił kilka kroków. Loeb ruszył za nim i złapał go za ramię.

- Myślisz, że sobie z nią poradzisz, Anthony?

Dansk strząsnął jego dłoń.

- Nie ma obawy. - Pomyślał o liście w kieszeni, którego nie miał zamiaru pokazać Loebowi. Czemu dawać temu wścibskiemu, staremu przykowi coś, do czego mógłby się przyczepić?

Dansk szedł przed siebie. Przystanął, kiedy usłyszał głos Amandy.

„O, Boże, to pilne, potrzebna karetka pogotowia i policja, i to natychmiast.

- Proszę podać adres i wyjaśnić, co się stało.

- Kennedy 361. To w Scottsdale, w pobliżu centrum administracyjnego.

- A co się stało?

- Mój przyjaciel... boję się, że umiera... ktoś włamał się do domu, pobił go, znalazłam go w basenie i...

- Proszę spróbować się uspokoić. Natychmiast kogoś do pani skieruję.

- Natychmiast to znaczy kiedy?
- Najszybciej, jak to będzie możliwe.
- Na litość boską, proszę się pośpieszyć...”.
- Jezu, założyliście jej podsłuch telefoniczny - powiedział rozwścieczony Dansk. Czuł się, jakby go wytargano za uszy, w głowie mu dzwoniło, skóra go piekła.

Loeb trzymał w dłoni małej magnetofon.

- Posłuchaj dalej - powiedział.

Ponownie rozległ się głos Amandy. „Dzwonię w sprawie pacjenta, Johna Rheesa.

- Czy można wiedzieć, kim pani dla niego jest?
- Narzeczoną. Nazywam się Amanda Scholes.
- Jego stan się ustabilizował, panno Scholes.
- Kiedy mogę się z nim zobaczyć?
- Odwiedziny pacjentów są między dziesiątą a dwunastą”.

Loeb wyłączył magnetofon.

- To ty kazałeś to zrobić, Anthony? Kazałeś skatować jej przyjaciela?

- To tylko proste odwrócenie uwagi - odparł Dansk.
- Tak to nazywasz?
- Nie masz najmniejszego prawa, Loeb - powiedział.
- Nie mam prawa przypatrywać się temu, co robisz?
- Umówiliśmy się, że nie będziesz się wtrącał, nie będziesz kwestionował moich decyzji - przypomniał Dansk.

- Tę kwestionuję. Rhees stanowi połówkę pary. Wkroczyłeś w bardzo delikatną sferę uczuć.

- Sferę uczuć? - powtórzył Dansk. - Gdzie uzyskałeś dyplom z psychologii? W jakiejś szkole w Gwatemali, ogłaszającej się na pudełku zapalek?

Loeb miał ponurą minę.

- Nie wzięłeś pod uwagę pewnej oczywistej rzeczy, Anthony. Dołałeś tylko oliwy do ognia.

Dansk nic nie powiedział. Wrzał gniewem, że Loeb odważył się go krytykować.

- Nigdy nie uczyniłeś złego kroku, Anthony, ale nie bierzesz pod uwagę faktu, że inni ludzie kierują się silnymi emocjami i czasem te emocje doprowadzają ich do nieprzewidywalnych reakcji. Czy przemawiam do ciebie na znanej ci częstotliwości?

Dansk milczał. Niech Loeb sobie dalej gada.

- Pytanie teraz: jaki będzie twój następny krok, Anthony?

- Pójdę do swojego pokoju i wezmę prysznic.

- Chodzi mi o tę kobietę - powiedział Loeb.

- Zajmę się nią - oświadczył Dansk.

Loeb wyglądał na niezwykle znużonego i smutnego.

- Jeden Bóg wie czemu, ale jestem twoim przyjacielem, Anthony. Może jedynym, jakiego masz.

- Niepotrzebni mi przyjaciele, którzy za mną łążą - oznajmił Dansk. Słyszał nierówny oddech Loeba. - Wiesz, co sobie myślę? Leki cię otumaniały. Od rana do nocy jesteś zamroczony. Nie jesteś zdolny do wydawania sądów.

- Uważam, że w całym swym życiu nie postrzegalem świata wyraźniej niż teraz - oświadczył Loeb.

- Leki sprawiają, że jesteś gotów uwierzyć we wszystko - powiedział Dansk.

Loeb założył ręce i oparł się o ścianę. Oczy miał podkrążone.

- Ta nasza robota to jak wtaczanie kamieni pod górę, ciągle pojawiają się nowe. Jest zadanie w Seattle, którym należało się zająć wczoraj. Kolejne czeka w Los Angeles.

Loeb z trudem oddychał przez otwarte usta.

- Chcę powiedzieć, że musimy skończyć z tą sprawą tutaj, bo powstały zaległości. Muszę wiedzieć, że potrafisz doprowadzić sprawę do końca. Chcę wierzyć, że ten pomysł z Rheesem był tylko wypadkiem przy pracy.

- Dam sobie radę - powtórzył Dansk. Wypadek przy pracy, pomyślał. Loeb nie potrafił docenić finezji. Nie lubił skomplikowanych figur. Kąty go zbijały z tropu, zakrzywione powierzchnie wywoływały dezorientację. Nad wszystko przedkładał proste rozwiązania. Miejsce iksa jest tutaj, a igreka tam. Od punktu A do punktu B prowadzi tylko jedna droga, prosta i wąska. Może dla ciebie, Loeb.

Loeb miał ponurą minę.

- Nie życzę sobie żadnych ekstrawagancji, Anthony. Nie chcę słyszeć o odwracaniu uwagi. Załatw to dyskretnie i nie zostawiaj po sobie bałaganu. Zakop swoje śmieci. - Loeb się odwrócił i ruszył wolno alejką. W pewnej chwili się zatrzymał i zawołał: - Ufam ci, Anthony. Tylko nie zmieniaj nagle kursu.

Zmieniać kurs. Ty głupi cymbale. Dansk zaczął gryźć mały palec, ten bez paznokcia, nerwowy tik, którego nabawił się w piątej klasie. Tępy brutal, Skipper Klintz, zmiażdżył mu palec młotkiem. Spowodowane to było jego potrzebą zmanifestowania posiadanej przewagi nad Danskim, który z uwagi na swoje znamię był odmieńcem i kimś gorszym, a w konsekwencji kandydatem na ofiarę. Paznokciec nigdy nie odrósł. Dwa tygodnie później, w ponurą, ciemną noc, Dansk zaczął się na Skipper a z kijem bejsbolowym. Nadal czuł gładką powierzchnię kija ściskanego w dłoni i trzask czaszki Skippera. Triumfalny bieg do mety, oszalały tłum na trybunach, migotanie elektronicznej tablicy z wynikami.

Teraz patrzył za odchodzącym Loebem, schorowanym wrakiem człowieka, umierającego z każdym krokiem, który robił. Ufam ci. Zakładasz podsłuch telefoniczny za moimi plecami i to ma być zaufanie?

Dansk ruszył alejką, dotarł do ulicy, gdzie neon hotelu roztaczał miękka, żółtą poświatę, a portier w uniformie stał bez ruchu na progu, spowity padającym wokół światłem.

Na stoliku przy łóżku Danska Amanda znalazła mapę Arizony, broszurowe wydanie „Przewodnika po restauracjach Doliny Słońca” oraz powielaczową odbitkę czegoś zatytułowanego „Phoenix po zmroku”, co się okazało spisem adresów dziwek, lokali ze striptizem, barów dla gejów oraz agencji towarzyskich. Dansk zakreślił nazwy kilku z owych agencji czerwonym długopisem. Romantyczne Związki. Słodkie Marzenia. Kaprysy Wyobraźni. Niektóre opatrzone były zachęcającymi tekstami w rodzaju „Spotkaj się z miłym kociaczkiem i zaspokój swoje chuci”. „Umów się z Różyczką, dojrzałą do zerwania”.

W szufladzie stołu znalazła paczkę prezerwatyw, stary różaniec i plastikowy wkład do portfela z serią zdjęć.

Przyjrzała się fotografiom. Nie ulegało wątpliwości, że każda z nich przedstawiała Danska. Na jednych był jeszcze dzieckiem, na innych nastolatkiem. Zawsze towarzyszyła mu kobieta. Na niektórych zdjęciach obejmowała Danska w pasie, na innych trzymała mu dłoń na ramieniu. Amanda się domyśliła, że to matka Danska, ponieważ istniało między nimi pewne podobieństwo. Wzruszające, pomyślała. Nie rozstaje się ze zdjęciami mamy. I różańcem. Próbowała go sobie wyobrazić, jak przebiera palcami po jego paciorkach, ale jakoś nie potrafiła.

Otworzyła szuflady komody. Z saszetki, umieszczonej na ułożonych w równiutki stos spodenkach boksinerskich, rozszedł się intensywny zapach drzewa sandałowego. Wsunęła rękę pod spodenki w groszki i wzory indyjskie, nie omieszkując zauważyć, jak pedantycznie były wyprasowane i złożone. Następna szuflada zawierała parę koszul, jeszcze niewyjętych z celofanowych opakowań, oraz pół tuzina zwiniętych w pary skarpet. Trzecia szuflada była pusta.

Podeszła do szafy i spojrzała na ubrania wiszące na wieszakach: dwa garnitury, oba markowe, dwa sportowe płaszcze, dwie pary butów. Wszystkie kieszenie były puste. Nie zawierały nic, najmniejszej monety, skrawka papieru, nawet niteczki. Co on robił? Odkurzał je?

Na dnie szafy stała metalowa walizka z zamkiem szyfrowym. Wzięła ją, potrząsnęła i usłyszała coś jakby odgłos papierów przesuwających się w środku. Miała ogromną ochotę otworzyć walizkę, ale musiała zrezygnować. Odstawiła ją z powrotem.

Weszła do łazienki. Przybory toaletowe ustawiono równiutko w szafce. Balsam po goleniu, emulsja do włosów, płyn do płukania ust firmy, o której nigdy nie słyszała, i szczoteczka do zębów zaprojektowana tak, by sięgała do najgłębszych zakamarków jamy ustnej i Bóg wie gdzie jeszcze. Pilniczek do paznokci z uchwytem z prawdziwej kości słoniowej, obcinarka do paznokci, pojemnik nici dentystrycznych, szylkretowa szczotka do włosów, w którą wsunięto grzebień od kompletu, i drewniana jakby szpatułka, której przeznaczenia nie potrafiła się domyślić. Na umywalce stała butelka włoskiej wody mineralnej, leżała maszynka do golenia i tuba kremu do golenia.

Oraz solniczka. Czyżby płukał gardło solanką?

Oto do czego sprowadzał się Dansk. Do drogich artykułów toaletowych, pustych kieszeni, zamkniętej walizki i faktu, że korzystał z usług agencji towarzyskich.

Dansk, kim, u diabła, jesteś?

Wróciła do sypialni. Na telewizorze stała wydrukowana na kartonie informacja o tym, że goście mają dostęp do komputera, z którego mogą się dowiedzieć wszystkiego o swoim rachunku hotelowym. Wzięła pilot, włączyła telewizor, wybrała kanał dwudziesty drugi, zgodnie z instrukcją. Pojawiło się nazwisko: ANTHONY DANSK.

A następnie:

CENA POKOJU \$ 175 WRAZ Z PODATKIEM

RAZEM \$ 875,00

USŁUGI DO POKOJU

RAZEM \$ 63,00

TELEFONY

RAZEM \$ 4,25

PRANIE

RAZEM \$ 48,50

Przez chwilę spoglądała na pierwszą pozycję rachunku, przeprowadzając obliczenia. Zajmował pokój od pięciu nocy. Nie przyjechał do Phoenix dwadzieścia cztery godziny temu, by się z nią spotkać. „Przyleciałem tu taki szmat drogi, by cię uspokoić” - powiedział jej. Byłeś tu już wcześniej, Anthony. Po co to kłamstwo? Po co to mydlenie oczu?

Człowiek kłamie, kiedy ma coś do zyskania.

Lub do ukrycia.

Gapiła się na spis funkcji na dole ekranu, po czym nacisnęła na pilocie „67”, dzięki czemu miała możliwość zapoznać się ze szczegółowym wykazem przeprowadzonych przez Danska rozmów telefonicznych.

PROSZĘ ZACZEKAĆ. ZAPRASZAMY DO SALI YUCCA NA ANTRESOLI NA WYŚMIENITE POTRAWY KUCHNI ZACHODNIEJ AMERYKI!

A potem:

DANSK, ANTHONY 7320

Następnie pojawił się spis wykonanych telefonów. Przeprowadził cztery rozmowy, wszystkie miejscowe, trzy razy dzwonił pod ten sam numer. Zapisała numery w notatniku leżącym na toalecie, potem złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni. Wyłączyła telewizor.

Pora stąd zmykać, ale wciąż odnosiła wrażenie, że coś przeoczyła, że nie przyjrzała się wszystkiemu wystarczająco dokładnie. Ale co zostało do sprawdzenia? Pokoje hotelowe takie jak ten nie dają zbyt wielu możliwości ukrywania czegokolwiek. Był tu przewód klimatyzacji, ale nie dysponowała ani czasem, ani odpowiednimi narzędziami, by odkręcić kratkę. Istniało również prawdopodobieństwo, że coś ukryto pod wykładziną, ale szukanie pod nią oznaczało zbyt dużo fatygi. Musiałaby uklęknąć, szarpać się z dywanem, oderwać gwoźdźdiki.

Pozostał tylko minibarek. Zawierał miniaturowe butelki z alkoholem, do połowy opróżnioną butelkę kalifornijskiego chardonnay, słoiczek orzechów i opakowanie Toblerone. Pogrzebała w barku, nie natknęła się na nic niezwykłego i zatrzasnęła drzwiczki. Wyjdź, powiedziała sobie. Wyjdź natychmiast. Wykorzystałaś już uśmiech losu do granic przyzwoitości, a może i bardziej.

Obrzuciła pokój ostatnim, szybkim spojrzeniem i skierowała się do drzwi. W połowie drogi szczęście ją opuściło, usłyszała szcęknięcie, kiedy ktoś wsunął w zamek kartę magnetyczną, a następnie otworzył drzwi.

- Cóż za niespodzianka - powiedział Dansk.

Uniosła rękę do włosów wyraźnie zmieszana, nerwy miała naprężone do granic wytrzymałości. Atmosfera wokół była napięta, wprost wyczuwało się wibracje powietrza podobne do tych, jakie powstają po trąceniu kamer tonu. Podeszła do okna i stanęła plecami do niego, krzyżując ręce na piersi, jakby się próbowała bronić. Zdawała sobie sprawę z nieprzeniknionej ciemności nocy zalegającej za nią. Wyobraziła sobie, jak Dansk zbliża się do niej i niedbałym ruchem wypycha ją przez okno, a ona leci, piętro za piętro, aż dosięgnie ziemi.

Odeszła od okna, myśląc, że nikt nie wie, że tu jest.

- Przypuszczam, że istnieje dobre wytłumaczenie twojej tutaj obecności - powiedział Dansk. List od *señority*. Oto co ją tu sprowadziło. Szpera, ale nie ma pojęcia, co się kryje pod ziemią. Gdyby wiedziała, nie przyszłaby tu. - Szukasz czegoś konkretnego? Czy też przyszłaś tu powęszyć bez specjalnego celu, przekonać się, co ci się uda wyniuchać?

Nadal czuła drżenie powietrza, jakby olbrzymi, groźny ptak przeleciał tuż obok jej twarzy. Kiedy przemówiła, jej głos był skrzekliwy.

- Śledziłeś mnie.

- Nie dosłyszałem. Proszę głośniej.

Odchrząknęła i powtórzyła jeszcze raz to, co powiedziała.

Dansk zrobił urażoną minę.

- Śledziłem cię? Wpadłem na ciebie przypadkowo na ulicy, a ty od razu dorobiłaś sobie do tego wydarzenia całą historię. Dlaczego miałbym cię śledzić, Amando?

Rozwiązał krawat, dyndał mu teraz w dłoni.

- Wiesz dlaczego - powiedziała. Zauważyła, jak srebrny krawat odbija światło, przypominając do złudzenia metalowy łańcuch.

- Mówisz niezrozumiałym językiem. Proszę jaśniej.

- Postanowiłeś mnie obserwować, ponieważ wiesz, że nie kupiłam tego, co próbowałeś mi sprzedać.

- Skąd ci to wszystko przyszło do głowy, Amando?

- Rhees leży w szpitalu z pogruchotanymi kośćmi.

- Rhees? - powtórzył. - Nie znam żadnego Rheesa. Amando, nie możesz, ot tak, rzucać mi w twarz jakichś nazwisk.

Zobaczyła za oknem czerwone lampki masztów radiowych wybudowanych na zboczach gór, daleko w mroku, gdzie nie sięgały światła miasta. Gniew, który ją tu sprowadził, zaczął słabnąć, zastąpił go strach. Nagle poczuła się zupełnie osamotniona. Spojrzała na odbicie Danska w szybie. Zdawał się istnieć jednocześnie w kilku wymiarach, za nią w formie materialnej, przed nią unosił się niczym zamazane widmo.

Dlaczego nie powiedziała Williemu, że się tu wybiera? Wszystko może jej się przydarzyć i nikt się nawet o niczym nie dowie. Odwróciła się i spojrzała na Danska.

- Rhees nie miał z tym nic wspólnego...

- Nadal nic nie rozumiem.

- Nie zrobiłeś tego osobiście. Wynająłeś ludzi.

- Do czegoż znowu wynająłem i kogo?

- Miało to wyglądać jak włamanie i napad. Ale zostało źle wyreżyserowane. Złodzieje kradną, Anthony. Powinieneś nauczyć tego swoich zbirów.

- Nawet nie znam tego Rheesa, podaj mi więc jeden powód, dla którego zależałoby mi na tym, by coś mu się stało.

- To miało być ostrzeżenie dla mnie.

Ostrzeżenie, pomyślał. Jeśli chce wierzyć, że to było coś tak prymitywnego, proszę bardzo. Ludzie często źle rozumieli jego intencje. Nawet osoby inteligentne, jak Amanda. Nie stawiają sobie poprzeczki wystarczająco wysoko.

- Amando, znalazłaś się w strefie mroku. Słyszę to w twoim głosie. Włamałaś się tutaj i pleciesz jakieś niestworzone rzeczy, ale nie możesz niczego udowodnić. Takie postępowanie nie przystoi prawnikowi.

- Nie pracuję już jako prawnik - powiedziała. Wpatrywała się w niego. Wytrzymał jej wzrok z nonszalancką miną, przesuując krawat w palcach.

- Wdarłaś się tutaj i wysuwasz jakieś szalone oskarżenia. Czy to można uznać za normalne zachowanie?

- Przypuszczam, że ty masz do czynienia tylko z normalnym zachowaniem.

Nie spodobała mu się ta uwaga. Dotknęła jego kilku czułych punktów. Podeszedł do niej i spojrzał na jej jaskrawą szminkę i pomalowane paznokcie. Nie była stworzona do takiego wyzywającego makijażu, nie pasowało to do niej.

- O co ci, u licha, chodzi? Włamałaś się do mojego pokoju, prawdopodobnie grzebałaś w moich rzeczach. Co się spodziewałaś tam znaleźć? Powiedz mi. Powiedz mi, o co ci naprawdę chodzi.

- O Program. O przecieki.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle.

- Myślę, że o coś więcej. Jesteś wytrącona z równowagi z powodu Isabel Sanchez i tego, co się przydarzyło temu Rheesowi - powiedział. - A teraz wyobrażasz sobie nie wiadomo co.

Zauważyła zmianę jego nastroju. Pochylił się, położył ręce na ścianie po obu stronach jej głowy. Była uwięziona między jego wyciągniętymi ramionami. Odnosiła wrażenie, że widzi go jak pod

mikroskopem. Lekki zarost na policzkach, brązowe brwi, pory skóry, znamię, wszystko było powiększone, ukazując najdrobniejsze szczegóły. Spodziewała się ataku. Wyobraziła sobie, jak Dansk się na nią zamierza. Wzdrygnęła się wewnątrz.

- Rozmawiaj ze mną - polecił.
- Nie mam ci już nic więcej do powiedzenia.

Spojrzał jej prosto w oczy i przyszło mu do głowy, że mógłby ją udusić krawatem. Idea ta błysnęła mu niczym światło lampy stroboskopowej: śmierć zadana własnoręcznie, kameralność tej sceny, oczy Amandy pociemniałe od tchnienia śmierci. Zabić kogoś tak, jak to robił McTell czy Pasquale. Jakie to uczucie. Wyobrażał sobie odrętwienie, uśpione serce, zanurzenie się w oszałamiające szaleństwo. Nie chciał, żeby McTell czy Pasquale mieli coś wspólnego z tą kobietą, pragnął trzymać ich od niej z daleka. Chciał ją zachować wyłącznie dla siebie. Ale nie w tym pokoju, bo nawet gdyby umarła, nie wydając jednego dźwięku, przerażała go perspektywa zawleczenia ciała do windy, a potem targanie go przez hol, na oczach recepcjonistów, portierów, gości hotelowych i ludzi z ochrony. Nierealne.

Zostawał jeszcze ów Rhees. Każde ostateczne rozwiązanie musiało obejmować i jego, ponieważ prawdopodobnie wspólnie z Amandą omawiali list. Kochają się, a ludzie, którzy się kochają, powinni umierać razem.

Zauważył jedzenie na stole. Hamburger sprawiał wrażenie zimnego, frytki rozmiękły.

- Nie zjadłaś - powiedział. - Straciłaś nagle apetyt?
- Nie jestem głodna.

Spojrzał na jej stopy.

- A co się stało z twoimi butami?
- Lubię chodzić bez butów - powiedziała.

Dostrzegła kropelki potu na jego czole i ciekawa była, o czym myślał przez ostatnie dwadzieścia sekund, ponieważ twarz mu się zrobiła mokra jak okno w zaparowanym pomieszczeniu, zacisnął zęby, poruszał mięśniami twarzy, jakby żuł gumę. Stał się nieobecny.

- Jedz. Sama to zamówiłaś. - Złapał ją za przegub ręki i przyciągnął do stołu. - Siadaj.

- Nie mam ochoty - powiedziała. Odsunął krzesło i posadził ją siłą.

- Teraz jedz.

- Nie chcę...

- Jedz - powtórzył.

Strącił górną część bułki i stwierdziła, że patrzy na płamę keczupu na przysmażonym mięsie.

- Bierz hamburgera - rozkazał. Jego głos był lodowaty, ostry i pełen furii.

Niechętnie uniosła hamburgera do ust. Rozleciał jej się w palcach, patrzyła, jak spada na talerz, nasiąknięta tłuszczem bułka i posmarowany sosem krążek mięsa. Dansk stał tuż za nią.

- Niezdara. Potrzebna ci pomoc.

Nabrał na dłoń trochę mięsa i zbliżył je do jej ust. Odwróciła głowę, mówiąc:

- Nie jestem głodna, do cholery.

- Na całym świecie głodują dzieci - oznajmił. - A ja nie znoszę marnotrawstwa, nie cierpię, jak ludzie nie myślą o innych, którzy mają mniej szczęścia. - Wepchnął jej mięso siłą do ust, odtrąciła jego rękę.

- Nie chcę tego jeść - powiedziała.

- Sama to zamówiłaś - odparł.

Dansk czuł jej perfumy. Czuł również jej strach, ogarnęło go poczucie siły. W jakiś sposób był podłączony do tej kobiety, czerpał energię z jej akumulatora i wywołało to u niego zawroty głowy. Sięgnął po leżący na stole widelec, nabił na niego krążek cebuli, uniosł go blisko do jej twarzy i zaczął nim przesuwać tuż przed jej nosem.

Patrzyła na cebulę i starała się odsunąć krzesło od stołu, ale Dansk jej nie pozwolił. Wypuścił widelec, położył dłonie na jej ramionach i poczuł, że kobieta drży.

- Boisz się mnie - powiedział.

- Niełatwo mnie przestraszyć.

Nie miał ochoty cofnąć rąk. Nagle zapragnął rozpiąć guziki jej bluzki i wsunąć dłonie między jej piersi. Wciąż ścisnął ją za ramiona. Pomyślał, że to byłaby przesada. No to co? Nie mógł się powstrzymać. Pragnął poczuć pod palcami jej piersi - szalony pomysł, nic dla niego nie znaczyła, nawet go nie pociągała fizycznie, dla niego była już trupem. Zsunął ręce i zaczął się szamotać z guzikami jej bluzki. Kobieta się nie poruszyła, a on pomyślał: Ona też tego chce. Wsunął dłoń pod jej bluzkę i poczuł jedwabisty materiał stanika. Wepchnął pod niego palce. Dotykał jej ciepłych piersi i sprawiało mu to przyjemność, rozkoszował się miękkością jej skóry, uległością Amandy, władzą, jaką nad nią miał.

Poruszyła się gwałtownie. Szybkim ruchem ręki strąciła ze stołu talerz z jedzeniem, chwyciła nóż i przejechała nim po jego dłoni. Cofnął się. Wstając, potrąciła stolik, aż się przechylił, potem odwróciła się i wyciągnęła nóż w kierunku Danska. Rozłożył ręce w geście, który można by wziąć za uspokajający, ale taki nie był, ponieważ w jego zielonych oczach błyskały zjadliwe ogniki. Zdawała sobie sprawę z tego, że nóż drży w jej dłoni i że zabrakło jej tchu.

Wciąż czuła na swych ramionach jego palce i to, jak wsunął jej dłoń pod bluzkę i lodowata ręka dotknęła jej piersi, czuła całą ohydę tamtej chwili.

Dansk jak gdyby nigdy nic przyglądał się swej dłoni w miejscu, gdzie go ciachnęła nożem.

- Obawiam się, że doszło do drobnego nieporozumienia - powiedział. - Zdawało mi się, że wyczuwałem... pragnienie intymnego zbliżenia.

- Intymnego zbliżenia?

- Pojawiłaś się w moim pokoju. Cóż innego mógłbym sobie pomyśleć?

- Chyba nie wyobrażałaś sobie... - Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale wiedziała, by go tym sprowokowała. Nadal trzymając przed sobą nóż, podeszła do drzwi i pośpiesznie opuściła pokój.

Pobiegła korytarzem do wind, spodziewając się, że Dansk będzie ją gonił, ale tego nie zrobił. Wsiadła do windy, nacisnęła guzik swojego piętra i uświadomiła sobie, jak mocno ściska nóż w zdrętwiałej dłoni. Dansk zaciągnął ją tam, gdzie żył, do świata pełnego brutalności. Weszła do swego pokoju, zamknęła drzwi, zaryglowała je i oparła się o nie plecami, próbując odzyskać oddech i uspokoić nerwy.

*

Pot przylepił Danskowi koszulę do ciała.

Pomyślał, że minęła punkt, z którego nie ma już odwrotu. Dawno go już minęła.

Wyobraził ją sobie idącą dokądś przez noc. (Boso. Dlaczego boso?) Wyobraził ją sobie w łóżku, czekającą, aż nadejdzie pora, kiedy będzie mogła odwiedzić Rheesa w szpitalu. A potem co? Usiądzie przy nim, czując wyrzuty sumienia. Będzie sobie czyniła wymówki. I co dalej?

Położył się i zamknął oczy. Znów poczuł zimnego hamburgera i zimne frytki. Spojrzał na przewrócony stolik, na porozrzucone jedzenie, małe kleksy musztardy i keczupu na dywanie. Narozrabiłaś, Amando.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do McTella.

- Dopadłem go, kiedy wychodził z pracy - powiedział McTell.
- I?
- Wszystko w porządku. Pojechał na przedmieścia, gdzieś na północ od Phoenix, nie wiem dokładnie. Wszystkie ulice tutaj wydają mi się identyczne.
- A potem?
- Zaparkował przed domem otoczonym palmami i tymi jukami, czy jak je nazywają...
- Opuść opisy przyrody.
- Wszedł do środka, zabawił tam pół godziny.
- Czyj to dom?

- Na skrzynce pocztowej widniało nazwisko Bascombe.

Dansk milczał przez chwilę.

- Gdzie jest teraz?

- Wyszedł od Bascombe'a, wstąpił do jakiejś knajpy na placzek z jabłkami, bitą śmietaną...

- Do rzeczy, McTell.

- Jest teraz na innym przedmieściu, które wygląda tak jak tamto.

Zaparkował przed domem.

- Masz nazwisko lokatora?

- Czekam na okazję, by rzucić okiem na skrzynkę z listami. Nie mogę tak zwyczajnie do niej podejść, Anthony: są tu sąsiedzi, jakiś facet wyszedł z psem na spacer...

- Zadzwoń do mnie, kiedy się dowiesz.

Dansk się rozłączył. Wyjął z kieszeni list Isabel Sanchez i zaczął się gapić na zapisane arkusiki papieru. Zapalił zapałkę, przytknął ją do kartek i położył je w popielnicze. Zamieszał popiół palcami, wyobrażając sobie, że to skremowane szczątki jakiejś drobnej istotki złożonej na stosie, potem otworzył teczkę i wyjął z niej plik faksów. Je też spalił. Ogień oczyszcza.

Zadzwoił telefon.

- Sprawdziłem - odezwał się McTell. - Na skrzynce widnieje nazwisko Vialli.

- Zostań tam, gdzie jesteś, McTell - powiedział Dansk. - Nie ruszaj się ani na krok. Zrozumiałeś? - Wstał i zaczął zbierać swoje ubrania. Zgarnął wszystkie przybory toaletowe do skórzanej torby i zamknął ją. Dźwięk zamykanego suwaka skojarzył mu się z rozrywaniem ciała, z ostrym narzędziem podcinającym żyły.

Pomyślał: Oto twoje życie, Amando Scholes. Początek jego końca.

Drumm nacisnął guzik dzwonka i czekał. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, by oszczędzić tę bolącą od starej rany postrzałowej, pamiątki po interwencji przeciwko włamywaczom do sklepu monopolowego. Zdarzyło się to na samym początku jego pracy w policji, ale do dziś nie zapomniał szoku, jakiego doznał na widok kuli, która rozorała mu skórę i przeszła na wylot, wyrrywając kawałek ciała i odłamek kości. Ból się nasilał w chwilach stresów. Tępe klucie, dokuczające mu teraz, przypisywał spotkaniu z Bascombe'em. Przypominało rozmowę o wyrrywaniu zęba. Lew Bascombe był nocną zmołą każdego dentysty.

Na ganku rozbłysło światło. Zmrużył oczy.

Ze środka dobiegł kobiecy głos.

- Kto tam?

- Policja - powiedział Drumm. Nawet niegdyś spokojne przedmieścia zamieniły się w niebezpieczne okolice, pomyślał. Mieszkańcy trzymają broń pod poduszką, w szafach. Ulicami włóczą się chuligani. Weźmy choćby to, co spotkało Rheesa.

- Policja?

- Mam legitymację - dodał Drumm.

Drzwi uchyliły się nieco. Były zabezpieczone łańcuchem. Drumm wyciągnął identyfikator. Kobieta przyjrzała się mu.

- Trochę późno na wizytę - zauważyła.
- Przepraszam - bąknął Drumm.
- Lepiej niech pan wejdzie do środka - powiedziała. - Chyba pa-
na pamiętam. Występował pan na procesie wujów Benny'ego, praw-
da?

- Zgadza się.

Drumm wszedł do przeładowanego kompozycjami kwiatowymi przedpokoju. Kobieta zaprowadziła go do salonu, wywołującego nieodparte skojarzenie z domem pogrzebowym przez liczne aranżacje kwiatowe, bukiety bżów i lilii, pęki zieleni w koszykach.

- Proszę usiąść, panie poruczniku.

Drumm zajął miejsce w miękkim fotelu. Łupanie w nodze stało się nieznośne. Bernadette Vialli ubrana była w niebieski szlafrok. Miała krótkie, grube palce i siwe, krótko podcięte, ondulowane włosy, a na nosie okulary z przydymionymi szklami. Była bardzo niska i kiedy usiadła naprzeciwko Drumma, ledwo dotykała nogami podłogi.

Każdy wolny skrawek ścian zajmowały fotografie rodzinne, a między nimi wisiały dwie akwarele. Na kilku zdjęciach Drumm rozpoznał Benny'ego Viallego. Benny jako dziecko, Benny jako nastolatek. Miał odstające uszy i wesoły uśmiech.

- Przyszedłem tu w imieniu Amandy Scholes - odezwał się Drumm. - Wiem, że dzwoniła pani do niej.

- Owszem. Kilka dni temu.

- Prosiła mnie, bym z panią porozmawiał - powiedział Drumm.

- To bardzo miło z pana strony, że się pan pofatygował, chociaż teraz żałuję, że do niej zadzwoniłam. To strata czasu.

- Musiała pani mieć jakiś powód, skoro zdecydowała się pani do niej zatelefonować.

- Jestem matką i, jak to matki, wiecznie się niepokoję. Zanim się człowiek zorientuje, traci kontrolę nad sytuacją i zaczyna sobie wyobrażać różne niestworzone rzeczy.

- Nie mam dzieci, pani Vialli - odparł Drumm. - Moja żona zmarła kilka lat temu. Jakoś nigdy nie pomyśleliśmy o dzieciach.

- Przepraszam - powiedziała. Zdjęła okulary. Po obu stronach nosa zrobiły jej się czerwone pręgi.

Drumm pomyślał o swym małym mieszkanku na przedmieściu i spiżarni pełnej puszczonek z zupami na jeden raz. Jeanette, niech spoczywa w pokoju, była wspaniałą kucharką. Ale to już przeszłość. Nie rozmyślał o jej nieobecności z wyjątkiem chwil, kiedy z otwieraczem do konserw w dłoni zastanawiał się, czy się zdecydować na krem ze szparagów, czy też na krem z grzybów, chociaż miały identyczny smak: skrobi kukurydzianej.

- Dzieci to źródło radości. I zgryzot. - Pani Vialli wstała i zaczęła poprawiać kwiaty, ujmując w dłonie wielkie kiście. Przez pewien czas była pochłonięta tym zajęciem, jakby widziała w wyobraźni jakąś idealną kompozycję, której nie udawało jej się ułożyć. - Często myślę o Bennym, o tym, co się stało.

- A co się stało? - spytał.

- Właściwie nic takiego.

- Z chęcią wysłucham.

Pani Vialli zrezygnowała z poprawiania kwiatów.

- Benny i ja byliśmy ze sobą bardzo zżyci, póki jego wujowie nie ściągnęli go do Tucson. Mając takich krewnych, człowiek żałuje, że nie może sobie wybierać rodziny. Mam nadzieję, że zgniją w więzieniu. Kazali Benny'emu latać to tu, to tam. Odwieź tego faceta, podrzuć tamto, dostarcz tę paczkę, zanieś tamto. Założę się, że mu nawet nie przeszło przez myśl, że to, co robi, stanowi wykroczenie przeciw prawu. Jestem jego matką i kocham go nad wszystko, ale zawsze sprawiał wrażenie zagubionego. W dniu, w którym się urodził, spojrzałam na jego buzię i pomyślałam „Nie będzie ci lekko w życiu, mój drogi”.

Drumm dosłyszał smutek w głosie kobiety i wzruszyło go to. Pani Vialli otworzyła szafkę i wyjęła z niej mały magnetofon.

- Baterie są prawdopodobnie słabiutkie.

Nacisnęła klawisz ODTWARZANIE. Początkowo słychać było tylko szum. Głos, który w końcu się rozległ, brzmiał tak, jakby docierał z porzuconej sondy kosmicznej.

- Mamo, tu Benny. Chciałbym, żebyś (niewyraźnie) mam (niewyraźnie) dwa, ale (niewyraźnie) u mnie (niewyraźnie) ci faceci są (niewyraźnie) mówią, że nie wolno mi do ciebie dzwonić (Wrzuć monetę). Mamo, nie mam już czasu, zadzwonię jeszcze.

Głos umilkł.

- To było dwa dni po jego wyjeździe - powiedziała pani Vialli. - Przesłuchiwałam tę kasetę z pięćdziesiąt razy. Próbowałam sobie wyobrazić, skąd dzwonił, co to za miejsce, jak był ubrany, czy nie jest głodny i tak dalej. Nie zadzwonił więcej.

Drumm pomyślał, że pokój przypomina owinięte w celofan pudełko. Jeden obraz na ścianie przedstawiał przystań i małą żaglówkę na kotwicy, stadko mew wyglądało jak rozsypane literki „V”.

„Zadzwonię jeszcze”. Ale nie zadzwonił.

- Akwarele to moje hobby - odezwała się pani Vialli.

- Bardzo ładne - powiedział Drumm. Przypomniał sobie hobby Bascombe'a: messerschmitty i spitfire'y z drewna balsa, robione w warsztacie przesiąkniętym zapachem kleju i chemikaliów. Był swego rodzaju miłośnikiem samolotów z okresu drugiej wojny światowej i pracował w ponurym skupieniu. Jego malutkie modele zwisały na przytwierdzonych do sufitu nylonowych żyłkach. „Nie lubię, jak się mnie niepokoi w moim domu - oświadczył Bascombe. - Proszę się ze mną umówić w biurze”.

- Benny wyjechał, a mój mąż zmarł osiem lat temu - powiedziała pani Vialli. - Tęsknię za synem. Pozostawił pustkę w moim sercu.

- Nie wątpię - zgodził się Drumm.

- Ma pan czas, by rzucić na coś okiem? - spytała pani Vialli. Podeszła do sekretarzyka, otworzyła go i z małej szufladki wyciągnęła białą kopertę. Wręczyła ją Drummowi.

- Proszę ją otworzyć.

Drumm wyjął z koperty kartkę. Wyrysowane było na niej czerwone serce, a niżej widniał napis „NAJLEPSZE ŻYCZENIA URODZINOWE DLA UKOCHANEJ MAMY”.

- Ta kartka dołączona była do bukietu róż - powiedziała pani Vialli. - W środku są życzenia. Może pan przeczytać, jeśli pan chce.

Drumm rozłożył kartkę i przeczytał jedno zdanie, napisane długopisem, drukowanymi literami. „Kochana Mamuniu, bardzo za Tobą tęsknię, całuję, Twój syn”.

- Przez ponad pół roku jeden telefon, kwiaty i ta kartka - powiedziała pani Vialli. Usiadła i zmarszczyła brwi. - Niewiele. Wiem, Program zapewnia mu bezpieczeństwo, znam zasady, ale mimo wszystko to niewiele. Poza tym jest coś w tej karcie urodzinowej, co mi nie daje spokoju.

- Co?

- Kiedy się ma dziecko, jest ono jak otwarta księga, człowiek wie, czego się może spodziewać. A ta kartka nie pasuje do obrazu całości... - Urwała i spojrzała na Drumma. - Wiem, że wyda się to panu nieistotne i może wyjdzie pan stąd przekonany, że jestem trochę zwariowana, ale i tak panu powiem. Słyszał pan nagranie, Benny zwracał się do mnie „mamo”. Czytał pan kartkę. Jak się ona zaczyna? „Kochana Mamuniu”. Właśnie tak. Kochana Mamuniu.

- I co z tego?

- Kiedy był jeszcze bardzo mały, dopiero uczył się mówić, zawsze zwracał się do swej babki „mamuniu”. Przypuszczam, że biedactwo nie potrafiło wymówić słowa „babunia”. Tak czy inaczej, zawsze była „mamunią”. Powtarzałam mu, że wiecznie będzie dochodziło do nieporozumień, jeśli będzie mówił o swej babce „mamunia”, dlatego na mnie wołał „mama”.

- Zawsze?

- Wracał ze szkoły do domu i pytał: „Cóż to takiego gotujesz, mamó? Co tak smakowicie pachnie, mamó?”. Można zmienić „mamę” na „mamunię”, cóż, to tak samo, jakby ktoś, kto całe życie mówił do kogoś „Jack”, pewnego razu postanowił zwracać się do niego „John”. Gdzie tu sens?

Pani Vialli miała rację, to była drobna rzecz, wprost błahostka. Ale Drumm nie miał zwyczaju lekceważyć drobiazgów, ponieważ lata doświadczenia nauczyły go, że czasem ich znaczenie jest nieproporcjonalne do ich znikomych rozmiarów. Nitka z dywanu, pojedynczy włos łonowy, pyłek kurzu - przez takie drobnostki jedni trafiali do więzienia, inni kończyli z wyrokiem śmierci. Nigdy nie wolno lekceważyć drobiazgów. Źle się czuł, tylko tym razem nie dukała mu noga, bardziej przypominało to niestrawność, skręt kiszek, pieczenie w przelyku. „Nie mogę mówić na temat Programu” - oświadczył Bascombe.

„To poważna sprawa, Lew. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa i nie pozwolę, byś mi utrudniał pracę”.

- Skoro więc przez całe życie zwracał się do mnie „mamó”, skąd nagle ta „mamunia”?

- Nie wiem.

- Przyszło mi do głowy... - Pani Vialli urwała.

- Proszę powiedzieć.

- Dobrze. Może to ktoś inny przysłał kwiaty. Ktoś inny napisał kartkę i dołączył ją. A pytanie, które mnie nurtuje, jest bardzo proste: dlaczego? Jeśli Benny nie przysłałby mi kwiatów, no to co? I właśnie dlatego zadzwoniłam do Amandy Scholes.

- Amanda zrezygnowała z pracy - powiedział. Formalnie, pomyślał, bo sercem nadal pozostała jej oddana.

- Zrezygnowała?

Drumm skinął głową.

- W takim razie może pan będzie mi mógł pomóc, panie poruczniku. Chciałabym zobaczyć Benny'ego, choćby przez chwilę, a jeśli to niemożliwe, to usłyszeć jego głos przez telefon albo otrzymać od niego list. Nie muszę wcale wiedzieć, gdzie jest, skądże znowu.

- Zwracała się pani w tej sprawie do Programu? - spytał Drumm.

- Nie wiem, ile razy zabierałam się do napisania listu. Potem pomyślałam o Amandzie. Była oskarżycielem w tamtym procesie, musi mieć jakieś znajomości. To straszne, kiedy się nic nie wie o własnym synu. Prawdopodobnie robię z igły widły, ale już samo upewnienie się, że tak właśnie jest, przyniosłoby mi ulgę.

Drumm potarł nogę. Cholerny ból. Wstał z fotela. „Lew, powiedz mi coś o tym Danaku”.

- Zajmę się tym, pani Vialli - powiedział. - Obiecuję.

W jej okularach odbiło się światło lampy.

- Napije się pan kawy? Może zje pan kawałek placka? Zupełnie zapomniałam o dobrych manierach.

Drumm podziękował za poczęstunek. Przeszedł do holu i nagle poczuł znużenie. Mamo, mamuniu. Czy to ma jakieś znaczenie? Może tak. Może nie.

- Proszę zostawić to mnie - zwrócił się do pani Vialli, która podążyła za nim do przedpokoju. - Będę w kontakcie.

Wyszedł z domu. Pani Vialli krzyknęła za nim: „Dobranoc!”. Słyszał, jak zamknęła drzwi i założyła łańcuch. Ruszył chodniczką w stronę krawężnika. Kiedy otwierał drzwi swego samochodu, wciągnął głęboko w płuca wieczorne powietrze. Miało zapach starej ryby, którą obsiadły tłuste niebieskie muchy.

McTell nie lubi cichych przedmieść. Przedkłada nad nie wielkomiejski gwar, zatłoczone ulice, knajpy i nocne lokale. Wolałby być raczej w Nowym Orleanie czy Chicago niż tutaj. A jeszcze bardziej w Tijuanie, gdzie panuje bezprawie i wszystko uchodzi na sucho.

Siedzi w swoim samochodzie, spowity głęboką ciszą, i widzi, jak gliniarz odjeżdża.

Kilka minut później McTell wysiada i rusza przez lepki mrok. Idąc, wciąga na ręce skórzane rękawiczki. Dłonie mu się spociły.

Przystaje. Rozgląda się. Na chodniku pusto. Rusza dalej. Będzie miał pracowity wieczór, wykonując polecenie Danska. Tak jest, Anthony. Tak jest, panie ze znamieniem.

Nie tylko twoja twarz jest oszpecona, Dansk. Również dusza.

Podnosi rękę i ociera pot z brwi. Maca kieszeń. Ma wszystko, co mu potrzebne. Idzie chodniczkiem i naciska dzwonek. Zapala się światło przed domem.

- Kto tam?

McTell chrząka i mówi:

- Ponownie Drumm.

- Zapomniał pan czegoś, panie poruczniku?

- Tak. - Zakasłał dwa razy.

Słyszy brzęk zdejmowanego łańcucha. Drzwi się uchylają. Kobieta ma na sobie obszerny, niebieski szlafrok, a na twarzy grubą warstwę kremu. Wygląda jak przezorny szop.

Mruga powiekami i cofa się, otwiera usta, nie wierząc własnym oczom. McTell łapie kobietę za twarz i okręca ją. Kobieta kopie. Mężczyzna powala ją na ziemię i klęka obok, wciąż przyciskając dłoń w rękawicze do jej ust. Sapie, kobieta wierzga swymi grubymi, krótkimi nogami, wymachuje rękami. Biały, tłusty krem rozmazuje się na rękawicze McTella. Jedną dłonią trzyma ją za twarz, z kieszeni wyciąga plastikową torbę, którą nasuwa kobiecie na głowę. Masz, pooddychaj sobie tym, paniusiu, myśli. Kobieta się szamocze, jej małe palce przemieniają się w bezużyteczne, tępe szpony, wciąż wierzga nogami, walcząc o haust powietrza.

Po kilku minutach jest martwa, jej ciało przybiera pozycję zbliżoną do płodowej. Wciągnęła plastikową torebkę głęboko do ust, oczy ma otwarte. Wygląda, jakby patrzyła przez mokrą od deszczu szybę na jakiś okropny wypadek na ulicy.

McTell ociera pot z twarzy i wstaje. Brakuje mu tchu. Rzuca okiem na schody i rozważa swój następny krok. Z niejakim trudem wciąga kobietę na górę. Jej bezwładna głowa uderza głucho o stopnie.

Zatrzymuje się w połowie, by odsapnąć, potem rusza dalej. W łazience kładzie kobietę na wyłożonej kafelkami podłodze. Odkręca zimną wodę, spryskuje sobie twarz, a potem sprawdza szynę do zasłony od prysznica. Chwyta ją i pociąga z całej siły. Ani drgnie. Została solidnie przykręcona do ściany przez kogoś, kto się zna na swojej robocie. Niespotykane w dzisiejszych czasach.

Sadza kobietę i opiera ją o przepierzenie. Ściąga jej plastikową torbę, głowa opada kobiecie na piersi. Wyjmuje z kieszeni kawałek linki i robi pętlę, którą zakłada jej na szyję. Drugi koniec linki przesuwa przez szynę do zasłony.

Zaczyna ciągnąć.

Pani Vialli unosi się nad podłogę centymetr po centymetrze. Cholerna robota. Szyna drży, ale tkwi mocno w ścianie.

Ciągnie, póki kobieta nie jest jakieś pół metra nad podłogą, wtedy robi węzeł i patrzy, jak bezwładne ciało obraca się wolniutko. Ociera się o brzeg zasłony, która cicho szeleści. Wielkie bambosze są mokre od spływającego po nogach moczu. McTell widział to już nie raz w swym życiu.

Idzie do sypialni po krzesło, niesie je do łazienki i stawia pod nogami pani Vialli. Urywa kawałek papieru toaletowego, wchodzi na krzesło i wyciera lepki krem z jej twarzy.

Zeskakuje, wrzuca papier do sedesu, spuszcza wodę, upewnia się, czy papier zleciał, potem przewraca krzesło.

Powtarza w myślach kolejność zdarzeń.

Raz, staje na krześle, dwa, wiesz się, trzy, przewraca krzesło w agonii.

O niczym nie zapomniał?

Rozgląda się po łazience i schodzi na dół. Zakłada z powrotem łańcuch na drzwi, gasi światło w korytarzu, potem przyświecając sobie latarką, rusza do kuchni, gdzie jest tylne wyjście. Otwiera drzwi, wychodzi, zamyka je za sobą, słyszy za plecami, jak zamek się zatrzaskuje. Nigdzie ani śladu włamania. Niczego podejrzanego.

Jedynie kobieta w głębokiej depresji, która się powiesiła we własnej łazience.

Amanda źle spała - znów jej się śnił kotłujący się w czarnej wodzie Galindez. O siódmej rano pośpiesznie wypiła kawę w swoim pokoju hotelowym, a następnie się wymeldowała. W agencji Avis na dole wynajęła samochód. Przejechała obok jeszcze zamkniętych pasaży handlowych i supermarketów. W pierwszych promieniach słońca świat sprawiał wrażenie nieskalanego.

Skręciła na parking, jakiś czas przechadzała się przed centrum handlowym Walgreena, spoglądając na ulicę. Jedynym przejeżdżającym pojazdem była poobijana, stara furgonetka z napisem POKÓJ i hippisowskim deseniem kwiatowym na karoserii, z której łuszczył się lakier. Wyprawa w beztroską przeszłość.

Znów ruszyła. Kiedy dotarła do motelu Hideaway Knolls, zaparkowała wóz i siedziała jakiś czas, patrząc na podniszczony piętrowy budynek z bloczków żużlowych. Zgodnie z informacją uzyskaną z hotelowego systemu komputerowego Dansk dzwonił do tego motelu trzy razy. Drugi numer, pod który telefonował, należał do agencji towarzyskiej Romantyczne Związki. Recepcjonistka o słodziutkim głosiku powiedziała Amandzie: „Kochaniutka, możemy ci pomóc w taki sposób, o jakim Czerwonemu Krzyżowi nigdy nawet się nie śniło”.

Amanda zapaliła papierosa. Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał siódmą czterdzieści. Dansk dzwonił do Hideaway Knolls trzy razy. Kogo tutaj znał? Wysiadła z samochodu. Posiedzi w barku kawowym i zaczeka, aż będzie mogła pojechać do Rheesa. Włożyła okulary przeciwsłoneczne, weszła do środka i zajęła stolik w najdalszym kącie, z widokiem na drzwi. Rzuciła pobieżnie okiem na menu, zamówiła kawę i rozejrzała się po sali. To mogła być strata czasu.

Kawiarnia była zatłoczona. Niektórzy z gości mieli oszołomione, nieobecne spojrzenie, charakterystyczne dla osób, które z całym dobytkiem w przyczepie meblowej przemierzają kontynent, zastanawiając się, jak będzie wyglądało ich życie tam, dokąd zmierzają.

Nowe życie. Właśnie to, co proponuje Program.

Wyjrzała przez okno na zalany słońcem chodnik. Dostrzegła swoje odbicie w leżącym na stole nożu i przypomniała sobie Danska i obrzydzenie, jakie wywołał dotyk jego palców na gołej skórze jej piersi.

Kelnerka przyniosła kawę.

A tak w ogóle, co spodziewała się tu znaleźć?

Dansk tu dzwonił, ale trudno chodzić od stolika do stolika i pytać ludzi, czy nie znają przypadkiem niejakiego Anthony'ego Danska, ani wędrować od pokoju do pokoju, stukając do drzwi. Podeszła do automatu telefonicznego i zadzwoniła do szpitala. Pielęgniarka poinformowała, że Rhees jest przytomny i czuje się dobrze. Spokojnie przespał noc i zjadł obfite śniadanie.

Wróciła do swojego stolika i dopiła kawę. Spojrzała na zegarek. Ósma. Zastanowiła się, co Rheesowi by się przydało, gdyby mogła mu coś przynieść do szpitala. Może coś do czytania?

Z pewnością czysta bielizna. Ubranie na wypadek, gdyby zdecydowali się oddać go pod jej opiekę...

Drzwi kawiarni się otworzyły.

Amanda, przestraszona, uniosła menu blisko do twarzy. Tylko bez paniki.

Mężczyzna, który wszedł do środka, usiadł na stołku przy barze i ziewnął. Rozejrzał się niedbale po sali, ale nie zauważył Amandy. Nie miał gorsetu ortopedycznego, ale z całą pewnością był to facet ze szpitalnej poczekalni. To do niego telefonował Dansk.

Przebiegło jej przez myśl, że mógł być również jednym z tych dwóch typków, którzy napadli na Rheesa. Przypominał sportowca, który zaniedbał formę: muskularny, ale rozlazły. Obserwowała go, jak dmuchał na swoją kawę. Patrzyła na jego jasne, siwiejące włosy i baki oraz zmięty ciemnoniebieski garnitur. Odwrócił się, by ponownie obrzucić wzrokiem salę, a ona zasłoniła dłonią twarz, chociaż miała ciemne okulary, a menu trzymała w górze.

Nie mogła w nieskończoność bawić się w chowanego.

Siedział zgarbiony na stołku, gapiąc się w kawę. Ziewnął, przeciągnął się, złożył dłonie i przycisnął palce jednej ręki do drugiej, jakby wykonywał rodzaj ćwiczeń gimnastycznych. Wyciągnął serwetkę z pojemnika i od niechcienia zaczął nią obracać w palcach.

Na chwilę zniknęła w jego dłoniach, a kiedy je rozłożył, serwetka tworzyła biały kwiat róży.

Pchnął ją przez kontuar w kierunku kasjerki, nastoletniej dziewczyny, która się uśmiechnęła i powiedziała:

- Ej, niezła sztuczka.

Było coś niezwykłego w tych dłoniach. Potrafiły grać na wiolonczeli, potasować talię kart, wyciągać chustki lub króliki z cylindra, otwierać zamki wytrychem.

Chwileczkę, pomyślała Amanda. Cofnijmy się do tego momentu, kiedy pochylił się nad nią w szpitalu, proponując, by wykorzystała puszkę po coli w charakterze popielniczki. Ujrzała w myślach scenę, jakby sfilmowaną przez gazetę, kontury były nieostre, obraz zamazany.

Takie ręce potrafią nie tylko otworzyć zamek wytrychem. Mogą się zręcznie wsunąć do cudzej kieszeni, mogą w ułamku sekundy wyciągnąć dwie kartki papieru z kieszeni spodni roztrzęsionej kobiety. Dwie kartki papieru, które zniknęły niczym kamfora.

To było prawdopodobne, wielce prawdopodobne.

Ukradł list. Wsunął rękę do tylnej kieszeni jej spodni i zabrał ten cholerny list. Nie chciała o tym myśleć.

Rzuciła na stół parę banknotów dolarowych i pośpiesznie wyszła. Ciemne okulary zsunęły jej się z nosa i upadły na chodnik. Przystanąła, by je podnieść. Jedno szkło się stłukło. Ruszyła w kierunku samochodu. Świat oglądany przez pęknięte okulary. Przydymione słońce miało fakturę pajęczyny.

Dotarła do samochodu i usiadła za kierownicą. Dobrze, czyli ostatecznie nie zgubiłaś listu. I cały czas, kiedy przebywałaś w towarzystwie Danska, wiedział, że przeczytałaś list, że otrzymałaś wiadomość pośpiesznie nabazgraną przez Isabel Sanchez, zapoznałaś się z jej treścią demaskującą funkcjonowanie Programu.

Cofając wóz, potrąciła zielony, plastikowy pojemnik na śmieci, aż się zakołysał, a potem włączyła się do ruchu. Unikała zakorkowanych autostrad. Dotarcie do domu podmiejskimi, bocznymi uliczkami zajęło jej dwadzieścia minut. Zaparkowała i weszła do środka. Unikała widoku rozgardiaszu. Udała się prosto do sypialni, znalazła świeżo upraną koszulę, parę dżinsów, czyste skarpetki i bieliznę, zebrała je pośpiesznie i skierowała się do wyjścia.

Zadzwoił telefon. Korciło ją, by pozwolić włączyć się automatycznej sekretarce, ale ostatecznie podniosła słuchawkę, zanim rozległ się komunikat nagrany na taśmie.

Dzwonił Willie Drumm.

- Kiedy na drugi raz postanowisz przenocować w hotelu, zostaw mi jego nazwę - powiedział. - Dzięki temu będę się mógł z tobą kontaktować.

- Nie myślałam logicznie, Willie.
- Obojętne. Oto relacja o tym, czego dokonałam.
- Zamieniam się w słuch.
- Po pierwsze, pani Vialli. Nie miała wiadomości od Benny'ego, odkąd został objęty opieką Programu, nie licząc kwiatów na urodziny i kartki z życzeniami, która jej się nie podoba.

- W jakim sensie? - Przyciskała ubranie Rheesa do piersi, jakby to był on sam.

Drumm jej wyjaśnił. Słuchała uważnie, wyławiając słowa przez niespodziewane trzaski na linii. Wyobraziła sobie panią Vialli raz po raz odczytującą lapidarną wiadomość, która wydała jej się podejrzana, odtwarzającą nagranie na automatycznej sekretarce i myślącą o bukietach kwiatów, które już dawno zwiędły. Przypomniała sobie Bernadette obejmującą syna przed gmachem sądu po tym, jak złożył zeznania, i jak płakała, wiedząc, że Benny wyjedzie.

Amanda zastanowiła się chwilę.

- Co z tego wynika, Willie?
- Może tylko tyle, że Benny jest mniej kochającym i uważającym synem, niż chciałaby wierzyć pani Vialli. Doczytała się w kartce czegoś, czego tam nie ma. Nie wiem.

Amanda odniosła wrażenie, że Drumm powiedział to bez przekonania.

- Kiedy wyjaśniłam Benny'emu, co pociągnie za sobą zgoda na objęcie Programem, jedyne, co go martwiło, to to, że będzie musiał zostawić matkę, nic poza tym. Rzeczywiście byli ze sobą bardzo zżyci.

- Nie podoba mi się ton twojego głosu, Amando. Powiedz, co ci nie daje spokoju.

- Wiemy, że funkcjonowanie Programu pozostawia wiele do życzenia. Więc... może istnieje jakiś związek między zniknięciem Benny'ego a sprawą Sancheza i Galindeza. Coś, o czym nie pomyśleliśmy.

- Nie widzę, jaki mógłby istnieć związek - powiedział Drumm. - Dwa różne procesy, przeprowadzone w odstępie pół roku, niemające ze sobą nic wspólnego.

- Poza osobą prokuratora - zauważyła.
- A więc komuś mogłoby chodzić o ciebie?

Na przykład Danskowi?

- Jeszcze kilka dni temu nawet nie wiedziałam o jego istnieniu, Willie. Skłaniam się do odrzucenia teorii, że to sprawa osobista.

- W takim razie co?

Nie знаła odpowiedzi. Jej umysł pracował gorączkowo, ale nadaremnie.

- Nie wiem, co się za tym kryje, Willie. Drumm milczał przez chwilę.

- *À propos* Danska - powiedział. - Pozwól, że na moment zmienię temat. Bascombe oświadczył, że to delikatna sprawa. Wysoce poufna. Odparłem, że guzik mnie obchodzi, jak bardzo to delikatne ani dla kogo pracuje, nie ma prawa utrudniać śledztwa w sprawie zabójstwa. Wspomniałem, że pojawiło się nazwisko Danska.

- A on co na to?
- Nigdy o nim nie słyszał. Więc trochę go przycisnąłem. Obiecał, że sprawdzi i zadzwoni do mnie dziś rano.

Amanda upuściła koszulę Johna na podłogę. Pochyliła się, by ją podnieść, przytrzymując słuchawkę ramieniem.

- To wszystko, co może zrobić?

- Tak twierdzi. Mam dziwne przeczucie, że nic mi nie powie, nawet jeśli się czegoś dowie. Rozumiesz, co mam na myśli? Strzeże swego terenu jak doberman- zabójca. Woli odgryźć twarz intruzowi, niż mu cokolwiek powiedzieć. Myślę, że pora, bym osobiście porozmawiał z Danskiem.

- Znajdziesz go w hotelu Carlton.
- Zamierzam również zadzwonić do Ministerstwa Sprawiedliwości i sprawdzić, czy zatrudniają jakiegoś Danska.

Coś, co sama zamierzała zrobić.

- Zadzwoń do mnie do szpitala najszybciej, jak tylko będziesz mógł.

- Robrze. Pozdrów ode mnie Johna.

Odłożyła słuchawkę, wyszła z domu i wsiadła do samochodu. Jakaś myśl nie dawała jej spokoju, niczym ciemny woal, trzepoczący na wietrze.

„Pozdrów ode mnie Johna”.

Uświadomiła sobie, że jeśli Dansk wie, że przeczytała list Isabel, automatycznie przyjmie, że Rhees też go czytał. Nie brała tego wcześniej pod uwagę, przypisywała to przeoczenie dziwnym meandrom zdarzeń, w których centrum się znalazła, ale teraz zaczęła się denerwować tym, że Rheesowi też może coś grozić. W chorym umyśle Danska John, znając treść listu, stawał się równie niebezpieczny jak ona.

Poczuła, jak ogarnia ją panika. Przekręciła kluczyk w stacyjce i z rykiem silnika wyjechała z uliczki.

Dansk gapił się przez przednią szybę samochodu na potężny, różowo-błękitny gmach szpitala, nieco przypominający wielki tort urodzinowy. Odwrócił się, by spojrzeć na siedzącego obok McTella.

- Potrzebna mi broń, Eddie.
- Na przykład?
- Coś z twojego prywatnego arsenału.
- Broń - powtórzył McTell i uśmiechnął się, wyraźnie zbity z tropu. Nagle, ni stąd, ni zowąd, Dansk chce mieć broń.
- Co możesz mi zaproponować?
- Mam ślicznego Hecklera & Kocha P7M8 - powiedział McTell.
- I Rugera P89. Jesteś pewny, że tego chcesz, Anthony?
- Całkowicie.
- Bo zazwyczaj, kiedy chodzi o mokrą robotę, to ja i Pasquale...
- Ruger - powiedział Dansk. Wyobraził sobie pistolet w swojej dłoni, jego ciężar, zagrożenie, jakie stanowił. Przycisnął grzbiet nosa. Dusił się tym miejskim powietrzem. Bolała go głowa, prawdopodobnie cierpiał na pustynną gorączkę czy z powodu jakichś innych paskudztw, które nadlatywały z rozgrzanych kanionów, zatykały człowiekowi nos i zagnieżdżały się w płucach niczym grzyby.

- Ruger to cacko - powiedział McTell. - Prostopadłościenna muszka, regulowana szczerbinka z kwadratowym wycięciem. Produkowany jest z oksydowanej stali, ale zawsze miałem słabość do wersji ze stali nierdzewnej.

Dansk obserwował odwiedzających, wysiadających z samochodów i śpieszących z kwiatami i słodyczami ku wejściu. Istnieje szczególnie typ ludzi, rozkwitających przy łóżku chorego. Przysuwają krzesło i zaczynają snuć opowieści. Tutaj zrobiono im bypass, poczwórny, a tam usunięto wyrostek robaczkowy.

Wypatrywał Amandy, ale na próżno. Może weszła do budynku innymi drzwiami, bocznym wejściem albo od zaplecza, dumna, że jest taka sprytna.

„Nie podoba mi się ton twego głosu, Amando. Powiedz, co ci nie daje spokoju.

Wiemy, że funkcjonowanie Programu pozostawia wiele do życzenia. Więc... może istnieje jakiś związek między zniknięciem Benny'ego a sprawą Sancheza i Galindeza. Coś, o czym nie pomyśleliśmy”.

Dansk przypomniał sobie taśmę, którą dostarczono mu do hotelu kwadrans po dziewiątej, akurat kiedy kończył serię pompek. Brązowa koperta, bez żadnej kartki w środku. Nie była potrzebna. W taki sposób Loeb miał zwyczaj dawać mu do zrozumienia, że sprawy zaszły za daleko. Wypchaj się, Loeb, załatwię to po swojemu. Kto by się przejmował zrzędzeniem faceta stojącego nad grobem? Przypomniał sobie kropelki potu, które spadły na kopertę. Natychmiast zadzwonił do Pasquale. Jego palce zostawiły na słuchawce rozmazane ślady.

- Masz go pod ręką? - spytał McTella.
- W bagażniku samochodu.
- Przynies mi go.

Dansk obserwował, jak McTell idzie do swego wozu, otwiera bagażnik i wyciąga brązową papierową torbę. McTell wrócił do auta i dał torbę Danskowi, który położył ją sobie na kolanach, zajrzał do środka i zobaczył rugera.

- Opowiedz mi o pani Vialli - polecił.

- A co tu jest do gadania? Wszystko przebiegło zgodnie z planem.

- Patrzyłeś jej w oczy, Eddie - powiedział Dansk.

- Staram się nie myśleć o takich rzeczach.

- Co ujrzałeś?

- Znaczący się w jej oczach? - To cały Dansk. Nigdy nie chce znać szczegółów. Nagle go interesują. - Wyglądała na zaskoczoną. Zsikala się. Miała na sobie takie futrzane kapcie. Wielkie, włochate, z uszami jak u królika.

Dansk wyobraził sobie włochate, mokre bambosze, strumień mocz.

-Eddie, oto co masz zrobić. Sprawdź salę, w której leży Rhees.

- A potem co?

- Zajrzyj do środka i to wszystko.

- Tylko tyle? - McTell otworzył drzwiczki. - A jeśli ona będzie z nim? Mam zajrzeć i się wycofać?

- Tak - powiedział Dansk. - Kup kwiaty, będziesz z nimi wyglądał naturalnie. Wejź do środka. Postaraj się, żeby to wyglądało tak, jakbyś pomylił salę.

- Rhees mnie rozpozna.

- Zmartwienia zostaw mnie.

McTell wzruszył ramionami, wysiadł z samochodu i ruszył przez parking.

Dansk przyjrzał się sobie w lusterku wstecznym i zauważył, że mały, brązowy okruszek grzanki utkwiał mu między zębami. Wydłubał go palcem, który następnie wytarł w chusteczkę jednorazową, ich pudełko trzymał w samochodzie. Amanda Scholes ma ładne zęby, przypomniał sobie. Mocne, białe, a dziąsła zdrowe.

Ładne zęby. Ale wszystko ulega zepsuciu.

Gmach szpitala połyskiwał przed nim. Tyle rozmaitych chorób, zamkniętych w potężnym, niebiesko-różowym torcie. Beznadziejne przypadki podłączone do aparatury, kościste staruchy zgarbione za parawanami.

Pod wpływem nagłego impulsu wziął telefon i wykręcił numer w New Jersey. Usłyszał głos matki, słaby i niewyraźny. Jakby nie z tego świata.

- Anthony? To naprawdę ty?
- Tak. Co u ciebie?
- Dawno nie dzwoniłeś.
- Byłem zajęty, mamó.
- Pan Chomsky pytał o ciebie - powiedziała. Głos jej drżał, chwilami zanikał. - Skąd dzwonisz, Anthony?
- Z Las Cruces w Nowym Meksyku.
- Będziesz w naszych stronach?
- Niedługo, mamó.
- Tęsknię za tobą.
- Słuchaj, poznałem dziewczynę.
- Tak?
- Jest bardzo miła, spodoba ci się. Może przyjadę z nią. Przedstawię ci ją.
- Jak ma na imię?
- Nie słyszę, mamó.
- Pytałam, jak jej na imię.
- Amanda - powiedział.
- Ładne imię - odparła.
- I miła dziewczyna. Pracuje w tej samej firmie co ja.
- Zapalę świeczkę w twojej intencji - powiedziała.
- Zrób to, mamó. Muszę już kończyć. Wkrótce znów zadzwonię.
- Kocham cię, Anthony.

Dansk odłożył telefon na miejscu dla pasażerów. Ta rozmowa będzie dla niej wydarzeniem dnia, doda blasku jej życiu. Czasem

człowiek robi, co może, by sprawić ludziom trochę radości. Widział ją, jak schodzi pośpiesznie wąskimi, ciemnymi schodami do warsztatu konserwatora skrzypiec, gdzie otoczona przez stare smyczki i górę koleczków oraz pozwijanych strun oznajmi panu Chomsky'emu, że właśnie miała telefon od syna. Poznał dziewczynę imieniem Amanda. Zrobi z tego od razu wielką rzecz, ślub kościelny i zgrzybiały ksiądz McGlone odprawiający nabożeństwo, a stary Chomsky przechyli głowę tak, jak to robią niewidomi, uśmiechnie się swymi bezzębymi dziąsłami i powie: „Cuda się zdarzają, kiedy człowiek najmniej się ich spodziewa. Nigdy nie wolno tracić wiary”.

Dansk oparł się o kierownicę. Człowiek mówi kłamstwo czy dwa i sprawia nimi radość. Cóż w tym złego?

Amanda. To było pierwsze imię, które mu przyszło do głowy. Zastanowił się nad tym i doszedł do wniosku, że to dlatego, iż zajmuje tyle miejsca w jego myślach, przesłoniła wszystko inne. To dziwne, ale czuł się z nią bliżej związany niż z jakąkolwiek kobietą w całym swym dotychczasowym życiu. Spojrzał na grzbiet dłoni, na czerwony ślad pozostawiony przez nóż, z którym się na niego rzuciła. Wzruszające.

„A więc komuś mogłoby chodzić o ciebie? Na przykład Danskowi?”

Jeszcze kilka dni temu nawet nie wiedziałam o jego istnieniu, Willie. Skłaniam się do odrzucenia teorii, że to sprawa osobista”.

Sprawa osobista. Na początku wcale tak nie było, ale potem wszystko się zmieniło.

Dansk rozchylił papierową torbę, wsunął do niej rękę i ujął ruge-
ra. Wspaniale leżał w dłoni. Zdawał się wydawać cichy szum, jak urządzenie wetknięte do gniazdka elektrycznego. Wyjął pistolet i kilka razy przełożył go z ręki do ręki. Śmiercionośne narzędzie. Urządzenie zdmuchujące płomień ludzkiego życia. Wyobraził sobie, jak mówi: Otwórz usta, rozchyl je na tyle, Amando, bym mógł ci wsunąć lufę. Pozwól, że zakończę wszystkie twoje udreki. Pistolet to gra wstępna. Reszta to ciemność.

Zamknął torbę. Była w pobliżu, wiedział o tym, czuł to. Dostroił się do jej częstotliwości. Wyraźnie ją widział na ekranie swego radaru.

Klin bólu przesunął się ku skroniom. Kiedy spojrzął na szpital, wydawało mu się, że gmach się rozplywa jak lody rozpuszczające się w upale.

Gołąb sfrunął z dachu i poleciał ku słońcu. Dansk obserwował, jak ptak wzbija się w powietrze. Zacisnął dłoń na rugerze i wyobraził sobie, że do niego strzela. Znalazł się w niebezpiecznym punkcie, gdzie krzyżowały się przeszłość i teraźniejszość, przez moment wydawało mu się, że krąży gdzieś w górze, spogląda w dół i widzi rudowłosego mężczyznę, siedzącego w samochodzie z pistoletem na kolanach, i piegowatego chłystka na tylnym siedzeniu, ściskającego wiatrówkę. Na twarzach obu malowały się mordercze zamiary.

Zaparkowała na tyłach szpitala na jednym z miejsc zarezerwowanych dla lekarzy i nadal mając na nosie pęknięte okulary przeciwsłoneczne, przeszła pośpiesznie między ambulansami. Weszła do budynku przez podwójne drzwi opatrzone napisem DLA DOSTAWCÓW, spodziewając się, że zatrzyma ją któryś ze szpitalnych strażników. Nie natknęła się na nikogo.

Znalazła się w szerokim korytarzu prowadzącym do pralni. Minęła przeszklone drzwi, za którymi dostrzegła przemysłowe maszyny pralnicze, olbrzymie suszarki, ludzi w białych fartuchach prasujących i składających prześcieradła. Zdjęła okulary, kiedy wsiadła do windy towarowej. Nacisnęła guzik drugiego piętra i wyszła na labirynt korytarzy, ciągnących się w nieskończoność. Skręciła w lewo. Dwaj strażnicy w czekoladowobrązowych mundurach rozmawiali ze sobą. Spojrzeli na nią, oceniając ją fachowym okiem, po czym się odwrócili. Zdała egzamin. Kobieta w ciemnym kostiumie, niezasługująca na specjalną uwagę.

Drzwi do sali numer 360 były otwarte.

Siedział podparty poduszkami. Twarz miał bladą i podpuchniętą, ręka w gipsie spoczywała na wyciągu. Oczy miał matowe. Przysunęła krzesło do łóżka i Rhees zdobył się na uśmiech.

- Jak się czujemy? - spytała.

- Mam we krwi olbrzymie ilości percodanu - powiedział. - Czuję się, jak pasażer wolno jadącego pociągu, przemierzającego Kansas.

Ujęła w dłonie jego zdrową rękę. Ona, Rhees i nic poza tym. Gdyby tylko można było odzyskać ten ich mały światek. Patrzyła, jak położył głowę z powrotem na poduszkę. Chciała go chronić, zapewnić mu bezpieczeństwo. Żałowała, że nie ma czarodziejskiej mocy cofania czasu.

Odchrząknął i powiedział:

- Kaszel to istne katusze.

Istne katusze, pomyślała. Wyrzała przez okno i zobaczyła wymęczony ranek zbierający siły do ataku, zapowiadał się czterdziestostopniowy upał i zmiana pogody, rtęć będzie rozsadzała termometry.

- John, nie wydaje mi się, żeby to byli włamywacze. Nasłał ich Dansk.

Przyglądał jej się jakiś czas.

- Chce ci w ten sposób coś dać do zrozumienia, czy tak?

Rozejrzała się po pokoju, zobaczyła ściany koloru miąższu mango, w kącie wózek inwalidzki.

- Przepraszam za to wszystko.

- Dlaczego? Sądzę, że to silniejsze od ciebie. Jesteś zaprogramowana, by podążać w określonym kierunku, Amando. Tak się tylko złożyło, że tym razem zaprowadziło cię to w takie, a nie inne miejsce.

- Mogłam wyłączyć program - powiedziała. - Przerwać obwód logiczny. Zrobić cokolwiek.

- Mogłaś, ale tego nie zrobiłaś, a ja nie zrobiłem wystarczająco dużo, by cię powstrzymać.

- Patrzę na ciebie i czuję się podle - wyznała. Zamknął oczy i odwrócił lekko głowę.

- Dansk zabrał mi list od Isabel - oznajmiła.

- Jak to się stało?

- Byłam nieostrożna. Ważne, że go zdobył, przeczytał i wydaje

mi się, iż wie o tym, że ty też znasz jego treść. Nie mam pojęcia, do jakich wniosków doszłam jego zdaniem.

- A doszłaś do jakichś?
- Chciałabym móc powiedzieć, że tak. Wciągnęłam do pomocy

Williego.

- W końcu go w to wtajemniczyłaś? To już pewien postęp.
- Mogłam się na to zdecydować wcześniej - przyznała.

Rhees zgiął palce zdrowej ręki.

- Na ile jesteśmy tu bezpieczni?

Spojrzała przez drzwi na korytarz. Ludzie przechodzili, niosąc kwiaty, torby owoców, książki, czasopisma. Ludzie odwiedzający chorych. Myślała o nich i o tym, czy wśród nich nie ma przynajmniej jednej osoby o jakichś ukrytych zamiarach. Podeszła do okna i spojrziała na parking. Dachy samochodów przypominały przydymione lustra. Poczwała narastające napięcie.

Zdawała sobie sprawę z tego, że Rhees ją obserwuje.

- No więc?
- Nie uważam, że jesteśmy tu bezpieczni, John.
- Gdzie jest teraz Drumm?
- Powiedział, że zadzwoni do mnie. - Spojrzała na zegarek.

Dziesiąta trzydzieści. Nie miała pojęcia, kiedy Willie się z nią skontaktuje. Wspomniał, że uda się na spotkanie z Danskiem, ten pomysł wydał jej się nagle groźny.

- Wiesz, o czym marzę? O ochronie. O policjancie siedzącym pod drzwiami. O kimś z bronią pod ręką.

W progu pojawił się mężczyzna. Miał na sobie koszulkę polo, do piersi przyciskał kwiaty w celofanie. Nosił przydymione okulary, brodę miał schludnie przyciętą.

Amanda natychmiast zerwała się z krzesła.

- Czy to pokój trzysta sześć? - spytał mężczyzna.

Amanda gapiała się na kwiaty. Jasne płatki, zielone łodygi śliskie od wody. Sprawiały wrażenie sztucznych, zrobionych z plastiku. Wszystko mogło się kryć w tych kwiatkach. Celofan zaszeleścił,

ocierając się o koszulę nieznajomego, i Amanda pomyślała o ładunkach wybuchowych rozrywających się gdzieś daleko stąd, o tym, co się słyszy w tle podczas reportaży z Bośni, Sarajewa czy jakiegokolwiek innego zakątka świata, gdzie się toczy wojna.

- Trzysta sześćdziesiąt - powiedziała Amanda. Oto do czego doszło: w kwiatkach widzi ukrytą broń, a w każdym szmerze słyszy wybuch bomby.

- Chyba się pomyliłem - powiedział mężczyzna i wycofał się na korytarz.

Rhees gapił się na drzwi.

- Ostatni raz, kiedy widziałem tego gościa, sprzedawał prenumeratę czasopism na progu naszego domu. Skusiłem się na „Sports Illustrated”.

- To ten sam facet? Jesteś pewien?

- Stuprocentowo. Gawędziliśmy kilka minut. Padał deszcz i było mi go żal. To nie przypadek, że się tu pojawił, prawda?

- Dansk chce, żebyśmy zdawali sobie sprawę z zagrożenia - powiedziała.

- Przypuszczam, że to jest odpowiedź na moje pytanie dotyczące bezpieczeństwa. Zadzwoń do Drama, Amando. Natychmiast. Każ mu tu przyjechać.

Podniosła słuchawkę aparatu stojącego na stoliku obok łóżka. Wybrała numer Drumma. Odebrała kobieta i przedstawiła się jako sierżant Betty Friedman.

- Poproszę z Williem - powiedziała Amanda.

- Nie ma go w biurze - poinformowała pani sierżant.

- Kiedy przyjdzie, proszę mu powiedzieć, by natychmiast do mnie zadzwonił do szpitala Valley of the Sun. Nazywam się Amanda Scholes.

- Amanda Scholes?

- Tak, Scholes. Mam przeliterować?

- Nie, pani nazwisko jest mi znane - powiedziała Betty Friedman. - Ale to zabawne, bo widziałam Williego jakieś dwadzieścia minut temu, bardzo się dokądś spieszył. Kiedy go spytałam, dokąd tak pędzi, powiedział, że otrzymał wiadomość od pani, by jak najszybciej się z panią spotkać.

- Wiadomość ode mnie, żeby się ze mną spotkać?

- Tak powiedział.

- Nic mi nie wiadomo o żadnym spotkaniu. Czy powiedział, gdzie się miało odbyć? - Poczowała niemiłe łaskotanie w gardle.

- Nie, wypadł przez drzwi i tyle go widziałam. Być może naknął się na jakieś niespodziewane przeszkody, jeśli jeszcze go nie ma.

- Czy wie pani, od kogo dostał tę wiadomość?

- Nie powiedział. Zobaczę, może uda mi się to ustalić. Zaczeka pani przy telefonie?

- Oczywiście - powiedziała Amanda. Wiadomość, pomyślała. Wiadomość, której nigdy nie zostawiła. Gapiła się na otwarte drzwi. Ludzie nadal sunęli korytarzem w obie strony, niczym uczestnicy procesji czy konduktu pogrzebowego, byli apatyczni.

W słuchawce znowu się rozległ głos sierżant Friedman.

- Nikt nie wie, kto odebrał wiadomość, panno Scholes. Mógł to być oficer dyżurny, który zakończył służbę.

- Czy może się pani skontaktować z Williem?

- Jeśli nie jest w samochodzie, mogę mieć trudności. Nosi telefon komórkowy, ale często go wyłącza. Mówi, że człowiek musi mieć trochę spokoju, czas na zebranie myśli.

- Jestem teraz pod numerem dziewięćset czterdzieści dziewięć siedemdziesiąt siedemdziesiąt, wewnętrzny trzydzieści osiem dziewięćdziesiąt osiem - powiedziała Amanda. - Muszę z nim porozmawiać, to pilne.

- Oddzwonię do pani. Amanda odłożyła słuchawkę.

- Jakies kłopoty? - spytał Rhees.

- Ktoś zostawił Drummowi wiadomość, żeby się ze mną spotkał.

- Nie musimy zgadywać trzy razy, któż to taki, prawda? - powiedział Rhees. - Dansk potrafi przewidywać twój każdy krok. Wie, że zadzwonisz do Drumma po pomoc, więc pod jakimś pretekstem wyciąga go z biura.

Wyobraziła sobie Danska, wkradającego się do jej mózgu, przewidującego jej ruchy. Zostawił wiadomość, by zwabić Williego w pułapkę. Zaniepokoiło ją to. Zwabić Williego w pułapkę. Zanim mogła się nad tym głębiej zastanowić, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i usłyszała głos Betty Friedman.

- Przykro mi, ale nie mogę złapać Williego - powiedziała.

- Proszę próbować, to ważne.

Amanda się rozłączyła. To na nic. Czekać tu jak na szpilkach, czekać na Drumma. Nie może tu tkwić bezczynnie, aż jakaś władcza przełożona pielęgniarek oświadczy, że czas wizyt się skończył, i wyrzuci ją. Nie może stąd odejść i zostawić Johna zdanego na siebie. Już raz go zostawiła i nie zamierzała zrobić tego ponownie. Nigdy.

- Do kogo jeszcze możesz zadzwonić? - spytał.

- Może do szefa Drumma? Jak on się nazywa?

- Kelloway to kawał drania, który mnie nie lubi.

- W takim razie zostaje ci Irlandczyk. Może on mógłby jakoś pomóc.

- Nie wyobrażam sobie Concannona wkraczającego do akcji, póki nie pozna wszystkich szczegółów. Co mu mam powiedzieć? Potrzebna nam twoja pomoc, ale to może być niebezpieczne?

- A więc możemy liczyć wyłącznie na siebie - stwierdził Rhees.
- Albo tu zostaniemy, albo spróbujemy się stąd wydostać.

Amanda pomyślała: to już nie szpital, tylko zupełnie inna instytucja, gdzie z każdej strony grozi niebezpieczeństwo, gdzie zabójca może ukrywać twarz pod maską chirurgiczną, a morderca chodzić w

gumowych rękawiczkach. Spróbowała rozumować logicznie. Pomyślała o parkingu na tyłach budynku, o umieszczeniu Johna w samochodzie, o zabraniu go stąd tak, by nikt niczego nie zauważył. Pomyślała o czekaniu w szpitalu na telefon od Drumma.

- John, wyciągnę cię stąd, przysięgam.

- A potem co? Powrót do domu nie wchodzi w rachubę. Jazda do domku w lesie w moim obecnym stanie byłaby zbyt wyczerpująca, a nie możemy udać się do twego ojca, ponieważ nie widzę powodu, by go w to wszystko wciągać.

Ojciec. Zupełnie o nim zapomniała. Miała do niego zadzwonić, ale teraz nie pora na to.

- W takim razie pojedziemy do miasta. Góra przyjdzie do Mahometa.

- Słyszę stukot małej stalowej kuleczki o tarczę ruletki - powiedział Rhees.

- Naprawdę słyszysz bicie mego serca - poprawiła go.

Przysunęła wózek inwalidzki do łóżka.

- Postaramy się to zrobić możliwie jak najszybciej. Najpierw koszula.

Rozchyliła szpitalny szlafrok na piersiach Rheesa i spojrzała na jego obandażowane żebra. Zarzuciła mu luźno na ramiona czystą koszulę, którą przyniosła.

- Teraz kolej na spodnie.

Rhees jęknął, sztywno przesuwając nogi na skraj łóżka.

- Jezu Chryste! - mruknął.

Pochyliła się, wsunęła dzinsy na jego bose stopy, a potem podciągnęła spodnie do połowy nóg. Spuchnięte kolano wyglądało strasznie.

- Żebyś cię mogła posadzić na wózku inwalidzkim, będziesz musiał wstać. Wiem, że zaboli. Chwyć się mnie zdrową ręką.

Wyciągnął rękę i jęknął. Jego paznokcie wbiły się w jej ramię. Uniósł się do połowy, stał niezgrabnie pochylony do przodu.

- Zaraz upadnę, Amando. Cholerne kolano.

- Nie możesz upaść. No, dalej. Wyprostował się, cały ciężar ciała przeniósł na zdrową nogę. Posadziła go w wózku inwalidzkim. Podciągnęła mu dzinsy i szybko je zapięła, na bose stopy wsunęła płócienne espadryle.

Popchnęła wózek do drzwi, gdzie przystanąła, rozglądając się za facetem z kwiatami. Nie dostrzegła go, co wcale nie oznaczało, że nie kręci się gdzieś w pobliżu, obserwując, czekając. Jej całe życie przypominało otwartą księgę, a ktoś, będący panem życia i śmierci, odczytywał jej stronicę.

Rhees pochylił się do przodu. Oddech miał płytki. Starła sobie przypomnieć drogę powrotną do windy towarowej. W głowie miała pustkę. Zaryzykowała, skręciła w prawo, potem obejrzała się. Tęga kobieta w luźnym szpitalnym szlafroku stała, opierając się na lasce, dziecko z obandażowaną głową odbijało gumową piłeczkę, staruszek wsparty o balkonik siedł wolniutko, pomagała mu starsza pani z jedną nogą w metalowej protezie. Wyglądało to, jakby właśnie wyrzucił swych pasażerów ekspres do Lourdes.

Przepchnęła wózek z Rheesem przez drzwi i znalazła się w drugim korytarzu. Przypomniała sobie kolory, które ujrzała przed sobą: jasnoblękitny i cytrynowy. Szybko, szybko. Do windy towarowej zostało jakieś dwadzieścia metrów. Stał przed nią sanitariusz. Przyjechała winda, sanitariusz przytrzymał drzwi i Amanda wtoczyła wózek do środka.

Sanitariusz spojrział na Rheesa i spytał:

- Dobrze się czuje?
- Tak - zapewniła go Amanda.

Winda zaczęła zjeżdżać w dół, skrzypiąc i trzęsąc się. Rhees miał zamknięte oczy.

- Wygląda, jakby potrzebował spokoju - zauważył sanitariusz.
- Chcę go stąd zabrać.
- Tak, pobyt w szpitalu to nic przyjemnego. - Był chudy, blady, sprawiał wrażenie faceta, który cały swój wolny czas spędza, buszując po najodleglejszych zakątkach Internetu, póki oczy nie odmówią mu posłuszeństwa.

- Zabiera go pani stąd bez pozwolenia? Czy to coś w rodzaju ucieczki z gaługu?

- W pewnym sensie - powiedziała Amanda.
- Super. Działalność wywrotowa.

Amanda podejrzewała, że sanitariusz zakradł się do apteki, może coś zażył, by łatwiej mu było dotrzeć do końca dnia.

- Czy nie zechciałby mi pan wyświadczyć przysługi? - spytała Amanda. - Zaparkowałam samochód za budynkiem. Czy mógłby pan nim podjechać bliżej? Tyłem do wyjścia, żeby nie musiała pchać tego wózka przez cały plac?

- Prosi mnie pani o pomoc w porwaniu pacjenta ze szpitala?
- Chyba tak.

- Wie pani, czasami sobie wyobrażam, że to miejsce to dryfująca w kosmosie kolonia karna - powiedział sanitariusz. - Że pacjenci to w rzeczywistości więźniowie jakiegoś państwa totalitarnego, którym się wstrzykuje leki niczym królikom doświadczalnym. A ja przybyłem tu z tajną misją, by ujawnić prawdę.

- W kosmosie - powtórzyła Amanda. Chłopie, naprawdę wiesz, skąd je brać. - Może pan sobie wyobrazić, że mój samochód to rodzaj minipromu kosmicznego.

- Tak, chyba mogę się w to zabawić. - Winda się zatrzymała, a drzwi otworzyły. - Proszę mi tylko dać kluczyki i wskazać, o który samochód chodzi.

- To tamten żółty ford, zaparkowany obok ambulansów.

Pchnęła wózek z Rheesem w stronę tablicy z napisem PRALNIA. Drzwi do pralni były otwarte, buchały przez nie kłęby pary. Wyjście było tuż-tuż.

- Proszę podjechać możliwie jak najbliżej - powiedziała.
- Tak jest.

Spojrzała w kierunku znajdującego się w odległości jakichś trzydziestu metrów forda. Rozejrzała się po parkingu, zobaczyła ekipę mężczyzn myjących ambulanse. Z czarnych węży tryskała pod ciśnieniem woda, smagała karoserie i ściekała, tworząc błyszczące,

tluste kałuże. Na miejscach dla lekarzy zaparkowane były bmw i jaguary. Ani śladu brodacza z kwiatami, a jednak w powietrzu dawało się wyczuć jakieś napięcie, jakby gdzieś w pobliżu, może w koszu na śmieci, może pod podwoziem ambulansu, umieszczono semtex, przytwierdzony do tykającego zegara owiniętego w stare gazety, albo ktoś czaił się w cieniu, ściskając broń.

Sanitariusz podszedł do forda, wsiadł i docisnąwszy gaz do dechy, cofnął wóz, jakby cumował prom.

Wpasował samochód między otwarte skrzydła drzwi. Wsiadł i ocenił odległość między karoserią a framugą - wynosiła może trzydzieści centymetrów z każdej strony.

- Tak będzie dobrze? - spytał.
- Wspaniale - odparła.
- Proszę mi pozwolić pomóc umieścić pani przyjaciela w aucie.

- Otworzył drzwi dla pasażera. Zostało w sam raz dość miejsca, by Rhees mógł się wślizgnąć do środka, ale nie poszło im łatwo, nawet z pomocą sanitariusza. Podnieśli Rheesa z wózka inwalidzkiego, ale kiedy musiał się schylić, by usiąść w fotelu dla pasażerów, aż stracił oddech.

- Zdaje się, że musimy się pozbyć wózka inwalidzkiego - powiedziała Amanda.

- Złożę go - zaferował się sanitariusz. Złożył wózek i umieścił go za przednimi siedzeniami.

- Jak się pan nazywa? - spytała Amanda.
- Moje ziemskie imię brzmi Jonas.
- Jonas, jestem panu wielce zobowiązana.
- Proszę mnie uważać za agenta wymiaru sprawiedliwości - powiedział.

Usiadła za kierownicą i zatrzasnęła drzwiczki przed wielką, jasną próżnią dnia, wysokimi palmami daktylowymi, tworzącymi niebieskozieloną smugę, gajami drzew cytrusowych migoczących pod bezlitosnym okiem słońca.

- Nie przypominam sobie tego wozu - zauważył Rhees.
- To osobna historia, John.

Siedział z głową na oparciu.

- Będzie jeszcze gorzej - powiedział.

Nie była pewna, czy miał na myśli upał, ból, który mu dokuczał, czy też coś zupełnie innego.

Willie Drumm czekał przed centrum handlowym. Pił kawę z papierowego kubeczka i co chwila spoglądał na zegarek. Z natury był ciepły, ale ostatnio czuł się, jakby go poddawano próbie. Wiadomość na jego biurku brzmiała: „Amanda Scholes prosi o spotkanie, Metrocenter, godzina 11”. Odebrał ją młody policjant nazwiskiem Lazarus, którego Drumm ledwo znał. Lazarus skończył służbę, więc Drumm nie miał okazji zadać mu pytań dotyczących pozostawionej wiadomości. Czy Amanda dzwoniła osobiście? Jaki miała głos? Czy powiedziała coś jeszcze?

Było teraz dwadzieścia po jedenastej. Zastanawiał się, ile czasu powinien jej jeszcze dać. Nigdy się nie spóźniała, przynajmniej w czasach kiedy ze sobą współpracowali. Jej rezygnacja spowodowała pustkę w jego życiu. Lubił regularne spotkania z nią po pracy, podczas których pili, gawędzili, rozmawiali o sprawach, przestępstwach, stanie państwa.

Chodził tam i z powrotem, spoglądając na parking. Był zastawiony samochodami, ludzie uciekali ze słońca do supermarketu, jakby to był ostatni dzień zakupów w dziejach wszechświata.

Uświadomił sobie, że jest głodny. W środku można było kupić pizzę, szaszłyki, różne smażeniny, wszystko, czego dusza zapagnie,

tyle tylko że było to niestrawne. Nie miał zbyt wielkiej ochoty wpaść do środka, by w biegu złapać jakąś kanapkę, ponieważ nie chciał ryzykować rozminięcia się z Amandą, gdyby się akurat pojawiła.. Zresztą i tak nie lubił centrów handlowych. Wolał sklepy spożywcze na rogach ulic i małe, rodzinne interesy, które ostatnimi czasy coraz trudniej było znaleźć.

Krążył tam i z powrotem. Da Amandzie jeszcze pięć minut, a potem zadzwoni i sprawdzi, czy nie ma do niego jakichś wiadomości. Mogła odwołać spotkanie. Postukał w tarczę zegarka.

Jak do tej pory niczego dzisiaj nie działał. Pojechał do hotelu Carlton, by się przekonać, że Anthony Dansk wyprowadził się kwadrans temu. Nie zostawił nowego adresu. Teraz czekał tu na Amandę.

Powiedziała, że wybiera się z wizytą do Rheesa, i prosiła, by zadzwonił do niej do szpitala po spotkaniu z Danskiem. Może z jakiegoś powodu zmieniła plany - stąd ta wiadomość, może coś ją gdzieś zatrzymało. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Nie znosił takich rzeczy, czuł się z nimi jak podstarzały *yuppie*. Nie lubił tych elektronicznych zabawek. Onieśmiały go komputery, modemy, poczta elektroniczna i cała reszta. Należały do zupełnie innego świata.

Drumm wybrał numer i połączył się z Betty Friedman.

- Nareszcie - powiedziała.
- Co się stało? Szukałaś mnie?
- Dzwoniła twoja przyjaciółka Amanda. Prosiła, żebyś pilnie się z nią spotkał.

Drumm poczuł się nieswojo i aż się wzdrygnął.

- Jest w szpitalu Valley of the Sun. Spodziewam się, że masz coś do pisania?

- Mam. - Drumm pogrzebał w kieszeniach marynarki i znalazł ogryziony ołówek przyczepiony do notesu.

Betty Friedman podyktowała mu numer telefonu na centralę i wewnętrzny. Zapisał go sobie.

- Kiedy dzwoniła? - spytał.
- Jakies pół godziny temu.
- Jaki miała głos?
- Zabawne, że pytasz. Nic nie wiedziała o waszym spotkaniu.

Było to dla niej coś nowego.

- Nie wiedziała o naszym spotkaniu?
- Nie.
- Dziwne. - Więcej niż dziwne, pomyślał. Poczuł mrowienie w chorej nodze.

- Zadzwoń do niej. Przecież to ty zajmujesz się rozwiązywaniem zagadek, no nie?

Drumm się rozłączył. Wykręcił numer szpitala. Minęła dłuższa chwila, nim ktoś podniósł słuchawkę. Nie chciałby akurat doznać zawału serca, wydawać ostatnie tchnienie. W końcu odezwała się telefonistka i Drumm poprosił numer wewnętrzny. Nikt nie odbierał.

Telefonistka włączyła się i powiedziała:

- Numer nie odpowiada.

Drumm się rozłączył i znów zadzwonił do Betty Friedman.

- Na pewno dałaś mi dobry wewnętrzny?
- Willie, powtórzyłam ci to, co mi powiedziała Amanda Scholles. Wewnętrzny trzydzieści osiem dziewięćdziesiąt osiem. Prawdopodobnie źle sobie zapisałaś.

Drumm sprawdził w notesie. Nie, zapisał 3898, tak jak mu poddyktowała Friedman. Znów wykręcił numer szpitala - tym razem również długo czekał, aż ktoś się odezwie na centrali - i powtórzył żądany numer wewnętrzny. Nadal nikt nie odpowiadał. Zbity z tropu i poirytowany, ponownie zadzwonił do Betty Friedman.

- Wewnętrzny wciąż nie odpowiada - powiedział.
- Może nikogo nie ma w pokoju. Mogła zabrać Rheesa ze szpitala.
- Kiedy wczoraj go widziałem, nie sprawiał wrażenia, jakby do kądś się wybierał. Powinienem tam pojechać.

- Willie, pomyśl przez chwilę logicznie, dobrze?
- Zaraz mi powiesz, co mam zrobić - powiedział Drumm. - Wyczuwam to z tonu twego głosu, Betty.
- To tylko sugestia. Wcześniej czy później zadzwoni tutaj, więc lepiej, jak wrócisz do biura, zamiast krążyć po szpitalu, w którym może jej już nie być. Przynajmniej będziesz tu, by odbierać telefony, prawda?
- Nienawidzę dobrych rad - oświadczył Drumm.
- Jak wszyscy mężczyźni. Do zobaczenia.

Drumm się rozłączył. Tajemnicza sprawa z tą wiadomością. Jeśli Amanda nic o niej nie wiedziała, skąd, u diabła, się wzięła? Ale wszystko to było tajemnicze, poczynając od Danska. Martwi świadkowie. Program ochrony, który nie chroni. Matka martwiąca się o dziecko.

Schował telefon, spojrzął na parking i próbował sobie przypomnieć, gdzie zostawił swój wóz.

- Należą jej się dodatkowe punkty za to, że próbuje - rzucił Dansk do słuchawki.

- Racja - przyznał jadący z tyłu McTell.

Dansk pochylił się nad kierownicą i obserwował małego żółtego fordą z przodu. Wie, że jadę za nią, pomyślał. Wie, że jestem w pobliżu. Może się teraz zdobyć na coś łatwego do przewidzenia, na przykład niespodziewanie zawrócić, ale będzie musiała głębiej po-grzebać w swej szkatułce ze sztuczkami, by się mnie pozbyć. Poza tym nie przyjdzie jej to łatwo z inwalidą u boku. Rhees nie był w pełnej formie.

Kiedy wyjechała z rykiem silnika sprzed szpitala, McTell ruszył za nią, a Dansk za McTellem, Czasami wyprzedzał Eddiego, kiedy indziej pozwalał mu jechać z przodu. Był to element strategii.

- Podoba mi się to - powiedział do McTella.

Słowa McTella zagłuszyły jakieś chwilowe zakłócenia.

- Co?

- Wszystko. Sposób, w jaki wypłoszyłeś ją i Rheesa.

Dansk wyjął spluwę z papierowej torby i położył ją sobie na kolanach, pogładził broń. Dzień był rozedrgany, odrobinę za jasny, jak w mydlanej operze w meksykańskiej telewizji, ale Dansk nagle stał się niezwykle wylewny.

- Ten ruger to cacko - powiedział.
- Na pewno wiesz, jak się z nim obchodzić? - spytał McTell.
- Nie spędziłem pięciu lat w amerykańskiej policji sądowej, robiąc łańcuszki ze spinaczy do papieru - powiedział Dansk.
- Pięć lat - powtórzył McTell.
- Pięć lat. W 1992 roku nawet reprezentowałem DC Metro w konkursie strzelania do celu i zająłem drugie miejsce.

McTell pomyślał, jak mało wie o DanSKU. Zresztą miał to w nosie. Dansk naciska guzik, a człowiek robi, co mu każe, koniec opowieści. Chce broń, dostaje broń. Zawsze otrzymuje to, czego chce. McTell załatwiłby to inaczej: od razu w szpitalu, przykręciwszy do lufy duży, gruby tłumik, wykonałby operację szybko i czmychnąłby stąd, gdzie człowiekowi wiecznie grozi udar słoneczny. Ale nie, Dansk zawsze musi wszystko skomplikować. Wymyślił sobie zabawę w kotka i myszkę z tą kobietą, chce, żeby uciekała, pociła się i wiła. Ale czasem człowiek za bardzo popuszcza wodze i potem trudno znów je ściągnąć.

Co się dzieje z tym Danskim? Na przykład ta pomoc przy ich ucieczce ze szpitala. Ani słówkiem nie wspomniał, że ma taki zamiar. Idź, McTell, sprawdź salę, weź kwiaty. Ale Dansk jest przebiegły. A dlaczego? Bo sam chce wykonać operację! Pragnie pociągnąć za cyngiel, sądzi, że nadaje się do takiej roboty. Nie chce tego zrobić w szpitalu, umyślił sobie jakieś inne miejsce na egzekucję. Niech mu będzie. To rewia Anthony'ego Danska. On jest gwiazdą, a ty jesteś tylko Eddiem McTellem, komikiem mającym rozgrzać publiczność.

- Na jej miejscu skierowałbym się do najbliższego posterunku policji i powiedział, że boję się o swoje życie - odezwał się McTell.
- Sam też bym tak zrobił - powiedział Dansk.
- I to cię nie martwi?

- Nie rozumiesz tego, Eddie. Myślisz, że jeśli pojawi się na policji prosto z ulicy i zacznie opowiadać jakimś tępotnym gliniarzem swoją historijkę, otoczą ją kołem, chłonąc każde jej słowo? Pewnie, że jej wysłuchają, ponieważ kiedyś z nimi współpracowała, ale będą wolno stukali ołówkami w biurka i myśleli sobie: ta kobieta we wszystkim dopatruje się spisku, to przez tę jej pracę. Jakie to przykre, ostatnie wydarzenia zupełnie wytrąciły ją z równowagi. Napad na przyjaciela, ta biedaczka Sanchez. Nie ma nic, by uwiarygodnić swoje podejrzenia. Niech więc idzie na policję i mówi, co chce. McTell, mam dla ciebie rewelację: wcześniej czy później będzie musiała stamtąd wyjść.

I wiem, gdzie się potem uda, pomyślał, ponieważ wiem, co zrobiłbym na jej miejscu. Przejrzałem cię na wylot, Amando. To tak, jakbyśmy stanowili parę bliźniąt, jakby istniał między nami pewien rodzaj pokrewieństwa, zażyłość. Jak para kochanków, rozdzielona przez los i czas.

- Drumm jej wysłucha - powiedział McTell.

- Drumm owszem. Drumm jej wysłucha. Racja. Jak nikt potrafi się wczuć w czyjeś położenie.

Dansk się roześmiał, przerwał połączenie i skupił uwagę na złotym fordzie, który błyszczał w słońcu. Wyobraził sobie spocone dłonie Amandy na kierownicy. Twoje nerwy są jak szczeniaki w płóciennej torbie w drodze nad rzekę, gdzie zostaną utopione, skarbie. Wciąż uciekasz. Ty i twój kochanek zdążacie na spotkanie z poczciwym, starym Drummem, by znaleźć odrobinę współczucia.

Współczucie. Tak jest.

Ford jadący z przodu skręcił do centrum miasta.

Pasquale obserwował przez przednią szybę samochodu policjanta przechodzącego przez parking przed centrum handlowym. Mężczyzna lekko utykał. Szedł, zabawnie podrygując.

Pasquale jechał wolno w kierunku, w którym zmierzał gliniarz, potem przyhamował. Policjant zniknął na chwilę między szeregiem zaparkowanych samochodów i Pasquale, stukając palcami w kierownicę, czekał, aż facet znów się wyłoni. Nie podobało mu się to wszystko, to czekanie, ci zaafelowani, robiący zakupy ludzie. Czekanie działało mu na nerwy.

Policjant wyłonił się pomiędzy zaparkowanym samochodem kempingowym z nalepką na zderzaku, głoszącą NURKOWIE DO-CIERAJĄ GŁĘBIEJ, i błyszczącą nowiutką furgonetką pomalowaną w niebiesko-bordowe pasy. Pasquale przypomniał sobie, że miał kiedyś na zderzaku nalepkę z Bruce'em Springsteenem i elektryczną gitarą. Stare camaro. Miał wtedy dziewiętnaście lat. Świetna bryka. Podobała się dziewczynom. Nie jak wóz, w którym siedział teraz. Czuł się w nim okropnie głupio. Nie chciałby, żeby znajomi zobaczyli go, jak jeździ czymś takim.

Obserwował, jak policjant maca kieszenie marynarki, jakby czegoś szukał. Kupujący przechodzili przed samochodem. Jakiś dzieciak

spojrzał na niego i wykrzywił twarz, środkowym palcem przycisnął swój brzydki nos i naciągnął skórę pod oczami.

Pasquale opuścił szybę.

- Zostaniesz z taką gębą, smarkaczu.

Chłopak pstryknął palcami i uciekł. Gówniarz. Pasquale uruchomił silnik. Policjant wciąż stał z pękiem kluczy w ręku. Pasquale nacisnął pedał gazu.

Dalej. Nie będzie lepszej okazji.

Mężczyzna zdawał się nie widzieć samochodu. Był gdzieś daleko stąd, pogrążony w myślach.

Jedno puknięcie, pomyślał Pasquale.

Był jakieś siedemdziesiąt metrów od gliniarza, który wciąż nie zdawał sobie sprawy z sunącego prosto na niego samochodu. To będzie jedna z tych rzeczy, które się widzi w ostatniej sekundzie, pomyślał Pasquale, policjant uniesie głowę tuż przed maską, na jego twarzy pojawi się strach i zdumienie, ale będzie już za późno, by cokolwiek zrobić.

Pasquale wcisnął gaz do dechy.

Mężczyzna się odwrócił. Miał przerażoną minę, jakby to była jakaś pomyłka lub scena z sennego koszmaru.

Nie śnisz, koleś.

Samochód uderzył policjanta i wyrzucił go w powietrze, Pasquale poczuł wstrząs i zobaczył, jak mężczyzna leci bokiem, poły kracianej marynarki zatrzepotały w powietrzu, błyszczące monety wysypały się z kieszeni, pęk kluczy zdawał się wisieć jak mały, srebrny latawiec.

W tylnym lusterku Pasquale widział, jak gliniarz upada na ziemię, turla się, a potem - jasny gwint! - podnosi się i przyklęka na jednej nodze. Marynarkę ma zakrwawioną, potrzasa głową oszołomiony, ściska rękę, która musi być złamana, bo jest wykręcona pod dziwnym kątem, usta ma otwarte i wykrzywione z bólu.

Cholera, pomyślał Pasquale. Wrzucił wsteczny bieg. Nie ma innego wyjścia, Bruno. Zaciśnął ręce na kierownicy i szybko ruszył do tyłu, zanim gliniarz miał czas zareagować, słyszał zgrzyt tylnych kół na ciele mężczyzny, samochód uniósł się nieco do góry, zakolysał się, spaliny wypełniły powietrze. Nadal się cofał, a kiedy przejechał przednimi kołami po leżącym policjancie, wrzucił jedynekę i przejechał po nim jeszcze raz.

Spojrzał w tylne lusterko.

Policjant się nie ruszał. Leżał w kałuży krwi w pełnym blasku słońca.

Pasquale przyspieszył, wyjechał z parkingu na ulicę. Po przejechaniu trzech kilometrów doszedł do wniosku, że jest w bezpiecznej odległości od centrum handlowego i może się zatrzymać. Zaparkował na ulicy, zabudowanej domkami szeregowymi, i siedział bez ruchu, oddychając ciężko.

Dostrzegł strużkę krwi w prawym dolnym rogu przedniej szyby, ciemną smugę, która już zdążyła zaschnąć w gorącym powietrzu. Kiedy zadzwonił telefon, przez jakiś czas nie odbierał, ponieważ mógł to być tylko Dansk, sprawdzający, jak wszystko poszło. Dansk, wiecznie Dansk.

Odebrał po dziesiątym dzwonku.

To nie był Dansk ani McTell.

Dzwonił facet, którego nigdy wcześniej nie słyszał, facet o głębokim, skrzekliwym głosie i gwałtownych napadach kaszlu.

W fordzie panował zaduch, Rhees siedział skrzywiony z bólu, z zamkniętymi oczami, od czasu do czasu drżały mu powieki. Niekiedy oblizywał spieczone usta i starał się zdobyć na błądy uśmiech.

- Zatrzymam się gdzieś, kupimy aspirynę - powiedziała Amanda. - Uśmierzy trochę ból.

- Wolałbym raczej morfinę - odparł Rhees. - Nie zwracaj sobie głowy aspiryną. Nie zatrzymuj się, tylko jedź.

Spojrzała w tylne lusterko i lusterka boczne, ale najpierw trzeba wiedzieć, czego się szuka, nim się zacznie tego czegoś wypatrywać, chyba że sprawa jest oczywista, jak w wypadku tego samochodu, który jechał za nią zbyt blisko na bulwarze Lincolna. Ale tutaj panował taki ścisk na jezdni, że nie sposób było wyłowić coś podejrzanego.

Furgonetka zajęchała jej drogę tuż przed nosem, zastanawiała się, czy przypadkiem nie miało to na celu przyblokowanie jej. Zmieniła pas, by uniknąć zderzenia, ale ciężarówka, prowadzona przez faceta w stetsonie z długim kolorowym piórkiem, słuchającego nastawionej na cały regulator muzyki country, nabrała szybkości i minęła ją, z szoferki wyrzucono niedbale puszkę po piwie. Wyobrazila sobie oburzenie Danska: świat chyli się ku upadkowi, znika warstwa ozonu, umierają oceany.

Podobnie jak ludzie, pomyślała. Znikają i umierają, i bynajmniej nie tylko z powodu szkodliwych promieni czy ryb nafaszerowanych rtęcią.

Opuściła szybę, zapaliła papierosa, potem przypomniała sobie, co Dansk mówił na temat palenia podczas ich pierwszego spotkania w „Biltmore”. „To, czym ludzie się trują, to ich prywatna sprawa. Chcą ryzykować, proszę bardzo”. Uświadomiła sobie teraz, że słowa te dotyczyły nie tylko niebezpieczeństw związanych z paleniem tytoniu, miał na myśli inne zagrożenia, bardziej bezpośrednie niż długofalowe skutki palenia papierosów.

Rhees zwrócił twarz w jej stronę.

- Nie uderzyło cię, że ten facet z kwiatami miał tam w szpitalu wspaniałą okazję? Ty i ja razem w pokoju. Wystarczyło jedynie zamknąć drzwi i wyciągnąć spluwę. Dlaczego tego nie zrobił?

Spojrzała na Rheesa.

- Moim zdaniem Dansk chce to zrobić osobiście.

Zastanawiała się, dlaczego ostatniego wieczoru nie zdobyła się na to, by dźgnąć Danska nożem prosto w serce, dlaczego przynajmniej nie spróbowała. Ponieważ był silny i z łatwością by ją rozbroił, ponieważ nawet mając nóż w ręku, bała się go, tak jak bała się go teraz.

Dodała gazu i ruszyła przed siebie, zmieniając pasy. Kierowała się na południe, zrezygnowała z daremnego sprawdzania w lusterku, czy ktoś ją śledzi. Strach spowodował, że ograniczyła się do kierowania samochodem, wyłącznie do tego, koncentrując uwagę na mających w oddali wieżowcach, sercu miasta. Nieliczne chmurki, płynące po błękitnym niebie, przypominały obłoki dymu po wystrzałach armatnich.

- Daleko jeszcze? - spytał Rhees.

- Jeszcze kilka przecznic. – Skrzyżowanie Siódmej Alei i Waszyngtona, oto dokąd zmierzała. Byli już blisko, lada chwila wyłoni się wielki, jasnobrązowy budynek, zobaczy zaparkowane radiowozy,

wchodzących i wychodzących policjantów. Zaparkuje od frontu i poprosi jakiegoś funkcjonariusza, by pomógł jej wyciągnąć Rheesa z samochodu i posadzić w wózku inwalidzkim. Uda się z nim do środka i jeśli nie zastanie Drumma, spyta o Betty Friedman. Na razie tyle zaplanowała. Obmyślanie kolejnych ruchów dawało iluzję panowania nad sytuacją.

Ujrzała kilka radiowozów, paru policjantów rozmawiających i śmiejących się. Broń i ochrona, najbezpieczniejsze miejsce, jakie mogła sobie wyobrazić. Zatrzymała forda możliwie najbliżej budynku, w miejscu gdzie był zakaz parkowania, otworzyła drzwiczki i wysiadła. Ubranie przykleiło jej się do ciała. Przesunęła ręką po wilgotnych włosach.

Rzuciła okiem na wejście do gmachu, ujrzała wielkie, okrągłe, betonowe kwietniki ustawione specjalnie po to, by zapobiec próbom wtargnięcia do środka przez zmotoryzowanych szaleńców, potem pochyliła się, by spojrzeć na Rheesa, patrzącego na nią apatycznie. Uniosła wzrok ponad dach forda i spojrzała na drugą stronę ulicy. Dostrzegła Danska, przejeżdżającego wolno samochodem, miał ciemne okulary i uśmiechał się do niej, rękę wystawił nonszalancko przez otwarte okno, jakby był turystą jadącym bez celu przez miasto, mającym do zabicia jedynie czas.

Betty Friedman miała duże, silne dłonie i przenikliwe, brązowe oczy, których uwagi niewiele uchodziło.

- Dzwonił Willie - obwieściła. - Powinien tu być lada chwila. Napijcie się czegoś? Kawy? Herbaty?

- Poproszę wodę - powiedziała Amanda.

Rhees siedział w wózku inwalidzkim w pobliżu biurka pani sierżant.

- Dla mnie też - poprosił.

Napełniła dwa plastikowe kubeczki i podała im. Amanda wypiała duszkiem. Woda miała lekki posmak chloru, ale była zimna i gasiła pragnienie.

- Czy nie ma pani pod ręką środków przeciwbólowych? - spytał Rhees.

- Gdzieś tu powinna być kodeina.

Betty Friedman, która miała ciemne włosy, mocno skręcone trwałą, pogrzebała w szufladzie biurka, otworzyła buteleczkę i wysypała na dłoń parę białych tabletek. Rhees połknął je, popijając wodą.

- Sprawa tej wiadomości jest dość zagadkowa - powiedziała Betty Friedman.

- Owszem - przyznała Amanda. Przypomniała sobie przejeżdżającego Danska i jego uśmiech. Zastanowiło ją, dlaczego się nie przejął, widząc ją przed komendą główną policji, dlaczego nie zmartwiło

go, że Amanda wejdzie do środka. Ponieważ jest pełen inwencji, uczynił ruch, którego nie przewidziałam, przetasował talię i ma w ręku całkiem nowe karty. Ale jakie?

Czuła, że jest manipulowana, tylko nie mogła pojąć jak. Wyglądało to, jakby niemal chciał, by tutaj przyszła. Ale dlaczego?

- Nie domyśla się pani, kto mógł zostawić wiadomość? - spytała Betty Friedman.

Amanda nic nie powiedziała. Dansk zwabił Williego w pułapkę, ponieważ... Nie, to był jeden z tych tropów, którym nie chciała podążać. Prowadził prosto do nieuchronnego przeznaczenia.

- Przypuszczam, że to coś, o czym woli pani porozmawiać z Williem - powiedziała Betty Friedman. - Jak sobie pani życzy.

Amanda spojrzała na zegar ścienny.

- Jak dawno temu dzwonił?

- Jakieś dwadzieścia pięć minut temu, z Metrocenter.

- Powinien już tu być.

- Będzie lada moment. Proszę spokojnie czekać.

Amanda wyobraziła sobie Drumma gdzieś na mieście, może utknął w korku, zatrzymały go roboty drogowe, cokolwiek. „Będzie lada moment”. Pojawi się na progu, uwierzy w jej relację i powie: Zostaw to mnie, a ona będzie mogła zapomnieć o całej tej historii, wrócić do normalnego życia. Górskie powietrze, sowy lecące prosto w tarczę księżyca.

Będzie lada moment.

Spojrzała na Betty Friedman i powiedziała:

- Proszę spróbować się z nim skontaktować.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon na biurku, Betty podniosła słuchawkę i Amanda widziała, jak twarz kobiety się zmienia, początkowe niedowierzanie zastąpiło osłupienie, a potem coś innego, trudnego do sprecyzowania, jakaś pustka, jakby wszystko z niej uleciało.

Amanda nie mogła siedzieć, musiała coś robić. Wstała z krzesła i zaczęła przemierzać pokój, czuła, jak ogarnia ją przeraźliwa ciemność. Wiedziała. Próbowwała odgradzić się od świata zewnętrznego, wyeliminować dobiegające z niego dźwięki i obrazy, ale i tak słyszała głos Betty Friedman, skrzekliwy i cienki, jak na zdartej płycie.

- Czy ktoś zapisał numer rejestracyjny? Chryste Panie, to niemożliwe. Nie wierzę w to, rozmawiałam z nim niespełna pół godziny temu.

Betty Friedman odłożyła słuchawkę, nie rozłączając się, rozległo się pikanie przypominające elektrokardiograf emitujący nikły sygnał nieuchronności. Chirurdzy zdjęli maseczki, westchnęli i zmyli krew z rąk. Przynęła krzesło do ściany, odchyliła głowę i wyglądała, jakby patrzyła w sufit.

- Chodzi o Williego? - odezwała się Amanda. - Coś mu się stało?

- Potracił go samochód - powiedziała Betty Friedman.

Amanda położyła dłonie na blacie biurka i pochyliła się do przodu, a Betty Friedman powtórzyła:

- Potracił go samochód. - Miała nieobecny wzrok. - Zmarł, nim się znalazł w szpitalu.

Rhees nieco przekręcił wózek inwalidzki. Rozległ się pisk przesuwających się po podłodze gumowych opon.

- Ktoś... - zaczęła Betty Friedman, lecz nie dokończyła, jakby zabrakło jej sił. Patrzyła na Rheesa, jakby nie rozumiała, skąd się tu wziął. Podniosła słuchawkę, ale nie odłożyła jej na widełki. - Jakiś drań... Jakiś drań potracił Williego, następnie przejechał po nim, żeby mieć pewność, potem odjechał i...

Amanda czuła się, jakby wprowadzano jej do serca długą, stalową igłę, by dokonać biopsji jej uczuć. Potrzebujemy małą próbkę, panno Scholes, by zbadać pani stan. Potracony przez samochód. Zmarł, nim się znalazł w szpitalu. Betty Friedman wstała i rzuciła słuchawkę, która ześlizgnęła się z biurka i kołysała się tam i z powrotem na

sznurze, wahadło, które niczego nie odmierzało. Obserwując ją, Amanda myślała o Williem, ujrzała Drumma, jak potrąca go samochód i wyrzuca w górę, widziała twarz zabójcy w cieniu za szybą samochodu, słyszała chrzęst łamanych kości, patrzyła na bezwładne ciało Drumma, pokiereszowane w wyniku uderzenia, a potem jak samochód przejeżdża po nim. Żeby mieć pewność.

To się musi skończyć. Ktoś dotknie jej ramienia i powie, że pora się obudzić.

Spojrzała na Rheesa. Podeszła do niego, a on ujął jej dłoń i przycisnął ją sobie do policzka. Betty Friedman przewróciła kosz na śmieci, papiery rozsypały się po całej podłodze. Miała gwałtowne, niezborne ruchy, charakterystyczne dla ludzi, których spotkało nieszczęście, cechował ją rodzaj energii, nie znajdującej konkretnego zastosowania.

- Na parkingu przed Metrocenter, i jedyne, co mamy, to kolor - czerwony, i fragment numeru rejestracyjnego, to wszystko. Tylko tym dysponujemy. Zmarł, nim się znalazł w szpitalu.

Betty Friedman otarła twarz mankietem koszuli. Amanda odeszła od Rheesa, wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia kobiety. Nieważne, czy chciała pocieszyć Friedman, czy siebie. Czerwony samochód przed Metrocenter i martwy Willie. Wiozą go do szpitala, ryk syreny karetki pogotowia, Willie konający z maską tlenową na twarzy, może krew tryska na maskę, ręce Williego chwytają powietrze, życie z niego ulatuje.

I gdzieś tam mężczyzna w czerwonym samochodzie.

Jeden z ludzi Danska, pomyślała. Jeden z ludzi Danska, wbijający haczyk w ciało Williego i wyciągający go z wody.

Betty Friedman, spoglądając na Amandę nieobecny wzrokiem, spytała:

- Skąd, u diabła, wzięła się ta wiadomość?

W czasie jazdy windą Betty Friedman była blada i milcząca, Rheses siedział zgarbiony na wózku inwalidzkim, a Amandę ogarnęło uczucie mozolnego brodzenia w wodzie. Potem przemaszerowali korytarzem do gabinetu, wielkiego pokoju ze ścianami obwieszonymi licznymi pochwałami i dyplomami uznania.

Za biurkiem stał Dan Kelloway. Rękawy miał podwinięte do łokci, ramiona spieczzone na brąz, błyszczała mu ogolona czaszka. Obecny był jeszcze jeden funkcjonariusz, mężczyzna w dwurzędowym garniturze, z identyfikatorem w klapie, porucznik S. Wom. Miał azjatyckie rysy, drobne ręce i małe stopy w czarnych skórzanych pantoflach. Siedział w kącie gabinetu, w półcieniu, nieruchomy jak posąg.

Amanda pomyślała: nie wiem, czy ci ludzie mnie wysłuchają, a nawet jeśli tak, to czy mi uwierzą. Ale opowiedzenie tej historii stało się teraz ważniejsze od tego, jak oceniała nastawienie swych słuchaczy, i chociaż bardzo pragnęła obecności Williego, było to niemożliwe i żadna siła nie mogła tego zmienić.

Kelloway powiedział, żeby usiadła. Betty Friedman musiała dostrzec jakiś uczyniony przez niego znak, ponieważ wyszła z gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi. Kelloway spojrział na Rheesa.

- Kto to?

Rhees się przedstawił. Kelloway zmarszczył brwi i zwrócił się do Amandy. Jego głos był jak skrzypienie staroświeckiej brzytwy przeciąganej po skórzanym pasku. Usiadł za biurkiem, jego biała koszula fosforyzowała.

- Dobra, słucham.

Amanda się zawahała. Czuła nieprzenikniony mur wrogości wokół Kellowaya. Bił od niego sceptycyzm, powszechny u policjantów pragnących zrobić karierę, i wcale się z tym nie krył. Kiedyś była pani prokuratorem, ale to już przeszłość, a wspominam panią źle.

Przypomniała sobie, jak dobry był dla niej Willie w szpitalu, jak bardzo się o nią niepokoił, jak wtuliła twarz w materiał jego marynarki, pamiętała bijący od niej słaby zapach chemikaliów używanych do czyszczenia odzieży na sucho i jak wcisnął jej chusteczki jednocześnie do ręki. Usłyszała suchy trzask, wypełniający cały pokój, i zobaczyła, jak Kelloway uderza dłońmi w biurko.

- Czekamy. Jeśli ma pani coś do powiedzenia, panno Scholes, prosimy.

Zaczęła mówić. W jej relacji brak było płynności, jąkała się, wymieniając nazwiska i opisując poszczególne zdarzenia. Nie zajęło jej to dużo czasu - pięć minut, może dziesięć, nie była pewna. Kelloway i Wom siedzieli bez ruchu. Kelloway obserwował ją z obojętną miną, Wom wpatrywał się w swoje paznokcie. Kiedy skończyła, czuła, że w gardle jej zaschło. Miała ochotę zapalić, ale w sanktuarium Kellowaya nie pozwolono by na coś takiego.

Kelloway spojrzął na Woma. Wom lekko poruszył głową. Wymienili między sobą jakiś znak. Trudno było powiedzieć, co oznaczał. Poczowała się nieswojo. Odnosiła wrażenie, że znajduje się w zawieszaniu, czekając na wyrok.

- Szkoda, że skradziono ten list - powiedział Kelloway.

Amandzie nie spodobał się sposób, w jaki wymówił słowo „list”.

- Nie ja jedna go czytałam - przypomniała. - Jego treść zna też John.

- Nie neguję jego istnienia - powiedział Kelloway. - Stwierdzam tylko, że bardzo by nam pomogło, gdybyśmy go mieli w ręku.

Wom przemówił po raz pierwszy. W jego akcencie można było zauważyć wpływy ze wschodniego wybrzeża, może z Bostonu.

- Twierdzi pani, że ten Dansk mieszkał w hotelu Carlton w centrum miasta.

- Owszem. Przynajmniej był tam ostatniej nocy.

Wom podniósł słuchawkę i odwrócił się plecami. Wykręcił jakiś numer i zaczął coś mówić ściszym głosem. Kiedy Wom telefonował, Kelloway powiedział:

- Utrzymuje pani, że ów Dansk jest zamieszany w jakąś aferę korupcyjną wewnątrz Programu Ochrony Świadków i że bierze pieniądze od Sancheza. Twierdzi pani również, iż tenże sam Dansk stoi za śmiercią Williego, ponieważ Willie prowadził śledztwo, które nie podobało się Danskowi.

- Zgadza się - powiedziała. Wróciła myślami do swej ostatniej rozmowy z Williem i przypomniała sobie niepokój pani Vialli o syna. - Willie rozmawiał z Bascombe'em, a także z Bernadette Vialli. Przypuszczam, że był śledzony...

- Już nam to pani mówiła. - Kelloway spojrział na Rheesa. - Został pan napadnięty przez współników Danska, tak?

Rhees skinął głową.

- Skąd pan wie, że to jego współnicy?

Rhees odwrócił się do Amandy, szukając u niej pomocy. Na jego twarzy malowała się bezradność.

- Polega pan tylko na tym, co powiedziała panu panna Scholes - stwierdził Kelloway. - Czy kiedykolwiek widział pan Danska? Miał pan przyjemność się z nim spotkać?

- Nie, nigdy.
- Do czego pan zmierza? - spytała Amanda.
- Do niczego nie zmierzam, panno Scholes. Chcę tylko wiedzieć, czy pan Rhees kiedykolwiek poznał Danska.

Kelloway miał taki sposób patrzenia, że miało się ochotę odwrócić głowę, ale Amanda wytrzymała jego wzrok. Niech ją diabli, jeśli zrezygnuje choćby z piędzi swego terytorium na rzecz tego drania.

- Odnoszę dziwne wrażenie, że nie wierzy pan w istnienie Danska - powiedziała.

- Przesadza pani - odparł Kelloway.

Przesadza. Dobre sobie. Zabito Drumma, Dansk gdzieś tam coś knuje, a ona przesadza.

- Doszła pani do wniosku, że osobnicy, którzy napadli pani przyjaciela, są współnikami Danska? Może to ci sami, którzy zastrzelili Galindeza i ścigali Isabel Sanchez? Może nawet ci sami, którzy zabili jednego z moich najbardziej doświadczonych ludzi? I jeden z tych rzekomych zabójców mieszka w Hideaway Knolls, ale nie zna pani jego nazwiska.

- Po co ta ironia, Kelloway. Zgłosiłam się tutaj i twierdzę, że coś jest całkowicie popieprzone w Programie Ochrony, a pan mnie traktuje jak jakąś wariatkę, która przyszła tu prosto z ulicy, zamiast dać panu święty spokój i zachowywać się racjonalnie.

Na Kellowayu te słowa nie zrobiły wrażenia. Złączył ręce za głową i pstryknął stawami palców.

- Proszę zacząć od czegoś niepodlegającego dyskusji. Na przykład od Galindeza i Isabel Sanchez - świadków, rzekomo chronionych przez Program.

Kelloway skinął głową.

- Zgodnie z treścią owego tajemniczego listu Galindeza zastrzelili ludzie, którzy mieli go chronić, a Isabel Sanchez udało się przed nimi uciec. Co ma pani oprócz tego? Jakies mętne aluzje dotyczące

Benny'ego Viallego - którego sprawę akurat pamiętam bardzo dobrze - niemające z tym wszystkim żadnego związku.

Niemające z tym wszystkim żadnego związku, pomyślała. Willie powiedział to samo. Co ona robi? Szuka jakichś powiązań, które nie istnieją? Wymyśla teorie, które nie wytrzymują krytyki? A jednak próbowała coś wyłuskać z opowiadania Bernadette Vialli, nawet jeśli nie była pewna, czego szuka. Galindez i Isabel zostali objęci Programem na mój wniosek. Oddałam Benny'ego Viallego pod jego opiekę i od tamtej pory nikt nic o nim nie słyszał. Gdzieś sobie mieszka - może się zakochał, ożenił, zapomniał o matce. Może rozpoczął zupełnie nowe życie i nie chciał wracać do przeszłości.

Nie, wiedziała, że to nieprawda. To do niego niepodobne. Ale dlaczego wysłał te kwiaty i kartkę, która według Bernadette była jakimś szachrajstwem? Nasuwała się jedna odpowiedź: zrobił to nie on, tylko ktoś inny. Ponieważ Benny nie był w stanie cokolwiek wysłać, gdyż...

Wom odłożył słuchawkę i powiedział:

- Mężczyzna nazwiskiem Anthony Dansk wyprowadził się dziś rano z Carltona.

- Też mi niespodzianka - powiedziała. Wymeldował się i wyjechał, pomyślała. Idealna synchronizacja. Dansk zniknął jak kamfora, zamierzając się ponownie pojawić, kiedy będzie gotów.

- Coś mnie w tym zastanawia - powiedział Kelloway. - Skoro tyle pani wie o Dansk, jak to możliwe, że bez żadnych przeszkód pojawiła się pani tu, by nam to wszystko opowiedzieć? Dlaczego Dansk nie nasłał kogoś, by panią potracił samochodem, albo nie kazał jednemu ze swych zabójców załatwić pani? Dlaczego pani nie powstrzymała, zanim dotarła pani do mojego gabinetu?

Amanda spojrzała w zimne, niebieskie oczy Kellowaya.

- Może dlatego, że jest pewny siebie, chociaż trudno nam zrozumieć dlaczego. Żyje w szalonym świecie, którego nie potrafimy zgłębić, Kelloway. I może ma inne zamiary względem mnie.

- Na przykład jakie?

- Nie umiem czytać w jego myślach i wątpię, czy ktokolwiek to potrafi. Wiem jedynie, że cokolwiek zamierza, jest to niebezpieczne, i czuję się zagrożona, ponieważ czai się gdzieś w pobliżu.

Na biurku Kellowaya zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, potem wstał.

- Zaraz wracam, Sonny - zwrócił się do Woma i wyszedł z pokoju.

Amanda usłyszała, jak drzwi się zamykają. Spojrzała na Woma i powiedziała:

- Założę się, że wrzuci banknoty dolarowe do puszek na misje religijne w Patagonii. Założę się, że aktywnie się udzieli w organizacji Wielkiego Brata.

- Nie ma dziś powodów do radości - powiedział Sonny Wom. - Jak my wszyscy.

- Czy kiedykolwiek jest zadowolony? - spytała.

Wom nie odpowiedział. Kelloway wrócił, trzymając kartkę papieru, którą rozpostarł na biurku. Jego czaszka lśniła jak orzech laskowy.

- Jakim samochodem pani jeździ?

- Jakim samochodem? Volkswagemem.

Przeczytał coś, co było nabazgrane z tyłu kartki.

- Numer rejestracyjny 4KL580?

- Numer się zgadza - powiedział Rhees. - Dlaczego pan pyta?

- Czerwona karoseria? - spytał Kelloway.

- Do czego pan zmierza? - zapytała Amanda.

- To pani samochodem potrącono Williego.

- Moim samochodem?

- Znaleźliśmy go kilka kilometrów od Metrocenter. Maskę poważnie zgnieciono, krew na przedniej szybie, strzęp rękawa marynarki Williego na stłuczonym reflektorze.

Jej samochód. Strzęp marynarki Williiego. Nie mieściło jej się to w głowie.

- Zostawiłam wóz wczoraj wieczorem przed supermarketem na Lincoln - powiedziała.

- Co to znaczy, że zostawiła pani wóz?

- Ktoś mnie śledził. Postanowiłam zmylić trop.

- Kto panią śledził?

- Jeden z ludzi Danska - odparła.

- Naturalnie - zauważył z przekąsem Kelloway.

- Więc zostawiłam samochód.

- I ktoś przyszedł później i odjechał nim - powiedział Kelloway.

- Tak samo jak ktoś zostawił wiadomość Williemu, posługując się pani nazwiskiem. I Willie wpadł w pułapkę.

- Nie ktoś. Dansk. - Na ile sposobów ma mówić Kellowayowi to samo?

Kelloway odsunął kartkę na bok.

- Ktoś podejrzliwy mógłby spojrzeć na to wszystko i dojść do niewesołych wniosków, panno Scholes. Wiadomość, której pani podobno nie zostawiała. Fakt, że pani samochód spowodował wypadek, a kierowca zbiegł. Ktoś mógłby połączyć to wszystko i pani sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia.

- Do cholery, Kelloway! Czy oskarża pan o coś Amandę?

- Patrzę na to ze wszystkich stron - powiedział Kelloway.

- I wyciąga pan błędne wnioski - stwierdził Rhees. Był wzburzony, mimo dokuczającego mu bólu. Amanda podniosła się z krzesła, stanęła za nim i położyła mu dłonie na ramionach. Czuła bijące od niego ciepło.

- Widziałem ten cholerny list - powtórzył Rhees.

- Czy powiedziałem, że w to nie wierzę?

Amanda stanęła przed biurkiem Kellowaya. Najważniejszy jest spokój. I zachowanie rozsądku.

- Nie widzi pan, co się tu dzieje, Kelloway?

Dansk mąci wodę w stawie, specjalnie wprowadza zamieszanie.

Zostawia wiadomość dla Williego rzekomo ode mnie, wykorzystując mój samochód, to wszystko dywersyjna robota mająca na celu dezorientowanie wszystkich.

- Przyznaję, że trudno się w tym połapać.
- Wie, jak się ukrywać, i wie, jak manipulować. Proszę posłuchać, nie mam żadnego powodu, by cokolwiek zmyślać. Nic bym nie zyskała na tworzeniu fikcji.

Kelloway wzruszył ramionami.

- Nie oskarżałem pani, że coś sobie pani zmyśliła. Prawda, Sonny? Czy słyszałaś, żebym oskarżał pannę Scholes o coś takiego?

- Nie zauważyłem - przyznał Wom. Amanda uśmiechnęła się blado.

- Obaj przeoczyliście kilka istotnych szczegółów, jak chociażby ten, że byłam blisko zaprzyjaźniona z Williem Drummem i bardzo cierpię z powodu tego, co go spotkało.

- Rozpacza pani - powiedział Kelloway.

- Tak jest, rozpaczam.

Kelloway zaczął stukać w blat biurka opaloną, kościstą ręką. Spojrzał na Sonny'ego Woma i powiedział:

- Ta pani w swoim czasie wygrała wiele procesów. Zyskała pewną sławę. Wyeliminowała kilku prawdziwych drani. Naturalnie nie dokonała tego sama. Nie, my wykonywaliśmy najgorszą robotę, tworzyliśmy solidne podstawy, by mogła wygrać w sądzie. Nie wydaje mi się, by kiedykolwiek pojawiła się na rozprawie, dysponując jedynie poszlakami. A jaką miała prasę! Jezu, nie uwierzyłybyś. Niczym gwiazda filmowa. Cher, Michelle czy jakaś inna.

- Co słyszysz, Kelloway? - spytała Amanda.

Kelloway dalej zwracał się do Woma.

- Rozpływano się nad nią w gazetach, Sonny. W magazynach. Jaka jest bystra. Cóż za wybitny umysł prawniczy. Dziwne, że nigdy nie poświęcano dużo uwagi pracownikom zaplecza, tym, którzy oświetlali dla niej scenę. Pisarzom sądowym, detektywom, szarym ludziom. Sama zbierała wszystkie laury.

Amanda gapiała się na Kellowaya. Wreszcie spadły jej klapki z oczu.

- Chryste! Od jak dawna pielęgnuje pan tę urazę?
- Urazę? Jaką urazę?

Amanda wyprowadzona z równowagi, powiedziała:

- Dobra, przyznaję się. Podawał mi pan sprawy na błyszczącej, srebrnej tacy. Niektóre z nich były perfekcyjne, bardziej niż perfekcyjne. Czy to chcesz usłyszeć, Kelloway?

- O nic panią nie proszę, panno Scholes - odparł Kelloway.

- Ponieważ nie znalazł się pan w świetle jupiterów, chce mi pan maksymalnie utrudnić życie - oznajmiła.

- Utrudnić życie? - spytał Kelloway z udawanym zdumieniem. - Mój wydział zawsze stanowił wzór dobrej współpracy, panno Scholes. Chyba się pani z tym zgadza?

- Całym sercem - powiedziała.

- Przyzna pani również, że moi ludzie zawsze kilka ostatnich metrów robili za panią. Zawsze.

- Więcej niż kilka - odrzekła. Zastanowiła się nad wybujałą ambicją Kellowaya i jaki musiał być przewrażliwiony na tym punkcie. O pani prokurator piszą w gazetach na pierwszych stronach, o dzielnym naczelniku Kellowayu nie ma ani wzmianki. A więc to było źródło jego niechęci do niej: pragnął sławy, ale nadaremnie, tupał nogą z rozdrażnieniem, które narastało w nim od dawna, odczuwał złość, która wymknęła mu się spod kontroli. Jeśli dodać do tego rozgoryczenie, którego wciąż się nie pozbył, ponieważ odmówiła wniesienia do sądu sprawy Hooda, otrzymywało się faceta pałającego do niej nienawiścią.

- A teraz potrzebna pani moja pomoc - powiedział.

- Tak, potrzebna mi pańska pomoc.

Kelloway wstał z krzesła.

- Panno Scholes, wyjaśnijmy sobie jedno. We wszystkim tym ważny jest dla mnie tylko Willie Drumm. Wyślę swojego człowieka

do Hideaway Knolls, żeby sprawdził faceta, który według pani ukradł list. Potrzebny nam jego rysopis. Skontaktuję się z Ministerstwem Sprawiedliwości i zobaczę, czy możemy zorganizować spotkanie z kimś obeznanym z mechanizmami funkcjonowania Programu Ochrony Świadków, usiądziemy razem i przyjrzymy się dokładnie tej sprawie. Ktoś obeznany z mechanizmami funkcjonowania Programu Ochrony Świadków, pomyślała. Ten zwrot wywołał w niej niepokój. Skąd Kelloway może wiedzieć, że ten ktoś jest godny zaufania? A jeśli już mowa o zaufaniu, skąd ona ma wiedzieć, czy może ufać Kellowayowi, człowiekowi tak małostkowemu?

- Dodatkowo porozmawiamy również z panią Vialli, która tak się martwi o swojego syna. Przekona się pani, jakie mamy dobre chęci.

- Chcę, żeby zrozumiał pan jedno - powiedziała. - To nie ja pisałam te cholerne wywiady. Nie zabiegałam o rozgłos i nadal uważam, że sprawa Hooda była zbyt błaha, by iść z nią do sądu.

- Właściwie głównie mnie obchodzi, kto je pisał, tak samo jak głównie mnie obchodzi sprawa Hooda - powiedział Kelloway i poprawił klamerkę paska. - Jestem małodusznym draniem i mam to, czego chciałem.

Uśmiechnął się do niej złośliwie, na jego twarzy malowała się satysfakcja i zacięta mściwość. Usłyszała furkot piór, trzepot skrzydeł. Znieś jajo, Kelloway. Znieś je, żeby cię uwierało w kuper.

Dansk przeniósł się do hotelu osiem kilometrów od centrum. Była to obskurna nora, ale nie zamierzał tu długo zabawić. Posłuży mu jako baza, nic więcej, miejsce, gdzie się można odświeżyć. Portier, który czyhał na walizkę Danska, miał na sobie zabłocone, czarne buty i lepką od brudu brokatową kamizelkę z zatłuszczoną kieszonką.

Dansk zmroził bagażowego spojrzeniem i wziął klucz do pokoju. Skierował się do automatów telefonicznych i otworzył książkę telefoniczną Phoenix. Znalazł to, czego szukał, i zapisał sobie coś w notesie.

Poszedł na górę. W pokoju panował zaduch. Kiedy otwierał okno w sypialni, zadzwonił telefon komórkowy.

- Załatwione - powiedział Pasquale. Głos miał ponury.
- Jedź do Sidewinder na McDowell. Spotkasz tam McTella. Będę w kontakcie.

Dansk się rozłączył i wyjrzał przez okno. Coś się tliło w oddali, śmiecie, może odpadki ogrodowe. Cienka smużka białego dymu unosiła się w górę, jakby właśnie wybrano papieża.

Ten pokój świetnie się nadawał dla samobójców: do ziemi było daleko. Wyobraził sobie skaczących z gzymsu desperatów, świst powietrza w uszach podczas spadania, może nawet niektórzy rozmyśliliby się w połowie drogi, kiedy już za późno na odwrócenie biegu wypadków.

Tak jak było za późno dla Amandy.

Ach, Amando, Amando. Masz faceta, który cię kocha. Którego ty kochasz. Życie powinno mieć dla ciebie większą wartość, ale źle wybrałaś kierunek.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Komenda policji Phoenix - rozległ się głos mężczyzny.
- Proszę o połączenie z porucznikiem Drummem - powiedział

Dansk.

- Nie ma go w biurze.

No pewnie.

- Kiedy wróci?
- Trudno powiedzieć. - Ten facet działał zgodnie z wytycznymi: chwilowo żadnych informacji o śmierci Drumma. Zachować wszystko w tajemnicy. - Może ktoś inny mógłby panu pomóc - powiedział.
- Połączę pana.

W słuchawce rozległ się głos kobiety. Przedstawiła się jako sierżant Friedman. Sprawiała wrażenie przygnębionej.

Dansk postarał się nadać swemu głosowi władczy ton.

- Mówi Morgan Scholes. Jestem ojcem Amandy Scholes. Zostawiła mi wiadomość na automatycznej sekretarce, że zamierza się spotkać z porucznikiem Drummem, że Rhees padł ofiarą napadu i leży w szpitalu. Czy może jest gdzieś w pobliżu? Czy mogę z nią rozmawiać?

- Dopiero co wyszła, panie Scholes.
- Ojciec i córka, mijamy się jak owce w ciemności. Może wie pani, dokąd się udała?

Betty Friedman milczała przez moment.

- Opuściła komendę z naczelnikiem Kellowayem i porucznikiem Womem.
- Powiedziała, dokąd się wybiera?
- Wiem jedynie, że udali się na jakieś spotkanie.
- W którym szpitalu leży Rhees?

- W tej chwili jest tutaj. Lekarz dał mu zastrzyk przeciwbólowy, usnął.

- Co za świat - powiedział Dansk. - Do czego to podobne, by chuligani mogli zwyczajnie włamać się do domu? - Cmoknął z irytacji i niedowierzania. Reakcja starszego pana, wyrażająca niezadowolenie ze stanu współczesnego społeczeństwa.

- Chce pan zostawić wiadomość? Jeśli ją zobaczę, przekażę jej, że pan dzwonił.

- Proszę nie robić sobie kłopotu. Jestem pewien, że wkrótce się ze mną skontaktuje.

A więc wzięli się do roboty, udali się na jakieś spotkanie. Domyślał się, że z panią Vialli, bo z kimże innym? Sprawdzą ją. „Kwiaty na urodziny i kartka, która wydała jej się podejrzana”. Partactwo Loeba, pomyślał. Korespondencja należała do jego obowiązków, ale nie zwracał uwagi na niuanse, dobór słów i takie podstawowe rzeczy jak dokładne daty urodzin. Mama. Mamuśka.

A Rhees drzemał w budynku komendy policji nafaszerowany środkami przeciwbólowymi. Wkrótce się obudzi i będzie musiał opuścić komendę, Amanda będzie go pchała w wózku inwalidzkim, jakie to wzruszające, zakochani troszczący się o siebie nawzajem. Bądź moją Walentynką.

Przypomniawszy sobie, że raz w życiu otrzymał kartę na dzień świętego Walentego. Miał dwanaście lat. Na kartce była olbrzymia, czerwona róża i słowa „Kocham się w Tobie skrycie”. Zastanawiał się, kto ją wysłał, miał nadzieję, że Louise Andersen, która splatała swe blond włosy w grube warkocze i nosiła śliczne sukienki. To o niej myślał podczas pierwszej masturbacji; siedział na klopie, śliski płątały mu się wokół kostek, wyobrażał sobie, co się znajduje pod jej sukienką i majteczkami, i onanizował się. Później już nigdy nie było tak, jak podczas tamtego pierwszego razu. Ten gorący wytrysk, odskrycie tajemnic własnego organizmu, o których istnieniu nie miał wcześniej pojęcia.

Ale kiedy się przyjrzał pismu na kopercie, rozpoznał rękę matki. Kartka walentynkowa od własnej matki.

Wyjął z walizki rugera i obejrzał go uważnie. Dokładność konstrukcji robiła wrażenie. Gdyby mógł się zamienić w krasnoludka, chętnie wszedłby do środka, pomaszerował przestronnym, cylindrycznym pasażem lufy do nabojów wielkości główki nuklearnych.

Wsunął pistolet z tyłu za pasek spodni. Marynarka zgrabnie go skrywała. Pomyślał: życie może być piękne, Anthony. Życie to niekonieczne żalosne walentynki od rodzonej matki.

Spojrzał na siebie w lustrze.

Dansk o chłopięcej buzi.

Był gotów.

Bernadette Vialli nie odpowiadała na gong u wejścia. Jej brązowa toyota stała w garażu, Kelloway próbował otworzyć drzwi prowadzące z garażu do domu, ale były zamknięte na klucz.

Sonny Wom, który zniknął za rogiem domu, by zajrzeć przez okno, wrócił i powiedział:

- Nie zauważyłem nikogo w środku, tylne wejście jest zamknięte. Dom sprawia wrażenie pustego.

Amanda wdychała gorące powietrze pachnące olejem silnikowym i roztworem do usuwania powłok malarskich. Wyszła, stanęła koło krzewu sumaka i spojrzała na okna na piętrze, na zaciągnięte zasłony w pokoju, który mógł być sypialnią pani Vialli. Wpół do drugiej, a okno zasłonięte. Może zażyła pigułki na sen i nie słyszała telefonu.

Kelloway wynurzył się z cienia. Temperatura dochodziła do czterdziestu stopni.

- Spróbujemy ostatni raz. - Nacisnął guzik obok drzwi. Rozległ się przeciągły, irytujący dźwięk gongu.

Amanda znów spojrzała na cienkie zasłony w kwiatowy deseń. Wyobraziła sobie światło wpadające do pokoju przez przejrzysty materiał. Wyszła na chwilę z cienia, ale cofnęła się, jak tylko poczuła na sobie palące promienie słońca. Świat płonął. Ten klimat stanowił karę dla człowieka.

Na skraju trawnika pani Vialli pojawiła się chuda kobieta w bermudach i luźnej, jedwabnej bluzce. Podejrzliwie ściągnęła usta.

- O co chodzi? - spytała.

Kelloway pokazał jej swoją legitymację, co ją trochę uspokoiło. Przedstawiła się jako sąsiadka, pani Christian.

- Coś się stało Bernie? - spytała.

- Czy normalnie sypia tak długo? - spytał Kelloway.

- Zazwyczaj jest na nogach od świtu.

- Widziała ją pani dzisiaj?

Pani Christian pokręciła głową.

- Jej samochód jest w garażu, a nikt nie odpowiada na dzwonek u drzwi - powiedział Kelloway.

- Może jest chora - zaniepokoiła się kobieta. Zamilkła na chwilę, a potem oświadczyła: - Trzeba wejść do środka i sprawdzić, mam klucz. Bernie lubi, żebym miała wszystko na oku, kiedy gdzieś wyjeżdża. Podlewam jej kwiatki. Pilnuję domu.

- Jeśli nie sprawiłoby to pani kłopotu - powiedział Kelloway.

- Zawsze pomagam policji, taką mam zasadę.

Kobieta wyciągnęła z kieszeni ciężki pęk kluczy. Odczepiła jeden i wręczyła go Kellowayowi. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Amanda i Wom podążyli za nim, ale pani Christian przezornie została na progu.

W domu panowała ponura cisza. Amanda przystanęła u podnóża schodów, podczas gdy Kelloway i Wom sprawdzali pomieszczenia na parterze. Jej wzrok przyciągnęły cienie u szczytu schodów. Gorące powietrze zostało uwięzione w domu.

- Nic - powiedział Kelloway.

Wom już wchodził na górę, Kelloway za nim. Amanda ruszyła za nimi, nie mogła odpędzić od siebie myśli o pokoju z zaciągniętymi zasłonami.

Kelloway wszedł do sypialni. Prześcieradło było odwinęte, poduszki zmięte, ale pani Vialli nie było w łóżku. Rozsunął zasłony i

pokój zalało światło. Amanda zmrużyła powieki i wyszła na korytarz, gdzie Wom już otwierał drzwi prowadzące do pokoju, który kiedyś z pewnością zajmował Benny Vialli. Na ścianach plakaty gwiazd sportu, Magie Johnson zatrzymany w kadrze podczas wyskoku do kosza, parę starych plakatów rockowych, Madonna ścisnąca się za krocze, zdjęcie The Rolling Stones, zanim zostali kapitalistami.

Amanda wycofała się z dawnego pokoju Benny'ego. Po drugiej stronie korytarza zobaczyła lekko uchylone drzwi do łazienki. Ciemnopurpurowe kafelki, brzoskwiniowe ręczniki na wieszaku, apteczka z lustrzanymi drzwiczkami, w których odbijał się fragment wnętrza. Amanda podeszła do drzwi i przystanęła. Dostrzegła coś w lustrze. Szyna w kabinie prysznicowej pod dziwnym kątem, skręcona zasłona. Kelloway wyrósł za jej plecami. Minał ją i wszedł do środka. Wom, idący tuż za nim, zasłonił Amandzie widok.

- Eureka - powiedział Kelloway.

Amanda lekko się przesunęła, spojrzała nad ramieniem Woma i zobaczyła, że jeden koniec szyny jest wyrwany ze ściany, zasłona się zsunęła. Wokół szyny okręcony był kawałek linki, Bernadette Vialli leżała w środku tej gmatwaniny z pętlą na szyi, kilka kroków dalej było przewrócone krzesło.

Amanda przecisnęła się obok Woma do łazienki. Kelloway wyciągnął rękę, próbując ją zatrzymać, ale już go minęła i uklękła nad Bernadette Vialli. Z otwartych ust kobiety zwisał spuchnięty język. Szlafrok był wilgotny, wielkie, śmieszne kapcie zsunęły się z białych stóp na podłogę.

Amanda patrzyła na nylonową linkę, na węzeł, na sposób, w jaki się wpił w szyję martwej kobiety, na purpurowe otarcia spowodowane pętlą. Kelloway się pochylił, dotknął ramienia Amandy i powiedział coś w rodzaju, że to nie widok dla niej. Ale Amanda zignorowała jego słowa, całą uwagę skupiła na wytrzeszczonych oczach kobiety, nabiegłych krwią białkach, czarnych źrenicach i smudze kremu na powiekach. Zastanawiała się, czy to prawda, że siatkówka

oka zapamiętuje ostatni widziany obraz, czy też to bzdura, wymysł. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Ten krem nie dawał jej spokoju.

- Stała na krześle i przewróciła je kopnięciem - powiedział Kelloway. - Domyślam się, że szyna wytrzymała wystarczająco długo, by kobieta się udusiła.

- Nie kupuję tego - oświadczyła Amanda.

- Niech zgadnę. Uważa pani, że Vialli została zamordowana, a potem powieszona - rzekł Kelloway.

- Dokładnie tak sądzę.

- Przez tajemniczego Danska.

- Lub jednego z jego pomocników.

- Nie ma śladu włamania - zauważył Wom. - Żadnych stuczonych szyb w oknach, żadnych zniszczonych zamków, nic z tych rzeczy.

- Czyli, że otworzyła drzwi komuś, kogo znała - powiedziała Amanda i w końcu oderwała wzrok od Bernadette Vialli. Pomyślała, że pognieciona, plastikowa zasłona prysznicowa z malutką metką „Kaeskoo Products, Seul” nie jest najlepszym całunem.

- Mówi pani, że Vialli znała zabójcę? - spytał Kelloway. - Jak to możliwe?

Amanda się wyprostowała.

- Nie wiem.

Kelloway milczał przez chwilę.

Pomyślała o Dansku i o tym, jak ją śledził. Widocznie obserwował, jak Drumm wszedł do tego domu, rozmowa policjanta z panią Vialli musiała go zaniepokoić do tego stopnia, że polecił zabić Williego i Bernadette. Zamknijmy ten rozdział, pomyślał sobie. Zduśmy to w zarodku.

Amanda wyszła z łazienki. Czowała się źle, kręciło jej się w głowie. Kelloway podążył za nią.

Wom został z tyłu, z notesem w małej dłoni, skryba śmierci.

- Wykluczone, by to było samobójstwo - oświadczyła.

- Proszę mnie przekonać - powiedział Kelloway.
- Wokół oczu zostały resztki kremu nawilżającego. Uważa pan, że wklepała krem w twarz, a potem się powiesiła?
- To spekulacje, nic więcej. Może zaczęła nakładać krem, a potem się rozmyśliła. Do diabła, widziałem samobójców w smokin-gach. Musi się pani lepiej postarać.

Walczyła z antypatią do tego człowieka. Ale musiała pogodzić się z faktem, że potrzebowała go, była śmiertelnie zmęczona rozwiązywaniem tej zagadki na własną rękę, a za nim stała cała instytucja, której pomoc była jej niezbędna. Będzie znosiła jego sceptycyzm, jego szorstkie maniery, póki da radę.

Zatrzymała się w połowie schodów. W holu pojawił się umundurowany policjant. Był to sierżant Thomas Gannon, którego ostatnio widziała na pustyni podczas bezowocnych poszukiwań Isabel. Dotknął wąsików, skinął jej głową, a potem spojrział na Kellowaya.

- Udałem się do Hideaway Knolls - poinformował Gannon. - Jedyne mężczyzna, przypominający rysopis, podany przez pannę Scholes, wyjechał dziś rano. Zameldował się jako John J. Coleman.

Kelloway spojrział na Amandę.

- Dansk opuszcza hotel, teraz to samo robi ten facet. Ci ludzie mają talent do znikania w samą porę, prawda?

Amandę ogarnęły duszności. Czowała się tak, jakby oplatały ją jakieś włókienka i bez względu na to, jak bardzo próbowałyby je zdrapać pazurami, i tak przywierały do skóry. Ludzie znikali z hoteli, z tego świata.

- Mam również wiadomość dla pana, panie naczelniku - powiedział Gannon. - Ktoś z Ministerstwa Sprawiedliwości spotka się z panem o piątej w pańskim gabinecie.

- Szybko zareagowali - zauważył Kelloway.
- Widocznie ten facet był akurat w Los Angeles, przekazano mu pańską prośbę, wsiadł do pierwszego samolotu - powiedział Gannon.

- Mamy szczęście - stwierdził Kelloway.

Mamy szczęście, pomyślała Amanda. Czego nie można powiedzieć o pani Vialli.

Zeszła ze schodów i minawszy Gannoną, znalazła się na bezlitosnym słońcu. Zapaliła papierosa, wciągnęła dym w płuca i zastanowiła się, gdzie jest teraz Dansk, w jakim zakątku miasta się ukrywa, jaki planuje następny krok.

Eddie McTell i Bruno Pasquale siedzieli w dużym, bezbarwnym, pustym holu motelu Sidewinder, gdzie panowała atmosfera jak w instytucji charytatywnej, prowadzonej przez zubożały zakon religijny, dawno temu ekskomunikowany.

- Mam powyżej dziurek w nosie takich nędznych nor - powiedział McTell. - Chcę do Tijuany. Zaprowadźcie mnie do burdelu. Wolę pić tequile, trzymając na kolanach jakąś gorącokrwistą cicię. Pora się stąd zmywać.

- Nigdy nie byłem w Meksyku - rzekł Pasquale.

- Zabiorę cię tam pewnego dnia, Bruno. Komu potrzebne takie zawszone dziury jak ta? Pipidówa. Chryste.

Pasquale rozsiadł się wygodniej. Wyobrażał sobie Meksyk tak, jak to pokazywali na filmach, młodzieńców z gitarami przechadzających się pod fikuśnymi balkonami z kutego żelaza.

- Słyszałem, że urządzają tam walki kogutów. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

- Kupa krwi, piór i fruwających flaków. Spodobałoby ci się.

Przez jakiś czas Pasquale milczał.

- W ciąż myślę o tym Loebie, z którym się spotkałem. Machnął mi przed nosem imponującą legitymacją, robiła wrażenie. To ważna persona. Siedzi na samej górze. Wie wszystko, Eddie. Wie o wszystkim, co robiliśmy dla Danska. Nie mówię tylko o ostatnich akcjach.

I mamy go informować o każdym poleceniu Danska, tylko tak, żeby Dansk się o tym nie dowiedział.

- Moim zdaniem sprawdza Tony'ego ze Znamieniem - powiedział McTell. - Coś jakby ocena skuteczności. Jak Dansk działa. Może Loeb nabrał jakichś podejrzeń, co wcale by mnie nie zdziwiło.

- Nie lubię nikogo szpiegować, Eddie. - Jeśli ten Loeb to gruba fisza, zapomnij o wszelkich skrupułach.

- Dał mi numer swojego telefonu, mamy do niego dzwonić i informować go na bieżąco - powiedział Pasquale.

- Nie mam nic przeciwko temu - oświadczył McTell. - Dansk ma nierówno pod sufitem. - Popukał się palcem w głowę. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, Chłoptys ze Znamieniem dostał bzika na punkcie tej dziwki. Kiedy o niej mówi, głos mu się zmienia. Czasami myślę, że jest zafascynowany śmiercią, zawsze marzył o tym, by się przejść ciemną stroną ulicy, zobaczyć, jak żyją tacy faceci, jak ty i ja. Tylko nie przyznawał się do tego, nawet przed samym sobą, a teraz pojawiła się ta kobieta i krew w nim zawrzała, nagle wyszedł z ukrycia i pragnie pociągnąć za cyngiel. Jakby się na nią zawziął.

Pasquale bawił się papierową serwetką, składał ją, naddzierał w różnych miejscach, a kiedy w końcu ją rozłożył, przypominała rząd tancerek rewiowych.

- Nie podobał mi się ten numer z potrąceniem faceta i ucieczką z miejsca wypadku - powiedział.

- W dodatku chodziło o gliniarza - zauważył McTell.

- Cel to cel - powiedział Pasquale. - Nie mam żadnych skrupułów, kogo załatwiam. Chodzi o ten głupi mały niemiecki wóz w pełnym blasku dnia.

- Wspomniałeś o tym Loebowi?

- Nie. Uważasz, że powinienem?

- Loeb chce wiedzieć, ty masz mu mówić, stary.

- Czyli twoim zdaniem powinienem powiedzieć Loebowi?

McTell pociągnął łyk piwa i skinął głową. Pasquale umieścił podstawkę pod kufel na brzegu stołu, podrzucił ją ręką i obserwował, jak wylatuje w górę. Złapał ją, kiedy spadała, niczym plastikową tarczę frisbee.

- Mam opory, jeśli chodzi o donoszenie na Danka.

McTell wzruszył ramionami.

- Jeśli o mnie chodzi, nie wahałbym się gadać z Loebem. Jak chcesz, daj mi jego numer, sam do niego zadzwonię, bo mam niejedno do powiedzenia na temat Danka.

Pasquale wyciągnął z portfela świstek papieru i położył go na stole.

- Proszę.

- Chcesz zadzwonić pierwszy? - spytał McTell.

- Po tobie, Eddie.

- No tak - powiedział McTell. - Zawsze ja muszę przełamywać pierwsze lody.

Jadąc na tylnym siedzeniu, Amanda myślała o Williem Drummie i Bernadette Vialli. Wyobraziła sobie owe małe pomniki bohaterów wojny, jakie się czasami widuje na skwerkach w cichych miasteczkach, nazwiska mężczyzn i kobiet poległych gdzieś daleko na wojnach za to, co powszechnie się określało mianem „wolności i demokracji”. Śmierci Williego i Bernadette Vialli nie można było podciągnąć pod takie górnolotne hasła. Zabito ich z przyczyn, które nie miały nic wspólnego z patriotyzmem, honorem czy jakimikolwiek napuszonymi frazesami wykutymi w granicie, by ukryć fakt ludzkiego poświęcenia i rozlewu krwi.

Zabito ich przez Danksa, przez to, czym Dansk się zajmował, a co wyraźnie nie ograniczało się tylko do sprawy Sancheza. Bo gdyby tak było, Bernadette Vialli nadal żyłaby sobie spokojnie w swoim domku na przedmieściu.

Tu chodzi o coś innego, pomyślała.

Willie dopatrywał się jakiegoś motywu osobistego, ale nie przekonał jej. Gra toczyła się o coś więcej, lecz nie wiedziała o co; cokolwiek to było, nie potrafiła tego zgadnąć. Żałowała, że nie ma Williego, by z nim o tym porozmawiać. Pragnęła, by zmartwychwstał.

Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Miasto zbudowane z betonu i szkła. Pomiędzy domami zalegały smutne, niebieskie cienie.

Prowadził Wom, Kelloway siedział na miejscu dla pasażera, zwrócony przodem do Amandy.

- Wspomniała pani, że pani Vialli dostała kartkę urodzinową od swego syna, miała również taśmę z nagraniem - powiedział Kelloway. - Nie znaleźliśmy ich.

Amanda nic nie powiedziała. Spoglądała na okna wysokich budynków. Znów wyobraziła sobie snajpera, lunetkę przytwierdzoną do jego karabinka o dalekim zasięgu, kulę roztrzaskującą jej czaszkę. Witamy ponownie wśród paranoików, oferujemy podwójny niepokój za cenę pojedynczego, a barman ma rysy twarzy Danska. Gapiła się w wyjątkowo głęboką bruzdę nad karkiem Kellowaya.

- Willie rozmawiał z Lewisem Bascombe'em o Dansku - powiedziała. - Powinien pan pójść tym tropem.

- Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli zrobimy to tak, jak ja uznam za stosowne, prawda? - spytał Kelloway.

- Bascombe miał sprawdzić i poinformować Williego...

- Powiedziałem, że zrobimy to po mojemu - powtórzył Kelloway.

Amanda zamilkła. Dlaczego nie zwrócić się teraz bezpośrednio do Bascombe'a? Dlaczego go nie przycisnąć? Zastanawiała się, czy rozmowa z Kellowayem ma jakiś sens. Zdawał się słyszeć tylko to, co chciał.

Spojrzała na cyfrowy zegarek na tablicy rozdzielczej. Czwarta trzydzieści dwie. Ktoś z Ministerstwa Sprawiedliwości miał się pojawić o piątej, ktoś, kto odpowie na pytania, rozproszy obawy i podejrzenia. Akurat.

Wom zaparkował samochód przed budynkiem komendy. Amanda wysiadła na skwarne popołudnie. Nie miała ochoty wchodzić do monolitycznego, szarego gmachu. Nie miała ochoty spotykać się z tym kimś z Ministerstwa Sprawiedliwości, kto przedstawi wiarygodną historyjkę, będzie miał elegancką białą koszulę i dar przekonywania.

Podążyła za Kellowayem i Sonnym Womem do chłodnego wnętrza.

- Sprawdź, jak się czuje John - powiedziała.
- Proszę bardzo.

Kelloway zaprowadził ją korytarzem do malutkiego pokoiku. Otworzył drzwi. Rhees leżał na wąskiej kozetce. Sama weszła do środka i zbliżyła się do łóżka. Rhees był otępiący po środkach przeciwbólowych.

- Jak się czujesz? - spytała.
- Śniło mi się, że byliśmy na Fidzi i piliśmy mleko kokosowe, tylko to nie było mleko, lecz atrament. Potrafisz coś z tego wywnioskować?

- Nie. Wciąż cię boli?
- Trochę mniej - odparł.
- Niedługo mam spotkanie z kimś z Ministerstwa Sprawiedliwości.

- A potem?

Nie знаła odpowiedzi.

- Zobaczymy - rzekła.

Przesunęła delikatnie dłonią po jego twarzy.

- Weź foldery z biura podróży - powiedział. - Na kredowym papierze...

Zamknął oczy i zapadł w sen. Atrament i mleko kokosowe, napisy wyryte na murze podświadomości. Rhees marzył o dalekich wyspach i wakacjach, o ucieczce od koszmaru. Pocałowała go w usta i wyszła z pokoju.

Kelloway i Wom czekali na korytarzu.

- Pójdziemy do mojego gabinetu - oznajmił Kelloway.

Jechali windą w milczeniu. Kiedy drzwi się otworzyły, Kelloway przepuścił ją przodem. Na korytarzu było cicho. W powietrzu wisiała żaloba. Kilku policjantów siedziało za biurkami i bez entuzjazmu przekładało papiery. Stali tu i tam, w drzwiach i wokół dystrybutorów wody, tworząc małe, markotne grupki. Śmierć Drumma wypełniła cały budynek i przypomniała policjantom o tym, że też są śmiertelni.

Panowała ciężka atmosfera. Brakowało tylko ciała Williego w trumnie na katafalku i wieńców jako wyrazów hołdu.

Kelloway wszedł do gabinetu z Sonnym Womem. Podeszedł do biurka i energicznie pomasaował dłonią ramię. Amanda usiadła, walcząc z napięciem. Odpręż się. Przyjdzie ktoś z Ministerstwa Sprawiedliwości, wszystko wyjaśni, zaprowadzi porządek na świecie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział Kelloway.

Otworzyły się drzwi. Amanda się nie odwróciła, by spojrzeć na przybysza.

- Mam nadzieję, że nie kazałem państwu na siebie czekać - usłyszała męski głos.

Kelloway wyszedł zza biurka, by powitać gościa. Amanda lekko odwróciła głowę i ujrzała mężczyznę w czarnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie. Przez ramię przewiesił płaszcz. Miał siwe, rzadkie włosy, chodził, pociągając nogami, jego ruchom brakowało sprężystości.

„Mam nadzieję, że nie kazałem państwu na siebie czekać”. Amanda miała wrażenie cofania się w czasie, podróżowania czymś w rodzaju jednoszynowej kolei pamięci przez tunel wypełniony echemi.

- Naczelnik policji Kelloway? - spytał mężczyzna.

- Tak jest.

- Ale upał - powiedział przybysz i się uśmiechnął. - Jak to wytrzymujecie?

- Człowiek się przyzwyczaja - powiedział Kelloway. - Mniej więcej po dwudziestu latach.

Mężczyzna usiadł. Postawił teczkę na podłodze obok krzesła. Amanda gapiała się na niego. Oczy miał zażawione. Wciąż się cofała w czasie, nadal próbując zaszufładować coś, co wypadło ze swojego miejsca. Ale co to było?

Przybysz otworzył portfel i wyciągnął legitymację. Kelloway spozjrzał na nią i skinął głową.

Mężczyzna odwrócił się do Amandy i spytał:

- A kim pani jest?

Cicho wymówiła swoje nazwisko. Nagle doznała olśnienia.

Pomyślała: ależ oczywiście. Że też od razu się nie zorientowała.

- Przyleciał pan tu z Los, Angeles? - spytała Amanda. - Jaka tam pogoda?

- Słonecznie jak tutaj, ale nie tak gorąco - odparł mężczyzna.

- Co tu ma do rzeczy pogoda? - spytał Kelloway.

- Zwykła babska ciekawość. - Amanda zauważyła cienie pod oczami mężczyzny, usta miał bezbarwne. - Jakimi liniami pan podróżował?

- America West. - Głos miał zgrzytliwy, oddychał z trudem.

- Pan Loeb nie pojawił się tutaj, by rozmawiać o pogodzie czy towarzystwach lotniczych - zauważył Kelloway.

- Proszę mi mówić Ralph - powiedział Loeb.

- Kiedy ostatnim razem byłam w Los Angeles, zatrzymałam się w Marmont - ciągnęła Amanda. - Mieszkał pan w hotelu?

- Nie, u przyjaciela w Westwood - wyjaśnił Loeb.

Sonny Wom cicho wymknął się z pokoju, jakby otrzymał jeden z tych dyskretnych znaków Kellowaya. Kelloway uniósł się za biurkiem. Jego irytacja była niemal namacalna. Amanda kątem oka widziała jego opaloną skórę i białą koszulę.

- Nie przeczę, że ta pogawędka jest wielce sympatyczna - powiedział. - Ale wolałbym, żebyśmy przeszli do rzeczy, Scholes.

Znowu dawne, gołe „Scholes”. Amanda zignorowała Kellowaya i spytała:

- Jak otrzymał pan wiadomość, która tu pana sprowadziła?
 - Przez gołębia pocztowego - powiedział Loeb. Uśmiechnął się blado. - Oczywiście telefonicznie.
 - W Los Angeles. W domu pańskiego przyjaciela w Westwood. Loeb spojrzał na Kellowaya i zapytał:
 - Czy zeznaję pod przysięgą?
 - Jaki jest cel tych pytań, Scholes? - spytał Kelloway.
- Amanda podeszła nieco bliżej do Loeba.
- Kto zadzwonił do pana do Westwood?
 - Kolega z Waszyngtonu - powiedział Loeb, zachowując opamiętanie. - Pozwolę sobie wyjaśnić pani wszystko, panno Scholes. Naczelnik Kelloway skontaktował się z Ministerstwem Sprawiedliwości, prosząc o pilne spotkanie z kimś zajmującym się Programem Ochrony Świadków. Jego prośba została przekazana mnie, ponieważ, po pierwsze, znam zasady funkcjonowania Programu, a po drugie, byłem niespełna godzinę lotu stąd. Czy to wyczerpuje odpowiedzi na pani pytania?
 - Czy ten kolega ma jakieś nazwisko?
- Kelloway spojrzał na Loeba i powiedział:
- Przepraszam cię za to, Ralph. Scholes jeszcze do niedawna była oskarżycielem publicznym, co według niej daje jej prawo zachowywania się jak Wielki Inkwizytor. - Zwrócił się do Amandy, jego spojrzenie było nieprzyjemne, przez ułamek sekundy Amanda odniosła wrażenie, że Kelloway i Loeb nie byli sobie zupełnie obcy. Ale wrażenie było przelotne i znikło równie szybko, jak się pojawiło, zagłuszone gniewnym i ostrym tonem głosu Kellowaya. - Ralph nie przyjechał tu, by się bawić w Małego Śledczego, Scholes, a to nie sala sądowa, jeśli o tym zapomniałaś.
 - Zadałam proste pytanie...
 - Pytanie od rzeczy - przerwał jej Kelloway.
- Loeb się uśmiechnął i powiedział:

- Naczelniku, powinien pan wyposażyć pannę Scholes w hamulec bezpieczeństwa.

- Wydaje mi się, że bardziej przydałby jej się kaganiec - rzekł Kelloway.

- Rozumiem, że może pan nie chcieć zdradzać nam nazwiska swego kolegi z Ministerstwa Sprawiedliwości - zwróciła się Amanda do Loeba. - Tajemnica służbowa i tak dalej. A jeśli chodzi o pana przyjaciela w Los Angeles? Jak on się nazywa?

Kelloway ujął ją mocno za łokieć.

- Poproszę ze mną - powiedział. - Chcę zamienić słówko.

Pozwoliła się wyprowadzić na korytarz, gdzie wyrwała rękę z mocnego uścisku Kellowaya.

- Co, do cholery, pani wyprawia? - spytał.

- On coś kręci, Kelloway.

- Skąd to pani przyszło do głowy?

- Rozpoznałam jego głos.

- Nie rozumiem.

- Dansk dał mi swój numer telefonu do Waszyngtonu. Kiedy zadzwoniłam, odezwała się automatyczna sekretarka, głos na taśmie należał do Loeba.

- Zadzwoniła pani do Danska i usłyszała pani głos Loeba na automatycznej sekretarce. I co z tego?

- To z tego, że obaj są w to zamieszani. Dansk i Loeb. Na rany Chrystusa, są współnikami. Pojawił się tu, by opowiedzieć panu bajeczkę. Powtórzy panu dokładnie to, co Dansk powiedział mnie. Będzie mówił o wewnętrznym dochodzeniu, mającym na celu wykrycie źródła przecieków w Programie. Będzie mówił, że są w trakcie uszczelniania struktury. Już to słyszałam, brzmi bardzo przekonująco, ale nie zamierzam słuchać tego po raz drugi. Dziękuję, postoję.

Kelloway zacisnął dłoń i uderzył nią w nogę.

- A więc nie ufa pani Loebowi. Może do mnie też nie ma pani zaufania, co?

Amanda spojrzała przed siebie. W dystrybutorze wody urosła bańka i pękła na powierzchni. Odwróciła się do Kellowaya. Jego sarkazm sprawił, że poczuła się osamotniona. „Może do mnie też nie ma pani zaufania, co?”. Wiara to delikatne rusztowanie, które się chwije, gdy się po nim wspinać.

- Mówię panu jedynie, że Loeb i Dansk są razem zamieszani w tę sprawę, a Loeb będzie próbował wcisnąć panu jakiś kit - powiedziała. - Jezu, oni to wszystko ukartowali, Kelloway. Wszystko zgrabnie wygląda. Załatwiają to we własnym gronie. Zadzwoń do Danska, usłyszysz głos Loeba. Wiadomości do Danska nie są przekazywane dalej, tylko przechwytywane przez Loeba.

- A więc co my tu mamy? Facetów, którzy weszli w jakiś zło-wrogi układ, by w imieniu Victora Sancheza sprzątnąć paru świad-ków?

- Właśnie. Proszę sprawdzić historyjkę Loeba. Może pan od-szukać numer lotu, którym podobno przyleciał z Los Angeles, i na-zwisko przyjaciela, u którego rzekomo się zatrzymał w Kalifornii. Założę się, że kryje swój tyłek, i nie zaprowadzi to pana donikąd. Potrafi zorganizować dobrze przygotowanych świadków, którzy potwierdzą wszystko, co powie. Stewardesę, która go zapamiętała, starego kumpla z Los Angeles, który powie, że Loeb był gościem w jego domu.

- Sprawdzić historyjkę Loeba. To pani najlepsza rada?

- To moja jedyna rada. To labirynt. Wystarczy raz źle skręcić, by zgubić drogę.

- Czy kiedykolwiek znaczyła pani drogę, rysując kredą strzałki, i od czasu do czasu ma pani niesamowite wspomnienia z przeszłości?

- Kreda brudzi ręce, więc dałam sobie z nią spokój.

Kelloway podwinął rękaw, który zaczął mu się zsuwać z ramie-nia.

- Otóż to, Scholes: daj sobie z tym spokój.

Sonny Wom pojawił się na korytarzu i powiedział:

- Wszystko się zgadza. Pracuje w Ministerstwie Sprawiedliwości.

- Świetnie. Idź do mojego gabinetu i zajmij go przez chwilę, Sonny. Zaraz wracam.

Amanda przypomniała sobie rozważania Williego Drumma dotyczące Danska. „Nie ma nic wspólnego z Programem. Jest wolnym strzelcem”. I ktoś z wewnątrz dostarcza mu informacji, ktoś kupiony i opłacany przez Sancheza. Loeb.

To musi być tak. Złowrogi układ.

- Czyli Loeb to autentyk - powiedział Kelloway.

- Pracuje w Ministerstwie Sprawiedliwości, ale to wcale nie znaczy, że jest...

- Jest uczciwy, póki się nie przekonam, że jest inaczej, Scholes.

- Dobra, dobra. Proszę to rozegrać po swojemu.

- Nadal nie chce pani wysłuchać, co Loeb ma do powiedzenia?

Rezygnuje pani?

- Najpierw muszę pomyśleć o jakimś miejscu, gdzie mogłabym się stąd udać - powiedziała. - Nie uśmiecha mi się przebywanie na ulicy. Nie wiem, co się czai tam, w tych promieniach słońca.

- Może wyłącznie promienie słońca i nic poza tym - odparł Kelloway.

- Mam poważne wątpliwości. Przez chwilę milczał.

- Dlaczego nie zwróci się pani do mnie?

- Zwrócić się z czym?

- Proszę nie udawać takiej nieśmiałej. Potrzebuje pani przysługi.

Coraz bardziej przypominał jej jastrzębia krążącego w nieruchomym powietrzu nad rozpalonymi kanionami i wypatrującego ofiary.

- Nie spodziewam się żadnej przysługi z pana strony - powiedziała. - Nie lubi mnie pan. Temperatura naszych wzajemnych stosunków przypomina tę, jaka panuje w mroźnej tundrze.

Kelloway wzruszył ramionami.

- Mam możliwości. Chce pani stąd bezpiecznie odjechać, prawda? Trzeba też pamiętać o Rheesie.

- Z całą pewnością - przyznała.

- Ale nie podoba się pani pomysł normalnego opuszczenia tego budynku. Przewrażliwiona pani prokurator czuje się osaczona, nie wie, komu ufać. Ma pod opieką niesprawnego przyjaciela, co poważnie ogranicza swobodę jej ruchów.

- Chce pan, bym się znalazła na pana łasce - powiedziała.

- To bardzo pociągająca perspektywa. Gliniarze wkraczają tam, gdzie boi się wejść były anioł sprawiedliwości.

- Drań z ciebie, Kelloway.

- Dranie czasem mają władzę.

- Władzę raz się ma, a raz nie.

- Owszem, ale akurat teraz ją mam, i dlatego jestem pani potrzebny.

- Co pan proponuje?

- Jest pani przekonana, że grozi pani niebezpieczeństwo. W porządku, potrzebna pani ochrona. Myślę o przydzieleniu pani Thomasa Gannona.

Ochrona. Kelloway miał rację pod jednym względem: Rhees ograniczał jej możliwości działania. Ale jeśli odejdzie, będzie to jednoznaczne z pozostawieniem wszystkiego Kellowayowi. On odziedziczy wszystko.

-Czemu zawdzięczam tę propozycję pomocy? - spytała.

- Willie Drumm miał o pani bardzo wysokie mniemanie. Mówił o pani tak, jakby była pani jego ulubioną siostrzenicą czy kimś w tym rodzaju, a to się liczy, jeśli o mnie chodzi, ponieważ lubiłem Williego. Zaskoczona?

Próbowała znaleźć choć cień sympatii na jego twarzy, skrywaną dobroć, ale jego mina niczego nie zdradzała. Widziała jedynie opaloną skórę i ostre rysy. Jeśli żywił jakiegokolwiek uczucia, były one otoczone zasiekami, głęboko ukryte, gdzie nie można było ich dostrzec.

- Ciekawa jestem, czy starczy panu wytrwałości - powiedziała. - Czy też kupi pan wersję Loeba i pozwoli, by wszystko okrył mrok.

Przesunął dłonią po twarzy.

- Proszę pozwolić, że coś pani wyjaśnię. Kiedy powiedziała pani, że Willie zginął, ponieważ ów Dansk pragnął jego śmierci, zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym nie sprawdził pani opowieści, prawda? A więc to robię: sprawdzam pani relację. A w tym czasie zapewniam pani ochronę. Wykonuję swoje obowiązki.

- Ja siedzę na trybunie, a pan gra - oznajmiła. - A Gannon jest moim aniołem stróżem. Co dla pana jest również bardzo wygodne, ponieważ może pana o wszystkim informować, jeśli postanowię się wychylić.

- Do tego to się sprowadza. Znajdźcie sobie bezpieczne miejsce.

Dosłyszała w jego tonie coś znajomego, co jej się nie podobało: mówił jak Dansk podczas ich pierwszego spotkania. „Zgodzisz się nie wtrącać do tej sprawy, a ja w zamian poinformuję cię o wynikach naszych dochodzeń”. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Jej świat stał się zagmatwany i nie miała możliwości własnoręcznie wszystkiego rozwikłać. Kobieta z niesprawnym przyjacielem. Cóż mogła zrobić? Jej pole manewru się zawężyło, możliwości się zmniejszyły.

- No więc jak? - spytał Kelloway. - Czy usłyszę „dziękuję”?

Myślała o lesie i spowijającym go mroku, o wyciu kojotów i żalonym, cichym popiskiwanym ich ofiar. Nie była w nastroju do wyrażania wdzięczności, ponieważ żadnej nie odczuwała. Czuła co innego, pokrewieństwo z tymi mieszkańcami borów sosnowych, którzy żyli w strachu przed nocnymi drapieżnikami, złaknionymi łatwego łupu.

Dansk zaparkował na zboczu góry, którego skrajem wytyczono brukowaną drogę. Tu, wysoko, ludzie majątni wznosili domy, z których rozpościerał się wspaniały widok na rozciągające się w dole miasto. Było to miejsce, gdzie w słoneczny ranek można było stanąć na balkonie i popijając świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, powiedzieć: „Dzięki ci, Panie Boże, osiągnąłem wszystko”. Może przez chwilę któryś z nich pomyśli o wyrobnikach harujących w mieście daleko w dole, o zamiataczach ulic, dozorcach i służących, o wszystkich robotnikach dniówkowych i nielegalnych imigrantach, którzy tyrają tam w pocie czoła, aby oni mogli mieszkać tu, trochę bliżej nieba.

Wysiadł z samochodu i ruszył w zapadającym mroku w stronę kutego ogrodzenia. U końca podjazdu z różowego, łupanego kamienia stał dom. Brama nie była zamknięta. Może ludzie tu, w górze, uważają, że nie osiągną ich przestępcy z miasta. Może czują się tu całkiem bezpieczni, świadomi krążących samochodów prywatnych firm ochroniarskich.

Dansk pchnął skrzydło bramy i usłyszał, jak żwir zachrzęścił pod jego butami.

Z wnętrza domu dobiegł go elektroniczny sygnał, słaby, ale wyraźny. Domyślił się, że przekraczając bramę, spowodował uruchomienie niewidzialnego alarmu. Dźwięk ustał i przed domem pojawił się mężczyzna. Ubrany był w schludne, brązowe spodnie i białą,

bawełnianą koszulkę polo. Siwe włosy miał starannie podstrzyżone. Dansk się uśmiechnął i dalej szedł w kierunku mężczyzny.

Kiedy był jakieś dwa metry od niego, zatrzymał się. Mężczyzna spoglądał groźnie. Dansk próbował dopatrzeć się w jego rysach jakiegoś podobieństwa do Amandy, ale nadaremnie. Pamiętał, że Morgan Scholes jest wdowcem, i ciekaw był, jak dawno zmarła jego żona.

- Przepraszam za to wtargnięcie - powiedział Dansk.

Morgan Scholes miał białe włosy na rękach.

- Na bramie jest tabliczka „Zakaz wstępu” - poinformował. - Nie wisi tam dla ozdoby.

- Musiałem nie zauważyć - powiedział Dansk. Morgan Scholes miał władczy głos. Przywodził na myśl zrzędliwą niecierpliwość, kontrolowaną wojowniczość. Bezwzględny kapitalista, pomyślał Dansk. Rozgramia konkurencję, gromadzi olbrzymi majątek, niszcząc wszystko, co mu stanie na drodze.

- Oto moja legitymacja. - Dansk wciąż się uśmiechał.

Morgan Scholes spojrział na dokument wydany przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Ten widok trochę zmniejszył jego agresywność.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Chodzi o pańską córkę - wyjaśnił Dansk. - Chciałbym zamienić z panem kilka słów.

- Najpierw chodźmy z tego cholernego skwaru - zaproponował Morgan Scholes.

Dom pełen był łuków, meksykańskich kafelków, ceramicznych naczyń i dzieł sztuki Zachodu. Dansk poszedł za Scholesem do pokoju obwieszanego obrazami olejnymi przedstawiającymi kowbojów.

- Proszę usiąść - powiedział Scholes. - Coś do picia?

- Może coś zimnego - poprosił Dansk. Nie usiadł. Nigdy nie siadał na komendę, tak robią tylko psy.

Scholes udał się do kuchni. Dansk przyjrzał się uważnie kilku oprawionym w ramki zdjęciom stojącym na kredensie: Amanda w dniu rozdania dyplomów, w todze i czapce z kwadratowym denkiem, gotowa strącać dojrzałe owoce z drzewa świata. Wyglądała świeżo i niewinnie, jakby dopiero co się urodziła. Na jej ustach błąkał się lekki, zagadkowy uśmiech, ale na twarzy malowała się skrywana stanowczość. Przesunął palcem po szkle, wydało mu się, że niemal czuje ciepło jej ciała, miękkość ust. Następne zdjęcie przedstawiało kobietę w kostiumie kąpielowym. Podobieństwo do Amandy było wyraźne, a więc to musiała być jej zmarła matka. Miała wyzywające usta, patrzyła prosto w obiektyw, jakby prowokowała fotografa do rozebrania jej.

Morgan Scholes wrócił, niosąc dwie lodowato zimne puszki piwa korzennego. Podał jedną Danskowi.

- A więc w co się teraz wplątała moja córka? Ciągnie ją do kłopotów jak muchę do gnoju. W jednej chwili porzuca pracę, w następnej biega wkoło, robiąc wielką aferę z powodu jakiegoś trupa wyrzuconego przez rzekę. Zbyt zajęta, by porozmawiać ze mną przez telefon, to pewne.

- Jest kobietą niezależną - powiedział Dansk. Pociągnął łyk napoju. Chemikalia nasycone kwasem węglowym.

- Nie powiedziałbym, że niezależna, raczej uparta. Zaryje nogami i ani drgnie. A więc co się stało?

- Muszę jej zadać kilka pytań - powiedział Dansk. - Chodzi o wyjaśnienie pewnych kwestii dotyczących tamtego topielca, to wszystko. - Zdumiewał go spokój, który czuł. Zupełnie jakby puls spadł mu do pięciu uderzeń na minutę, a nerwowość ukończyła środki uspokajające. - Ale mam trudności z dotarciem do niej. Próbowałem szczęścia w jej domu w Scottsdale.

- Witam w klubie.

- Czy domyśla się pan, gdzie może być córka?

Morgan Scholes pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.
- Rozumiem, że gdzieś w okolicach Flagstaff ma jeszcze jakiś domek - powiedział Dansk.
- Tam też próbowałem się dodzwonić, bez powodzenia.
- Gdzie dokładnie znajduje się domek?
- Dlaczego pan pyta? Myśli pan, że Amanda tam jest, tylko nie odbiera telefonów?
- Może tam jedzie - rzekł Dansk. - Nie wiem. Muszę uwzględnić wszystkie ewentualności.
- Widzi pan, sam zbudowałem ten domek. Tymi rękami. - Morgan Scholes uniósł w górę ręce. - Chodziło o azyl przed całym światem.

Człowiek, który do wszystkiego doszedł sam, pomyślał Dansk.

- Ale nigdy nie spędzałem dużo czasu w tym cholernym domku. Byłem zbyt zajęty. Oto i historia mego życia.

Dansk się zastanawiał, jak długo uda mu się zachować uśmiech na twarzy. Zaczynał odczuwać szczękościsk.

- Myślałem, żeby się tam wybrać. Może będę miał szczęście i zastanę tam Amandę.
- Jeśli jej tam nie ma, na próżno zrobi pan kawał drogi.
- Zaryzykuję - powiedział Dansk. - Chciałbym się dowiedzieć, jak tam dojechać.

Scholes się zawahał.

- Cholernie trudno tam trafić.
- Rozumiem, ale to bardzo ważne, żebym się z nią skontaktował, w przeciwnym razie nie zawracałbym panu głowy.

Scholes wstał z oparcia fotela, na którym przysiadł. Obrzucił Danską taksującym spojrzeniem. Przez moment wydawało się, że starszy pan odmówi udzielenia informacji.

- Potrzebna będzie panu mapa - powiedział w końcu. Podszedł do biurka, wyjął z szuflady kartkę papieru i pióro.

Dansk obserwował, jak starszy pan rysuje na papierze równiutkie linie.

- Trzeba wyjechać z Flagstaff szosą numer czterdzieści na zachód. Przejechać jakieś dwadzieścia kilometrów. Z prawej strony będzie droga, słabo oznakowana, jeśli nie liczyć wiekowej tablicy z napisem „Zakaz polowania”. Litera są wyblakłe. Oznaczę to miejsce krzyżykiem. Należy przejechać tą drogą jakieś osiem kilometrów. Po trzech kilometrach natknie się pan na most nad strumieniem. Oznaczam ten punkt literą M. Radzę tam jechać wolno, ponieważ mostek jest zmurszały. Po drugiej stronie jest dukt, który niełatwo znaleźć, taki jest zarośnięty. Nie zapuściłbym się za most żadnym ze swoich samochodów, chyba że wozem z napędem na cztery koła. Droga jest wyboista.

Dansk wpatrywał się w mapę. Krzyżyk, gdzie trzeba skręcić. M, gdzie most.

- Będzie pan jechał tą drogą jakieś półtora kilometra, aż do rozwidlenia. Należy się trzymać prawej strony. Widzi pan tę linię, którą rysuję?

To jedyna droga dojazdowa do domku, jest cholernie wąska, proszę uważać, by z niej nie zjechać. Jeśli skręci pan w lewo, zabłądzi pan.

- A więc na rozwidleniu w prawo.

- Tak jest. Nie ma tam niczego, co mogłoby stanowić jakieś punkty orientacyjne, z wyjątkiem miliona drzew, ale one wszystkie wyglądają identycznie. To D oznacza domek. A jeśli spotka pan moją córkę, proszę jej powiedzieć, że niezbyt jestem z niej zadowolony. - Scholes wręczył Danskowi kartkę papieru.

- Jestem zobowiązany - powiedział Dansk.

- Jeśli w tym czasie Amanda przypadkiem zadzwoni, powiem jej, że jej pan szuka. Ma pan numer, pod którym można się z panem kontaktować?

Niebezpieczna chwila. Dansk czekał na to, spodziewał się tego. Przypuśćmy, że Amanda dzwoni do ojca. Ojciec mówi jej, że pytał o nią niejaki Dansk. Nie może do tego dopuścić. Serce mu mocniej

zabiło, zaczął niewyraźnie widzieć, gapił się na Morgana Scholesa, którego nagle spowiła jakaś mgielka.

- Coś nie tak? - spytał Scholes.

Dansk pomyślał: zrób to, zrób to teraz.

Wyciągnął zza pasa rugera i z odległości półtora czy dwóch metrów strzelił Scholesowi w głowę. Poczul szarpnięcie, przypomniał sobie drgnięcie kija bejsbolowego, kiedy uderzył Skippera Klintza. Cofnął się o te wszystkie lata, przez mroczne korytarze czasu, i nawet kiedy Scholes się zachwiał, Dansk widział Skippera Klintza, chłopaka ostrzyżonego na rekruta, i śnieg prószący w ciemnościach, i krew na śniegu, i przestraszonego kota uciekającego pomiędzy pojemnikami na śmiecie. Dansk opuścił broń i podszedł do Scholesa, który upadł na biurko, strącając przycisk do papieru, wykonany z kamienia i ozdobiony jakimiś znakami Indian Nawaho.

Kiedy się trafi do Blood Bijou, trzeba się liczyć z możliwością strat, pomyślał Dansk.

Na mapie, którą naszkicował dla niego Scholes, widniało kilka plam krwi. Zabrał ją, podszedł do drzwi, zawahał się, potem wziął zdjęcie Amandy z uroczystości rozdania dyplomów. Opuścił dom i ruszył dróżką, tym razem nie słyszał chrzęstu żwiru pod butami. Cholera, cholera - myślał.

Dotarł do samochodu. Jakiś czas siedział bez ruchu, broń schował z powrotem do papierowej torby. Zdjęcie młodej Amandy leżało na jego kolanach. Spojrzał w jej twarz. Amanda na moich kolanach. Amanda dotykająca mego przyrodzenia. Zaczął skubać opuszek palca. Zabiłem człowieka. Spoglądał w dół w kierunku miasta okrytego całunem wyziewów. Nagle włączyły się latarnie. Płomień życia Scholesa zgasł, a włączono latarnie, niczym iluminacje mające uczcić zgon starszego pana.

Zadzwoił telefon. Ujął aparat w odrętwiałą dłoń.

- Opuściła gmach. Jest z Rheesem - poinformował McTell.

Dansk czuł się oderwany od rzeczywistości. Gmach - słowo зда-
wało się mieć jakieś znaczenie. Musiał sobie przypomnieć, o co cho-
dzi. Gmach. Komenda policji.

- Jest drobny problem, Anthony - powiedział McTell. - Jedzie
jednym z tych dżipów z napędem na cztery koła, za kierownicą sie-
dzi policjant. Wygląda na to, że załatwiła sobie ochronę.

Ochrona. Dansk zamknął oczy.

- Czy towarzyszy im jakiś inny wóz?

- Nie zauważyłem.

- Czy Rhees jest z nią? - Zabiłem faceta i nic nie czuję.

- Tak. Jakim cudem dali jej ochronę, Anthony? A więc osta-
tecznie gliny uwierzyły w jej historyjkę? Coś, czego nie wziąłeś pod
uwagę?

Dansk coś dosłyszał w głosie McTella, jakby satysfakcję.

- Gdyby kupili jej historyjkę, przydzieliliby jej więcej niż jed-
nego policjanta, McTell. Wierz mi. Jechałby za nimi drugi samo-
chód, który zauważyłbyś z odległości kilometra. Jest traktowana
protekcjonalnie. Ten policjant to kondom, który może nałożyć na
swoje lęki.

- Skoro tak twierdzisz - powiedział McTell bez przekonania.

Dansk był trochę oszołomiony, myśląc o tym niespodziewanym
policjancie. Facetka ma ochronę, będziesz się musiał tym zająć. Wy-
nikają różne nieprzewidziane sytuacje, którym trzeba stawić czoło.
Prawo Danska.

Jeden gliniarz to jeszcze nie tragedia. McTell i Pasquale mogą w
odpowiedniej chwili go unieszkodliwić. Reszta należała do niego.
Wszystko przybierało odpowiedni kształt i układało się w całość.
Wszystko miało swoje wyznaczone miejsce. Przyszłość nie stanowi-
ła przed nim żadnej tajemnicy.

- Gdzie dokładnie są?

- Jadą I-17 - powiedział McTell. - Minęli wyjazd na Thunder-
bird.

- Jedź za nimi.

Wybrał numer Pasquale i spytał:

- Gdzie jesteś?

- Niech spojrzę. Na Indian School Road, w pobliżu autostrady międzystanowej.

Dansk wyjął ze skrytki mapę. Przesunął palcem prosto na północ. Tak jak przypuszczał: potrafił ją przejrzeć na wylot. Znam cię, skarbie. W odmiennych okolicznościach mogliśmy być sobie bliscy, a to pokrewieństwo dusz doprowadziłoby do innego wyniku, ale teraz siedzę z rugerem w brązowej, papierowej torbie i z twoim zdjęciem na kolanach i myślę o nieszczęśliwych zakończeniach.

- McTell mówi, że towarzyszy im policjant. Nie podoba mi się to - powiedział Pasquale.

- Nic się nie martw, Pasquale.

Dansk przejechał kilka kilometrów. Wszystko sobie ułożył w głowie, pozostały tylko kwestie techniczne.

Znów zadzwonił do McTella.

- Wciąż żadnego śladu drugiego wozu?

- Nic, na co mógłbym wskazać palcem.

- Gdzie teraz jesteś?

- Minąłem właśnie znak informujący, że do Flagstaff jest sto dziewięćdziesiąt kilometrów.

Nie zmieniła kierunku. Czula się bezpieczna. Miała obok siebie policjanta z bronią. Nie będzie się tak trzymała na baczności, zacznie się czulić do Rheesa, trzymając go za rękę. Tralala, w jej ogródku znów wszystko zaczyna kwitnąć. Tak sobie myśli.

Przejechał jakieś piętnaście kilometrów. Większość aut była spoza stanu, należała do spragnionych słońca mieszkańców obu Dakot i Nebraski, ciągnących na południe w niezgrabnych samochodach kempingowych. Zamieniali monotonne pola pszeniczne na rozpaloną patelnię. Krajobraz przeszedł w pustynny. Z brunatnorudej ziemi sterczały złote kaktusy, słońce gasło w ekstrawaganckiej palecie różów, purpury i żółci.

Zabrzącał telefon, odebrał, spodziewając się Pasquale lub McTella, ale usłyszał Loeba, mającego głos człowieka, który wpadł do beczki z melasą.

- Musimy porozmawiać - oznajmił Loeb.

- O co chodzi? - Nie podobało mu się, że

Loeb do niego dzwoni. Szczególnie teraz, kiedy był zajęty.

- To rozmowa nie na telefon, Anthony. Nie lubię gadać do tych zabawek. Wiem, że podobno są bezpieczne, ale jestem z natury podejrzliwy. Gdzie jesteś?

- W środku pustyni - poinformował Dansk.

- Bądź bardziej precyzyjny - poprosił Loeb.

- Dojeżdżam do jakiegoś zajazdu przydrożnego - powiedział Dansk, wypatrywszy nędzną, drewnianą tawernę przy autostradzie międzystanowej. Pomarańczowy neon informował: JADŁODAJNA U JACKA. STEKI. ŻEBERKA.

- Czy to ważne, Ralph?

- Powiedz, gdzie możemy się spotkać.

Dansk zjechał z autostrady na parking i wytłumaczył, gdzie jest.

- Daj mi pół godziny - powiedział Loeb.

Zajazd „U Jacka” pełen był rozochoconych bywalców. Grali w bilard, wetknąwszy papierosy za rękawy bawełnianych koszulek. Wkoło niesły się zawodzące dźwięki muzyki country. Dansk chodził tam i z powrotem po parkingu. Ta muzyka go drażniła.

Słońce już zaszło, kiedy na parking skręcił zielony nissan i się zatrzymał. Wsiadł z niego Loeb, twarz miał pociemniałą z gniewu, minę napastliwą.

- Anthony, cóż za pieprzoną grę prowadzisz?
- Nie rozumiem.

Loeb mało się nie udławił, wypuszczając powietrze z płuc.

- Właśnie spędziłem pół godziny z glinami.
- I?

- Facetka idzie na policję. Policja dzwoni do Waszyngtonu. Przechwytyuję rozmowę. Umawiam się z glinami. Facetka przez jakiś czas bierze udział w spotkaniu. - Loeb się wzdrygnął, chociaż mimo nadejścia nocy nadal było gorąco.

- Nie uwierzą jej - powiedział Dansk. Loeb złapał Danska za rękaw.

- Po pierwsze, rozpoznała mnie. Jak tylko na mnie spojrzała, usłyszałem, jak pracują jej szare komórki. Zaczęła od potoku pytań, udając niewinną ciekawość. Skąd może mnie znać?

- Może widziała gdzieś, jak ze mną rozmawiałeś - powiedział Dansk. - Może zabawiła się w szpiega.

- Tak czy inaczej wszystko sprowadza się do tego, że miałeś ją uciszyć, tymczasem pojawiła się na komendzie policji. Nie jakaś zjawka, Anthony. Kobieta z krwi i kości, a do tego bardzo nieszczęśliwa.

- Mam swoje metody działania - powiedział Dansk, nie kryjąc irytacji i niezadowolenia.

- Swoje metody działania? - spytał Loeb. - To, co robisz, to wznoszenie jakiejś bizantyjskiej konstrukcji. Anthony, nie zajmujemy się budową żadnego pieprzonego meczetu. Mówiłem ci wcześniej, żadnych sztuczek. A tu nagle znajduję się twarzą w twarz z tą kobietą.

- Gliny nie kupią jej historyjki - powtórzył Dansk.

- W ogóle nie powinni jej wysłuchać! Pozwoliłeś jej dotrzeć na policję. Dopuszciliś do tego. Jeden czort wie, co ci chodzi po głowie. Anthony, przestałem już za tobą nadążać.

Nigdy się nie dowiesz, co mi chodzi po głowie, Loeb.

- A więc ona rozmawiała z glinami i ty rozmawiałeś z glinami. Co myślą o jej historyjce?

- Uważają, że to stek bzdur. Przynajmniej tak mówią.

- Jestem spokojny - powiedział Dansk. Spojrzał na Loeba i nagle nie wiadomo dlaczego ogarnęło go uczucie, że stary nie jest z nim zupełnie szczery. Nie był pewien, co przed nim ukrywa.

- Przedwcześnie, Anthony. Może w normalnych warunkach przechodziliby na drugą stronę ulicy, by uniknąć spotkania z nią, ponieważ zalatuje od niej paranoją, gdyby nie parę istotnych szczegółów. Po pierwsze, ten martwy policjant. Gliny nie lubią, kiedy giną ich kumple. Stają się bardzo drażliwi. Drobiazgi nabierają nieproporcjonalnego znaczenia. Stek bzdur bierze się pod mikroskop, Anthony, i nagle wszystko się komplikuje.

Dansk spojrział na nocne niebo. Chcesz mówić o skomplikowanych sprawach, Loeb, unieś wzrok. Spójrz na firmament.

- Martwy policjant - powiedział Loeb - i list od Isabel Sanchez. List, o którym nie raczyłeś mi wspomnieć.

- Nie ma żadnego listu - oświadczył Dansk i prawdę powiedział, nie kłamał.

- Pani prokurator powiedziała glinom co innego.

- Pani prokurator chrzani - stwierdził Dansk.

- Być może, ale policjanci myślą o swym zabitym koledze i zastanawiają się nad treścią rzekomego listu, i nagle mają pytania, a ja jestem tym, który musi tam siedzieć i udzielać im odpowiedzi, nie ty. Jesteś zbyt zajęty prowadzeniem swoich gier. Życie to nie lunapark, którym ktoś kazał ci kierować. Podkreślałem, żeby niczego nie komplikować. Nie prosiłem o kuglarskie sztuczki.

Dansk nic nie powiedział. Ciekaw był, czy tam w górze gwiazdy emitują dźwięki. Czy w galaktyce rozlegają się gwizdy i trzaski, czy też panuje tam niesamowita cisza aż po krańce wszechświata.

Loeb westchnął.

- Martwy policjant, Anthony. Na rany Chrystusa, dlaczego?

Danska ogarnęło poczucie wyższości. Wielcy mistrzowie szachownicy prawdopodobnie doznają takiego samego uczucia, mając naprzeciwko siebie jakąś miernotę.

- Usunąłem go z obrazu, ponieważ dawał wiarę w to, co mu opowiadała Scholes, mogła na nim polegać. Teraz, kiedy wystąpiła ze swoimi rewelacjami, zabrakło Drumma, by to potwierdzić. Nazywa się to izolowanie celu.

- Izolowanie celu.

- Wystawianie go.

- Wystawianie.

- Nie dostrzegasz strategii, Loeb. Nadajesz na zupełnie innych długościach fal niż ja.

- Wszyscy nadają na zupełnie innych długościach fal niż ty. - Przez jakiś czas Loeb przyglądał się w milczeniu Danskowi. - Masz taśmę, którą ci przysłałem. Słyszałeś, jak pani prokurator i Drumm

omawiają możliwy związek pomiędzy Galindezem i Isabel a Benym Viallim.

- Czyste spekulacje - powiedział Dansk. Był ponad to wszystko.

- Owszem, ale to niebezpieczne spekulacje, Anthony. Jedyne plus to ten, że najwidoczniej nie wspomniała o tej rozmowie glinom, ponieważ nie poruszali tego tematu.

- Kroczy po omacku, Loeb. I co chwila napotyka nowe zagadki. Gra nie w swojej lidze.

- Potem padło twoje nazwisko - powiedział Loeb. - Gliniarze zapytali, czy o tobie słyszałem.

- Moje nazwisko zostało usunięte - odparł Dansk.

Loeb miał ponurą minę.

- Wymazanie twojego nazwiska z komputerów to nic trudnego, Anthony, ale nie można zrobić tego samego z ludzką pamięcią. Gliny pytają panią prokurator o twój rysopis, jeden z ich artystów sporządza portret pamięciowy. Ten portret trafia do takich miejsc, jak FBI, Ministerstwo Sprawiedliwości, i ktoś wykrzyknie: „Ejże, znam tego gościa, pracował w policji sądowej. Czy to nie on odszedł ze służby parę lat temu, motywując to depresją spowodowaną śmiercią matki?”.

- Śmiercią matki? - spytał Dansk, zaskoczony.

- Tak, matki. Zabitej dla kilku dolarów przez zdegenerowanych ćpunów. Pamiętasz?

„Zdegenerowanych ćpunów?”. Co ten Loeb pieprzy? Zupełnie mu odbiło.

- Dziś po południu rozmawiałem przez telefon ze swoją matką. Czuje się świetnie. Nigdy nie słyszałem jej wyraźniej.

- Rozmawiałeś ze swoją matką? Mówisz serio? Rozmawiałeś z nią?

- Owszem.

Loeb przez chwilę patrzył Danskowi prosto w oczy, a potem powiedział cicho:

- Dobry Jezu!

Wolniutko pokiwał głową.

- Co ma znaczyć to „dobry Jezu”, Loeb?

- Nic, Anthony. Naprawdę. Cieszę się, że twoja matka jest w dobrej formie. Szczerze. Bardzo się cieszę.

Podrapał się w policzek. Spojrzał nad ramieniem Danska na neon nad knajpą. Zdawał się zamyślony. Jego twarz miała niezdrowy, mandarynkowy kolor.

- To koniec, Anthony.

- Koniec czego?

- Tego. Tej roboty. Spuszczam kurtynę.

- Wykluczone. Wykluczone, do cholery.

- Nie mogę ci pozwolić... - Loeb uśmiechnął się smutno do Danska. - Słuchaj, Scholes zasiała ziarno i istnieje prawdopodobieństwo, że wykiełkuje z niego roślina, gliny będą pilnie obserwować tę roślinę i zanim się zorientujesz, wyrosną liście i gałęzie. Nagle gliny zaczną się zastanawiać, jak ją zaklasyfikować, ponieważ nie znajdują jej w żadnych zielnikach.

- Oszczędź mi tej ogrodniczej przypowieści, Loeb - powiedział Dansk.

- Powiem ci, co się stanie, jeśli zabijesz panią prokurator. Na roślinie pojawi się zdumiewający kwiat, Anthony, zgromadzą się wokół niego ogrodnicy. Zaczną analizować korzenie, a to ostatnia rzecz, na której nam zależy, ponieważ korzenie sięgają takich miejsc, do których nie chcemy, by ktokolwiek dotarł. Sprzątnij panią prokurator, a gliny poważnie zaczną traktować jej opowieść.

- Cała rzecz polega właśnie na tym, żeby wyeliminować panią prokurator, ponieważ będzie węszyć i węszyć, aż znajdzie to, czego szuka. Nie wolno udawać, że się tego nie dostrzega.

Loeb uczynił zdecydowany gest, jego ręka przecięła powietrze.

- Teraz najważniejsze jest zatarcie śladów. Tylko to się liczy. Zamkniemy księgę, spalimy ją i postaramy się zadbać o to, by popiołów nie rozwiął wiatr.

- Jedyne, co spalimy, to tę cholerną babę - powiedział Dansk. Jego głos zabrzmiał mu głośno we własnych uszach. Poza tym słyszał również swoją matkę, która według Loeba nie żyła, do której dzwonił dziś po południu. Loeb funkcjonował dzięki lekom. Perspektywa bliskiej śmierci wytrąciła go z równowagi. Piasek przesypanywał się w jego klepsydrze. Mężczyzna spoglądający w tunel przeznaczenia musi mieć poważne trudności z oceną rzeczywistości. Nie można go traktować poważnie, nie można wierzyć we wszystko, co powie. Weźmy na przykład tę historyjkę o jego rozmowie z glinami. Nie brzmiała przekonująco. Coś w niej dźwięczało fałszywie, jakby niektóre fakty sobie zmyślił.

- Spokojnie przyjmij to do wiadomości - powiedział Loeb. - Zwijamy interes, Anthony. Wycofujemy się. Warunki stały się nie-sprzysajające. Przeprowadzamy demontaż, ponieważ zrobiło się niebezpiecznie, nie jest już tak jak kiedyś. Rozbiorę wszystko cegła po cegle. Żadnych trupów więcej. Zrozumiałeś, Anthony?

- To moja praca, Loeb. W taki sposób zarabiam na życie, a ty chcesz zamknąć mój sklepik. Chyba zwariowałaś.

- Ta robota cię zniszczyła, Anthony. - Loeb położył dłoń na ramieniu Dansk w geście pocieszenia, którego Dansk nie potrzebował. Strząsnął rękę Loeba.

- Słuchaj, i tak osiągnęliśmy bardzo dużo z tego, co sobie początkowo założyliśmy. Nie zapominaj o tym.

- A więc to koniec - stwierdził Dansk. - Tak po prostu.

- Zaopiekuję się tobą - powiedział Loeb. - Nie zostawię cię na pastwę losu, wiesz o tym.

Dansk słuchał głosu rozlegającego się w jego głowie. Zmusz ludzi do szacunku, Anthony. Nie pozwól siebie lekceważyć.

- Przyznaję, Loeb, że to już koniec, ale nie dla mnie. - Sięgnął szybko do wnętrza samochodu, wyciągnął rękę nad oprawionym w ramkę zdjęciem Amandy, wyjął rugera z papierowej torby, odwrócił się i strzelił Loebowi prosto w głowę. Loeb upadł wolno, płaszcz

utworzył wokół niego namiot. Leżał jak stary kruk z rozpostartymi skrzydłami. Dansk spojrział na niego. Krew, która w świetle neonu zmieniła kolor na pomarańczowy, płynęła po twarzy Loeba. Dansk pomyślał o soku wyciskanym z pomarańczy.

Wsiadł do samochodu. Spójrz na to od jasnej strony, Ralph, nie musisz już brać morfiny.

Wziął zdjęcie Amandy z miejsca dla pasażera i z ledwie dostrzeżalnym żalem, że sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej, wyrzucił je przez okno. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła i pomyślał: „Żegnaj, moja pani”.

I dobranoc.

Po zachodzie słońca ziemię spowił mrok. Amanda siedziała z Rheesem z tyłu bronco. Wypoczęty, bardziej przytomny, Rhees sprawiał wrażenie, jakby wynegocjował z bólem bardzo kruche zawieszenie broni. Z przodu Gannon prowadził ostrożnie, zwalniając na zakrętach.

- Jak się czujecie tam z tyłu? - spytał.

- Świetnie - powiedziała Amanda, ale nie była to prawda, miała fatalne samopoczucie. I wcale nie dlatego, że Kelloway przejął nad wszystkim kontrolę, chociaż była zła, że musiała się przełamać i zrezygnować. Nie, chodziło o coś zupełnie innego. „Znajdźcie sobie bezpieczne miejsce” - powiedział Kelloway. W pierwszej chwili pomyślała o domku w lesie jako o najbezpieczniejszym schronieniu, ale teraz ogarnęły ją wątpliwości, czy robi słusznie.

- Proszę się zatrzymać - powiedziała. Gannon zjechał na pobocze.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - spytał Rhees.

Amanda spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na pustą szosę. Chmury przesuwały się przez ckliwie waniliowy księżyc, pustynię po obu stronach autostrady pokrywały niewielkie splachetki światła i cienia.

- Domek - powiedziała.

- Co domek?

- Mam złe przeczucia.
- Myślisz, że Dansk o nim wie? - spytał Rhees. - Nawet jeśli tak, niełatwo tam trafić.
- On sonduje, John. Ma instynkt proktologa-psychopaty i gdzieś po drodze dowiedział się, że mieszkamy w domku niedaleko Flagstaff.
- Chcesz powiedzieć, że nas śledzi - rzekł Rhees.
- Jest nawiedzony. Jest zawzięty. Nie zostawi tak tego. Nie opuści nam.

Gannon, który na miejscu dla pasażerów położył strzelbę, a w kabinie miał kolta czterdziestkępiątkę, rzekł:

- Proszę posłuchać, wiem tylko tyle, ile mi przekazał Kelloway. Mam was zawieźć do domku i być waszym gorylem, póki nie otrzymam nowych rozkazów. Teraz mi mówicie, że nie chcecie tam jechać, bo się boicie.

Amanda przypomniała sobie pokoiki w domku, ale miejsce to straciło nagle swą przytulność, pojęcie sanktuarium przestało do niej przemawiać. Biernie wracała do lasu i był to zły ruch. Chyba że w jakiś sposób go wykorzysta.

Na szosie pojawiły się samochody, grupka czterech czy pięciu aut. Pomyślała o ich pasażerach. Czy Dansk jest w pobliżu, czy śledzi ją od Phoenix? Wiedziała, że policyjny samochód go nie powstrzyma. Uzna to za drobną niedogodność.

- Czy ten facet pracuje w pojedynkę, czy mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą? - spytał Gannon.

- Wliczając Danska, jest ich przynajmniej trzech - powiedziała. - Może więcej, nie wiem.

- Nie powiedziano mi wszystkiego - odezwał się Gannon - ale coś mi się wydaje, że ten Dansk jest w jakiś sposób zamieszany w śmierć Williego Drumma.

- Dobrze się panu wydaje - powiedziała.
- Nie lubię tracić przyjaciół - zauważył Gannon.
- A ja nie lubię uciekać przed problemami - dodała.

- Proszę posłuchać, mam was ochraniać - odezwał się Gannon. - Kelloway ani słówkiem nie wspomniał o niczym innym. Powiedział tylko, żeby nie spuszczać was z oka.

- A ta strzelba i kolt czterdziestkapiątka to dekoracja? Potrzebuje pan specjalnego pozwolenia, by ich użyć? - Słuchała swego głosu i nie wierzyła własnym uszom. Nagle stała się bardzo wojownicza. Czy to naprawdę ona mówiła?

- W sytuacji, kiedy zagrożone jest życie, pierwsze, po co sięgam, to mój wypróbowany kolt, proszę mi wierzyć - powiedział Gannon. - Nie pytam nikogo o pozwolenie, pani Scholes.

Rhees nieco zmienił pozycję i zwrócił się do Amandy:

- Wiem, co ci chodzi po głowie. Zastanawiasz się, czy Dansk da się złapać w pułapkę.

- Być może - odparła.

- Żadne być może, Amando. Znam cię. Zastanawiasz się, czy można zastawić na niego pułapkę i schwytać go.

- Nie podoba mi się to - wtrącił Gannon.

- Gannon, on zabił Williego Drumma - powiedziała Amanda. - Pańskiego kolegę. Pańskiego przyjaciela. Mojego przyjaciela.

- Nie mam się zajmować łapaniem Danska czy kogokolwiek.

- Nie proszę pana o niesubordynację. Niech pan robi to, co panu polecił Kelloway. Niech pan nas chroni.

- Mam taki zamiar - oświadczył Gannon.

- Żeby zastawić sidła, potrzebna jest przynęta - odezwał się Rhees. - Co ma być tą przynętą?

- Wiąże się to z pewnym ryzykiem - zaczęła Amanda.

Rhees przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Pokręcił głową.

- Nie ma mowy. Absolutnie wykluczone. Nie chcę o tym słyszeć. Zapomnij o tym.

- Jak powiedziałam, wiąże się to z pewnym ryzykiem.

- Nie. Koniec rozmowy - uciał Rhees.

- John, nie można pozwolić, by Dansk zwyczajnie zniknął. Jeśli Kelloway rozpocznie śledztwo, może to zająć dni albo tygodnie. Nawet wtedy nie ma gwarancji, że kiedykolwiek pozna prawdę. Będzie odsyłany od Annasza do Kajfasza, będzie krążył między urzędnikami Ministerstwa Sprawiedliwości, policją sądową i Bóg wie kim jeszcze w machinie federalnej. Na przykład ten gość, Loeb, który przyjechał z Ministerstwa Sprawiedliwości, on i Dansk to ta sama cholerna klika.

- Możemy gdzieś wyjechać... - zaczął Rhees. - I ukrywać się? Nie potrafię tak żyć, John. Przykro mi.

Rhees westchnął.

- Amando, wszystko jest w rękach policji. Oto co cię naprawdę irytuje. Zostałaś odsunięta od sprawy.

- Nie, irytuje mnie beczynność - powiedziała. - Poza tym nie czuję się zupełnie bezpieczna, kiedy chroni nas tylko sierżant Gannon.

Dansk czający się za drzewami, z głową pełną morderczych zamiarów, spłoszone ptaki, niespodziewany trzepot skrzydeł w gałęziach - nie, nie wytrzyma tego, biernie czekając.

Sam Gannon to za mało. By poczuła się choć trochę bezpiecznie, potrzeba jej czegoś więcej niż strzelba Gannona i kolt w jego kaburze.

- Proszę mi podać swój telefon komórkowy.

Gannon niechętnie wręczył jej aparat.

- Do kogo zamierzasz zadzwonić? - spytał Rhees.

Amanda zaczęła wybierać numer.

- John, chcę wyeliminować Danska z naszego życia. Chcę go przekazać Kellowayowi i powiedzieć: „Proszę, oto nieuchwytny Dansk, panie naczelniku. Dlaczego nie przypieczętuje go pan na ogniu, by uzyskać odpowiedzi na pytania? Dlaczego nie zaświeci mu pan lampą w oczy i nie zmusi go do gadania?”. Chcę, żeby wszystko znów było tak jak dawniej.

- Jak dawniej? - spytał Rhees. - Przypomnij mi, Amando, jak to było. Odśwież moją pamięć.

- Wiedliśmy spokojne życie i chcę, żeby znów takim się stało. Po prostu.

- O co ci naprawdę chodzi, Amando? Wydaje ci się, że jesteś umówiona z Danskiem na jakieś spotkanie i za wszelką cenę chcesz na nie przybyć?

Spotkanie z Danskiem, tak też można to ująć. Ale musi się ono odbyć na jej warunkach i na jej terytorium.

- Nie chowam głowy w piasek. Ktoś inny mógłby to zrobić, ale nie ja.

Głos Rheesa był cierpki, bezbarwny i naznaczony rezygnacją.

- Amando, z tobą zawsze jest tak samo: wszystko albo nic. Zawsze tak było.

- Zrozumiesz to, kiedy będziesz umierał ze strachu, tak jak ja teraz, John. Osiągnęłam taki stan i jestem tym zmęczona.

Skończyła wybierać numer do Kellowaya.

Dansk odnosił wrażenie, że od ciemności, spowijających ziemię, bucha żar. Gdyby noc była żywym organizmem, z pewnością trawiłaby ją gorączka. Spojrzał na rugera leżącego na miejscu dla pasażerów. Potęga broni. Zawrotna prędkość pocisku, rozsadzenie oka, zniszczenie tkanek mózgu, fragmenty kości odłupujące się od czaszki Loeba w pomarańczowym świetle neonu, Morgan Scholes osuwający się bezwładnie na podłogę, niczym pusty worek. Śmierć zadana w ułamku sekundy. Życie i śmierć zamknięte w nabojach magazynku umieszczonego w broni palnej trzymanej w ludzkiej dłoni. Śmiercionośna energia. Śmierć skondensowana i przechowywana w spiczasto zakończonych cylindrach.

Zabiłeś Loeba. Zabiłeś Morgana Scholesa. Żadnego wewnętrznego poruszenia, żadnych wyrzutów sumienia, żadnego niepokoju w sercu. Wystarczy wycelować broń i pociągnąć za spust. Dziecinnie łatwe.

Gdzieś daleko z prawej strony wystrzeliła raca. Pojedynczy błysk jaskrawopurpurowego światła, a potem pióropusz drobnego pyłu, opadającego na ziemię. Jakiś dzieciak bawi się sztucznymi ogniami, prawdopodobnie przemycenymi z Meksyku. Dansk przez kilka następnych kilometrów zachował pod powiekami obraz skrzących się punkcików, nieodparcie przywodzących na myśl migotanie robaczków świętojańskich.

Skręcił na stację benzynową, wysiadł z samochodu i skierował się do sklepu. Starszy mężczyzna, który stanął w progu, miał jedno oko szklane. Dansk zauważył, że sztuczne oko było niebieskoszare.

- Właśnie zamykamy - oznajmił starzec. - Zdążył pan w ostatniej chwili. - Szurając nogami, podszedł do pompy i zaczął napełniać bak w samochodzie Dansk. - Widział pan te sztuczne ognie? Pijane dzieciaki włączą się po lesie, nie myślą o niebezpieczeństwie zaproszenia ognia. Pan przejazdem?

Jak zawsze, pomyślał Dansk.

- Tak - powiedział. - Przejazdem.

- Dzisiaj Flagstaff straciło cały swój dawny urok, nie jest warte uwagi. Kiedyś było inaczej. Powietrze tam było słodsze od miodu. - Zakręcił wlew paliwa.

Dansk podążył za mężczyzną do sklepu, który służył również za magazyn. Pachniało w nim olejem, gumą i świeżo parzoną kawą. Dostrzegł automat z colą w szklanych butelkach. Poprosił, by mu rozmiąć pieniądze, i wrzucił tyle monet, by wypadły dwie butelki. Rozejrzał się po sklepie, wziął z regałów latarkę, pudełko chusteczek, metr przezroczystej, plastikowej rurki, otwieracz do butelek, jednorazową zapalniczkę i największy klucz francuski, jaki znalazł.

Starzec wybił pozycje na kasie fiskalnej. Dansk zapłacił. Na zewnątrz jakiś samochód stał obok nieoświetlonego dystrybutora, po chwili odjechał szybko z piskiem opon.

- Przymuszczałnie ten gość stwierdził, że jednak nie potrzebuje benzyny - powiedział starszy mężczyzna. - Albo bardzo mu się spieszy, jak wszystkim w dzisiejszych czasach.

Dansk wyszedł, ściskając zakupy, patrząc na tylne światelka auta, świecące na szosie jak wyrzucone niedopałki papierosa.

Pasquale, przesiadłszy się do samochodu McTella, powiedział:

- Muszę zadzwonić do Loeba i zameldować mu, że załatwione.
- Dobrze przymocowałeś? - spytał McTell. - Tak, na magnes.

Skorzystałem z tego, że Dansk robił zakupy na stacji benzynowej.

Pasquale wyciągnął z kieszeni telefon i wykręcił numer Loeba. Nikt nie odbierał. Nie rozłączał się jakiś czas.

- Dziwne. Powiedział, że będzie czekał na telefon.
- Wyłączył komórkę. Prawdopodobnie wrócił do domu. Nic wielkiego.

- To wszystko stało się jakieś podejrzanę - zauważył Pasquale.
- Otrzymujesz nowe rozkazy bezpośrednio od Loeba i je wykonujesz. Nie widzę w tym nic podejrzanego.

Pasquale westchnął.

- Loeb jest chory, Eddie. Ostatni raz widziałem faceta w podobnym stanie, kiedy odwiedziłem mojego wuja Billa. Wkrótce potem wykorkował na zapalenie płuc. Też był taki szary na twarzy.

- Jedyne kolor, jaki mnie interesuje, to kolor pieniędzy - powiedział McTell.

Pasquale wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki grubą, białą kopertę.

- Dwadzieścia tauzenów w nowiutkich setkach. Odprawa, jak to określił Loeb. Drugą ratę dostaniemy po robocie.

- A potem Meksyk - powiedział McTell. - *Arriba arriba!*

- Tak - przyznał Pasquale. - To będzie coś nowego.

- Nienawidzę Danska jak wrzodu na dupie, jak czegoś, co trzeba wyrwać z korzeniami - oświadczył McTell. - Doszło do tego, że nie mogę nawet ścierpieć brzmienia jego głosu. Czasem mówi jakoś tak przez nos.

- Powiem ci, co we mnie wywołuje odrazę - odezwał się Pasquale. - To uczucie, że zdradziłem.

- Przejdzie ci, Bruno. W Tijuanie wspomnienie po Chłoptysiu ze Znamieniem wyblaknie i zniknie.

- Chodzi o to - powiedział Pasquale - że byłem objęty Programem Ochrony Świadców, siedziałem w pieprzonym Buffalo i gnilem z nudów, paląc się do jakiejś roboty. On mnie uratował przed tymi zakładami paczkowanego mięsa. Wyciągnął mnie stamtąd i umożliwił powrót do takiego życia, jakie prowadziłem dawniej. Więc nadal czuję się jego dłużnikiem, Eddie.

- Słuchaj no, ja byłem dwa razy bardziej znudzony w Pasadenie, kierując pralnią i wdychając wszystkie te rakotwórcze chemikalia - powiedział McTell. - Ale wcale nie uważam, że bym był cokolwiek winny Danskowi. Jestem chory od tej jego pieprzonej postawy i sposobu, w jaki załatwia sprawy.

McTell jakiś czas jechał w milczeniu.

- Przyjrzyjmy się tej zabawce - odezwał się.

Pasquale wyjął z prawej kieszeni czarne, plastikowe pudełko. Mierzyło jakieś dziesięć na dziesięć centymetrów, w środku były baterie. Pstryknął włącznikiem i rozbłysł ekranik.

- Kto to zrobił? - spytał McTell.

- Jak to?
- Masz gdzieś nazwę producenta?

Pasquale włączył światło i obejrzał obudowę. - Jest tu napisane „Cisco Electronics Inc. San Luis Obispo, Cal”.

- Amerykańskie. Jesteśmy patriotami.

Pasquale spoglądał na czerwone cyfry na wyświetlaczu.

- Loeb postawił jeden warunek: żeby zrobić to gdzieś na odludziu.

- Spokojna głowa - powiedział McTell. - Arizona to wielki pustynny stan.

Amanda zrzuciła buty, przebrała się z kostiumu w dzinsy i koszulę z długimi rękawami. Zapaliła papierosa i głęboko zaciągnęła się dymem. Ale wcale się nie uspokoiła. Dłonie miała wilgotne, strach ścisnął ją za gardło. Nieoświetlony pokój w domku wywoływał lęk. Cała ta noc była jedynie napięciem i oczekiwaniem, ten spokój przypominał chwilowe zawieszenie ognia. Ciemność była ciężka od ciszy, powietrze pachniało jak sosnowa trumna, księżyc zakryły chmury.

Zgniotła niedopałek w kominku i pomyślała o Gannonie, chodzącym wokół domku. Zadzwoiła do Kellowaya i wymogła na nim, by skontaktował się z policją Flagstaff i sprawdził, czy miejscowe siły porządkowe nie mogą jej zapewnić dodatkowej ochrony. Niechętnie się zgodził. Kilometr dalej dwóch policjantów z bronią i noktowizorami wycężyło wzrok i słuch, zastępca szeryfa Clarence Griffin zajął pozycję w pobliżu starego mostu.

Teraz się zastanawiała, czy uczyniła dość, czy też jej pomysł był poroniony i raczej powinna posłuchać Rheesa, zmienić taktykę i wyjechać gdzieś daleko stąd. Ale podjęła decyzję i nie mogła się już wycofać, nawet gdyby chciała. Trwała więc dzielnie, pomimo złowrogiej ciszy i niemiarego bicia serca.

Zapaliła kolejnego papierosa. Odrzuciła głowę do tyłu i uświadomiła sobie, że nasłuchuje, jak nie nasłuchiwała jeszcze nigdy w życiu. Usłyszałaby nawet igłę opadającą z gałęzi sosny. Zarejestrowałaby szmer, gdyby w trawie poruszył się wąż. Wszystkie jej zmysły były wyczulone na to, co się działo na zewnątrz.

Siedziała na podłodze, plecami oparta o ścianę. Przyglądała się niewyraźnie mającej sylwetce Rheesa w fotelu w drugim końcu pokoju. W odruchu buntu odmówił korzystania z wózka inwalidzkiego. Odrzucił propozycję udania się do motelu i spędzenia tam samotnie nocy. Był nieugięty i nadzwyczaj uparty, jakby odczuwał potrzebę dorównania jej determinacji. Jeśli nie udało mu się sprawić, by zmieniła decyzję, to zostanie z nią, i do diabła z jego cierpieniem.

Siedział w cieniu i nic nie mówił, a ona zastanawiała się, czy w jego oczach maluje się wyrzut, czy lęk, ale nie widziała jego twarzy, jedynie błądzący zarys ręki w gipsie i białe prążki na koszuli.

Wyrzuciła niedopałek do kominka.

- Dobrze się czujesz? - spytała.
- Mówisz szeptem - powiedział.
- Rzeczywiście. Uważasz, że to zły krok, prawda?
- Kiedy w grę wchodzi twoja osoba, Amando, to tak jakby człowiek dostał się w wir. Nie widzę zbytniego sensu w krytykowaniu sił natury.
- Nie zmusiłam cię do przyjazdu tutaj - przypomniała mu. - Miałeś możliwość wyboru.
- Jedynym sensownym wyjściem było zostać z tobą w oku cyklonu.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- To zły krok, jeśli się nie uda. Dobry - jeśli wszystko skończy się pomyślnie.
- Wykręcasz się od odpowiedzi - zauważyła.

- Powiem ci coś, czego jestem bardziej pewien - odparł Rhees. W głębi serca nie chcesz, żeby złapano Danska, wolałabyś, żeby go zabił któryś z twoich pretorian. Chcesz jedynie wierzyć, że pragniesz przekazać go w ręce Kellowaya, ale odnoszę wrażenie, że jesteś żądna krwi. Powiedz mi, że się myłę.

Żadna krwi. Może w słowach Rheesa zawarte było ziarnko prawdy, tylko nie chciała tego przyznać. Może serce w niej stwardniało i pragnęła śmierci Danska. Ale nadal pozostały nierozwiązane zagadki, które wywoływały zamęt w jej głowie.

- Chcę go dostać w swoje ręce za wszelką cenę.
- Żywego lub martwego - dodał Rhees.
- Wolałabym żywego - przyznała. - W przeciwnym razie nie mógłby odpowiedzieć na żadne pytania, a mam kilka, na które chciałabym otrzymać odpowiedź.

Zapaliła kolejnego papierosa, osłaniając dłonią płomień zapalniczki.

- Zabił Williego i panią Vialli. Jeśli chodzi o Williego, w porządku, jestem w stanie to zrozumieć. To gliniarz, węszący wkóło i zadający pytania. Ale Bernadette? Na miłość boską, to zwyczajna wdowa... gdyby nie jeden istotny szczegół. Tak się złożyło, że jej syna objęto Programem Ochrony Świadków, a ona była nieszczęśliwa, ponieważ zbyt długo milczała. A kiedy się w końcu odezwał, zrobił to w sposób, który wzbudził jej podejrzenia. Pytanie: gdzie, u diabła, jest Benny?

- Na miłość boską, Amando, zostaw to Kellowayowi - powiedział Rhees.

Cicho przeszła przez pokój, od okna do drzwi i z powrotem. Przystanąła za Rheesem i położyła mu dłonie na ramionach. Nagle ogarnęły ją czarne myśli.

- Benny nie żyje - powiedziała.
- Nie możesz tego wiedzieć, Amando.

- Benny nie żyje i Dansk maczał w tym palce. Jedyne wytłumaczenie, jakie mi przychodzi do głowy, to to, że zabił ją, by się nie dowiedziała o losie syna.

- Nie wiem, do czego cię to doprowadzi - powiedział Rhees. W głowie rodziły jej się coraz to nowe pytania i wątpliwości. Usłyszała siebie, jak mówi:

- Dlaczego Bascombe nie był na początku listy ludzi, z którymi Kelloway chciał rozmawiać? Ostatecznie Lew miał zdobyć informacje dla Williego. Dlaczego więc Kelloway najpierw zatelefonował do Ministerstwa Sprawiedliwości? I czego dowiedział się od Loeba? Kiedy zadzwoniłam do Kellowaya, błagając o dodatkowych ludzi, nie wspomniał o swej rozmowie z Loebem. Dlaczego? Ponieważ nic nie dała? Ponieważ Loeb wykręcił się sianem? Dlaczego?

- Daj sobie z tym spokój - powiedział Rhees. Dać sobie spokój. Zostawić wszystko Kellowayowi. Cześć ci, wodzu. Jej myśli przypominały charty na śliskim gruncie, nie mogła za nimi nadążyć, a ścigany zając zniknął z oczu.

- Ważniejszy jest teraz Dansk - rzekł Rhees. - Jeśli kręci się tu gdzieś w pobliżu, nie wejdzie na oślep w pułpkę, Amando. Wie, że policjanci otoczyli dom. Możemy mieć nad nim przewagę liczebną, ale to jeszcze nie znaczy, że go przechytrzyliśmy. I bardzo mnie to niepokoi.

Amanda usłyszała odgłos kroków Gannona na ganku. Pochyliła głowę i dotknęła policzkiem twarzy Johna.

- Wolałabym... - zaczęła.

- Co byś wolała?

- Nic takiego. Nieważne.

- Wolałabyś, żeby mnie tu nie było? Wolałabyś, żebym został w przytulnym, bezpiecznym pokoju w jakimś motelu, żebyś nie musiała brać za mnie odpowiedzialności?

- Tak. Nie. Nie wiem.

Dotknął jej dłoni.

- Jeśli potrzebna jest jakaś przynęta, wolałabyś sama wystąpić w tej roli.

- Pragnę, żebyś był bezpieczny, to wszystko. Nie chcę, żeby ktoś znowu sprawił ci ból.

- Niedobrze jest w pojedynkę przebywać w oku cyklonu, Amando.

- Mam ochronę - powiedziała. - Nie byłabym sama.

- Czterech gliniarzy. Gdybyś miała armię, może byłbym spokojniejszy.

Pocałowała go. Położył rękę na krągłości jej biodra. Przesunęła jego dłoń na swój brzuch i przez sekundę pomyślała, że można by uwierzyć, że nic się nie zmieniło. Właśnie wtedy zadzwonił telefon, ostro i przenikliwie. Podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Miłe, sielskie okolice, Amando - powiedział Dansk. - Ani żywego ducha poza kilkoma starymi szopami, jeśli oczywiście nie liczyć mnie.

Nie odpowiedziała. Ręka, w której ścisnęła słuchawkę, była sztywna i nagle zrobiło jej się zimno.

- „Cięgnie mnie w mroczną głąb tej kniei”¹ *et cetera* - zacytował Dansk.

¹ Fragment wiersza Roberta Frosta w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Wciąż się nie odzywała. Uświadomiła sobie, że wstrzymała oddech. Dansk się roześmiał.

- Domyśliłaś się już wszystkiego, moja pani?

Dansk ukrył samochód w zaroślach w odległości mniej więcej pół kilometra od starego mostu i szedł między drzewami, od czasu do czasu pochylając się, by uniknąć nisko zwieszających się gałęzi. Musiał też uważać na to, co miał pod nogami: korzenie, spróchniałe pnie, nory susłów. Szedł ostrożnie, ale z pewną nonszalancją. Nieraz wędrował z plecakiem przez dzikie okolice, dostał porządnie w kość na kursach przetrwania, organizowanych przez policję, spędził samotnie tygodnie w odludnych zakątkach Appalachów, mając jedynie nóż, pudełko zapalek, kawałek szpagatu oraz agrafkę, i musiał sobie jakoś poradzić. I poradził sobie. Z łatwością. To w porównaniu z tamtym przypominało spacer plażą. Bułka z masłem, wystarczy patrzeć, gdzie się stąpa, skoncentrować się. Słuchać szumu sosen, słuchać, co mówi las. Zatrzymał się, przykucnął, starał się przeniknąć wzrokiem ciemność.

W prawej kieszeni marynarki miał butelkę po coli, do której wlał benzynę z baku samochodu. Zatkął szyjkę butelki zwiniętą chusteczką jednorazową. Do lewej kieszeni wsunął drugą butelkę, też napełnioną benzyną i podobnie uszczelnioną jak pierwsza. W prawej ręce ścisnął ciężki klucz francuski, kupiony na stacji benzynowej, w lewej rugera. Latarkę zatknął za pasek, a telefon komórkowy wsunął do

tylnej kieszeni, wyłączywszy dzwonek. Ostatnia rzecz, jaka mu była potrzebna w tej nocnej ciszy, to telefon od McTella lub Pasquale, odgłos elektronicznego brzęczyka pośród sosen.

Gdyby zadzwonili.

Wcześniej, jeszcze w samochodzie, próbował się z nimi skontaktować, ale żaden z nich nie odbierał telefonu. Początkowo przypuszczał, że zrobili sobie chwilę wytchnienia, może wysiedli z samochodów, by się odlać na skraju drogi, ale dziesięć minut później nadal żaden z nich nie odpowiada!. Istniały dwie możliwości. Wstąpili na pizzę lub hamburgera - zawsze odżywiali się niezdrowymi daniami w barach szybkiej obsługi. Albo skrewili, postanowili zrezygnować, pójść swoją drogą. Ale nigdy wcześniej tego nie zrobili, dlaczego więc właśnie teraz? Przestraszyli się obecności gliniarza?

Może to co innego.

Na przykład co? Zastanawiał się, czy przypadkiem Loeb się z nimi nie skontaktował i nie nakazał im wycofać się w ramach swej akcji demontażu. Zwijamy interes. Wywieszamy w oknie kartkę: koniec działalności.

Ostatnio obaj byli jacyś dziwni, McTell bardziej niż zwykle drażliwy, Pasquale odległy. Do diabła z nimi. Zresztą Danskowi mało na nich zależało, i tak zamierzał się ich pozbyć. Jaki nędzny jest ten świat. Nie można ufać ludziom, są źródłem samych rozczarowań. Człowiek wciąż na nowo stwierdza, że właściwie może polegać tylko na sobie.

Nie potrzebował McTella ani Pasquale. Miał dosyć tępogłowych zabójców i ich idiotycznych humorów. Przypominali wypełnione kamieniami worki, które musiał ze sobą taszczyć, polecając im zrobić to, jechać tu, jechać tam. Nie potrafili samodzielnie myśleć, nie mieli dosyć rozumu, by ugotować jajko. Lepiej mu się będzie pracowało w pojedynkę. Zresztą zawsze wołał własne towarzystwo. Może od początku powinien działać sam, sam wykonywać egzekucje. Bóg mu świadkiem, że jest do tego zdolny i to lubi.

Szedł dalej. Zdumiewające, jak cicho człowiek potrafi się poruzać, jeśli jest skupiony, jeśli się stara. Ciemności obejmowały go czule. Chodź, Anthony, nie ma się czego bać.

Las wypełniał jego umysł słodką muzyką. McTell i Pasquale zachowywaliby się głośno, miażdżyli butami gałązki i szyszki, płoszyli ptaki i skunksy. Nie słyszeliby muzyki lasu.

Idź dalej, nie zatrzymuj się, Amanda jest już blisko.

Pomyślał o niej, kryjącej się w mroku zalegającym przed nim. O niej i o Rheesie. Ujrzał ją, jak zrywa liść eukaliptusa przed domem. Zobaczył, jak Rhees kładzie dłoń na jej pupie. Och, ta poufalskość. Przypomniawszy sobie, jak w pokoju hotelowym złapał ją za rękę i wypchał jej jedzenie do ust, pamiętał poczucie siły, jakie nim owładnęło, i ciepło jej piersi.

Pamiętał również, jak zadzwonił do swej matki, by jej powiedzieć o dziewczynie imieniem Amanda. W tamtej chwili matka wydawała się znajdować bardzo daleko od niego, dalej niż trzy tysiące kilometrów z hakiem. Jakby była zamknięta w graniastosłupie jego pamięci jak motyl przymocowany szpilką w szklanej gablocie.

Zatrzymał się gwałtownie, wyłowiwszy niewielką modyfikację melodii. Zmiana tonacji, z dur na moll. Stał bez ruchu pod drzewem roztaczającym zapach żywicy. Dźwięk był słaby, ale skoncentrował się na nim. Rozpoznał odgłos przelewania się soków trawiennych w żołądku.

Dobiegał go z prawej strony z odległości metra, półtora, może trochę większej. Trzeba uwzględnić, jak w takich warunkach rozchodzą się dźwięki. Panowały prawie kompletne ciemności. Księżyc spowijały gęste chmury.

Skręcił w prawo. Miał uczucie, że płynie nad ziemią. Ścisnął mocniej klucz francuski w dłoni, trzydzieści centymetrów twardej stali, coś, w co można wierzyć. Oto co jest w życiu potrzebne: coś, w co można wierzyć. Jak ta robota, którą Loeb chciał mu odebrać. Zamknąć księgę. Spalić ją. Zostawić panią prokurator przy życiu i zatroszczyć się o własne tyłki.

Tak, chciałeś mi odebrać sens życia, Loeb. Nie ma mowy.

Mężczyzna przyczajony pośród drzew mierzył jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu, ubrany był w ciemną wiatrówkę i czarne dżinsy. Przy nodze miał kaburę z bronią, stał bardzo cicho. Może coś wy czuł, może instynkt mu mówił, że w powietrzu zaszła zmiana, tylko niezupełnie potrafił ją rozszyfrować.

Ochrona, pomyślał Dansk. Ciekaw był, czy to ten sam policjant, który przywiózł tutaj Amandę i Rheesa z Phoenix, czy też Amandzie udało się rozstawić w lesie posiłki. To było całkiem do niej podobne. Widzisz jednego gliniarza w bronco, ale nie wiesz, że w lesie sosnowym są inni. Naprzód, Anthony. Mam jeszcze dla ciebie kilka niespodzianek.

Jestem na nie gotowy, moja pani. Zawsze byłem.

Podszedł bliżej. Czuł dziwne łaskotanie w koniuszkach palców, jakby stal klucza przemieniła się w lód i skóra przykleiła się do metalu, jak wtedy, kiedy się coś wyciąga z zamrażarki.

Mężczyzna nieco odwrócił głowę, w przeciwnym kierunku do tego, z którego zbliżał się Dansk. Dansk zrobił jeszcze jeden krok i z całej siły zamachnął się kluczem. Poczul, jak metal przecina skórę i zagłębia się w kark mężczyzny. Policjant osunął się na ziemię i Dansk usiadł na nim okrakiem. Zauważył, że jedna powieka mężczyzny trzepotała w sposób niekontrolowany, jakby uderzenie uszkodziło sploty nerwowe.

- Ilu was jest, do cholery? - szepnął Dansk.

Głowa rannego opadła bezwładnie. Krew płynęła z miejsca, gdzie rozcięta była szyja i ramię, powieka wciąż drgała. Dansk drugi raz zamachnął się kluczem w szyję mężczyzny.

Igły sosnowe przylgnęły do ust i zębów rannego.

- Odpierdol się - wybełkotał.

Dansk był skoncentrowany, odzyskał panowanie nad sobą. Walnął leżące kluczem w głowę, kontrolując siłę uderzenia.

- Ilu?

Mężczyzna jęknął i wymamrotał:

- Trzech...

- Gdzie?

- Dwaj... półtora kilometra stąd na drodze.

- A trzeci?

- Przed domkiem.

- Dzięki. - Dansk walił kluczem raz za razem, trzy razy, cztery, stracił rachubę, zresztą nie miało to znaczenia. A potem nie można już tego było nazwać twarzą, przypominało raczej jakąś zakrwawioną, roztrzaskaną i odrażającą masę, twarda stał rozłupała kości czaszki, zmiażdżyła usta, oślepiła.

Dansk przestał, nasłuchując odgłosu oddechu. Nie usłyszał. Ten jeden był załatwiony. Po prostu. Życie z niego uszło. Życie człowieka wisi na włosku, wystarczy ciachnąć.

Pomacał krocze zabitego, ciekaw, czy facet się złał, ale był suchy.

Dansk wstał i spojrział na zarośnięty dukt tak daleko, jak mógł sięgnąć wzrokiem w nikłym świetle. Czuł zapach benzyny, jedna z butelek lekko się przechyliła w kieszeni i chusteczka z ligniny nasiąkała paliwem.

Dwaj kolejni strażnicy półtora kilometra dalej, jeden przed domkiem. A w środku Amanda i Rhees.

Nadchodzę, jestem coraz bliżej. Nic mnie nie powstrzyma.

Ruszył między drzewami z lepkiem od krwi kluczem w prawej dłoni, starając się iść jak najbliżej ścieżki. Porastały ją paprocie, karłowate krzaki i chaszczce. Gdzieniedzie zapuściła korzenie pojedyncza sadzonka sosny, ale pozbawiona światła przez gęstwinę starych drzew, nędznie wegetowała. Jakość życia zależy od tego, jaki obszar uda się zagarnąć dla siebie.

Ja obejmuję w posiadanie ten las. Cały cholerny las i wszystko, co się w nim znajduje, szczególnie była panią prokurator. To moje królestwo. McTell i Pasquale nigdy by tego nie zrozumieli.

Jedyne, co znali, to rozbój. Nie rozumieli prawdziwej natury zabijania, traktowali to jak prostą eliminację. Tymczasem to nie tylko pozbawianie kogoś życia, skądże znowu, to zmienianie biegu dziejów. Zatluczenie człowieka na śmierć to nie zwyczajny, bestialski czyn, ma on swoje konsekwencje, które trudno przewidzieć - pogrążona w smutku żona, osierocone dzieci, puste miejsce za stołem, trumna, prawnicy sprawdzający ostatnią wolę i testament, agenci ubezpieczeniowi przeglądający polisy. Zabijając, kreowało się nową rzeczywistość, można to porównać z tłuczeniem tafli barwionego szkła i tworzeniem zdumiewającego kalejdoskopu, w którym kolorowe okruchy układały się w nieskończoną ilość konfiguracji. Nawet taka prosta sprawa: ubrania zmarłego trzeba zapakować do kartonów i oddać do instytucji dobroczynnej, ktoś inny będzie je nosił, nieświadom faktu, że kiedyś należały one do faceta załatwionego kluczem francuskim w sosnowym lesie.

Zabijając, wpływa się nie tylko na jedno życie. To jakby się rzuciło kamień w wodę: rozchodzą się kręgi i zmieniają los różnych ludzi, niektórych w znacznym stopniu, innych w niewielkim. Jedni mają złamane serce, drudzy dostają używane lewisy z organizacji charytatywnej.

Sam możesz wpływać na kształt świata.

Szedł dalej, lekko pochylony, głowę wtulił w ramiona. Nie myślał teraz. Cały był ruchem, skupieniem i ciszą. Wrzucił wyższy bieg. Kroczył między drzewami, wyczuwając zdradzieckie uskoki terenu, zanim do nich dotarł. Widział w ciemnościach jak kot.

Zatrzymał się.

Tuż przed sobą ujrzał dwóch następnych. I dżipa. Jeden z mężczyzn chodził wolno wokół samochodu, drugi, mniejszy i młodszy, oparł się o drzwiczki. Mieli strzelby, nosili mundury.

Dansk ocenił odległość od samochodu: pięćdziesiąt metrów, może mniej. Przypadł do ziemi i obserwował. Widzieć, samemu pozostając

niewidocznym. Bycie niewidzialnym sprawiło frajdę. Policjant, opierający się o drzwiczki, westchnął cicho. Nie wiedział, że ktoś ukrywa się pośród drzew i go obserwuje.

Dansk podczołgał się bliżej.

Starszy facet zatrzymał się obok młodszego i szepnął coś, czego Dansk nie dosłyszał. Młodszy pokręcił głową.

Dansk podczołgał się jeszcze trochę bliżej.

Odpowiednia chwila.

Czas na przedstawienie.

Wyciągnął z prawej kieszeni butelkę coli. Rozszedł się silny zapach benzyny, ale nie było wiatru, który by go doniósł w kierunku policjantów. Noc przypominała płuco pozbawione powietrza. Przykucnął za krzakiem i wyjął tanią zapalniczkę, którą kupił.

Wyregulował małą dźwignią płomień na najmniejszy, nim potarł palcem kamień zapalniczki. Z plastikowego pojemnika buchnął ma-lutki jęczyczek ognia - teraz trzeba się pośpieszyć. Przytknęła płomień zapalniczki do chusteczki jednorazowej, potem wstał i rzucił butelkę w powietrze, usłyszał, jak zagrały mięśnie w jego ramieniu. Obserwował, jak butelka się wznosi i opada, zataczając płonący łuk, wirując podczas lotu, potem wybuchła, rozbijając się o przednią szybę pojazdu. W jednej chwili w powietrzu wystrzeliły płomienie, młod-szy policjant, którego dosięgnął ogień, zaczął krzyczeć. Starszy rzu-cił się na ziemię, w ciało wbiły mu się odłamki i igielki szkła, jęczał, że nic nie widzi. Młodszy tylko wył z bólu, turlając się po ziemi, próbując stłumić ogień, pod którego wpływem ubranie przykleiło mu się do skóry.

Poliestrowa koszula i spodnie, pomyślał Dansk. Sztuczne włókna. Nigdy nie można im ufać. Zapalił drugą butelkę i rzucił ją. Trafiła w dżipa, samochód stanął w ogniu. Fala podmuchu była tak wielka, że Dansk cofnął się pomiędzy drzewa. W niebo strzelały niebieskie i żółte jęczory ognia, powietrze było gorzkie od zapachu gumy i benzyny.

Rzecz niezwyklej urody, ten pożar. Własna, prywatna wojna. Suche sosny zatrzeszczały, płomienie tworzyły pomosty w powietrzu, las zaczął płonąć, ogień rozproszył ciemności. Ptaki wyrwane ze snu stawały się w blasku ognia złote i czerwone, przemieniały się ze zwyczajnych sójek i kruków w stworzenia o egzotycznym upierzeniu. Wszystko wokół płonęło.

A Dansk już ruszył dalej, myśląc o domku. I o Amandzie.

Boso pośpieszyła na ganek, gdzie stał Gannon z bronią u nogi, z lufą skierowaną w dół. Usłyszała jakieś krzyki, a potem noc rozdarły wybuchy i zobaczyła, jak coś unosi się i opada w powietrzu. Teraz gapiała się na pożar szalejący w odległości niespełna kilometra, obserwowając, jak się rozprzestrzenia niczym apokaliptyczny, fałszywy świt. Po chwili Rhees stanął tuż za nią na progu, oddychając ciężko, i oparł się o framugę. Centrum ognia znajdowało się tam, gdzie zaparkowali samochód dwaj policjanci.

- Bronco stoi zaparkowany z tyłu - powiedział Rhees. - Możemy spróbować się stąd wydostać.

Gannon pokręcił głową.

- Zbyt ryzykowne. Drogę blokuje ogień, jest duże prawdopodobieństwo, że się upieczemy, a nie ma innej przejezdnej drogi. Nie można się przedrzeć samochodem przez las. Zbyt gęsty.

Amanda opanowała panikę. Zachowaj spokój w obliczu przeciwności losu. Dansk i jego zbiry zniszczyli słabą ochronę, którą zorganizowała, co oznacza, że przedarli się obok zastępcy szeryfa Clarence'a Griffina, stojącego na moście, a potem wysadzili w powietrze samochód. Stworzyli ten pokaz sztucznych ogni, wszystkie te efekty specjalne, a teraz przemykają gdzieś w mroku między płomieniami w kierunku domku. Jeśli chodzi o Griffina i dwóch policjantów - nie miała teraz ochoty myśleć, co się z nimi stało.

- Dobrze przynajmniej, że nie ma wiatru - powiedział Gannon. - Sądząc po tym, jak rozprzestrzenia się ogień, przypuszczam, że zostało nam pół godziny, może trochę więcej, nim tutaj dotrze.

Amanda spojrzała na rosnące wzdłuż drogi sosny. Paliły się niczym suche szczapy w ognisku. W powietrzu unosił się słodki, oduurzający zapach płonącego drewna. Ale czuć było jeszcze coś, toksyczny swąd tłące się plastiku i palącej się benzyny.

- Czyli albo możemy tu siedzieć i się usmażyć, albo się stąd wyniesiemy - powiedziała Amanda. - Perspektywa zamiany w hamburger niezbyt mnie pociąga. Skoro nie możemy pojechać, pójdziemy piechotą, kierując się ku rzece. - Zwróciła się do Rheesa. - John, nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Myślisz, że dasz radę?

- Jak powiedziałaś, nie mamy wyboru.

Gannon nagle stał się stanowczy.

- Dobra, zróbmy tak. Chodźmy.

- W odległości półtora kilometra od domku jest koryto wyschniętego strumyka, otoczone zaroślami. Kiedy tam dotrzemy, zyskamy na jakiś czas kryjówkę - powiedziała Amanda.

- Znam to miejsce - odezwał się Rhees.

Przypomniała sobie, że w innym życiu kochali się w tamtym miejscu, spontanicznie i namiętnie, nie zwracając uwagi na piasek i natrętne muchy.

Uświadomiła sobie, że jest boso. Wróciła do domku po buty. Łuna pożaru nie docierała do środka pomieszczenia, więc przekręciła kontakt, zobaczyła pantofle w pobliżu kominka i wsunęła w nie stopy.

Stał przy otwartym oknie w drugim końcu pokoju. Twarz miał czarną od dymu, marynarkę uwalaną ziemią i oblepioną igliwem, a na rękę, w której trzymał broń, widniała krew. Znajdował się jakieś dwa metry od niej i śmierdziało od niego benzyną.

- Ani mru-mru, Amando - szepnął. Zarejestrowała otwarte okno i wygląd Danska, przywodzącego na myśl jakieś stworzenie długo pograżone we śnie, które się wyłoniło z pieczary, tylko częściowo przypominające ludzką istotę. Podszedł do niej, chwycił ją i obrócił. Poczula na plecach twardą, zimną lufę i gorący oddech Danska na karku.

- Drzwi - powiedział. Zmusił ją do wyjścia na ganek.

Rhees opierał się o balustradę, a Gannon patrzył na płomienie, jakby próbował ocenić prędkość, z jaką rozprzestrzenia się pożar. Myślała, żeby ostrzec ich krzykiem, szturchnąć Danska łokciem pod żebra, odwrócić się gwałtownie i rozorać mu twarz paznokciami, spróbować wyrwać mu broń. Potem poczula na szyi usta Danska i jego język. Całował ją.

Rhees odwrócił głowę i powiedział:

- Jezu!

Wtedy Gannon się odwrócił, ale było za późno, karabin trzymał lufą do dołu, nie miał czasu, by złożyć się do strzału, zresztą nawet gdyby miał dni na obmyślenie ruchu, nie mógłby nic zrobić, ponieważ Amanda niby tarcza osłaniała Anthony'ego Danska. Dansk uniósł pistolet, trzymając rękę parę centymetrów nad ramieniem Amandy. Próbowała mu przeszkodzić, potraćić go chociaż na tyle, by zmusić go do niecelnego strzału, ale był za szybki, już wypalił z broni i ten odgłos zabrzmiał w jej uszach jak wybuch pocisku. Ogarnęły ją mdłości, w ustach poczula kwaśny smak. Wydawało jej się, że słyszy, jak Dansk mówi „Niezbyt to było mądre, Amando”, a potem zobaczyła, jak Gannona odrzuca na balustradę, strzelba wypada mu z rąk. Barierka pękła pod naporem jego ciała i Gannon zniknął im z oczu.

Rhees, pociągając chorą nogą, zrobił krok do przodu, jakby zamierzał dokonać jakiegoś bohaterskiego czynu. Powiedziała mu, by został tam, gdzie jest, głosem tak stłumionym, że ledwo słyszała samą siebie.

Dansk się roześmiał.

- Radzę posłuchać pani, Rhees.
- Puść ją - powiedział Rhees.

Dansk znów się roześmiał, cicho, powściągliwie.

- Puścić ją?

Amanda patrzyła na Rheesa. Jego twarz oświetlały płomienie, był zupełnie oszołomiony. I cały czas słyszała ogłuszający huk wystrzału i trzask sosen.

- Myślałaś, że będziesz tu bezpieczna - powiedział Dansk. - Wiadomość z ostatniej chwili. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Taki już jest ten świat. - Przez chwilę spoglądał na ogień. - Pora się stąd wynosić.

- Dokąd? - spytała.

- Tam gdzie kończy się wszelka ciekawość. - Spojrzał na Rheesa. - Obawiam się, że ten spacer będzie dla ciebie wyczerpujący. Może wolisz zostać? A może jesteś równie ciekaw jak twoja pani? - Wymierzył z rugera w Rheesa.

- Pójdę wszędzie tam, gdzie ona - powiedział Rhees.

- Tego się spodziewałem. - Dansk puścił Amandę i skinął głową w kierunku lasu. - Obejdziemy płonący las i wrócimy do mostu.

- A potem co? - spytała.

Dansk jakby nie dosłyszał pytania.

- Szkoda mi tych drzew - powiedział. - Kiedy się coś zabiera przyrodzie, narusza się równowagę. Nie lubię tego. - Na jego twarzy malowało się ubolewanie. - Teraz w drogę. Będę szedł tuż za wami.

Szli między drzewami, wzdłuż granicy ognia, minęli płonącego dżipa. Nie zauważyła śladu policjantów, miała nadzieję, że jakoś udało im się przeżyć, ale wiedziała, że szanse na to były znikome.

Najtrudniej szło się Rheesowi. Amanda musiała go podtrzymać, wysiłek fizyczny skierował jej myśli na to, co się działo wokół niej: odgłos oddechu Rheesa, pożar lasu. Przyszłość się teraz nie liczyła. W tej chwili najważniejsze było wydostać się stąd. Dokąd skierują się potem, zależało od Danska. Wiedział, gdzie ich zabierze. „Tam gdzie kończy się wszelka ciekawość”.

- Muszę chwilę odpocząć - powiedział Rhees.

Dansk szturchnął Rheesa w plecy pistoletem.

- Nie ma czasu. Naprzód.

Amanda obejrzała się i zobaczyła iskry strzelające nad płomieniami w ciemne niebo. Wcześniej czy później domek ulegnie zagładzie. Wcześniej czy później ją i Rheesa czeka to samo. Nie przychodził jej do głowy żaden pomysł, jak się ratować. Dansk miał broń, a kto ma broń, ten dyktuje warunki.

- Przez most i na drugą stronę drogi - powiedział Dansk. - Szybciej! Ruszać się!

Most zbudowany był z przegniłych, omszałych bali. Amanda poczuła, jak konstrukcja się zachwiała, kiedy razem z Rheesem znaleźli się na niej. Za mostem Dansk kazał im skręcić w prawo, gdzie w zaroślach stał ukryty samochód. Szalejący za nimi pożar przypominał mały kataklizm wywołany upadkiem meteorytu.

- Wyznaczam cię na kierowcę, Amando - powiedział Dansk. - Ja dotrzymam towarzystwa Rheesowi na tylnym siedzeniu. Uważam, że tak będzie najlepiej.

Amanda pomogła wsiąść Rheesowi, potem sama zajęła miejsce za kierownicą. Dansk wsiadł, wręczył jej kluczyki i powiedział:

- Jedź do głównej szosy, po drodze będę ci dawał wskazówki.

Wycofała samochód z zarośli. Kiedy dotarła do szosy, Dansk kazał jej skręcić w lewo. Spojrzała w lusterku na Rheesa.

Dansk się pochylił.

- Ani na chwilę nie spuszczaaj oka z drogi, moja pani.

- Sprawdzalam, jak się czuje John - powiedziała.

- Johnowi nic nie będzie. Johnowi jest wspaniale tu z tyłu.

Prawda, John?

- Prawda - potwierdził obojętnie Rhees.

- Widzisz? Nie martw się o Johna.

Spoglądała przed siebie w mrok. Ćmy i owady pojawiały się w świetle reflektorów i rozбивały o przednią szybę. Plamy śluzu, złamane skrzydła trzepoczące pod wycieraczkami, szklany cementarz martwych owadów. Widziała tylko drogę przed sobą, biała linia na środku szosy wrzynała jej się w mózg. Skoncentruj się, wymyśl jakiś sposób wybrnięcia z tej sytuacji, jeśli potrafisz: rozbij samochód, skręć do rowu, naciśnij hamulec, zrób cokolwiek, wszystko jedno co. I tak było obojętne, co uczyni, ponieważ nie miała cienia wątpliwości, że Dansk zastrzeli Rheesa, gdyby zboczyła z szosy choćby o metr.

- Jak to miło jechać tak we trójkę - powiedział Dansk do Rheesa. - Czuję się, jakbym był wśród starych przyjaciół. Już się kiedyś spotkaliśmy, John.

- Czyżby?

- We francuskiej restauracji. Oddawaliśmy obok siebie mocz i rozmawialiśmy o przewodze ręczników nad suszarkami do rąk. Mówiliśmy o zarazkach.

- Nie pamiętam - powiedział Rhees.

Francuska restauracja, pomyślała Amanda.

Czy było jakieś miejsce, gdzie Dansk jej nie śledził? Zostawił odciski palców na całym jej życiu. Dansk się pochylił i dotknął jej szyi łufą pistoletu. Poczowała metal na skórze i przypomniała sobie obrzydliwy pocałunek Danska. Lekko odsunęła głowę. Dansk się roześmiał i powiedział:

- Jesteśmy wszyscy szczęśliwi. Szczęśliwi podróżnicy. Prawda, John?

- Ja nie narzekam - odparł Rhees.

- To mi się podoba. Brakuje nam jedynie kosza z prowiantem. Kurczak pieczony, parę zimnych puszek browaru, by przepłukać gardło. - Dansk znów zaczął się bawić bronią, udał, że pistolet wysunął mu się z rąk i upadł na kolana. - Oj, muszę być ostrożniejszy. Nie chcemy, żeby przypadkiem wystrzelił, prawda?

- Nie celuj w Rheesa - odezwała się. Dansk bawiący się bronią, pomyślała. Dansk przeciągający strunę.

- Słyszysz, John? - powiedział Dansk. - Pani się boi, że niechcący spowoduję nieszczęście. Jedna kulka w czachę i żegnaj, Rhees. Ta troska jest wzruszająca. Jestem pod wrażeniem. To dowód miłości.

- Nie masz pojęcia o miłości, Dansk - oświadczyła.

- Czyżbym słyszał głos eksperta?

- Znasz się na śmierci - powiedziała. - Tylko i wyłącznie.

Dansk cmoknął z dezaprobatą.

- Ty też masz się czym pochwalić w tej dziedzinie, moja droga. Sprawdź, jakie sama spowodowałaś spustoszenia, zanim zaczniesz wydawać sąd o innych. Jesteś niczym jakaś Czarna Śmierć prowadząca zagładę. Weźmy na przykład Bernadette Vialli. Albo Williego Dramma.

Nic nie powiedziała, tylko wpatrywała się w drogę, jakby chciała jedynie uciec od głosu Dansk. Próbował zrzucić na nią odpowiedzialność. Rozsiewał nawóz w nadziei, że zrodzi się w niej poczucie winy.

- Mało ci jeszcze, Amando? Trzy trupy w lesie. Kto ściągnął tych ludzi? A policjant na ganku? Nawet ten tu biedny Rhees byłby w o wiele lepszym stanie, gdyby nie ty. Wleczesz za sobą cierpienie i śmierć jak walizkę na kółkach, a prosiłem cię tylko, żebyś się od tego trzymała z daleka. Proste, ale nie posłuchałaś. Niemądrze, bardzo niemądrze.

- Nie zabiłam ich, Dansk - powiedziała. Trzy trupy w lesie - ludzi, którzy przyjechali, by ją chronić - i Thomas Gannon leżący obok ganku ze złamaną balustradą.

- Zgadza się, nie nacisnęłaś spustu. Jedynie wciągnęłaś niektóre osoby w niebezpieczną sytuację. Nie ja to zrobiłem.

- Nie możesz mnie winić za ich śmierć - powiedziała.

Ogarnął ją gniew, ale nie potrafiła powiedzieć, czy był bezpośrednio i w całości skierowany przeciwko Danskowi, czy też miała też trochę pretensji do siebie. Przypomniała sobie te chwile, kiedy myślała o wycofaniu się z tego wszystkiego, kiedy jeszcze mogła ostudzić zapał i pohamować gwałtowne porywy. Ale fala przypiływu już dawno zmyła te możliwości i została rozległa, pusta plaża.

Droga przed nią też była pusta.

- *À propos*, dokąd jedziemy? - spytał Rhees.

- W pewne miejsce. Parę godzin jazdy stąd.

- Cóż to za miejsce, Dansk?

Dansk nie odpowiedział.

Nie wiadomo skąd pojawiła się straż pożarna, migająca niebieskimi światłami, i przemknęła obok nich w przeciwnym kierunku, a potem wóz policji na sygnale.

Amanda pomyślała: zatrzymajcie się. Potrzebujemy waszej pomocy. To nie tylko płonie las. Ale straż pożarna i radiowóz już przejechały, a droga w lusterku była tak czarna, jak malująca się przed nimi przyszłość.

- Te liczby określają położenie samochodu Danska, jak jest daleko od nas i z jaką szybkością się porusza - wyjaśnił Pasquale. - W tej chwili znajduje się pięć kilometrów na północ stąd i jedzie z prędkością stu trzech kilometrów na godzinę.

McTell spojrział na przyrząd. Cyfry cały czas się zmieniały.

- Nie ma potrzeby zanadto się do niego zbliżać - powiedział Pasquale.

McTell skinął głową i mruknął: - Ale się fajczy. Rany boskie.

- Myślisz, że ma z tym coś wspólnego?

McTell wzruszył ramionami. Pamiętał, jak parkowali między drzewami tuż obok szosy i nagle rozszalało się prawdziwe piekło.

- Wiem tylko to, co widzieliśmy. Wszystko stanęło w ogniu, a potem z lasu wyjechał samochód z kobietą za kółkiem, a jej poturbowany przyjaciel siedział z tyłu.

- Nigdy nie przypuszczałem, że taki z niego kozak, by porwać tę facetkę - powiedział Pasquale.

- Kozak - prychnął pogardliwie McTell.

- Myślisz, że ta facetka i jej przyjaciel stanowią problem?

- Nie - odparł McTell.

Pasquale spojrzął na czerwone cyferki na małym, czarnym pudełeczku.

- Wiesz co, Eddie, chyba pozbyłem się wątpliwości.
- No pewnie. Powiedziałem ci, że dadzą nogę.
- Dansk mnie uratował, zgoda. Dzięki niemu znów miałem jakiś cel w życiu. Ale coś mi się zaczyna wydawać, że spłaciłem dług z nawiązką. Ciekaw jestem, co pomyślał, kiedy nie odbieraliśmy telefonu.

- A kto by się tym przejmował? - McTell spojrzął na urządzenie w czarnej obudowie. - Co tam teraz pokazuje?

Pasquale przyjrzał się trzymanemu w dłoni miernikowi. Nagle przyrząd jakby zwariował. Jeśli wierzyć cyfrom, samochód Dansk znajdował się teraz sto pięćdziesiąt sześć kilometrów na zachód. Niemożliwe. Pasquale puknął w obudowę.

- Jakies kłopoty? - spytał McTell.
- Śmiesznie się zachowuje.
- Śmiesznie?

Pasquale potrząsnął przyrządem. Czerwone cyfry znów się zmieniły. 9,3 km PN 108 km/h.

- Nie, już wszystko w porządku. Może jakieś zakłócenia.
- Chwilowy kaprys - powiedział McTell.
- Chyba tak.
- Wyprodukowane w Ameryce, stary. Musi być niezawodne.
- Zastanawia mnie jedno - powiedział Pasquale. - Dlaczego ich nie załatwił tam, w lesie?

McTell milczał, obserwując ciemną szosę. Drzew było coraz mniej, potem w ogóle zniknęły i krajobraz znów przemienił się w pustynny.

W pewnej chwili pstryknął palcami.

- Daj sobie spokój z tą elektroniczną zabawką. Wiem, dokąd zmierza nasz Anthony.

Wkoło, aż po horyzont, gdzie świt namalował kilka bladych smug, rozciągała się jałowa równina. Dansk wyobraził sobie to miejsce zimą: przenikliwy wiatr zawodzący nad nieużytkami, przemarzniete kłęby szarłatów, toczące się wąskimi, pokrytymi gołoledzią drogami. Tutaj właściwie zawsze panowała martwota.

- Niedługo skręcimy. Zwolnij - powiedział.

Amanda nacisnęła hamulec. Krajobraz był księżycowy i odpychający w swej obojętności. Przez ostatnie sto pięćdziesiąt kilometrów szukała w myślach sposobów pozbycia się Danska, ale pomysły, które jej przychodziły do głowy, były nierealne. Zdawała sobie sprawę z upływu czasu. Jedno nie ulegało wątpliwości: nie sprowadził tutaj jej i Rheesa na piknik.

Dansk rozłożył mapę i trzymał palec w jednym punkcie. Nigdzie w pobliżu nie było żadnych mogących przyciągnąć tłumy atrakcji oferowanych przez rdzennych Amerykanów, żadnych ceremonii Nawaho sprowadzających deszcz czy tańców Hopi, żadnych faktorii, kuszących turystów świecidełkami i pocztówkami. Był to koniec świata, wzbudzający lęk swoją niegościnnością.

- Skręć tu w prawo - polecił Dansk.

Żadnej drogi, punktu orientacyjnego, znaku. Poczwała, jak samochód się zakolysał, kiedy zjechała z szosy. Zastanawiała się, czy nie udałoby jej się wypatrzeć gdzieś jaru, skierować samochód w rozpadlinę i być dobrej myśli, ale nigdzie nie było ani żlebów, ani uskoków wystarczająco głębokich, by udał się taki desperacki krok.

Ciemność nie pozwalała się zorientować, gdzie są. Koła wzniewały pył, który osiadał cieniutką warstwą na szybach samochodowych. Dansk nachylił się do niej i powiedział:

- Zbladłaś, Amando. John, twoim zdaniem też jest błada?
- Trochę - przyznał Rhees.
- Zastanawia się, dokąd jedziemy i jak mogłaby się stąd wydostać. Ale stąd nie ma drogi wyjścia, nawet dla pani prokurator.

Dansk stuknął kilka razy pistoletem w gipsowy opatrunek na rękę Rheesa, aż ten się skrzywił.

- Dwoje wykształconych ludzi, a ja ukończyłem tylko liceum i zaliczyłem dwa lata jakiegoś kiepskiego państwowego college'u z wykrywaczami metalu na korytarzu.

Dansk rozsiadł się wygodnie. Dwójka inteligentów, ze stopniami naukowymi i dyplomami, a siedzą tu bezbronni, a on gra glissando na ich nerwach. Boją się go. Sprawiało mu to prawdziwą frajdę. Spójrz tylko na mnie, mamó! Jakim się cieszę poważaniem.

Wyrzał przez okno. Było to wymarzone miejsce na dokonanie żywota. Dwadzieścia pięć kilometrów od szosy, w sercu ziemi, do której nikt nie rościł sobie pretensji, której nikt nie chciał.

Samochód kołysał się na nierównościach. Ręce Amandy na kierownicy były tak białe jak jej twarz. Dansk zobaczył w lusterku jej oczy. Nasza Matka Boska Bolesna. Nie przypominała tamtej sprytniej Amandy z bezcennym listem w kieszeni. Była załamana, bała się tego, dokąd jedzie i co ją czeka, kiedy tam dotrze. Nawet bała się o tym myśleć.

Przypomniął sobie, jak pocałował ją w kark. Zrobił to dla zgrywu, ale smak soli i potu na jej skórze sprawił mu przyjemność. Wyobraził sobie, jak ściąga jej dżinsy i ją gwałci, tam na ganku, trzymając jej pistolet przy głowie, wyobraził sobie Rheesa, przyglądającego się temu bezradnie, i ogień trawiący sosny. Małe erotyczne fantazje, które biorą się nie wiadomo skąd. W umyśle rodzą się dziwne obrazy, mózg wysyła impulsy niczym latarnia morska o świdrującym spojrzeniu. Wcale nie miał ochoty przelecieć Amandy, pragnął jej śmierci. To była wyższa forma pożądania.

- Tutaj - powiedział, wskazując ręką. Kawalki przerdzewiałego drutu wisiały pomiędzy słupami, które się pochyliły pod wpływem silnych wiatrów. Na przekrzywionej tablicy majaczył w światłach samochodu niewyraźny napis. Pozostały jedynie urywki słów, pozbawione znaczenia. S MIN O RO WA.

- Gdzieś nas wywiózł? - spytała Amanda.

- Kiedyś był tu jakiś ośrodek rolniczy - wyjaśnił Dansk. - Zdaje się, że próbowali wyhodować jakąś szczególnie odporną odmianę soi czy coś w tym rodzaju. Zrezygnowali dwadzieścia lat temu. Nic tu nie urośnie. Przejedź między tymi słupami.

Zrobiła to, co jej kazał. Serce waliło jej jak oszalałe i nie mogła go uspokoić. Odwróciła się.

- John nie ma z tym nic wspólnego - oświadczyła.

- Czekałem na to. Och, Anthony, proszę, puść Johna wolno. Chlip, chlip. - Dansk przemówił falsetem, załkał i udał, że ociera łzę z oka.

- Jestem tutaj i nigdzie nie pójdę, Amando - odezwał się Rhees.

- Cóż za lojalność - pochwalił Dansk. Amanda zahamowała.

- Pozwól mu odejść - powiedziała.

- Słyszałaś, co powiedział pan profesor. Jedź.

- To sprawa wyłącznie pomiędzy mną i tobą, Dansk.

- Dosyć, Amando - uciał Rhees. - Daj spokój.

- Widzisz? - zapytał Dansk. - Chce zostać. Jedź.

Amanda zacisnęła ręce na kierownicy i gapiała się przed siebie.

- Sam sobie jedź.

Dansk uniósł broń do skroni Rheesa.

- Nie pojedziesz, a domyśl się, co się stanie, Amando.

Jej upór przeciwko pistoletowi Danska, cóż za brak rozsądku. Odkąd Rhees został pobity i hospitalizowany, Dansk zyskał przewagę.

Dansk przytknął lufę do policzka Rheesa. Rhees zachował godność. Zastanawiała się, czy to zwykła rezygnacja, czy też poza, jaką przybrał w obliczu przemocy. Zdjęła nogę z hamulca i samochód potoczył się przed siebie. Patrzyła przez zakurzoną szybę. Czegóż się spodziewała po Dansku? Litości?

- Bardzo rozsądnie - pochwalił Dansk. Opuścił broń. Chciał rozwalić Rheesowi łeb, ale nie w samochodzie. Niepotrzebne mu ślady krwi w wynajętym wozie.

- Tam - powiedział.

Budynek był koloru rozciągającej się wokół ziemi, widocznie po latach upodobnił się do otoczenia. Pozbawiony okien drewniany barak o wymiarach piętnaście na dziesięć metrów, z dachem z przedrzewiałej blachy.

- Zatrzymaj się - polecił Dansk. - Daj mi kluczyki, a potem wysiądź.

Amanda wyłączyła silnik i oddała kluczyki Danskowi, który schował je do kieszeni. Otworzyła drzwi i wysiadła, a następnie pomogła wydostać się Rheesowi z tylnego siedzenia.

Dansk już wysiadł z samochodu i wskazywał na budynek. Nie chciała wejść do środka. Brak okien wywoływał ogólne wrażenie ostateczności, mimo że na horyzoncie pojawił się skrawek wschodzącego słońca. Mogliby uciec, gdyby Rhees był sprawny, gdyby to ich dokąś zaprowadziło.

- Otwórz drzwi - polecił Dansk.

Nie poruszyła się. Patrzyła na Rheesa, ale nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy. Po sześciu latach wspólnego życia doczekała się chwili, kiedy John zdawał się zupełnie obcy. Zrobiła kilka kroków z Rheesem u swego boku. Chciała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w krtani. Ujęła jego dłoń. Była lodowata.

- Pchnij - powiedział Dansk.

Dotknęła drzwi, które lekko ustąpiły. Za nimi była tylko czarna czeluść, nic więcej. Dansk podszedł i szturchnął ją, potem wpechnął Rheesa do środka. Zaczął szukać czegoś po omacku na ścianie, przesunął jakąś dźwignię i po chwili rozległ się zgrzyt, który przeszedł w głuchy łoskot, jęk, i cały budynek się zatrzęsł. Nad głowami kilka razy błysnęło światło, nim zaświeciło na dobre. Amanda uświadomiła sobie, że ten hałas pochodził ze starego, obudzonego do życia generatora. Jęczał i klekotał, skarżył się i sapał.

Amanda się rozejrzała. Jedno duże pomieszczenie, trzydzieści metrów kwadratowych, może więcej. Wszędzie leżał kurz: pomiędzy zbutwiałymi deskami podłogi, na półkach biegnących wzdłuż ścian i na żółtawych świetlówkach nad ich głowami.

Potem dostrzegła puszek, ciemnoniebieskie, metalowe pojemniki ustawione na regałach, pokryte kurzem jak wszystko wkoło. Zobaczyła napisy, zrobione z pomocą szablonu, na bokach puszek: UWAGA! TOKSYCZNE MATERIAŁY ODPADOWE. Pojemnik za pojemnikiem, każdy wysokości około pół metra, ogółem może trzydzieści pięć lub czterdzieści, a na każdym identyczne ostrzeżenie wypisane srebrnymi literami.

- Odpady toksyczne - powiedział Dansk.

Huk generatora rozsadał jej głowę. Obserwowała, jak Dansk podchodzi do najbliższego pojemnika, sięga do niego i go przechyla. Wieczko spadło, potoczyło się tam, gdzie nie docierało światło, i zatrzymało się gdzieś w ciemnym kącie. Odpady toksyczne, pomyślała. Uświadomiła sobie, że nie chce nic widzieć, nie chce patrzeć na pojemnik, który Dansk przechylał.

Puszka spadła. Generator na chwilę zmienił tonację i lampy pod sufitem mrugnęły parę razy, potem maszyna znów zaczęła dudnić z całą mocą, aż drżała podłoga.

- Dodatkową korzyść stanowią wyroby jubilerskie, gotówka, wszystko, co ci ludzie posiadali - powiedział Dansk. - To jak system premiowy. Na przykład ten zegarek, który mam na ręku. - Podniósł w górę rękę. Równie dobrze mógł mówić do siebie. - Bonus. Zazwyczaj nie tykam takich rzeczy, trafiają do ludzi o minimalnej wrażliwości, którym nie przeszkadza, kto był poprzednim właścicielem, ale akurat ten mi przypadł do gustu. Trochę się boję karmy, która może być z nim związana. Ale to przyjemny zegarek. Przypuszczam, że karma to i tak loteria.

Bonusy. System premiowy. Karma. Dansk wpatrywał się w rozsypaną zawartość pojemnika. Amanda odwróciła głowę. Czuli się, jakby jej serce spadało niczym kamień w studnię bez dna.

- Nie bądźcie tacy wrażliwi - powiedział Dansk. - Profesorowie czy prokuratorzy, nie ma to najmniejszego znaczenia. Oto co po nas pozostaje. - Zaczął przesypywać zawartość puszek. - Po poddaniu zwłok kremacji popioły dostarczane są tutaj w tych pojemnikach. Gromadzimy je, a potem wyrzucamy do morza, kiedy mamy do dyspozycji samolot. Czasem zdarzają się nedoróbki. Spójrzcie na to. - Wyciągnął coś z popiołów.

Odwróciła głowę. Zdawała sobie sprawę z tego, że Rhees patrzy, lekko zgarbiony. Przeniosła wzrok na Danska i na to, co leżało na jego dłoni.

- To kawałek kości palca u ręki. Widzicie? - Znowu coś wygrzebał z szarobiałego stosu ludzkich szczątków. Kość była osmalona i poczerniała, miała około pięciu centymetrów długości. - Wygląda jak fragment kręgu - powiedział. - Może należał do Benny'ego Vialli?

Do Benny'ego Vialli.

- Albo do Isabel - powiedział Dansk.

Wiedziała, że Isabel nie żyje, naturalnie, że wiedziała, ale widocznie nie do końca się z tym pogodziła, ponieważ poczuła mdłości. Przycisnęła ręce do brzucha.

- Co jeszcze robisz, Dansk? Wyrывasz złote plomby? - Jej głos był suchy. W gardle czuła nieznośne pieczenie. Do płuc nie docierał tlen. Odnosiła wrażenie, że serce przestało tłoczyć krew.

- Rozśmieszasz mnie - powiedział Dansk. - Masz wypaczone pojęcie o sprawiedliwości. Idziesz do sądu i wydaje ci się, że jesteś Bóg wie kim i zaprowadzisz porządek na świecie. Żli ludzie trafią do więzienia, dobrzy - nie. Tyle tylko, że aby osiągnąć swój cel, musisz wchodzić w układy z pewnymi nędznikami...

- Taki jest system - usłyszała swój głos. Kręciło jej się w głowie, czuła się, jakby miała popiół w ustach, cienką warstewkę ludzkich popiołów.

- System jest do dupy. Ale ty z największą powagą brałaś udział w tej grze. Tymczasem na wolności pozostawali ludzie, którzy powinni siedzieć za kratkami lub wdychać opary cyjanku. Ponieważ jednak zamienili się w ptaki śpiewające to, co pani prokurator chciała słyszeć, w nagrodę wracali do społeczeństwa wyznającego określone zasady i wartości, które ci nędznicy mieli w nosie od dnia swego przyścia na świat. Myślisz, że ponieważ objął ich Program Ochrony Świadców, nagle wszyscy staną się święci? Będą chodzić na zebrania komitetu rodzicielskiego i śpiewać w chórze kościelnym? Nie rozśmieszaj mnie. Są głównem na podeszwie mojego buta i ja wycieram to gównem.

- Mieli gwarancje - powiedziała Amanda. Zamknęła oczy i lekko się zachwiała. Żołądek podszedł jej do gardła, jakby płynęła łódką po bardzo wzburzonym morzu.

- Nie ode mnie - stwierdził.

- Stawiasz się ponad prawem.

- Jest więcej niż jedno prawo w tym wielkim kraju, moja pani. Ty pracujesz na powierzchni, gdzie wszystko ładnie wygląda. Ja

działam pod ziemią, jestem górnikiem harującym na trzy zmiany. Ty dajesz gwarancje, a ja wyskakuję i je unieważniam. Męty, które są ci potrzebne, byś mogła wydać wyrok skazujący, nie zasługują na wolność. To skurwysyny, kręcące się po świecie dzięki takim ludziom jak ty.

- Wybierasz swoich... kandydatów i sprowadzasz ich tutaj, umieszczasz ich w wiecznym areszcie...

- Właśnie tak to funkcjonuje i to jest piękne. Są objęci Programem, znikają i nikt nigdy nie próbuje ich odnaleźć, a nawet gdyby ktoś się chciał wyłamać - powiedzmy jak pani Vialli - trzeba byłoby pokonać zbyt wiele przeszkód. A jeśli są uparci, cóż, rozwiążemy ten problem inaczej.

- Co, na litość boską, zrobił Benny, by sobie na to zasłużyć? - Tak mocno zacisnęła pięści, że krew przestała jej dopływać do palców rąk, kostki pobielwały.

- Był współwinny. Był skażony.

Skażony. To był obłąd. Nie, to coś więcej niż obłąd, coś, czego nawet nie potrafiła nazwać.

- Jeśli chodzi o twoją kumpelkę, panią Sanchez, też była przewidziana do likwidacji, tylko udało jej się uciec, co - jak sama wiesz - spowodowało niepotrzebną zwłokę.

- Isabel jedynie zeznawała przeciwko swemu mężowi, nie była kryminalistką...

- Poślubiła przestępcę. Wiedziała, jak Sanchez zarabiał pieniądze, ale mimo to wiodła dostatnie życie, korzystając z owoców jego pracy. Potem, kiedy jej to odpowiadało, odeszła od niego i stała się jednym z twoich śpiewających ptaszków, droga pani. - Dansk się roześmiał. - A cały czas myślałaś, że to Victor Sanchez pociągał za sznurki, prawda?

- Robisz porządki, Dansk.

- Jestem facetem, który zawzięcie wyrywa chwasty - powiedział Dansk.

Patrzyła na pojemniki i zastanawiała się, ilu ludzi tutaj skończyło,

zamkniętych w tych puszkach, bezimiennych, pozbawionych tożsamości. Jej mózg pracował na zwolnionych obrotach. Tego nie sposób ogarnąć umysłem.

- Lubię moją pracę - przyznał Dansk, przesypując popiół przez palce. - Zgłosiły się do mnie pewne osoby i powiedziały, że potrzebują właśnie kogoś takiego jak ja. Ci ludzie są przekonani, że Program Ochrony Świadców pompuje potężne dawki trucizny w arterie społeczeństwa. Ludzie, którzy pytają: Co, do cholery, robimy najlepszego, pomagając mętom, które wy, prawnicy, przekazujecie dalej? Ludzie utrzymujący, że cała ta sprawa jest wielce wątpliwa z punktu widzenia moralności - pomijając nawet fakt, że pochłania miliony dolarów. Na co idą te pieniądze? By zapewnić kryminalistom bezpieczeństwo i wygodne życie. Mamy złodziei i zabójców, którzy co miesiąc otrzymują wypłatę, mają zagwarantowane szkolenie zawodowe i przeprowadzkę na koszt podatników, a wszystko to w sytuacji, kiedy deficyt budżetowy jest niebotyczny, zwykli, uczciwi ludzie nie mogą znaleźć pracy, a banki odbierają im ich domy. - Dansk, który wyraźnie się uniósł, urwał gwałtownie. Usłyszała, jak ocierał dłonią wilgotne usta.

Pomyślała: deficyt budżetowy, bezrobocie, kraj w obliczu kosmicznego zadłużenia, więc niektórzy zaczęli się zastanawiać, na czym by tu zaoszczędzić. Nie liczyło się na czym, chodziło tylko o zmniejszenie wydatków. Uczniowskie obiady, zajęcia przedszkolne, dary z opieki społecznej, Federalny Program Ochrony Świadców, nieważne co.

- Zdaniem tych ludzi należało gdzieś narysować linię i ta linia biegnie właśnie tu, moja pani - oświadczył Dansk.

- Ci ludzie - powiedziała. - Niektórzy z nich pracują w Ministerstwie Sprawiedliwości, niektórzy w policji sądowej. Tam gdzie identyfikatory wykonuje się na poczekaniu, gdzie można przechwytywać wiadomości, a oficjalne dokumenty dostaje się bez konieczności odpowiadania na zbędne pytania.

- Jakie ma znaczenie, do cholery, gdzie oni pracują? - spytał Dansk. - Najważniejsze, że to, co robię, jest moralne. Ludzie tacy jak pani zostawiają bałagan, a ja go sprzątam.

Jest moralne. Moralność przypomina plastelinę. Da się z niej ulepić wszystko. Dansk znalazł usprawiedliwienie dla tego, co robił, wychodząc z założenia, że Program Ochrony Świadców jest czymś złym, ale przypuszczała, że ten, kto pierwszy wpadł na ten niesamowity pomysł, należał raczej do osób o mentalności buchalterów o władniętych manią oszczędzania niż filozofów rozważających dyalematy etyczne. Wyobraziła sobie zalew notatek kierowanych do wybranych agencji federalnych. Widziała, jak lądują na biurkach różnych dyrektorów departamentów w tych agendach. Przypuszczała, że wszystkie zawierały takie samo, niewinne sformułowanie, zredagowane przez jakiegoś biurokratę z Komisji Administracji i Budżetu. „W chwili obecnej stan gospodarki narzuca konieczność redukcji wydatków federalnych. W związku z powyższym prosimy przeanalizować te dziedziny Państwa działalności, w których można by wprowadzić oszczędności budżetowe...”.

I jakiś urzędnik w Ministerstwie Sprawiedliwości, powiedzmy Loeb, przyjrzał się uważnie swemu królestwu, zobaczył nadmiernie rozdęty Program Ochrony Świadców, i wpadł na genialny pomysł, którym się z kimś podzielił w wielkiej tajemnicy: tutaj możemy dokonać pewnych cięć, pod warunkiem że załatwimy to w odpowiedni sposób. I tak chory plan narodził się podczas potajemnych spotkań i cichych konsultacji, zatrudniono kilka osób w rodzaju Danska, by go wprowadzić w życie, ludzi, którzy nie byli przesadnie zasadniczy. Otrzymali legitymacje, że są urzędnikami sądowymi lub funkcjonariuszami Ministerstwa Sprawiedliwości. I w ten prosty sposób można było zaoszczędzić trochę grosza zgodnie z mało precyzyjną sugestią z okólnika, a tam gdzie chodzi o pieniądze, kwestie moralne są drobiazgami, które się rozpuszczają jak szkielec w kwasie solnym.

Zastanawiała się nad mechanizmem funkcjonowania całej operacji. Do tej pracy nie potrzeba setek osób. Wystarczy kilku zabójców, paru koordynatorów w Arlington, dwóch lub trzech operatorów komputerowych do fałszowania danych, dwóch czy trzech ludzi w Ministerstwie Sprawiedliwości. Takich facetów jak Loeb.

Wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, Rhees postanowił coś zrobić. Jego decyzja była spontaniczna i nieprzemyślana. Jakby stwierdził, że jego cierpienia fizyczne to sprawa drugorzędna, chrząknął i rzucił się na Danska, który spokojnie odsunął się na bok. Rhees upadł i na chwilę zniknął w cieniu, a kiedy próbował wstać, Dansk kopnął go w zębra. Rhees złapał się za bok i jęknął.

- Mówią, że zawsze trzeba uważać na tych, którzy siedzą cicho - powiedział Dansk. - Nie wolno spuszczać oka z moli książkowych.

Amanda podeszła do Rheesa. Oczy mu nabiegły krwią, twarz miał wykrzywioną z bólu. Generator zaczął zamierać, dudnienie stało się mniej intensywne, światło przygasło. Pragnęła, żeby zapanaowały kompletne ciemności, żeby przestała cokolwiek widzieć. Miejsce, gdzie kończy się ciekawość.

Czuła śmierć, śmierć zapakowaną w puszki, i zastanawiała się, ilu ludzi tu sprowadzono - trzystu, czterystu? - oraz nad próbą ognia, którą tu przechodzili, nad kremacją, która ich redukowałą do garstki popiołu. Wyobraziła sobie pierścionki i zegarki, medaliki i kolczyki, ściągane z bezwładnych ciał, cmentarne hieny przesiewające dobytek zmarłych. Zastanawiała się nad kontami bankowymi i domami, nad tym, jak musiano rabować pieniądze i fałszować dokumenty własności, ile tabliczek „Na sprzedaż” stało w całym kraju przed domami, których prawowici właściciele nigdy nie wrócą, ponieważ zostali zastrzeleni, spaleni i przywiezieni tutaj.

Dansk podszedł do niej i ujął ją pod brodę.

- Spójrz na mnie - powiedział.

Nie podniosła wzroku.

- Spójrz na mnie - powtórzył.

Nie usłuchała.

Nie chcesz widzieć twarzy swego kata, moja pani, pomyślał. Nie chcesz, żebym był ostatnią osobą, którą zobaczysz w życiu. Nie chcesz unieść ze sobą w wieczność obrazu Anthony'ego Danska.

Myślała o umieraniu. Wydawało jej się, że usłyszała strzał z pistoletu. Nie była pewna. Skąd mogła wiedzieć, co słyszy?

- Do cholery, spójrz na mnie - powiedział Dansk.

- Dansk - odezwał się Rhees zachrypniętym głosem. - Zaczekaj...

- Na co, John? Najpierw zginie pani, a potem przyjdzie kolej na ciebie. Takie są fakty. Pogódź się z nimi.

Poczuła na czole zimną lufę. Była połączona z Danskiem, pistolet stanowił pomost. Słyszała warkot generatora, klekot i astmatyczne pogwizdywanie, które chwilami przechodziło w świst. A może były to tylko hałasy zrodzone w jej mózgu. Cóż za różnica, skąd pochodziły, wiedziała, że umrze, wiedziała, że to już koniec.

Uniosła głowę i utkwiała w nim wzrok.

Spojrzał jej w oczy i zobaczył to, co chciał ujrzeć. Podnieciło go to. Poczucie klęski i rozpacz, i strach. Taką się ma minę, kiedy się odwraca ostatnią stroną księgi własnego życia.

- Oto gdzie doprowadziła cię ciekawość - powiedział. Był księciem ciemności, przewodnikiem na drugi brzeg.

- Hej, Anthony! Spójrz no tu!

Zaskoczony Dansk odwrócił się. Amanda spojrzała w kierunku drzwi, padła na ziemię i zacisnęła powieki.

Rozległ się jazgot broni maszynowej, pociski wznosiły obłoki kurzu i siekły ścianę za Danskiem. Amanda straciła rachubę, nie mogąc odróżnić odgłosów strzelaniny od echa, które powstawało. Dźwięki rozchodziły się pozbawione wszelkiej logiki, było tylko coraz głośniejsze, aż barak zaczął przypominać strzelnicę, której wszyscy klienci stracili rozum. Kule dosięgały Danska wszędzie, w ręce, nogi, pierś, głowę. Zrobił kilka chwiejnych kroków, a kiedy upadł, obrócił się kilka razy, nim w końcu znieruchomiał parę metrów od Amandy.

Dwaj mężczyźni wyłonili się z cienia. Podeszli do Danska, przyrzekli mu się uważnie, jakby się spodziewali, że przeżył strzelaninę. Jeden z nich kopnął Danska w klatkę piersiową. Drugi powiedział:

- Wystarczy.

Nie widziała ich twarzy. Nie chciała ich oglądać. Generator ucichł. W wielkim pomieszczeniu zapanowały nagle cisza i ciemność, cisza była dziwna i przerażająca.

Jeden z mężczyzn powiedział:

- Gdybyś chciał znać moje zdanie, uważam, że powinniśmy wykonać operację również na tych dwojgu.

- Loeb powiedział co innego - odezwał się drugi.

- Żadnych nazwisk, ty dupku.

Usłyszała, jak idą do wyjścia, gdzie przystanąli. Wstrzymała oddech, ponieważ wiedziała, że zamierzają się odwrócić i wycelować lufy swojej broni w nią i Rheesa. Okropna chwila, suchość w gardle i gorzki smak paniki. Wyszli na zewnątrz. Minutę później usłyszała warkot uruchamianego silnika samochodu, który wkrótce ucichł w oddali.

Podeszła do Rheesa i obejmowała go długo, tuląc do siebie jego twarz, trzymając rękę na jego ramieniu. Siedziała, aż cała zdrętwiała, a słońce wspięło się wystarczająco wysoko, by promienie wpadły do środka przez otwarte drzwi.

Strzepnęła pył z ubrania i podeszła tam, gdzie leżał Dansk. Zaczęła macać jego marynarkę w poszukiwaniu kluczyków do samochodu, ale ich nie znalazła. Natknęła się na notes owinięty grubą czerwoną gumką. Wzięła go, potem pogrzebała w kieszeniach spodni i znalazła lepkie od krwi kluczyki.

Miał strzaskaną czaszkę. Widziała kości i więcej krwi, niż potrafiła sobie wyobrazić. Odnosiła wrażenie, że się rozpląwał. Mokre włosy, otwarte, wykrzywione usta. Oczy spoglądały w nicość, ale były dziwnie przytomne. Wyobrazila sobie jakąś podstawową formę

życia, tłącą się w Dansku, wyobraziła sobie, że ją obserwuje, że kiedy się odwróci i skieruje się z Rheesem do wyjścia, nadal będzie śledził jej ruchy i w jakiś sposób je rejestrował w swym mózgu.

Zastanawiała się, ile czasu zajmie jej pozbycie się tego wrażenia, czy będzie ją ono prześladowało jeszcze przez długi czas. Wiedziała jedno.

Na pewno nie pozbędzie się go prędko.

Rhees siedział na miejscu dla pasażera z notesem Danska na kolanach, przerzucając obojętnie kartki, co wydało jej się niepokojące, jakby dał już z siebie wszystko i nic w nim nie pozostało. Małe, spalone słońcem miasteczka, które mijali, sprawiały przygnębiające wrażenie. W Holbrook skorzystali z toalet na stacji benzynowej, by się umyć. W Winslow kupiła okulary słoneczne i zadzwoniła do Kellowaya z automatu przed sklepem monopolowym.

- Czekałem na pani telefon - powiedział.
- Spotkajmy się we Flagstaff.
- Dlaczego nie w Phoenix?
- Ponieważ obawiam się, że tam nie dojadę, tylko usnę za kierownicą. Stanowią zagrożenie dla innych kierowców, Kelloway.
- O, tak, przyznaję, że stanowi pani zagrożenie, i to nie tylko dla kierowców. Pożary lasu, śmierć ludzi. Proszę wyznaczyć miejsce spotkania.
- Na lotnisku. - Była to pierwsza rzecz, która jej przyszła do głowy.
- Będę tam za parę godzin - powiedział Kelloway.

Odwiesiła słuchawkę i wróciła do samochodu. Usiadła za kierownicą. Zmęczenie było jak złościący w niej tunel czerw. Ale żyła, ponieważ Loeb wydał takie instrukcje. Może doszedł do wniosku, że dość, że trzeba położyć kres temu zabijaniu, albowiem cała ta chora,

potajemna akcja zaczęła się wymykać spod kontroli.

Rhees nie poruszał tego tematu. Zdawał się przyjmować fakt, że żyje, nie próbując dociekać przyczyn. Wolno przewracał kartki notesu, jakby czytał jakiś tekst w nieznanym sobie języku, którego wcale nie chciał poznać.

Dansk robił notatki na środku strony, rysując wkoło małe krzyżyki, strzałki i przypominające ciernie zygzyki. Na jednej stronie było tylko jedno słowo ze znakiem zapytania: „przyjaciele?”. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by Dansk miał przyjaciół.

Rhees dalej odwracał kartki i czasem czytał zapiski Danska niepokojąco monotonnym głosem. W niezrozumiały sposób, używając zwrotów i pojedynczych słów, Dansk zapisywał swoje wrażenia. Pisał o ludziach, używając ich inicjałów. L musiało oznaczać Loeba. Dansk zanotował: „Chciałbym poderżnąć gardło pieprzonemu L jak świni”. Nie miała pojęcia, co mogą znaczyć inicjały Mc i P, które często się powtarzały. Nazwisko Williego Drumma było napisane pośrodku prostokąta, niczym w nieoheblowanej trumnie.

Strony zapełniały litery, po których następowały skróty miast. BNDenv McKSeat FSaltLk RMDenv QDalbu RDalbu PROgd JROgd. Ostatnie kartki pokrywały szeregi cyfr, niektóre były numerami telefonów, inne przypominały kody cyfrowe kart bankowych. Niezbędny był klucz, by rozszyfrować znaczenie wszystkich tych zapisków. Potrzebny był inny rodzaj klucza, by oszacować liczbę zabitych.

Tajemniczy notes, tajemnicze życie. Ciekawa była, co się uda wydedukować z tych stron, ze skrótów i cyfr, zagadek ze świata Danska.

Coś się wysunęło z notesu na rękę Rheesa. Był to złożony wycinek z gazety. Rozpostarł go.

- Co to? - spytała.

Rhees dał jej wycinek. Przeczytała go.

ZABÓJSTWO MIEJSCOWEJ KOBIETY. Pod tym nagłówkiem była zwięzła informacja:

PANI FREDERICA DANKOWSKI, LAT SZESĆDZIESIĄT SIEDEM, ZAMIESZKAŁA PRZY DRAKE 2343, ZOSTAŁA WCZORAJ W BIAŁY DZIEŃ ZAMORDOWANA PRZEZ NIEZNANYCH SPRAWCÓW PRZED SWYM DOMEM. ZADANO JEJ KILKA RAN NOŻEM. ZABRANO JĄ DO SZPITALA MIEJSKIEGO, GDZIE STWIERDZONO ZGON. POLICJA PROSI O INFORMACJE WSZYSTKICH, KTÓRZY ZNAJDOWALI SIĘ W POBLIŻU ULICY DRAKE WCZORAJ PO POŁUDNIU MIĘDZY TRZECIĄ A WPÓŁ DO CZWARTEJ. PROSIMY DZWONIĆ DO KOMENDY POLICJI W PATTERSON. PANI DANKOWSKI ZOSTAWIŁA SYNA, ANTHONY'EGO, PRACOWNIKA FIRMY NAFTOWEJ.

Notatka pochodziła z kwietnia 1994 roku. Przypomniła sobie trzymane przez Danską zdjęcia. Matka i syn. Anthony Danskowski, w skrócie Dansk.

Gdzieś między Winslow i Flagstaff zjechała z szosy. Wsiadła, otworzyła bagażnik i wyciągnęła walizkę Danską. Otworzyła ją łyżką do opon. Spociła się, waląc raz za razem w walizkę, zawiasy, zamek. Uklęła na ziemi i zaczęła w niej grzebać, szukając papierów, dokumentów, akt, jakichkolwiek informacji, które mogłyby rzucić światło na świat Danską. Znalazła jedynie starannie złożone ubrania. Przybory toaletowe. Ale żadnych papierów. Ze złością kopnęła jego rzeczy, a potem wróciła do samochodu. Pot zalewał jej oczy, utrudniając patrzenie.

Wzięła notes z bezwładnej ręki Rheesa, zamknęła go i wyobraziła sobie, że może ta prosta czynność uciszy głos Danską, który zdawał się rozlegać z kartek niczym szepty i niezrozumiałe uwagi, czynione na stronie. Ale nic to nie pomogło, nadal słyszała Danską. „Sprawdź, jakie sama spowodowałaś spustoszenia, zanim zaczniesz wydawać sąd o innych. Jesteś niczym jakaś Czarna Śmierć, sprowadzająca zagładę”.

*

We Flagstaff krajobraz uległ zmianie, pojawiły się góry i wysokie, zielone lasy, zaczął wiać lekki wietrzyk. Amanda pojechała jakieś dwa kilometry za miasto, gdzie znajdowało się lotnisko. Mały dworzec lotniczy obsługiwał głównie ruch lokalny, na północ do Las

Vegas lub na południe do Phoenix. Na skraju parkingu postawiono kilka stołów.

Zaparkowała samochód, kupiła w barze dwie duże puszki napoju gazowanego i zaniósła je do jednego ze stołów. Rhees pił w milczeniu. Amanda paliła papierosa i obserwowała przyjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Z pasa startowego wzniosła się cessa. Wyobraziła sobie, że siedzi w środku małego samolotu, płynie w jakimś lekkim, błoniastym balonie przez błękitne niebo, gdzie traci się świadomość i można ulec amnezji.

Zobaczyła wysiadającego z samochodu Kellowaya. Natychmiast zauważył Amandę i Rheesa i szybkim krokiem podszedł do ich stolika. Usiadł i odegnał dym z papierosa Amandy. Zdjęła okulary słoneczne i spojrzała na niego, próbując odczytać z jego twarzy, w jakim jest nastroju. Trudno było powiedzieć.

- Dobra - powiedział. - Zacznijmy od Toma Gannona.
- Zastrzelił go Dansk - oświadczyła.
- A pozostali policjanci?

Nic nie powiedziała. Poczula nagle niechęć do dzielenia się z Kellowayem czymkolwiek, sama nie wiedziała dlaczego. Nagle mówienie wydało jej się ogromnym wysiłkiem. Słowa skrzepły i uwięzły w jej głowie jak blizny.

- A więc zabił czterech policjantów i spalił pół lasu - powiedział Kelloway.

Amanda na chwilę spojrzała w dal. Wietrzyk zatrzepotał, a po chwili ustał. Rękaw zwisał bezwładnie. Cała ta scena miała w sobie coś ze snu albo z pogranicza jawy i snu.

- A potem gdzie się udał? - spytał Kelloway. Rhees powiedział obojętnie:

- Dansk nie żyje.
- Nie żyje?
- Pojawili się dwaj rewolwerowcy - wyjaśnił Rhees.
- Gdzie?

- Tam gdzie nie chcemy już nigdy wracać - powiedziała Amanda.

Kelloway spojrział jej prosto w oczy.

- Co to za miejsce?

- Narysuję panu mapę - zaproponowała. Ale zapamiętała jedynie pustynię i strzelaninę.

Kelloway się pochylił, podpierając się łokciami.

- Ci rewolwerowcy zabili Danska i odjechali? Widziała pani ich twarze?

- Było ciemno - powiedziała. - Nie widzieliśmy ich.

- A więc nie możecie ich zidentyfikować.

- Szczerze mówiąc, właściwie się im nie przyglądaliśmy - wyznała Amanda. - Moim zdaniem to ci dwaj, którzy napadli na Johna.

- Ludzie Danska obrócili się przeciwko niemu. - Kelloway spędził z ręki muchę. - A was dwoje zostawili przy życiu?

- Może Loeb potrafi to wyjaśnić - powiedziała. Kelloway zaciął rękę w pięść.

- Loeb został zastrzelony z bliskiej odległości przed przydrożnym zajazdem na I-17. Nie wiemy, kto go zabił. Nikt w zajezdzie nie słyszał strzelaniny. W tych zapyziałych budach zawsze trudno o świadków.

Wchłonęła tę informację. Żadnych świadków, pomyślała. Loeb nie odpowie na żadne pytania. Danska nie można przesłuchać. Uciszone głosy.

- Co udało się panu ustalić?

- Ralph Loeb od szesnastu lat pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości. Był nieuleczalnie chory, rak płuc, więc niebawem odszedłby z pracy tak czy inaczej. Przypuszczam, że spodziewał się wyzionąć ducha na szpitalnym łóżku, z rurkami w nosie, ale los lubi płać figle. Powiedział mi, że nigdy nie słyszał o Dansku.

- Niespodzianka.

- Kontaktowałem się z różnymi ludźmi. Wysokimi urzędnikami w Ministerstwie Sprawiedliwości. W sądownictwie. Z dyrektorem Programu Ochrony Świadców. Prowadzę również rozmowy z biurem stanowego ministra sprawiedliwości. Lekarze sądowi badają zwłoki pani Vialli, by ustalić rzeczywistą przyczynę śmierci. Roześlaliśmy rysopis faceta, którego pani widziała w Hideaway Knolls.

- Zaczął pan wierzyć, prawda? - spytała.

- Powiedzmy, że zaczynam się do tego przekonywać - powiedział Kelloway - ale potrzebne mi są od pani wszelkie informacje, które mogłyby posłużyć jako niezbity dowód.

Pomyślała o notesie Danska. Pomyślała o puszkach z napisami. Miała nieprzyjemne wrażenie, że Kelloway coś ukrywa przed nią i Rheesem. Nie miała pojęcia, cóż to mogło być.

Jej uwagę zwrócił skręcający na parking i zbliżający się do ich stolika samochód. Zobaczyła twarz kierowcy ukrytą częściowo w cieniu i wydało jej się, że ją rozpoznała. Samochód minął ich i zaparkował jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Otworzyły się drzwiczki.

Znów powiał wietrzyk. Mężczyzna, który wysiadł z samochodu, uniósł rękę do głowy. Krawat, porwany pędem powietrza, uderzył go w twarz, poprawił go. W lewym ręku niósł teczkę.

- Nie wykluczam wszczęcia drobiazgowego śledztwa. A przy tym bardzo delikatnego.

Amanda odwróciła się od mężczyzny szarpiącego się ze swoim krawatem.

- Czy to pana przeraża, Kelloway?

- Nie, Scholes. Mam stalowe nerwy. Chcę tylko powiedzieć, że to nie jakaś tuzinkowa sprawa. To coś, co trzeba razem poskładać, a jeśli się okaże, że powinien się tym zająć sąd, będę musiał przekonać paru wpływowych ludzi, że mam coś, co jest warte bliższego zainteresowania. Ślady prowadzą w różnych kierunkach. Ministerstwo Sprawiedliwości. Policja sądowa. Widzę, że zamieszane w to było FBI. Poza tym... - Wzruszył ramionami.

Amanda spojrzała ponad ramieniem Kellowaya na mężczyznę, który znów szamotał się ze swoim krawatem trzepoczącym w kolejnym podmuchu wiatru. Kiedy doszedł do stolika, uśmiechnął się do Amandy.

- Lew Bascombe - zdziwiła się. - Lecisz dokądś?

- Nie, nie - powiedział Bascombe. Usiadł, otworzył aktówkę, wyjął z niej nieprzezroczystą, plastikową teczkę i położył ją na stole. Była czerwona, błyszcząca, zamykana na zatrzask.

Kelloway skinął do Bascombe'a, a potem zwrócił się do Amandy:

- Chcę wiedzieć wszystko, co mi pani może powiedzieć. Od a do zet.

Zastanawiała ją obecność Lewisa Bascombe'a. Spojrzała na czerwoną teczkę. Lew położył na niej rękę. Cofnęła się na oparcie. Kiedy przemówił Kelloway, jego głos zdawał się dochodzić gdzieś z daleka.

- Muszę zapukać w niektóre bardzo grube drzwi i czekają mnie rozmowy z kilkoma trudnymi przeciwnikami. Muszę im przedstawić towar pierwszej jakości, a gdzie go znajdę, jeśli nie otrzymam go od pani i Rheesa? Na pewno nie od Loeba i nie od Danska.

- Loeb i Dansk nie pracowali sami - powiedziała. - Mieli wspólników. Ludzi z dostępem do informacji. Ludzi, którzy wiedzieli, jaki guzik trzeba nacisnąć na klawiaturze. Innych, specjalizujących się w przemocy. Nie wiem ilu ani jaki zasięg ma cała ta chora operacja.

- Właśnie tych ludzi chcę dostać w swoje ręce.

- Czy nie pomyślał pan, że Loeb miał czas, by zacząć zacierać ślady, zanim zginął? - spytała. - Może wykonał kilka telefonów zaraz po rozmowie z panem. Uświadomił sobie, że wszystko zaczyna się sypać, wysłał więc informacje. Zniszczyć pewne akta i zapisy *et cetera*.

- Scholes, nie można wymazać wszystkiego - powiedział Kelloway. - Zawsze gdzieś zostaną jakieś ślady i znajdę je. Kiedy uda mi się wsunąć nogę za próg, zaczynam przypominać świadka Jehowy.

Kelloway spojrział na Bascombe'a, który otworzył plastikową teczkę. Zaczął wyciągać z niej papiery.

- Przygotowałem pełny komplet, Amando - powiedział Bascombe. - Dwie metryki urodzenia, dwie legitymacje ubezpieczenia społecznego, dwa prawa jazdy, wydane w stanie Arizona. Dwie karty kredytowe i książeczka czekowa z banku w Yumie. Klucz do domu w tymże mieście, adres załączony. Jak widzisz, będziecie występować jako małżeństwo. Sam wybrałem nazwisko. Erika i Robert Bloom.

- Zaczekaj - powiedziała.

- Nie mogę przystąpić do dzieła bez waszej pomocy i chcę mieć stuprocentową pewność, że wszyscy moi świadkowie są objęci ochroną...

- Zaczekaj - przerwała mu.

- Chcę, żebyście obydwójecie byli bezpieczni, kiedy będę rozpracowywał tę sprawę. Mamy swój własny, stanowy program ochrony...

- Wiem o tym.

- Jest skromny w porównaniu z federalnym, ale przynajmniej niezawodny, wiem, gdzie mogę was znaleźć, jeśli mi będziecie potrzebni. Mogę wam zagwarantować całkowite bezpieczeństwo, ochronę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, bezpośrednie połączenie z moim biurem, czynne na okrągło.

Amanda spojrzała na metryki urodzenia, karty kredytowe, książeczkę czekową. Wydawało jej się, że śni.

- Prosi nas pan, byśmy zniknęli na Bóg wie jak długo i przyjęli nową tożsamość?

- Nikt was nie odnajdzie. Nie będziecie musieli żyć w wiecznym strachu. Będziecie bezpieczni pod moją opieką.

Bezpieczni pod moją opieką.

- Czy to konieczne? - spytała.

Kelloway wzruszył ramionami i uniósł brwi.

- Proszę pozwolić, że powiem, co się stanie, jeśli się nie zgodzicie: wciąż będziecie oglądali się przez ramię. Po zachodzie słońca będziecie się zastanawiali, co się czai w mroku. Kiedy zadzwoni dzwonek u drzwi, podskoczycie. Kiedy ktoś przyjdzie, by naprawić kran, sięgniecie po valium lub broń, w zależności od tego, co będzie bliżej. Poza tym trzeba pamiętać o Rheesie. Potrzebny mu spokój, czas, by mógł odzyskać zdrowie.

Dotknął jej słabego punktu. Gapiała się na rękaw i obserwowała, jak wypełnia się powietrzem. Słuchała wiatru, jakby spodziewała się wyczytać wskazówkę z szumu pobliskich drzew, otrzymać godną zaufania radę wypowiedzianą przez poruszone podmuchem powietrza liście.

- Może mi pani nie ufać - powiedział Kelloway. - Ale kiedyś musi pani zacząć komuś ufać. Proszę zacząć ode mnie. Kto przydzielił pani do ochrony Toma Gannona? Od kogo wyszła ta propozycja? A tamci pozostali policjanci? Wyszedłem pani naprzeciw.

Spojrzała na Rheesa, którego ściągnięta twarz zdawała się taka obca. Zaufać komuś.

- Robert i Erika Bloom - powiedział Rhees, jakby sprawdzał smak tych imion w swoich ustach. Nie spodobał mu się. Jego głos był dziwny i apatyczny.

Usłyszała, jak startuje kolejna awionetka.

- No więc? - spytał Kelloway.

Uniosła głowę i obserwowała samolot, znikający w słońcu promyk żywego srebra. Odgłos silnika opadł o pół tonu. Włożyła okulary słoneczne i jasność dnia zmniejszyła się do poziomu możliwego do zaakceptowania. Spojrzała na Kellowaya, który w przyciemnionym świetle był mniej odpychający, mniej drapieżny. Potem przez dłuższą chwilę przyglądała się Bascombe'owi. Ta uprzejma twarz, ta okropna peruka.

- Jak myślisz, Lew? - spytała.

- Uważam, że powinnaś się na to zdecydować, Amando - stwierdził.

- Tak po prostu - powiedziała.
- Już się zgodziłem pomóc Danowi wyjaśnić całą tę cholerną sprawę - poinformował Bascombe. - Moim zdaniem powinnaś zrobić to samo.

To samo, pomyślała. Jezu, ale była wykończona. Marzyła o łóżku, czystej pościeli i chłodnym, zaciemnionym pokoju. A przede wszystkim pragnęła, żeby Rhees był bezpieczny. Spojrzała na Bascombe'a i przypomniała sobie Williego Drumma.

- Powiedz mi, Lew, czy sprawdziłeś tego Danska?
- Oczywiście - zapewnił ją Bascombe.
- No i?
- Nic - powiedział. - Nie był pracownikiem Ministerstwa Sprawiedliwości. Nie był pracownikiem policji sądowej. Pojawił się nie wiadomo skąd.

Nic, pomyślała. Zagadka. Teraz nie żył i mogła zacząć sama o wszystkim zapominać. Zobaczyła skręcający na parking radiowóz policyjny.

- Czy to po nas, Kelloway?
 - Tylko jeśli wyrazicie zgodę - powiedział.
- Znów spojrzała na Rheesa. Uczynił niewyraźny ruch głową. Wiedziała, co to znaczy: za bardzo mnie boli, żeby myśleć.
- A co z moim ojcem? - spytała. - Będzie się niepokoił. Miałam do niego zadzwonić.

- Później, kiedy się pani przeprowadzi, umożliwimy pani kontakt telefoniczny z ojcem. To nie musi trwać wiecznie, Amando. Trzy miesiące, pół roku, w zależności od tego, co znajdę. Nie wiadomo, może dopisze mi szczęście.

Zamknęła oczy przed światłem i dopiła swój napój. Pomyślała o Morganie i jego hacjendzie na wzgórzach, o Morganie czekającym na jej telefon. Później, jak powiedział Kelloway.

Życie stanie się ciągiem odroczeń i rezygnacji. Zdjęła okulary i zamrugała powiekami.

- Jest notes, który może się panu przydać - powiedziała.

Kelloway obserwował, jak radiowóz policyjny znika im z oczu. Ani Amanda, ani Rhees nie obejrzeni się za siebie. Zwrócił się do Bascombe'a i powiedział:

- Gdzie, u diabła, Loeb wynalazł takiego psychologa jak Dansk? Co sobie wyobrażał ten stary klaun? Musiał wiedzieć, na jakie naraża się ryzyko, zawierając komuś takiemu. Zgoda, Dansk był pracownikiem sądowym o specjalnym statusie, wielka rzecz, ale na rany Chrystusa, Loeb powinien sprawdzić stan jego psychiki.

Kelloway wziął ze stołu pustą puszkę po napoju i zgniótł ją w dłoni.

- Potem, ni stąd, ni zowąd, Loeb zmienia taktykę i dochodzi do wniosku, że pragnie śmierci Danską, ponieważ facet wymknął się spod kontroli, sytuacja jest podbramkowa, wszystkie dowody trzeba natychmiast zmieść pod dywan i Scholes wróci do domu szczęśliwa i usatysfakcjonowana, bo sobie wyobraża, że jej osobisty koszmar się skończył... Umierający człowiek znajduje w swym sercu odrobinę litości. Myślisz, że tak mniej więcej było z Loebem? Czy zwyczajnie się przestraszył?

- Teraz nie ma to już większego znaczenia - powiedział Bascombe.

Rysy Kellowaya nabrały ostrości.

- Żadnych więcej wpadek. Żadnych więcej nieprzemyślanych decyzji Loeba. Żadnego więcej Danska.

Bascombe się uśmiechnął.

- Kiedy przystępujesz do tego swojego śledztwa na szeroką skalę?

- Jakiego śledztwa? - spytał Kelloway.

- Trochę mi jej szkoda - powiedział Bascombe.

- Zachowaj swoje współczucie dla kogo innego, Lew. Sama się w to wpakowała. Miała szansę się wycofać. I to nie raz.

- Jej ojciec...

- Pech - powiedział Kelloway. - Dlatego tacy ludzie jak Dansk nie nadają się do tej roboty. Marnował czas na głupstwa i spieprzył sprawę. W takiej robocie nie obejdziesz się bez ofiar. Jezu, nienawidzę tracić ludzi. To takie marnotrawstwo. - Przez chwilę milczał, patrząc na drzewa. - Zgoda, przypuszczałem, że Dansk jest wystarczająco szalony i zdeterminowany, by dotrzeć do domku, ale, cholera, nie przewidziałem miłosierdzia Loeba. Może stary przyk traktował odroczenie wykonania wyroku na Scholes jako akt pokuty czy co« w tym rodzaju, a może już miał dosyć przelewu krwi, co potrafię zrozumieć, wierz mi.

- Kto wie - powiedział Bascombe.

- Czasami przeżywam kryzys i myślę, że ta operacja to za dużo. Syndrom szybkowaru. Trzeba tyle zachodu: hamować się, zachowywać tajemnicę, posuwać się do kłamstw. Potem wahadło przechyliła się w drugą stronę i znowu wszystko jest w porządku, funkcjonuje jak dobrze naoliwiony zegarek, Bóg znów się uśmiecha. Myślisz, że potrzebna mi kuracja prozakiem, Lew?

- Narkotyki zaburzają jasność rozumowania. - Najważniejsze, że należy tylko do mnie - powiedział Kelloway.

- Nie muszę pytać, co zamierzasz z nią zrobić, prawda?

Na stole przysiadł wróbel.

Kelloway wyciągnął rękę i krzyknął:

- Paf!

Wystraszony ptak odfrunął, nerwowo trzepocząc skrzydłami, i rozplynął się nad szosą jak kłęb dymu lub martwa dusza.